

P. 9786 Cht. Arch.

ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 7/442 - 8/443 1984



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

B. UNGER: **KTO SIĘ BOI "APOCALYMPICS NOW"?**

SŁ. MROŹEK: **NOS**

A. KOWALSKA: **FOLKLOR TAMTYCH CZASÓW**

P. ZNAWCA: **STAN RZECZY**

LEOPOLITA:

SEDNO I KILKA INNYCH WAŻNYCH SPRAW

SPIS RZECZY

Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	3
Leopold Unger:	<i>Widziane z Los Angeles i z Brukseli</i>	19
Sławomir Mrozek:	<i>Nos</i>	37
Anka Kowalska:	<i>Folklor tamtych czasów</i>	47
ARCHIWUM POLITYCZNE		
P. Zławca:	<i>Stan rzeczy</i>	65
Kamila Chylińska:	<i>Nacjonalizm czy kryzys wartości</i>	72
Zbigniew Byrski:	<i>Pra-wyборы Partii Demokratycznej w USA</i>	82
K R A J		
Jan Kielanowski:	<i>Kłeska czy zwycięstwo?</i>	87
Henryk Piłski:	<i>Demokracja bez władzy</i>	93
—	<i>Kalendarium „zamachu stanu” w PZKS-ie</i>	100
—	<i>Informacja Biura Prasowego Episkopatu</i>	103
—	<i>Listy niekontrolowane</i>	103
Jerzy Stypułkowski:	<i>List do Redaktora</i>	119
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	123
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	129
E. Żagiell:	<i>Kronika litewska</i>	133
KRONIKA KULTURALNA		
Iwan Koszeliweć:	<i>Tragedia Mykoły Bażana</i>	136
—	<i>Kongres Kultury Polskiej — wrzesień 1985</i>	142
—	<i>Współczesna Polska w historycznej perspektywie</i>	144
Amboz:	<i>Wystawa Kossów</i>	146
POLEMIKI		
Leopolita:	<i>Sedno i kilka innych ważnych spraw</i>	148
WOLNA TRYBUNA		
Robert Kaczmarek:	<i>Nie tylko podziemie</i>	164
KSIĄŻKI		
Jerzy Grot-Kwaśniewski:	<i>„Emigranckiej opowieści” ciąg dalszy</i>	179
Kazimierz Smogorzewski:	<i>Adam Ciołkosz jako publicysta</i>	181
—	<i>Spis wydawnictw podziemnych w PRL (5)</i>	185
—	<i>Nadstawane nowości wydawnicze</i>	205
—	◆	
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	208
—	◆	
Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	214
RÓŻNE		
—	<i>Akcja przeciwko lojalnym służbom WRON</i>	215
—	<i>Czarna lista</i>	215
—	<i>Dyskusja o Jalcie</i>	216
—	◆	
B. Billaud, L. Seidenman, J. Mondry, A. Nasielski, B. F. Bogacki, K. Turowski, J. Bierezin:	<i>Listy do Redakcji</i>	217
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	224

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Lipiec/Sierpień - Juillet/Août 1984

INSTYTUT  LITERACKI



Z powodu niedostarczenia na czas papieru którego używa Kultura, bieżący podwójny numer został wydrukowany na znacznie cieńszym papierze offsetowym.

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Kazimierz Grabowski, Düsseldorf (RFN), po raz 2-gi	F. 120,00
M.A., Perth (Australia) — \$ A. 50,00, po raz 10-ty	F. 369,00
Janusz Zembrzuski, Anglet (Francja), po raz 41-szy	F. 500,00
Bezimiennie z Kolonii (RFN) — DM 200,00	F. 610,00

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU ZEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ

E.M., Paryż — na ruch oporu w Polsce	F. 200,00
Ryszard Gizowski, Wiedeń w czasie strajku głodowego, który odbył się w dniach od 11 do 15 kwietnia br. we Wiedniu zebrał na pomoc rodzinom uwięzionych w Kraju sumę Sch.A. 5.600,00, z której Sch.A. 2.000,00 przekazał do Kraju, a Sch.A. 3.600 przesłał do Kultury na pomoc dla „Kowalskich”, których jest w Polsce tak dużo.	F.1.564,00
Józef Kunc, Long Beach, CA (USA) — na Fundusz Samoobrony Społecznej, po raz 29-ty — \$ 50,00	F. 415,00
M.A., Perth, W.A. (Australia) — \$ A.170,00	F.1.254,60
Andrzej Maszkowski, Tilburg (Holandia) — w 44-tą rocznicę śmierci Ojca, Karola Zyndrama-Maszkowskiego, artysty malarza — witrażysty, oficera Legionów, przyjaciela Wyspiańskiego, Mehoffera, Estreicherów i Pawlikowskich z Medyki, w ostatnich 12-tu latach życia dyrektora poznańskiej państwowej Szkoły Sztuk Zdobniczych — na pomoc dla artysty malarza będącego w krytycznej sytuacji materialnej z powodu swojej opozycyjnej postawy wobec reżimu w PRL — Flh. 1.000,00	F.2.731,12

WPLATY NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Bezimiennie z Winterthur (Szwajcaria)	F. 120,00
Pomost — Montréal — na walczącą „Solidarność” — \$ 500,00	F.4.150,00

WPLATY NA FUNDUSZ DRUKARSKI IM. WŁADYSŁAWA GŁOWACKIEGO

A.T., New York — \$ 346,00	F.2.872,00
Bezimiennie z Los Angeles, CA (USA) — \$26,00	F. 216,00
Leon L. Keyna, Launceston, Tas. (Australia) — \$ A. 1.500,00	F.11.226,30
Helena Lemańska, Paryż — dla uczczenia pamięci Karola Małcużyńskiego, zmarłego 13 czerwca w Warszawie	F. 200,00
Wanda Piłsudska, Londyn — £ 100,00	F.1.163,00
Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — \$ 100,00	F. 830,00
Wojciech Szczygielski, Zurych — Fr. szw. 30,00	F. 111,00



P. 9786 Chr. Arch.

Dziennik pisany nocą

Neapol, 20 kwietnia 1984

Wczoraj w Rzymie przypadek zaprowadził mnie na wystawę „narzędzi tortur od Średniowiecza do ery przemysłowej” w dwóch salach i ogrodzie pałacu obok Kwirynału. Prócz bólu zadawanego wprost kaleczeniem ciała i łamaniem kości, dawni projektodawcy narzędzi tortur wysilali swą pomysłowość dla wtrącenia ofiary w absolutną samotność (zgodnie z „odwiecznym dążeniem człowieka do absolutu” we wszystkim co obmyśla i robi). Owocem doskonałym takiej pomysłowości był „latawiec biskupa”, który na rzymskiej wystawie przyciąga uwagę zwiedzających. Brak wyjaśnienia tej dziwnej nazwy: mogła upamiętniać jakiegoś średniowiecznego biskupa w roli wynalazcy, albo też przeciwnie — w roli ofiary. Torturowanego zamykano w żelaznej klatce o ludzkich kształtach. Pusty „latawiec biskupa” był jakby konstrukcją figury ludzkiej z żelaznych prętów, podobną do nowoczesnych rzeźb czy druczianych manekinów. Nadziany ofiarą i wciągnięty na szczyt wysokiego rusztowania, odcinał torturowanego od świata radykalniej, niż mogła to zrobić cela w lochach ciemnicy. Prawdopodobnie podawano mu za pomocą tyczki wodę i chleb. Jeśli do końca odmawiał kapitulacji i wyznania winy, z żelaznej klatki wyjmowano dopiero po długim czasie jego wysuszony już szkielet. Pomysł „latawca biskupa” narodził się pewnie z podświadomej imitacji ukrzyżowania.

22 kwietnia

Książka dziennikarki amerykańskiej Claire Sterling o zamachu

na papieża *The Time of the Assassins*, bez porównania bogatsza od wydanej wcześniej książki Paula Henze *The Plot to Kill the Pope*.

Wszystkie nici spisku prowadzą, przez Sofię, do Moskwy. Ali Agca był wynajętym przez prosperującą w Sofii „mafię turecką” zawodowym zabójcą, „mafia turecka” wykonywała odpłatny obstalunek swoich bułgarskich protektorów, Bułgarzy wywiązywali się z zadania specjalnego otrzymanego z KGB. Na muszce był najpierw Wałęsa, podczas rzymskiej wizyty w styczniu 1981. Nie wyszło. W maju strzały na Placu Świętego Piotra. Wiele wskazuje, że do podobnych wniosków zbliża się włoski sędzia śledczy Martella.

Szczególnie ciekawy jest w książce Claire Sterling wątek drugiego spisku, zmierzającego do zatuszowania pierwszego. Biorą w nim udział rozmaite rządy i policje Zachodu, przewodzi mu wyraźnie administracja amerykańska za pośrednictwem CIA. W miarę rozwoju dochodzeń i poszukiwań dziennikarka amerykańska natrafia z tej strony na coraz więcej przeszkód. Nie brak też ostrzeżeń: niech sobie da spokój, niech przestanie zajmować się głupstwami, rzecz może się dla niej samej źle skończyć. Analogiczne, choć dyskretniejsze nieco, naciski wywierane są na uparte włoskiego sędziego śledczego.

Skąd tyle amerykańskiej troski o sowieckie „czyste ręce” w zamachu na papieża? Sekret wyjaśnia cytowany przez Claire Sterling wysoki urzędnik CIA (w stanie spoczynku). Byłoby bardzo trudno prowadzić poważne rokowania rozbrojeniowe i handlowe z partnerem, na którym ciąży tak straszny zarzut. „Ponieważ implikacje są tu nieznośnie niebezpieczne, o wiele lepiej by hipoteza (sowieckiego spisku) była nieprawdziwa. Nic dziwnego zatem, że na Zachodzie panuje niewypowiedziane głośno przekonanie, iż stabilność świata takiego jakim on jest (*the world-as-it-is*) wymaga sowieckiej niewinności”.

The world-as-it-is ma pewną tradycję, o której Claire Sterling nie wspomina. W roku 1945, na krótko przed śmiercią, Roosevelt przyjął George'a H. Earle, byłego posła amerykańskiego w Bułgarii i Austrii, przekonanego o odpowiedzialności sowieckiej za zbrodnię katyńską. „George — powiedział — to niemiecka propaganda i niemiecka intryga. Jestem stuprocentowo pewien, że Rosjanie tego nie zrobili”. W kilka dni później, dowiedziawszy się że Earle chce jednak posiadane dowody publicznie ujawnić, wystosował do niego urzędowy zakaz na piśmie.

Odezwała się ostatnio zapomniana już prawie Swietłana Stalın. Z Ameryki przeniosła się do Anglii, w rozmowie z dzienni-

karką londyńską narzeka na rozděcie zjawiska *Gulagu*. Jej zdaniem „Solżenicyn przyniósł światu więcej nienawiści, niż zrozumienia”. Światu *as-it-is*.

25 kwietnia

Tragiczna śmierć Zawieyskiego utrudnia bardzo pisanie o nim. Umarł *in odore sanctitatis* (obywatelskiej, bo jego przypuszczalne samobójstwo powstrzymało prymasa Wyszyńskiego od udziału w pogrzebie), jakże więc pozwalać sobie na ironiczne nuty w opisie Dużego Dziecka powojennej polskiej rzeczywistości? Nadawał się jak mało kto do powieściowego portretu, do wejścia na stronicę *Miazgi*, ale i u Andrzejewskiego zadziałyby widocznie hamulce. Lubiono go i okadzano, rozczulał i rozbrajał, był (jak z warszawska mawiano w kołach jego admiratorów) „rozkoszny” w swojej wiecznie gorliwej gotowości służenia do mszy u ołtarza Wielkiej Polityki w imię dziecięco naiwnej wiary w ludzką dobroć i czystość intencji. Podśmiewali się z niego zapewne rządzący, myślę jednak że nawet u nich był to śmiech z domieszką dobroduszości w kadzi cynicznego cwaniactwa. Gdy stało się to co się stało, zobaczono naraz Duże Dziecko skrzywdzone, śmiertelnie zranione odebraniem mu ukochanych zabawek politycznych. I opuszczono z zakłopotaniem głowy.

Drukuje się teraz w Polsce fragmentami dziennik Zawieyskiego. W ostatnim znanym mi fragmencie jest taki zapis pod datą 22 lipca 1957: „Stamtąd (od księdza Prymasa) do Urzędu Rady Ministrów, gdzie było wielkie przyjęcie i z powodu święta narodowego i z powodu Ho Chi Minha. Bardzo miły, dobry nastrój u wszystkich, zwłaszcza gdy zeszliśmy do ogrodów, prawdziwie wspaniałych. Gomułka odchodził wcześniej i na pożegnanie ucałowaliśmy się. Byłem bardzo wzruszony — kobiety całowały mnie w policzki, aby uszczknąć śladów pocałunków Gomułki... Tańczyłem mimo chorej ręki i bezustannie się śmiałem. Wyszedłem o pierwszej w nocy, ubawiony, cały w rozgadaniu o byle czym”.

Te panie usiłujące „uszczknąć” z policzków Zawieyskiego ślady pocałunków Gomułki — toż to scena dla przyszłego dramaturga narodowego. Cała pociecha, że trudno sobie dziś wyobrazić ich następczynię usiłującą „uszczknąć” ślady pocałunków Jaruzelskiego z policzków (czyich?)... Nie, nie warto, przykro wręcz komentować. Ogarnia tylko smutek, że Dużemu Dziecku tak okrutnie zajął los w niewinne, ufne oczy.

26 kwietnia

Literaturna Gazeta składa hołd Iwaszkiewiczowi w dziewięćdziesiątą rocznicę urodzin. Fotografia, trzy wiersze w przekładzie rosyjskim, sprawozdanie z jubileuszowych uroczystości na Ukrainie. W Kijowie „jedną z nowych szerokich ulic” nazwano jego imieniem; w Kalniku „cudem zachowaną starą szkołę”, do której w dzieciństwie chodził, zamieniono na jego muzeum, z ukraińskim wydaniem *Stawy i chwaty* jako pierwszym eksponatem; w Winnicy odbył się wieczór literacki na jego cześć. Skromnie prezentowała się delegacja pisarska z Warszawy na „ukraińskie święto literatury polskiej”.

Od Kota Jeleńskiego słyszałem kiedyś opowiedzianą mu przez Iwaszkiewicza historię jego wizyty w Kijowie na zaproszenie Związku Pisarzy Ukraińskich (chyba pod koniec lat gierkowskich). Suta, obficie zakrapiana kolacja, późną nocą odprowadzają gościa do hotelu ukraińscy gospodarze. Po drodze zatrzymują się przed konnym pomnikiem Chmielnickiego, z wyciągniętą szablą w rękę. „Jarosławie (*otczestwo*), w którą on po waszemu stronę wskazuje groźnie szablą?”. Zapytany węższy coś podejrzanego, woli nie odpowiadać. „Na Moskwę, przyjacielu, na Moskwę!”. W ukraińskiej kronice Iwaszkiewicza ten epizod powinien towarzyszyć pośmiertnym obchodom uliczno-muzealnym.

29 kwietnia

Chasydzka wioska, w sobotę wieczorem zbiera się w karczmie gromadka jej mieszkańców. Popijają herbatę, rozmawiają. Sami swoi, z wyjątkiem obdartego przybłądy, który siedzi skulony w ciemnym kącie i nie odzywa się ani słowem. Ktoś proponuje żeby kolejno każdy z obecnych powiedział jakie byłoby jego największe życzenie, gdyby mogło zostać spełnione. Jeden mówi o pieniądzach, drugi o mężu dla starzejącej się córki na wydaniu, trzeci o nowiutkich deskach z warsztatu stolarskiego, etc. Zamyka się kółko samych swoich, pozostaje nieznanomy nędzaryz w kącie. Jakie byłoby jego największe życzenie? Wzbrania się długo, wreszcie ulega. „Chciałbym być królem, władcą potężnego kraju. Chciałbym aby nocą wtargnął do mojego królestwa nieprzyjaciel, aby moje wojska nie stawiały oporu, abym przebudzony nagle i zdjęty strachem musiał z mojego pałacu uciekać w samej tylko koszuli, abym uchodząc przed pogonią pędził bez tchu przez góry, lasy i doliny, ani chwili nie odpoczywając, i abym w końcu zdrów i cały dobrnął do waszej karczmy, do kąta w którym właśnie siedzę. Oto czego bym sobie najbardziej ży-

czył”. Wszyscy wybałuszają na niego ze zdumieniem oczy: „No i co by ci przyniosło to twoje największe życzenie?”. Pada natychmiastowa odpowiedź: „Koszulę”.

Walter Benjamin twierdzi, że ta anegdota jest doskonałym wprowadzeniem w świat Kafki; ma rację. Nie próbuje swojego twierdzenia uzasadnić; ma również rację. Im więcej myślę o Kafce, tym sceptyczniej odnoszę się do wszelkich interpretacji jego dzieła (w tym moich własnych). Zawsze przechodzą po omacku obok nieuchwytny i ledwie wyczuwalny istoty rzeczy, jak w nieskończonej grze w chowanego. Wyobrażenia Kafki żywiła się sokami zagadkowych przypowieści, a przypowieść można co najwyżej rozjaśnić trochę światłem innej przypowieści, nigdy zinterpretować. Ze szkicu Benjamin o Kafce, subtelny i skomplikowany, na zapamiętanie zasługuje jedynie przypowieść o nędzarzu-królu i jego koszuli.

30 kwietnia

Przeczytałem kiedyś w gazecie o pożarze w domu samotnych starców. Wybuchł za dnia, więc wszystkich mieszkańców zdłano uratować. Ale spłonęły, bądź zostały zniszczone w trakcie gaszenia pożaru, ich pamiętki osobiste, stare listy, fotografie rodzinne. Starców z wypalonymi resztkami pamięci i przeszłości przeniesiono szybko do innego domu. Wkrótce potem zaczął się tam pomór, tak gwałtowny, że w ciągu trzech miesięcy nowy dom prawie opustoszał.

Przez jakiś czas miałem zamiar napisać o tym opowiadanie. Dałem sobie w końcu spokój, zrozumiałem że w kilku zdaniach gazetowej wiadomości tkwiło już gotowe opowiadanie, które nie zniosłoby nadmiaru słów. Opowiadania najkrótsze: ile ich, i jak znaczących, przeoczamy w „kronikach wypadków”! Dostojewski dobrze wiedział co robi, nie żałując czasu na wertowanie gazet codziennych.

7 maja

Montaigne powiada ładnie w szkicu o próżności: „Nie mogę prowadzić rejestru mego życia wedle uczynków: los pomieścił je zbyt nisko; prowadzę go wedle mych rojeń”.

Rojeniami żył Stendhal, rojenia wprawiały w gorączkowy ruch jego pióro. Wcielał się w swoje postacie, niezależnie od ich płci. Komponował siebie poprzez literaturę, prawdziwym sobą

— panem Beyle — interesował się z pewnością mniej, niż galerią wymyślonych osób. Także myślał na ich rachunek: „Moja filozofia na ogół nosi datę dnia, w którym przystępuję do pisania”. Jego powieści były jakby snami, ich bohaterowie też jakby żyli i umierali śniąc. Brzydził się opisami przyrody, otoczenia, środowiska i miejsca akcji, uważał je za ciężki haracz spłacany sztuce powieściopisarskiej. Ważne było wejść, załatwiwszy się szybko z drugorzędnymi akcesoriami, w skórę postaci ujranej w wyobraźni: za jej pośrednictwem kochać, cierpieć, zdradzać, dochowywać wierności, wojować, pojedynkować się, kłaść głowę pod ostrze gilotyny. I była to zawsze częśćka urojonego Stendhala, rzeczowy pan Beyle miał w niej skromny udział. Panu Beyle dokuczały ataki depresji i nudy, ratował się przed nimi ucieczką pod skrzydła lotnego Stendhala o tyłu męskich i kobiecych twarzach. Nie widzę w literaturze światowej pisarza, który by o każdej ze swoich postaci mógł w jakimś stopniu powiedzieć: to również ja, przysniony ja. Samookreślił się raz słowem „barokowy”. Nie był barokowy w stylu swojej prozy, przeciwnie; ale był barokowy w cudownym szaleństwie zwielokrotnionej i wielokształtnej fantazji autoportretowej.

Cud polega na tym, że jego barokowa wyobraźnia zaowocowała realizmem, którego smak i odkrywczość mieli dopiero w pełni rozpoznać (jak sam przewidywał) czytelnicy w następnym stuleciu.

10 maja

W podsumowaniu swojej książki o „Solidarności” Jerzy Holzer przytacza refleksję znajomego historyka węgierskiego: „Niesety w tym systemie tylko rzeką krwi wymusić można skromne reformy”, toteż węgierska rewolucja z roku 1956 przyniosła na dalszą metę znacznie więcej, niż rok 1968 w Czechosłowacji i lata 1980-1981 w Polsce. Czyżby miał rację? — pyta Holzer. I radzi poczekać z odpowiedzią na to pytanie.

Na węgierskich przyjaciół powołuje się również Garton Ash w książce o „Solidarności” *The Polish Revolution*. Ich refleksje są zupełnie inne. Polska jest dzisiaj w lepszej sytuacji, niż Węgry. To prawda że Węgom powodzi się względnie dobrze, gdy w Polsce wszystkiego brak i panuje atmosfera przygnębienia. Ale miliony Polaków — w tym całe pokolenie młodych wykształconych robotników — mają za sobą szesnastomiesięczne bezpośrednie doświadczenie demokracji. Żaden kraj komunistyczny nie może się pod tym względem równać z Polską. Przez szesnaście

miesiący Polacy żyli wyzwoleni z kłamstwa i podwójnego życia na modłę sowiecką. Nawet dzieci w Polsce wiedzą, że istnieją niezwykłe prawa ludzkie, które reżym gwałci na każdym kroku. Społeczeństwo polskie nie uznało się za pokonane, podtrzymuje stare więzy organizacyjne lub usiłuje organizować się na nowo, jest nie tyle w opozycji, ile odnosi się po prostu z pogardą do państwa partyjnego. Na Węgrzech „społeczeństwo cywilne” zostało po roku 1956 zniszczone. W Polsce trwa nietknięta w świadomości zbiorowej.

Niewątpliwie bliższe prawdy są refleksje węgierskich przyjaciół autora *The Polish Revolution*, zresztą zgodziłby się z nimi na pewno i sam Holzer, zamykający swą książkę zdaniem o fundamentalnym znaczeniu, jakie będzie miał w Polsce na przyszłość „stan świadomości społeczeństwa”.

A jednak myślę, że Holzer nie bez kozery dopuścił do głosu owego węgierskiego historyka, rzecznika „wymuszenia reform rzeką krwi”. Problem krwi, nasze najnowsze narodowe tabu. Sławi się (słusznie) polską bezkrwawą rewolucję ludową, powtarza się (niesłusznie) że „życie ludzkie jest najwyższą wartością”. I zapomina się przy tym, że udana bezkrwawa rewolucja nie może się z góry wyrzec *wszelkiego ryzyka* przelewu krwi, bo nie wyrzeka go się z góry przeciwnik. Takie *przyjęte* ryzyko jest „godziną prawdy”, nie upragnioną naturalnie, lecz wpisaną w konflikt. Kto bluffował podczas „kryzysu bydgoskiego”? Jaruzelski i Rakowski grożąc stanem wyjątkowym, czy „Solidarność” grożąc strajkiem generalnym? Wiemy tylko, że „Solidarność” cofnęła się w obliczu ryzyka przelewu krwi. A przecież niewykluczone wcale, że bluffował wtedy — u szczytu siły „Solidarności” — przeciwnik; i bluffował z powodzeniem, gdyż postanowił jednak ryzyko przyjąć, chociaż nie był jeszcze do konfrontacji przygotowany i prawdopodobnie przyspieszył tempo przygotowań do niej dopiero po Bydgoszczy, upewniwszy się że „Solidarność” nie odstąpi od zasady rewolucji całkowicie bezkrwawej. Nie trzeba tłumaczyć czym byłoby dla „Solidarności” wygranie „kryzysu bydgoskiego”, jak jasne jest już dziś (m.in. dzięki książkom Holzera i Gartona Asha), czym okazało się dla „Solidarności” jego przegranie: początkiem słabnięcia i dezorientacji.

Rzecz prosta, całe moje rozumowanie zakłada niechęć Moskwy do interwencji zbrojnej. Mogę być w błędzie, ale jedno wydaje mi się pewne: przyjęte przez „Solidarność” ryzyko miałoby na Moskwę wpływ raczej powściągający, niż pobudzający. Bezkrwawa rewolucja, która z góry odrzuca wszelkie ryzyko przelewu krwi, ryzykuje przeobrażenie się w rewolucję bezkrwawą. Czyli odsłania się do ciosu. Takiego jak grudniowy.

12 maja

„Leży w naszym interesie, aby siła społeczeństwa polskiego zmuszała kierownictwo radzieckie do godzenia się z polską odmiennością i do tolerowania zjawisk, które były i są nie do wyobrażenia w innych krajach znajdujących się pod dominacją radziecką”.

Pisze tak Aleksander Hall w *Polityce Polskiej*. Jego artykuł *Czynnik stały-Rosja!* zawiera kilka uwag trafnych i szereg co najmniej dyskusyjnych. Ale ta jest po prostu nonsensem, groźnym na przyszłość samodurstwem, niepojętym zważywszy datę artykułu (marzec zeszłego roku). W okresie istnienia „Solidarności” dość powszechna stawka na polski „status specjalny” była ostatecznie zrozumiała: wypadki toczyły się szybko, chodziło o okopanie się na zdobytych pozycjach, niejako w naturze rzeczy tkwiło liczenie na to, że z wielu względów Moskwa pogodzi się chwilowo bodaj, zgrzytając oczywiście zębami, z wywalczoną przez „Solidarność” polską „specyfiką”. Lecz dzisiaj? Dzisiaj jesteśmy, a w każdym razie powinniśmy być, w okresie wyciągania nauk z porażki „Solidarności” u progu „długiego marszu”. Jedną z tych nauk brzmi: „Leży w naszym interesie, aby polska odmiennosc przestała nią być; aby wyszła poza granice Polski, przeniknęła do innych krajów znajdujących się pod dominacją sowiecką i przygotowała grunt pod wspólną walkę o prawa i wartości wczoraj i wciąż jeszcze nie do wyobrażenia”. Wygląda to na romantyczną mrzonkę; jest zwykłą koniecznością. I doceniają tę konieczność wydawcy krajowi pisma *Obóz*, doceniają ją młodzi zwłaszcza ludzie z Polski, których ostatnio widuję. Nigdy dotąd nie było tak żywe wśród spadkobierców „Solidarności” zainteresowanie naszymi sąsiadami. Łącznie z „kacapami”. Potrzebę „zbliżenia naszych narodów (Polaków i Rosjan) w perspektywie ich pojednania” zdaje się rozumieć także Hall; więcej, przyznaje że „dzisiaj takie kroki mogą być podejmowane jedynie z pominięciem rządzących Polską i Rosją partyjnych *establishmentów*”. Więc jak się to zbliżenie ma odbywać, jak do tego pojednania ma dojść? W imię „polskiej odmiennosci”, która rości sobie pretensje do „statusu specjalnego”, do przywileju i monopolu, w dziedzinie „tolerowania przez kierownictwo radzieckie pewnych zjawisk”? Z Sacharowem wyciągającym rękę do Wałęsy i Wałęsą udającym, że jej nie widzi?

Rzym, 13 maja

Uciekł mi pociąg, muszę do północy czekać w kawiarni na

dworcu. Przy sąsiednim stoliku siedzą dwie dziewczyny, na widok mojej rozłożonej kartki papieru i ołówka jedna mówi do drugiej niby szeptem i ze śmiechem. „Będzie pisał list miłosny”. Kto wie, może prócz ideału kroniki przetykanej niekiedy opowiadaniem w moim dzienniku sączy się też gdzieś głęboko na dnie strużka epistolarna...

Do Rzymu przyjechałem wczesnym ranem na nagłe wezwanie. Kiedy po obiedzie wracałem ze spotkania na Zatybrzu pieszo do centrum, zobaczyłem z mostu ruch na najbliższej przystani. Ucztowano tam przy niedzieli, słychać było przytłumione śpiewy i dźwięk gitar. A myślałem, że przystanie na Tybrze dawno umarło, że skończył się raz na zawsze ich powojenny rozkwit!

Jak działa zapłon proustowskiej „magdalenki”? Nasza pamięć przechowuje nieruchome obrazy, podobne do wyblakłych fotografii. „Magdalenka” ożywia je naraz, jak kamień wrzucony do martwej wody, jak filmowy efekt rozkręcenia wstrzymanej sceny. Przymknąłem oczy oparty o balustradę mostu, biło mi serce. Przystanie na Tybrze w powojennym Rzymie, muzyka ze starych gramofonów, potańcówki na deskach pokładu, skoki do wody w upalne dni, tanie i kwaśne wino z beczki, odtajanie, szczęście. Tak, szczęście. Wiedzieliśmy już że nie wrócimy, że zaczyna się emigracyjna tułaczka, a przecież było to autentyczne szczęście po latach przyzwoitych i wojskowych namiotów. O zmierzchu szliśmy do *villino* w dzielnicy Prati, K. robiła po drodze zakupy, czasem siadywaliśmy w tawernie pod Złotym Kogutem. W domu oczekiwała nas rozczochrana wiecznie gospodyni, chętniej rozmawiająca ze swoją papugą niż z mężem, nauczycielem gry na fortepianie. Prócz pokoju wynajmowaliśmy oszkloną wieżyczkę na dachu, gdzie K. urządziła sobie pracownię malarską. W upalne noce przenosiliśmy się tam z kotką.

Zamiast do centrum i stamtąd na dworzec, poszedłem wzdłuż Tybru do Prati. Dzień był dziś wietrzny, nie wiosenny, słońce chowało się za chmury i na krótko wychylało, w powietrzu wisiał przelotny deszcz. Niedzielny Rzym, zmęczony, osowiały, oklapnięty; wyparowała już resztką nerwowego podniecenia, jaką wyczułem rano w tłumie po wczorajszym pogłosie trzęsienia ziemi w Abruzzach.

Ten sam dzwonek przed bramą *villino*, zmieniła się tylko tabliczka z nazwiskiem. Trzymałem chwilę palec na metalowym guziku; zabrakło mi odwagi by nacisnąć. Przeszedłem na drugą stronę ulicy, pod rozłożyste drzewo, stamtąd widać było dobrze *villino* razem z wieżyczką na dachu. Otworzyło się nagle okno naszego dawnego pokoju, pojawiła się w nim młoda kobieta, szybko i zgrabnie przetrzepała poduszkę, po czym obiema rękami przyciągnęła żaluzje i z brzękiem szyb zamknęła okno. Zdążyłem

jednak zobaczyć ten ką pokoju, w którym niegdyś znajdował się mój stolik. Było daleko do zmierzchu, czemu więc zapalona lampa na komodzie i obok niej zapalona również wysoka świeca? Stałem dalej pod drzewem, nie mogłem się ruszyć. Na dachu rozległ się hałas, podmuch wiatru zatrzęsął drzwi od wieżyczki, usłyszałem czysty kobiecy głos: *Fuori, fuori, al sole!* Na parapet, tuż koło wielkiej donicy z kwiatami, wyskoczył rudy puszysty kot. Mdłe słońce przygrzewało słabo, ale przeciągnął się, otrząsnął ze snu i przywarł spłaszczony do parapetu rdzawą plamą.

Pewnie dlatego że nasz pokój w Prati był obwieszony reprodukcjami Bonnarda, przypominam sobie teraz jego dwa ostatnie obrazy, równocześnie malowane, na obecnej wystawie paryskiej: autoportret z oczami czarno podkrążonymi śmiercią i kwitnące drzewo życia. Niemal wszyscy piszący o tej wystawie wydłubują z notatnika Bonnarda „proustowskie zdanie” o dążeniu każdego artysty do „zatrzymania czasu”.

Neapol, 15 maja

Utalentowany pisarz rosyjski Władimir Wojnowicz, od niedawna na Zachodzie, twierdzi że błędem jest nazywać współczesne społeczeństwo sowieckie „orwellowskim”. W wizji Orwella główną rolę odgrywała kontrola myśli, w ZSSR przetrwała do dziś tylko kontrola postępowania. Ludzie nie boją się już myśleć, boją się dalej postępować nie tak jak żąda władza. Ideologii wypłacają się obolem obrzędowo-werbalnym, są uodpornieni coraz bardziej na codzienne oszustwa i kłamstwa. Rozkradają mienie państwowe gdzie i kiedy się da, byle związać jakoś koniec z końcem. W osobie Wojnowicza przybywa więc „stamtąd” Anty-Zinowiew. Na moje wyczcucie godny zaufania, choćby dlatego że nie wymądrza się zanadto i nie kokietuje „oryginalnością” na benefis zachodnich rafinatów intelektualnych.

Ale przeocza najważniejszą cechę wizji Orwella, obecną w ZSSR jak w każdym szanującym się systemie totalitarnym: konfiskatę czy raczej kradzież pamięci. Pierwszym arcydziełem literatury odwilżowej w Rosji był *Doktor Żiwago*: suwerenny akt przebudzonej i wolnej pamięci. Za nim poszły dalsze: Sołżenicyn, Nadieżda Mandelsztam, Grossman. Wydawany za granicą periodyczny zbiór rosyjskich świadectw historycznych nazywa się celnie *Pamięć*.

Bronisław Baczeko zatytułował swój francuski szkic o ostatnich latach w Polsce *La Pologne de Solidarité: une mémoire explosive*. I poprzedził go mottem z Miłosza: *Le mémoire des Polonais, tel est le mystère de la Pologne*. Żadna to „tajemnica”

Polaków, żaden dodatkowy atrybut „polskiej odmienności”. Polska „pamięć wybuchowa” miała kolosalne znaczenie w kształtowaniu się „Solidarności”, ale ja widziałem przebudzenie rosyjskiej „pamięci (prawie) wybuchowej” na początku 1942 roku, w okresie klęsk sowieckich, wędrując przez sześć tygodni z łagru nad Morzem Białym do wojska w Środkowej Azji.

Silone powiedział raz do Togliattiego: „Zobaczysz, że ostateczna walka rozegra się między komunistami i ex-komunistami”. Przykro wyrazić się tak o podziwianym przyjacielu, ale powiedział głupstwo. Ostateczna walka rozegra się między złodziejami pamięci i okradanymi z niej narodami, społeczeństwami, jednostkami.

17 maja

Jutro jadę na Monte Cassino, na uroczystość czterdziestolecia bitwy. 25 sierpnia 1969, po obchodach dwudziestopięcioletnia bitwy, napisałem krótką notę, która mimo upływu czasu jest mi tak bliska, że chcę ją w całości włączyć do dziennika. Takie drobiazgi giną, a zasługują może na ocalenie.

Od opisu Waterloo w pierwszych rozdziałach *Pustelni Parmeńskiej*, które z takim zachwytem czytał autor *Wojny i pokoju*, wiadomo czym jest bitwa dla biorących w niej udział. Nie całością o jasnych i wyraźnych zarysach, ożywioną jednym tchnieniem i posłuszną własnej logice, lecz miazgą chaotycznych, ledwie ze sobą powiązanych, niekiedy najzupełniej przypadkowych epizodów. Porządkowanie chaosu, modelowanie miazgi w imię takich czy innych „praw i wyroków Historii”, tworzenie legend i mitów, odczytywanie jednoznacznego podtekstu z krwawych i poplątanych hieroglifów, wytyczanie prostych linii kierunkowych w skłębionej kurzawie wypadków: to wszystko odbywa się później. Waterloo chaotyczne, oglądane oczami Fabrycego del Dongo, układa się na kartach *Nędzników* Victora Hugo w harmonijny obraz bitwy, którego autorem jest Przeznaczenie. Przeznaczeniu — lub jeśli kto woli Duchowi Dziejów — wystarczy deszczyk w nocy z 17 na 18 czerwca 1815 roku, by przygotować odpowiednio śliski grunt pod uplanowany z góry upadek Napoleona.

Dowódcom i żołnierzom bitew prawdziwych, wolnych jeszcze od działania legendy, bliższe jest naturalnie spojrzenie Stendhala. „Często” — pisze generał Anders w swojej książce *Bez ostatniego rozdziału* — „oglądałem obrazy przedstawiające słynne bitwy. Wódz, na wzniesieniu, z lunetą przy oczach, śledzi rozwój walki, widzi postępy i przeszkody, wspiera, zarządza, kieruje.

Dzisiaj patrzę na taki obraz zupełnie tak samo, jak już od dawna patrzyliśmy na rzeźby starożytne ukazujące walki sprzed kilku tysięcy lat. Dzisiaj w ogóle bitwa nie toczy się w zasięgu oka czy lunety dowódcy, a już gdzie jak gdzie ale tam, na stokach Monte Cassino, gdy nasz nacierający żołnierz każdym niemal krokiem wchodził w jakąś pułapkę a obrońcy niemieccy siedzieli jak w zasadzce najstaranniej przygotowanej i kilkakrotnie wypróbowanej, bitwa była czymś naprawdę niesamowitym. Ciemności całkowite nocy i dymu. Na kilka kroków nic nie widać. Nawet żołnierze tej samej drużyny w pochodzie lub próbie pochodu naprzód, padając w ogniu i zrywając się znowu, po wybuchach bliskich lub pośród nich, tracą łączność, z biedą się odnajdują, nie doliczają się swego stanu... Niewątpliwie i ta bitwa tworzy całość, lecz tej całości nikt nie widzi. A w tych osobliwych warunkach każdy widzi jeszcze mniej niż zazwyczaj w walkach dzisiejszych, gdyż nie przebija wzrokiem nawet najbliższej ciemności, która jest jego główną, jakże jednak niepewną, osłoną”.

W takim obrazie bitwy pod Monte Cassino rozpoznaję się bez trudu jako jeden z jej uczestników. Beładne strzępy wspomnień. Czarna luka podejścia nocą z 16 na 17 maja, w owiniętych workami butach, na wzgórze 593 aż do chwili gdy Niemcy, zawiesiwszy w niebie rakietę, noc zamienili w jasny dzień a drogę naszego patrolu w jatkę. Jak dobrnęliśmy mimo to, obserwator artyleryjski i ja z aparatem radiowym na plecach, pod sam szczyt wzgórza wśród padających dokoła piechurów? Jak przez cały dzień 17 maja prowadziliśmy ogień artylerii z płytkiej rozpadliny skalnej, w bezpośrednim zasięgu bunkrów niemieckich? Jak o zmierzchu zesłaliśmy do Domku Doktora? W zatłoczonym Domku Doktora strzępy wspomnień stają się ostrzejsze. Pamiętam dialogi w ciemnościach o tym czy bitwa została wygrana czy przegrana: tak mało wiedzieliśmy o niej nocą z 17 na 18 maja, tuż przed zatknięciem zwycięskiego sztandaru w Opactwie. Pamiętam również suplikę jakiegoś żołnierza łączności, który śpiewnym z białoruska głosem usiłował przekonać swego dowódcę, że kabel pod ogniem wyciągnięty z Domku Doktora (wobec przeszkód w komunikacji radiowej) nie zostanie natychmiast posiekany tasakiem bezustannie ostrzeliwania niemieckiego. Nie było w tym błaganu ani cienia brawury, powtarzało się w nim tylko wciąż zdanie: „Ja też się chcę przyczynić”. Być może zapamiętałem obie te rzeczy dlatego, że były (dla mnie przynajmniej) doskonałym skrótem bitwy: jej niepewnych do końca losów, jej wytrzymanego do końca przez wszystkich napięcia, tego co w frazeologii komunikatów wojennych zwykło się nazywać „wołą zwycięstwa”. Była to bez wątpienia bitwa wielka.

Chcieliśmy jej, żyliśmy myślą o niej w Palestynie, w Iraku,

w Egipcie, szkoląc się na pustyni, nasłuchując wiadomości z Polski. Łatwo dziś twierdzić, że w pięć miesięcy po Teheranie była już politycznie zbyt duża. Równie łatwo wydać dziś podobny, jeśli nie bardziej nawet stanowczy, sąd o Powstaniu Warszawskim. Istnieją procesy, które raz wprowadzone w ruch i ciągle podsypane nie dają się powstrzymać o krok od spełnienia bez ryzyka duchowej kapitulacji na długie lata. Historia Armii Krajowej zmierzała od początku ku Powstaniu, jak w historię Drugiego Korpusu wpisana była od początku Bitwa. Nie byliśmy kondotierami: świadczy o tym między innymi bunt 5 Dywizji — zbyt szybko niestety zaniechany, a raczej krótkowzrocznie zażegnany przez dowództwo Korpusu — w przeddzień rozbrojenia wojska i załadowania go na statki idące do Anglii. Byliśmy, za granicami kraju, towarzyszymi broni żołnierzy AK. Podczas sierpniowych uroczystości dwudziestopięciolecia Monte Cassino zabrakło znaku, poświadczającego ten prosty i oczywisty fakt: mógłby nim być symboliczny nagrobek Grota-Roweckiego postawiony u wejścia na cmentarz. Cwierzwiecze Bitwy było równocześnie cwierzwieczem Powstania.

Mieszkam od lat blisko dawnego poboju, zdarza mi się więc pokazywać je przyjeżdżającym w te strony przyjaciółom i znajomym. Kiedyś powiedziałem komuś, że jest to ostatni cmentarz Rzeczypospolitej. W jakiś czas później dokładnie to samo powiedziały mi, po zobaczeniu cmentarza, Maria Dąbrowska i Anna Kowalska. W dwudziestopięciolecie bitwy odprawiono na ostatnim cmentarzu Rzeczypospolitej cztery nabożeństwa: katolickie, prawosławne, żydowskie i ewangelickie (niestety zapomniano o greko-katolickim). Słowo „ostatni” rozległo się wśród wzgórz otaczających Opactwo zwielokrotnionym echem.

Obchód montecassiński był także ostatnim rozdziałem emigracji wojennej. Czytam w jednym z artykułów rocznicowych, że Polacy odczuwają „dreszcz dumy” na dźwięk nazwy Monte Cassino, bo jako „naród rycerski” wyżej stawiają „walkę z otwartą przyłbicą” od „walki skrytej i podziemnej”, a „laur zwycięskich wodzów” wołą od „męczeństwa Trauguttów”. Nie znam się na niezmiennej psychologii narodów (zwłaszcza *ex definitione* „rycerskich”), wiem jednak że Polakom pozostaje odtąd tylko droga walki mniej lub więcej skrytej i podziemnej. 15 sierpnia pożegnano na Monte Cassino pewną zamkniętą definitywnie epokę.

18 maja

Wzruszenie, przede wszystkim wzruszenie; będzie wracało do końca życia za każdym pobycem na Monte Cassino. Przyjechaliśmy bardzo wcześnie. Pierwszy dziś dzień prawdziwej, spóźnio-

nej w tym roku wiosny, w ostrym słońcu pobojuwisko i cmentarz. Na niektórych grobach nazwiska poległych lekko zatarte, poszerzyły się pory na płytach, trawertyn jest kamieniem pięknym lecz zdradliwym. Tak, to działo się tutaj, a tam... Co działo się tam? Trudno rozegnać w pamięci pelzające kapryśnie płaty mgły. Dokładnie czterdzieści lat temu, 18 maja rano, szedłem z patrolem rozminowującym ścieżkę do ruin Opactwa; widać już było zatknięty tam o świcie sztandar biało-czerwony. Po drodze natknęliśmy się na grupę żołnierzy: pół leżąc dokoła występu skalnego, słuchali wywodu swego dowódcy, Gruzina w służbie polskiej; tubalnym głosem z miłym rosyjskim przeciąganiem przekonywał ich za pomocą „logicznego łańcucha faktów militarnej natury”, że „my Polacy wygraliśmy oto drugą wojnę światową”...

Przed dziesiątą zaczęli tłumnie napływać uczestnicy obchodu. Luzem i grupami w wojskowym ordynku; w cywilu i w mundurach obwieszonych medalami; starzy i młodzi; mężczyźni, kobiety i dzieci; z tabliczkami „Kanada”, „Anglia”, „Sandomierz”; ze sztandarami i transparentami „Solidarności”. Zdaniem biegłych w szacunkach na oko cztery tysiące osób w chwili rozpoczęcia uroczystości.

Uroczystość była osobliwa, żeby nie powiedzieć dwuznaczna; małe, smutne i gorzkawe *post-scriptum* petitem do ostatniego rozdziału. Odstawiono do „lamusa historii” tradycję ostatniego cmentarza Rzeczypospolitej: nie było nabożeństw innych wyznań, jak w roku 1969. W kazaniu księdza prymasa Glempa nie padło ani razu nazwisko Andersa; wyczyn nielada w czterdziestą rocznicę bitwy. Za to w pobliżu ołtarza trzymał ktoś cały czas na drążku duży portret Sikorskiego. Powiało historią „oswojoną”. Prymas mówił najpierw, że Polacy czczą trzy góry: Jasną Górę, Górę Watykańską i Górę Cassińską czyli „górze ofiarną oręża polskiego”. Potem, że świat oczekuje od Polaków tylko krwi, a przelano jej dosyć i za dużo; i że w haśle „za waszą wolność i naszą” czas położyć nacisk na jego drugi człon.

W powrotnej drodze do Neapolu, przejuwając montecassińskie *post-scriptum*, pocieszałem się wczorajszym przemówieniem Jana Pawła II do pielgrzymów polskich, ogłoszonym dzisiaj w *Osservatore Romano*. Było w nim zrozumienie sensu naszej bitwy; i pełne poczucie nowego rozdziału w walce Polaków, który nastąpił wkrótce po tamtym ostatnim rozdziale sprzed piętnastu lat i na przekór porażkom trwa dalej.

20 maja

Kiedy Koestler pisał *Krucjatę bez krzyża* w latach 1942-1943,

w Anglii narodził się „mit” Richarda Hillary. Sam zresztą, odłożywszy powieść na stronę, napisał wtedy szkic o młodym lotniku angielskim i zatytułował go właśnie *The Birth of a Myth* (pod zmienionym tytułem *In Memory of Richard Hillary* włączony później do tomu *The Yogi and the Commissar*). W *Krucjacie bez krzyża* obecność „mitu” jest wyraźna i niezmiernie ważna, poczynając od tytułu powieści w wydaniu francuskim.

Richard Hillary, autor jedynej książki *The Last Enemy*, wstąpił do RAF jako pilot bojowy w roku 1939, w wieku dziewiętnastu lat. Zestrzelony w *Battle of Britain*, ciężko ranny i straszliwie poparzony, wybłagał u dowódców powrót do czynnej służby, mimo że po wyjściu ze szpitala był pooszonym i połatanym dosłownie kaleką. Zginął podczas nocnego lotu szkoleniowego w styczniu 1943.

Bohater *Krucjaty bez krzyża* czyta zaraz po ucieczce z ojczytętego kraju wschodnioeuropejskiego do Neutralii „dziennik pilota z armii do której zamierzał wstąpić, ciekawy przez rzeczowość, z jaką opowiadał o czynach szalonej odwagi i poświęcenia, i przez brak jakiegokolwiek idei poza tym wszystkim”. Potem spotyka Richarda Hillary pod postacią porucznika Andrew. I słyszy z ust połatanego pilota zdanie, które zadecyduje o jego dalszych losach: „Umrzeć za idealną sprawę — cóż to za luksus! Ale trudno oczekiwać, aby bogowie rozpieścić nas mieli aż do tego stopnia”. Szkic Koestlera o „narodzinach mitu” kończył się hołdem pamięci Richarda Hillary, przedstawiciela „Zgubionego Pokolenia sceptycznych krzyżowców, chorych na tęsknotę za czymś o co warto walczyć, a czego jak dotąd nie widać”, wyraziciela „mitu krucjaty bez krzyża, desperackich krzyżowców w poszukiwaniu krzyża”.

Przełożyłem *Krucjatę bez krzyża* wkrótce po wojnie dla Instytutu Literackiego w Rzymie; niedawno wznowił ją *Puls*. Myślę o niej dokładnie to samo co Orwell: nie jest *a satisfactory book*. Przeczytałem ją teraz na nowo, łącznie z nagrobkiem Koestlera dla Richarda Hillary, i nie żałuję tego. Uprzytomniłem sobie lepiej, do jakich absurdów doprowadzała niekiedy w owych wojennych latach czkawka „ideologii” („ideologia” jest również w powieści wizja przyszłego doskonałego świata, roztoczona przez hitlerowca z ambasady niemieckiej w Neutralii). Jakiegoż to „krzyża” poszukiwali ówczesni „desperacy krzyżowcy”? Nie była nim, nie wystarczała im jako prosty odruch ludzki i patriotyczny, wojna w obronie Europy i jej cywilizacji zagrożonej śmiertelnie przez zalew hitlerowskiego barbarzyństwa? Czego brak było angielskiemu lotnikowi do świadomości uczestnictwa w autentycznej krucjacie i do „luksusu umierania za idealną sprawę”? O cóż to warto było naprawdę walczyć u szczytu potęgi

Hitlera? Orwell, jak zawsze, trafia skromnym spostrzeżeniem w sedno rzeczy: „Każąc bohaterowi *Krucjaty bez krzyża* podjąć ostateczną decyzję ze zwykłego instynktu nieunikania akcji i niebezpieczeństwa, Koestler skazuje go na nagłą utratę inteligencji”. Na analogiczną nagłą utratę inteligencji Koestler skazał Richarda Hillary w swoim szkicu. Zgubione Pokolenie? Wolno naturalnie powiedzieć, że krucjata była czystsza do czerwca 1941, gdy miała przeciw sobie podwójne Zło złączone Paktem. Ale dla jej żołnierzy na Zachodzie i w krajach okupowanych nie przestała być krucjatą z krzyżem aż do dnia upadku Trzeciej Rzeszy.

25 maja

Wiadomość powinna podnieść na duchu artystów zapoznanych lub niedocenianych we własnej ojczyźnie. Niechaj umarli nie tracą nadziei!

W roku 1909 Modigliani wrócił w euforii z Paryża do rodzinnego Livorno. Postanowił już przenieść się do Paryża na stałe, wciąż jednak cierpiał nad obojętnością rodaków. A podczas jego nieobecności wzrosła jeszcze bardziej. Wzruszano ramionami na widok jego obrazów i rzeźb, witano go docinkami i ironicznymi uśmiechami, gdy rano przychodził na kieliszek do „artystycznej” kawiarni Bardi na placu Cavour. Livorno odtrącało go bezapelacyjnie. Pił z każdym dniem więcej, nocami samotnie błąkał się po mieście. Należało przyspieszyć wyjazd do Paryża, innego wyjścia nie było, chociaż wynajął właśnie nad kanałem dobrą pracownię i rzeźbił w niej jak opętany. Co zrobić z tą masą nowych rzeźb? Może ktoś je przechowa, przecież nie będzie ich taszczył do Paryża... Wyrzucić je do kanału! — doradzono mu ze śmiechem. Żyje jeszcze w Livorno starzec, który jako mały chłopiec widział pewnego letniego dnia o świcie Modiglianiego ciągnącego wózek węglarski wyładowany rzeźbami przez most nad kanałem, a potem spychającego je jedną po drugiej do kanału.

W setną rocznicę urodzin Modiglianiego, w ramach przygotowań do jego wielkiej wystawy w rodzinnym mieście, Livorno wyasygnowało pięćdziesiąt milionów lirów na operację wyłowienia zatopionych rzeźb swego sławnego syna. Rzymski Urząd Sztuk Pięknych polecił wstrzymać chwilowo zaawansowane już prace, gdyż zdaniem stołecznych ekspertów skonstruowane w Livorno czerpaki żebate nie dają dostatecznej gwarancji, że z mułu i szlamu na dnie kanału rzeźby wygrzebane zostaną bez większych uszkodzeń.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Widziane z Los Angeles i z Brukseli

KTO SIĘ BOI „APOCALYMPICS NOW” ?

Motto: „Połowa wariatów z całego świata mieszka w promieniu 100 mil wokół Los Angeles”.

Pomysł przedstawienia kandydatury tego miasta do organizacji Igrzysk Olimpijskich w 1984 roku oraz warunki w jakich te Igrzyska są organizowane nasuwają przypuszczenie, że proporcje zagęszczenia wariatów w Los Angeles ustalone przez fachowca, to znaczy prezydenta Stanów Zjednoczonych Harry Trumana, powinny zostać skorygowane... W górę. Już nie chodzi o połowę, a o zdecydowaną większość.

Pomysł powrotu igrzysk do Los Angeles, określanego przez autochtonów inicjałami L.A. zrodził się w pamiętnym, zwłaszcza dla Polaków, roku 1939. Pewne wydarzenia ledwo tutaj zauważone przeszkodziły wówczas w zorganizowaniu Igrzysk Olimpijskich (zwanych dalej w skrócie I.O.). Kandydatura L.A. została ponownie przedstawiona w 1976 roku, ale dopiero w 1980 roku klub senilnych lordów i partyjnych aparatczyków zwanych Międzynarodowym Komitetem Olimpijskim (w dalszym ciągu już tylko określanym inicjałami MKOL) przyjął zaproszenie L.A., tym łatwiej zresztą, iż jedynym kontrkandydatem był... Teheran, mający, można powiedzieć, inne konkurencje, głównie strzeleckie, na głowie, a raczej bez głowy.

W tzw. międzyczasie jednak miasto L.A. uległo pewnym zmianom. Dla nielicznych zrównoważonych kalifornijczyków podjęcie się organizacji I.O. w miejscowości noszącej nazwę El Pueblo de la Nuestra Senora La Reina de Los Angeles de Porciuncula stanowiło wyzwanie rzucone zdrowemu rozsądkowi. L.A. stanowi czwarte co do wielkości skupisko miejskie na świecie, po Nowym Jorku, Tokio i Mexico-City. Jedenaście milionów osób za-

mieszkuje ten „największy parking na obu półkulach”, co wydaje się nieściste, jako że nie ma w istocie miejsca na parkowanie. „L.A. — downtown” stanowi jądro ogromnego obszaru, którego kilkanaście miejscowości figuruje na najgorszych miejscach listy „miejsc, gdzie Amerykanie NIE chcieliby żyć”.

Miasto, które w kilka dni po ukazaniu się tego numeru *Kultury*, będzie mimo wszystko po raz trzeci, po Paryżu i Londynie, gościć po raz drugi (pierwszy raz w 1932 roku) I.O., faktycznie nie istnieje. Jak mówią miejscowi, chodzi tu o „82 przedmieścia w poszukiwaniu jakiegoś centrum”. Rozciąga się to „miasto” na 225 km wzdłuż, to znaczy północ-południe, i 65 km wszerz, tzn. wschód-zachód. Sportowcy mieszkają będą głównie w dwóch wioskach olimpijskich, stanowiących w cywilu kampusy największych uniwersytetów południowej Kalifornii: UCLA i USC. Zawody odbywać się jednak będą w 17 rozrzuconych miejscach. Dystansy dla zawodników będą nieraz ogromne. Obliczono, że w najgorszym przypadku niektórzy finaliści siatkówki musieliby przemierzyć w ciągu turnieju... 11.000 km między wioską a boiskiem i spędzać około 6 godzin dziennie w autobusie. Niektórzy bogaci, np. wioślarze zachodniemieccy, zamierzali zrezygnować z „wioski” i wynająć coś gdzieś blisko wody. Znaleźli dom na samej plaży, ale tornado go zmiotło. Szukali nadal...

Jest to tym bardziej zrozumiałe, że miasto L.A. stanowi największy korek samochodowy na świecie. W L.A. zarejestrowanych jest 5 milionów pojazdów mechanicznych, z czego 3,7 miliona samochodów osobowych. Mimo, iż sieć dróg jest rzeczywiście fantastyczna, korki są właściwie permanentne. „Mieszkanie” w samochodzie przeszło w nawyk, inaczej by rzeczywiście zwiariowali: samochodziarze jedzą w aucie, golą się, robią interesy przez telefon samochodowy, rozmawiają z rodziną, a ponieważ jeszcze nie nauczyli się czytać prowadząc auto, to słuchają powieści z „kaset literackich” z nagraniem *best-seller*'ami, oczywiście w przerwach między informacjami radiowymi dotyczącymi... korków na drogach.

L.A. ponadto nie posiada właściwie transportu miejskiego. Wszystko jest prywatne i naturalnie niewystarczające. Komitet Organizacyjny I.O. (będzie jeszcze o nim szeroko mowa), zmobilizował, za pieniądze naturalnie, 1.000 pulmanów (prywatnych) i 1.400 autobusów szkolnych, wynajął 4.000 szoferów znających wszystkie tajemnice cyrkulacji po L.A., uprzedził, że nie będzie dojazdu samochodów prywatnych do stadionów itd., ale oczywiście radzę wszystkim wyekwipować się w nagrania literackie, albo lekturę w ogóle. Obliczywszy (tu wszystko się oblicza), że w tych warunkach autobusy olimpijskie mają przejechać 35 milionów kilometrów, czyli tysiąc razy dookoła kuli ziemskiej, zapytałem jednego z fachowców od transportu „w jaki sposób przewiezienie w takich warunkach tych wszystkich ludzi?” Odpowiedział: „Powoli”. Jego kolega był jeszcze dowcipniejszy: „Uzupełnijmy igrzyska, powiedzmy, o nową konkurencję: „derby drogowego demolowania”.

Próba generalna

Komitet organizacyjny nie ma czasu na dowcipy. W pewien typowy dzień sierpnia 1983 roku przeprowadził generalną próbę transportu w L.A. w warunkach „normalnych” korków drogowych, setek równoczesnych imprez sportowych i artystycznych, obecności setek tysięcy turystów itd., itp. Wszystko grało, powiadają.

Lake Placid się nie powtórzy, zapewniają organizatorzy z L.A. Lake Placid, niedaleko Nowego Jorku było miejscem zimowej olimpiady 1980; ścisk drogowy zagroził zaduszeniem Igrzysk i po to aby wysupłać je z korków, gubernator musiał ogłosić stan klęski żywiołowej i podjąć środki nadzwyczajne.

Próba generalna dotyczyła również sytuacji atmosferycznej, temperatury i powietrza. Średnia sierpniowa wynosi 23 stopni C, co nie jest wcale uciążliwe. Powietrze jest jednak mniej dosłowne i w przenośni przejrzyste. Los Angeles, miasto o kolosalnym przemyśle, między innymi naftowym, położone jest właściwie w dolinie. Nad miastem stale wisi smog. „Tutaj przynajmniej — mówią przez zły autochtoni — widzimy powietrze, którym oddychamy”. Książę Filip, małżonek królowej angielskiej, przewodniczący federacji (naturalnie) jeździeckiej, był jedynym działaczem MKOL, który zażądał nie skrócenia dystansu między wioską a zawodami, a wydłużenia. „Jego” konkurencje odbywać się będą więc w Fairbanks, o 175 km na południe od wioski olimpijskiej. „Powietrze w L.A., powiedział książę-małżonek, nie jest odpowiednie dla koni”.

A dla ludzi? Organizatorzy starać się będą (bez szans), aby na czas igrzysk stalownie i rafinerie zmniejszyły wydajność smogową, ale już zdecydowali, że trudne konkurencje jak maraton odbywać się będą rano lub wieczorem, kiedy smog opada... i to brzegiem morza.

Nie udało się natomiast zorganizować próby generalnej w dziedzinie bezpieczeństwa. Nie jest to najspokojniejsze miasto na świecie. Można powiedzieć nawet, że wprost przeciwnie. W L.A., dużym mieście o „normalnej” patologii, notuje się przeciętnie 6 zabójstw rabunkowych dziennie, toczą się też „normalne” wojny gangów o narkotyki, prostytucję czy gry, nie sportowe a hazardowe (zabronione w Kalifornii). Bezrobocie, zwłaszcza wśród Czarnych, jest ogromne. W 1982 roku zarejestrowano 30.000 napadów i 45.000 włamań. W tym samym roku mieszkańcy L.A. zakupili 90.000 sztuk broni palnej ręcznej rozmaitych kalibrów. To wszystko legalnie i statystycznie, reszta nie wiadoma. Bez większego zdziwienia przeczytałem więc na murze niedaleko Memorial Coliseum L.A., czyli stadionu gdzie, po raz drugi, 52 lata później, otwarte zostaną I.O., nieudolne graffiti: „Lato jest upalne w L.A. Policja przyrzeka wam spokojne i bezpieczne igrzyska. My wam radzimy, abyście wraz z biletem wstępu na stadion wykupili ubezpieczenie na koszty pogrzebu...”.

Dreszczyk „sowieckiego sportu”

Oczywiście, to nie z powodu tego rodzaju napisów ścien-nych Rosjanie oraz kraje bratnie nie przyjadą do Los Angeles. Nie czekając na statystyki, *Sowiecki Sport* zimą 1983 roku już orzekł, że „Los Angeles stanowi światowe centrum wszystkich wad i wszelkiego zepsucia kapitalistycznego”. Co miał *Sowiecki Sport* na myśli? Czyżby tak bardzo się troszczył o moralność mieszkańców południowej Kalifornii? Bałby się, że narkotyki i wszelkie zepsucie zarazi czyste dusze sowieckich atletów? Napady rabunkowe? Na co? Na sowieckie jeansy czy kasety video z kołchozową pornografią?

Skądże znowu! „Jednymyślnie” podjęta przez Komitet Olimpijski ZSSR decyzja o „nie-uczestniczeniu” (słowo „bojkot” jest wyklęte) w I.O. 1984 nie zajmuje się takimi wulgarnymi sprawami. Moskwie, naturalnie, chodzi wyłącznie o czystość olimpijskiego ducha, o niepokalaną jasność olimpijskiej karty, stojącej na straży sportu amatorskiego, wyzwolonego od wszelkich presji politycznych, na straży zmagani atletów pod hasłem „wyżej, szybciej, silniej” w atmosferze nieskalanego niczym, szlachetnego współzawodnictwa młodzieży świata.

Stąd też deklaracja KO ZSSR z 8 maja (data symbol — rocznica zwycięstwa nad wrogiem), zredagowana według najlepszych wzorów *Prawdy*, powołuje się pośrednio czy bezpośrednio na trzy powody. Pierwszy dotyczy komercjalizacji igrzysk („Olimpiada dolara i kapitału”, napisała już dawno agencja „Nowosti”), drugi — ich polityzacji, trzeci — bezpieczeństwa fizycznego sowieckich sportowców. Ten ostatni aspekt nie figuruje *explicite* w dokumencie KO ZSSR, ale przytaczany jest przez Rosjan przy każdej możliwej okazji. Miałem niedawno w Brukseli debatę telewizyjną z p. Ignatowem, dyrektorem biura „Nowosti” w Paryżu, który oświadczył wobec wielomilionowej widowni, że „nie możemy jechać do L.A., bo tam będą do naszych strzelać”.

Na tak sformułowaną kartę zażaleń w sprawie karty olimpijskiej należy odpowiedzieć w trojaki sposób.

Trzy razy „nie”

Po pierwsze oficjalnie, po „linii” MKOL. Po drugie ideologicznie, po „linii” deklaracji moskiewskiej. Po trzecie politycznie, po linii rzeczywistych powodów sowieckiej dezercji.

a) Po „linii” MKOL:

Po pierwsze więc, i pokrótce, Międzynarodowy Komitet Olimpijski zebrał się w Lozannie i po prostu stwierdził, że zarzuty sowieckie nie odpowiadają rzeczywistości i że Karta Olimpijska nie została w Los Angeles pogwałcona. Znając polityczną wstrzeźliwość przede wszystkim zatroskanych o „jedność ruchu”

dżentelmenów z MKOL i obecność w nim przedstawicieli amatorskiego sportu sowieckiego i trzecioświatowego, decyzja Lozanny nie wymaga komentarzy.

b) Ani jednego centa

Po drugie rozważmy po kolei oficjalne zarzuty ZSSR. Zacznijmy od pierwszego zarzutu: komercjalizacji Igrzysk. Igrzyska w L.A. stanowią rzeczywiście pod tym względem *novum* w historii Olimpiad. Mieszkańcy L.A. odmówili mianowicie, w drodze specjalnego referendum, wyasygnowania choćby jednego centa z kasy miejskiej, inaczej mówiąc, z ich podatków, na finansowanie Olimpiady. Chcacie się bawić, to proszę bardzo, ale nie za nasze pieniądze. No i tak się stało. Po raz pierwszy w historii antycznej i nowożytnej Olimpiada jest finansowana ze środków dostarczonych wyłącznie przez prywatne przedsiębiorstwa amerykańskie oraz sieć telewizyjną ABC, też naturalnie prywatną. Komitet organizacyjny funkcjonuje jak kapitalistyczne przedsiębiorstwo amerykańskie, to znaczy na zasadzie nadwyżki lub co najmniej równowagi wpływów i wydatków. Celem w tym przypadku nie jest oczywiście zysk, ale nie może być deficytu, bo nie będzie go z czego pokryć. Stąd naprawdę rewolucyjny budżet: 474 miliony dolarów. W Montrealu w 1976 roku I.O. kosztowały 1,5 miliarda dolarów (obywatele Kanady do dziś płacą olimpijskie długi), Moskwa kosztowała 9 miliardów dolarów, ale tam nie ma deficytu, bo nie ma kasy, nikt przecież w socjalistycznej demokracji władzy nie kontroluje. Ani jej wydatków.

Rewolucyjny budżet wymagał rewolucyjnej filozofii. I.O. w L.A. wprowadziły nową konkurencję olimpijską — „kapitalistyczny dynamizm”. Zakłada on, że ponieważ Olimpiada nie dysponuje ani jednym centem z budżetu miasta czy państwa, to Komitet organizacyjny musi także być absolutnie niezależny od władz państwowych czy lokalnych. Ponieważ finanse są wyłącznie prywatne, buchalteria musi być absolutnie przejrzysta i gospodarka absolutnie logiczna. Ponieważ wreszcie chodzi o zarządzanie kapitalistyczno-prywatne, w ramach ograniczonego budżetu, komitet musi uniknąć wszelkich zbędnych konstrukcji, prestiżowych inwestycji, musi wykorzystać istniejącą bazę materialną i ogromne zasoby wolontariatu ludzkiego, jego pomysłowości i ofiarności.

Filozofia już była, trzeba było jeszcze znaleźć pieniądze. A było o nie tym trudniej, że Komitet Organizacyjny pozbawiony został nie tylko subwencji państwowych czy miejskich, ale i wpływów z loterii olimpijskiej, która wszędzie indziej dostarczała sporej części budżetu, ale w Kalifornii jest zabroniona ustawowo.

c) Gdzie jest „bonanza”?

Skąd więc pieniądze? Z biletów naturalnie, około 90 milio-

nów dolarów. Nie trzeba ujawniać, że straty finansowe z tytułu bojkotu sowieckiego będą niewielkie, i tak na turystów z bloku komunistycznego, Mongolii czy Wietnamu nie bardzo liczone. Zwrot kosztów pobytu, 35 dolarów osobo-dzień, mieszkanie, jedzenie, transport, trening itd., to niedrogo jak na warunki amerykańskie, ale przeliczone przez 3 tygodnie i około 15.000 osób, też co nieco wnosi.

Prawdziwa „bonanza” to jednak telewizja i sponsorzy. ABC podpisała największy kontrakt w historii I.O. — 225 milionów dolarów za wyłączność transmisji. NBC w Moskwie zapłaciła „tylko” 80 milionów, tutaj sama Eurowizja zapłaci w tym roku około 20 milionów, Japonia — 8,5, Łacińska Ameryka — tylko 2 miliony. ZSSR już wpłaciła zaliczkę 3 miliony (bezzwrotne) za transmisje, których chyba nie będzie, kraje „sojusznicze” też chyba już nic nie wniosą, czeka się jeszcze na Arabów. Razem, odliczwszy już Sowieców (kontrakt z ABC, zależny od ilości uczestników, zostanie zrewidowany w dół o jakieś 40 milionów dolarów), telewizja przyniesie około 230-240 milionów dolarów.

Sponsorzy to instytucja w sporcie szeroko znana, nigdy jednak nie była tak „naukowo” i na taką skalę stosowana jak w L.A. Chodzi tu o przedsiębiorstwa prywatne, które wpłacają do dyspozycji Komitetu Organizacyjnego określone sumy (minimum 4 miliony dolarów) w zamian za prawo do używania olimpijskich emblematów w swojej reklamie. Sponsorów w L.A. będzie około 40, od American Express do Westinghouse i Xerox, poprzez IBM, Coca Cola, General Motors itd., itp. McDonald, ten od hamburgerów, wybudował pływalnię olimpijską, Levi Strauss, ten od jeansów, ubiera całą ekipę USA i personel I.O. Miejscowa sieć sklepów wybudowała welodrom. Celem „sponsorshipu” było uzyskanie 116 milionów dolarów, uzbierało się tego znacznie więcej, co pozwoli, bez większego trudu, na zbilansowanie strat wynikłych z ucieczki państw komunistycznych.

Wszystko to razem stanowi znakomity po prostu interes, naprawdę kapitalistyczny, jak z definicji dla prostaczków. ABC zapłaciła 225 milionów, ale już sprzedała olimpijski czas reklamowy za prawie 500 milionów. Fuji zapłaciło 9 milionów za wyłączność dostaw materiałów fotograficznych dla I.O. Kodak, który się spóźnił, natychmiast wykupił za 12 milionów wyłączność na reklamę w ABC swoich produktów (takich samych co Fuji), w czasie transmisji... z Igrzysk. Coca Cola wniosła do budżetu I.O. 13 milionów dolarów i obliczyła, że w czasie zawodów sprzeda około 20 milionów butelek tej okropnej kapitalistycznej trucizny na samym tylko terenie olimpijskim. To już interes, ale ponadto już wyasygnowała... 50 milionów dolarów na reklamę wykorzystującą emblematy olimpijskie. W tej dziedzinie utrata konsumentów z obozu socjalizmu nie spowoduje naturalnie katastrofy.

Generalnie oblicza się, że ogólny wpływ Igrzysk na gospodarkę południowej Kalifornii można by określić na ponad 3 miliardy

dolarów, z czego 1 miliard w wydatkach bezpośrednich, a reszta, m.in. poprzez stworzenie 40.000 tymczasowych stanowisk pracy, no i w postaci... podatków, jakie to olimpijskie przedsiębiorstwo kapitalistyczne odprowadzi do kasy miejskiej i państwowej.

Jak w tym dowcipie przed pustym sklepem mięsnym w Warszawie. Dziadek opowiadał wnuczce: „Dziecko moje, spójrz, tutaj kiedyś można było oglądać i kupić szynkę i schab, kiełbasę i boczek, baleron i kabanos. No i niech mi ktoś wytłumaczy: co to komu szkodziło?”

No a co to komu szkodzi, że po raz pierwszy do Igrzysk nie trzeba dopłacać i wszyscy są zadowoleni? „Pierwsze igrzyska *big-business'u*, oburzyła się już dawno prasa sowiecka. Powoli. Jak było gdzie indziej? Telewizja zapłaciła także w Moskwie, tyle że mniej, bo po prostu nie było warto. Sponsorzy, często ci sami (Coca Cola), byli także w Moskwie. I było ich nawet więcej w stolicy socjalizmu. W L.A. Komitet wybierał, akceptował, nie tych co dawali najwięcej, ale tych co dawali gwarancję umiaru w reklamie. W Moskwie brali od wszystkich, w L.A. na przykład, odmówili *sponsorship'u* sieci sklepów sprzedających kurczaki, bo chcieli dodawać maskotkę Igrzysk do każdej paczki ze skrzydełkiem i frytami.

Moskwa, a za nią cały komunistyczny świat, a także Grecja, której rząd i obywatele mają, jak wiadomo, wstręt do dolarów amerykańskich turystów, oburzyli się na sprofanowanie świętości olimpijskiej pochodni. Jak to wołali w Moskwie, Warszawie i Lewancie, sztafeta z pochodnią zapaloną świętym płomieniem w Olimpij sprzedawana jest po 3.000 dolarów za kilometr. Tak być nie może, honor cierpi.

Oburzenie tzw. selektywne. Nikt nie wspomina, że dolary tak zarobione idą nie do kasy Rockefellera, a na finansowanie treningu młodych sportowców w USA, a przede wszystkim ani jedna z tych czerwonych westalek nie oburzyła się, kiedy Jugosłowianie sprzedali swoją „zimową” pochodnię za 250.000 dolarów jakiejś firmie japońskiej. A cóż to, jeny są mniej paskudne?

Przede wszystkim jednak oburzenie antykapitalistyczne jest i śmieszne i moralnie dwuznaczne. Dlaczego np. finansowanie Igrzysk z budżetu państwa sowieckiego miałyby być bardziej szlachetne i sportowo czyste, niż finansowanie ich przez Coca Colę? Dlaczego jest niedopuszczalne finansowanie sportowców przez IBM, a jest zgodne z duchem olimpijskim, jeżeli utrzymuje atletów KGB czy czerwona armia poprzez całą piramidę różnych Dynamo i Spartaków. A przecież IBM czy McDonald nie zabijają sportowców w Afganistanie. Spartaki — tak.

Sportowiec na poziomie olimpijskim, jak obliczono, musi trenować około 1.600 godzin rocznie. Jest to *fulltime job*. Kto za to płaci? Kto utrzymuje sportowca i jego rodzinę? Dlaczego nie wolno mu biegać z napisem UCLA na plecach, a wolno z napisem Dynamo? Obie te instytucje płacą sportowcom za bieganie pod ich firmą. Dlaczego uniwersytet kalifornijski kompromituje, a KGB uszlachetnia? Branie pieniędzy za kopanie piłki

eliminuje z reprezentacji olimpijskiej, ale Lendl i Fibak są góraco zapraszani do grania w pucharze Davisa, no i na dodatek do odprowadzania do kasy federacji tenisowych ich dolarów za rabianych dzięki... sponsorom z kapitalizmu.

d) *A gdzie wyższość systemu?*

Tak więc pierwszy oficjalny sowiecki dowód na słuszność bojkotu nie wytrzymuje pobieżnego choćby starcia z rzeczywistością. Przyjrzyjmy się teraz drugiemu. Upolitycznienie, mówią w Moskwie, wykorzystywanie I.O. przez Reagana dla celów imperialistycznej polityki amerykańskiej. Co prawda dziwi taki zarzut ze strony tych, którzy oficjalnie uznali sukcesy sportowe za dowód wyższości systemu komunistycznego, ale ponieważ nam nie chodzi o ideologiczne brednie, więc przejdźmy do rzeczy.

Olimpiady zawsze były polityczne. Wszystko inne jest zwyżczającą hipokryzją, ale pod względem zakłamania Karta Olimpijska bije nawet dokumenty ONZ. Sport, mawiał Orwell, jest wojną prowadzoną bez karabinów. Clausewitz powiedziałaby, że jest polityką prowadzoną innymi środkami. Nawet teorie o niepolitycznym charakterze igrzysk antycznych należy włożyć między bajki. Prześliczna legenda głosi, że olimpiady antyczne zapewniały trzymiesięczny rozejm i że tylko raz w czasie 1.000 lat zasada rozejmu została pogwałcona. W istocie, także za dawnych dobrych lat, Grecy lali się i oszukiwali nie tylko mimo, ale z powodu Olimpiad. Kiedy w końcu cesarz Teodozjusz zlikwidował igrzyska w 394 roku, to powody były dwa: pieniądze (atleci niezadowoleni byli z ograniczonej wartości handlowej lauru olimpijskiego), ale przede wszystkim polityka. Chodziło o zniszczenie przybytków pogaństwa.

A jak było w czasach nowożytnych, kiedy angielski snob i francuski baron de Coubertin postanowił ożywić szlachetną ideę igrzysk? Igrzyska mają dopiero 80 lat, ale już dwie wojny światowe wymazały trzy (1916, 1940, 1944) olimpiady z kalendarza, a żadna z olimpiad nie odbyła się w warunkach pokoju: zawsze gdzieś toczyła się jedna albo więcej wojen. Żadna nie była wolna od presji politycznych, w niektórych przypadkach od skandali politycznych. Już na pierwszej, Ateny 1896, Francuzi nie chcieli Niemca, z zemsty za Sedan; w 1908 — Rosjanie, ci carscy, protestowali, bo w Londynie pojawiła się flaga fińska; w 1912 protestowali Anglicy, Rosjanie i Austriacy, bo w Sztokholmie pokazały się sztandary nieistniejących państw: Kanady, Australii, Czech, Węgier i Finlandii; w 1920 roku Irlandczycy nie chcieli Anglików (już do nich strzelali).

Alte to był folklor. Prawdziwa polityka zaczęła się w 1936 roku kiedy Hitler zapalił znicz na swoim sportowym „parteitagu” nie od płomienia Olimpij, a od ognia krematoriów. „Duch olimpijski” wydawał już wtedy swe ostatnie tchnienia, ale zgasł, w odróżnieniu od płomienia, dopiero w 1972 roku w Monachium od podmuchu strażów palestyńskich terrorystów. Paradoks chce,

że to właśnie w niemieckim mieście można było ideę olimpijską, braterstwa sportowców i tym podobnych dyrdymałek spróbować uwierzytelnić. Nikt jednak nawet nie zaproponował. Gdyby w Monachium cała wioska, 10.000 sportowców, z arabskimi i sowieckimi w pierwszym rządzie, otoczyła terrorystów, to wymusiłaby kapitulację i uwolniła zakładników, też przeciw sportowców, tylko ze izraelskich. Zamiast tego, jak tylko trumny odleciały, piłkarze amatorzy z Polski i ZSSR rozegrali półfinały. Polska wygrała 1:0. Igrzyska przegrały na zawsze.

To co było przedtem i potem zasługuje na odnotowanie, ale nie ma nic wspólnego z żadnym szlachetnym współzawodnictwem atletów, a należy wyłącznie do polityki. Cynizm polityków rządzących sportem, spotęgowany oddziaływaniem telewizji na miliardy widzów, sprawił, że atleci stali się, najczęściej wbrew ich woli, instrumentem przekazu ideologicznego lub zakłamania politycznego. W Meksyku (gdzie w przeddzień otwarcia Igrzysk 1968 roku zamordowano 40 studentów „zakłócających” olimpijski rozejm), dwóch amerykańskich sprinterów wzniosło w górę pięści na podium w czasie grania hymnu USA na znak „czarnej władzy”. Montreal został zbojkotowany przez kraje afrykańskie, którym nie spodobało się *tournee* nowozelandzkich rugbystów (sport nieolimpijski) w Afryce Południowej. Masakra Węgrów w 1956 roku nie przeszkodziła w igrzyskach w Melbourne, inwazja Czechosłowacji w 1968 nie odbiła się na zawodach w Meksyku. Zatopek, król samotnych długodystansowców zapłakał wtedy. „Nie wpuszczymy tych skurwysynów na stadion w Meksyku”. Wpuścili. Był spokój. On już też spokojny. Dziś broni bojkotu sowieckiego.

„Obcięte” olimpiady 1980 i 1984 roku wniosły nowe elementy do dyskusji nie o roli polityki w sporcie, a o roli sportu w polityce. Nie ma między tymi bojkotami, wbrew wielu moim szanownym kolegom z wolnej prasy demokratycznej, żadnego porównania. Grenada, to, wbrew ich chorej wyobraźni, nie Afganistan. Jeżeli uważają inaczej, to niech pojedą do obu tych krajów i spytają mieszkańców. Natomiast stalinowski *show* w Moskwie w 1980 roku, kiedy miasto zostało okupowane przez policję i KGB, po wysiedleniu dysydentów, prostytutek, Żydów chcących emigrować no i młodzieży szkolnej, wysłanej na przymusowe wakacje z jednej strony, oraz „obawa” przed wymordowaniem sowieckich sportowców w Los Angeles, wnoszą rzeczywiście nowe elementy koszmaru i śmieszności do historii moralnego upadku idei olimpijskiej.

e) *Ani draśnięcia*

No i właśnie trzeci argument: strach przed wystrzeleniem sowieckich atletów. Powiedziałem już, że argument ten wysuwany jest przy każdej okazji, bo prawdy o dezercji (o której będzie jeszcze mowa) Rosjanie nie chcą ujawnić. W czasie wspomnianej już przedtem debaty telewizyjnej kolega redaktor Igna-

toż też go naturalnie wielokrotnie powtarzał. Nie potrafił tylko, mimo moich nachalnych nalegań, przytoczyć choćby jednego przypadku już nie zamordowania, ale choćby rabunku, napadu, draśnięcia, zaczepki, mrugnięcia okiem, obelgi nie czynnej, a słownej sowieckiego sportowca w USA. Z mojej strony byłem gotów przytoczyć długą listę przypadków, kiedy sowieccy sportowcy, a nawet dyplomaci, znaleźli się, delikatnie mówiąc, w pewnej kolizji z prawem, np. w sklepach gnijącego kapitalizmu, które to incydenty były właściwie zawsze tuszowane przez policję zachodnie, m.in. w Los Angeles.

Los Angeles jest miastem o wysokiej „normalnej” przestępczości. Nie o takie niebezpieczeństwo Sowiecom jednak chodzi. Wiedzą oni, że Komitet Organizacyjny zmobilizował 17.000 policjantów dla opieki nad 15.000 sportowców i oficjeli, że podjęto nadzwyczajne środki badania poczty, przejść, tożsamości, że są w L.A. specjalne oddziały komandosów do walki z terroryzmem, że FBI wysłało specjalistów do przeciwdziałania braniu zakładników, że specjalny robot „Feliks” — cud elektroniki — ma wykrywać bomby etc. Mówiąc w skrócie, Rosjanie wiedzieli, że nie „normalnego” z dziedziny przestępczości im akurat w L.A. nie grozi. I to do tego stopnia, że odrzucili wielokrotnie ponawiane zaproszenia dla specjalistów z KGB do przybycia do L.A. dla konsultacji z FBI, które właśnie tak postępowało z innymi „zainteresowanymi”, np. z policją izraelską. P. Gramow, minister sportu, a zarazem przewodniczący KO ZSSR był w L.A. w grudniu 1983 i nic groźnego nie zauważył. Co się tak nagle zmieniło?

W Monachium się nie bali, a w L.A. się boją? Tak się złożyło, że czeski dyskobol Imrich Bugara był na zawodach przedolimpijskich w L.A. w dniu kiedy Praga, w ślad za Moskwą, zdecydowała, że ze względu na jego, Bugara, bezpieczeństwo, nie będzie on mógł uczestniczyć w olimpiadzie. Facet się zdziwił i zmartwiony wyszeptał: „Zostaliśmy bardzo dobrze przyjęci. Nie wyzuliśmy żadnego niebezpieczeństwa”.

Cała argumentacja sowiecka to oczywiście bzdura, nie o gangsterów im chodzi. Zresztą sami Rosjanie to potwierdzili, decydując się na wysłanie do L.A. licznej ekipy sędziów, oficjeli rozmaitych federacji sportowych itp. szpiegów. Albo ich życie jest mniej ważne, albo strach o życie to zwyczajna lipa.

Zemstę się jada na zimno

O co więc właściwie Moskwie chodzi? O politykę naturalnie. Jest kilka kategorii. Postaram się wymienić te, które wydają mi się najważniejsze, choć oczywiście jest ich na pewno więcej.

Po pierwsze więc chodzi o zwyczajną zemstę. Jest to jedno z niewielu ludzkich uczuć, jakie starcy z Kremla są jeszcze w stanie przejawiać. Zemsta to danie które się jada na zimno, powiada francuskie przysłowie. Rosjanie czekali cztery lata, aż to danie ochłodnie. I zaserwowali je w odpowiednim momencie,

tak aby nikt nie wątpił, czego naprawdę chcą. Ogłosili swą decyzję „nieuczestniczenia” nie *przed*, a *po* tym jak wszystkie ich żądania logistyczne zostały już przez Amerykanów spełnione: Aeroflot uzyskał prawo lądowania w L.A., statek pasażersko-szpiegowski „Gruzja” uzyskał prawo zakotwiczenia w Long Beach, itd., itp. Zakomunikowali zaś tę „jednomyslną” decyzję nie w jakiś kulturalny sposób, uprzedzając dyskretnie partnerów, a przez znanego dziennikarza na etacie KGB, Wiktora Louisa w depeszy wysłanej do popołudniówki londyńskiej.

Świetnie Rosjan rozumiem. Zemsta to właśnie to, co im jeszcze zostało w stosunku do USA, które zgodnie z aktualnym ciągle programem kompartii mieli w roku 1980 „dogonić i przegonić”. Dla Moskwy pierwsza w kraju komunistycznym olimpiada w 1980 roku była — obok SS-20 — szczytem i symbolem ich superpotęgi. I ten symbol Amerykanie im popsuli, bojkotując olimpiadę z powodu drugorzędnej epizodu w Afganistanie. Tego Kreml nie zapomni. I odegrał się w 1984 roku. W 1980 roku Moskwa nazwała bojkot amerykański „skandalicznym szantażem imperialistycznym”. W 1984 roku swojego bojkotu w ogóle nie nazywa. Wykreśliła to słowo z propagandy. Brak pretekstu typu „afgańskiego” (o Grenadzie Moskwa nawet nie wspomina), nie tylko nie utrudnia, ale ułatwia zadanie. Świat wie o co chodzi. A na użytek wewnętrzny idiotyzm o groźbie zamachów na życie wystarczy. I tak nikt nie zakwestionuje.

Po drugie, chodziło o coś więcej niż zwyczajną ludzką zemstę. Kreml nie chce uczestniczyć w sukcesie kapitalistycznej przedsiębiorczości, dodawać blasku wolnej inicjatywie, potwierdzając skuteczność kalifornijskiej wyobraźni. Kreml wie, że od Trumana minęło sporo czasu i że „wariaci”, którzy zasiadają w Komitecie Organizacyjnym I.O. to ci, dzięki którym Kalifornia ma produkt brutto wartości 180 miliardów rocznie, jest na 12 miejscu światowej listy państw, a nie stanów, a na pewno jeszcze wyżej, jeżeli nie najwyżej, jeżeli chodzi o postęp techniczny i technologiczny. Takim „wariatom” uda się nawet Olimpiada bez deficytu, a w tym ZSSR, kraj w którym nic się nie odbywa bez strat, nie może uczestniczyć.

Niektórzy moi koledzy uważają, że Kremlowi chodzi o popsucie Reaganowi szans w wyborach prezydenckich. To naiwność. Postępowanie Rosjan, i oni o tym w Moskwie wiedzą, może tylko zwiększyć szanse Reagana, który i tak wygra albo przegra z zupełnie innych przyczyn. Z punktu widzenia USA Olimpiada już na pewno będzie sukcesem. Z Rosjanami czy bez, Reagan będzie pierwszym prezydentem USA, który dokona osobiście otwarcia Igrzysk. Tak się dziwnie bowiem składa, że ani jedno z pięciu poprzednich letnich i zimowych Igrzysk w USA nie zostało otwarte przez urzędującego szefa państwa.

Peter Ueberroth, prawdziwy *boss* Komitetu Organizacyjnego, zwany pieszczotliwie „Peter Ueber-alles”, człowiek-symbol *self made man'a*, który w kilka lat przekształcił małe biuro podróży w drugą potęgę turystyczną USA, po czym świetnie ją

sprzedał aby mieć wolne ręce do podjęcia olimpijskiego wyzwania, powiedział: „W 1908 roku baron de Coubertin stwierdził, iż Igrzyska powinny być bardziej sportowe, bardziej godne, dyskretnie, a przede wszystkim tańsze... 76 lat później Kalifornia zrealizuje to marzenie de Coubertina. Świat olimpijski i świat w ogóle może na tym tylko skorzystać”.

Esteci i puryści z Moskwy rozpaczają już od dawna. „To jest kapitalistyczna mentalność. Urok i duch olimpijski są narażone na szwank”, wykrzyknęła nieoceniona agencja „Nowosti”. Odpowiedział na to Joe Rubinsztejn, ekspert nie od uroku i ducha, a od *marketing'u* w Komitecie Organizacyjnym: „Dobra, uczciwa mieszanina sportu i *business'u*, taka jest właśnie przyszłość Igrzysk olimpijskich”. Prawdziwi marksiści nie mogą oczywiście współpracować w przeprowadzeniu dowodu, że to Rubinsztejn, a nie „Nowosti” ma rację. Marksistów więc w L.A. za braknie.

Po trzecie chodzi o szok rzeczywistości. Propaganda a zwłaszcza radio i telewizja sowieckie ślą w eter przez 24 godziny na dobę całkiem czarny obraz sytuacji w USA. Jest to zjawisko psychologicznie znane: pomieszanie nienawiści z fascynacją. Los Angeles to symbol całej kapitalistycznej rozpusty: jeansy i Hollywood, *Rodeo Drive* i 50 stacji telewizyjnych, *show* i najwyższa technologia, Disneyland i James Bond. No i obok czarnej nędzy, ale to Rosjan nie interesuje, największy przepych świata. Nawet dla złotej młodzieży sowieckiej, a atleci olimpijscy do niej należą, obraz daczki z Beverly Hills i Sunset Boulevard byłby szokujący, nie mówiąc już o obrazie przesłanym przez satelitę telewizyjnego. Cenzura może wypaczyć wszystko, ale nie zawsze, albo zawsze, ale nie wszystko, ale nie wszystko zawsze.

Organizacja „won”

Nie należę do tych, którzy uważają, że Rosjanie nastraszyli się perspektywy masowych ucieczek sportowców w L.A. Ci, którzy jeżdżą na takie imprezy są szczepieni na paszport i mają bez przerwy okazje do wiania, łatwiejsze niż w L.A. Inne zjawisko zaniepokoiło Sowietów, także przede wszystkim w perspektywie przekazania obrazu do kołchozów i fabryk w ZSSR.

Los Angeles to pierwsze naprawdę wielorasowe wielkie skupisko miejskie w USA. To prawdziwa mozaika ras i kolorów, przykrywająca nędzę i zacierająca różnice. Nie mówiąc o Murzynach, to oddzielny i wielki problem, w aglomeracji L.A. mieszka dwa miliony emigrantów z Ameryki Łacińskiej, a w tym setki tysięcy Kubańczyków anty-castrowców, 200.000 Irańczyków wrogów Chomeiniego, 2 miliony Chińczyków, niekoniernie zwolenników Mao, tysiące Koreańczyków, którzy nie zapomnieli morderstwa nad Sachalinem, 130.000 Arabów nie kochających Izraela i 100.000 Izraelczyków (nie mówię o kalifornijskich Żydach, któ-

rzy, jak pewien zapewne antysemita powiedział, są przeważnie w Komitecie Organizacyjnym I.O.), którzy nie uwielbiają Arafata.

Kremłowi chodzi naturalnie o innych emigrantów: z krajów bałtyckich, Ukrainy, Białorusi, z Polski i innych krajów-sierot po Jaćcie. Powstały różne komitety „przyjęcia”: jeden nosi nazwę „Wolność 84”, inny, zupełnie szczerze, nazwał się po prostu „Rosjanie, won z Igrzysk”, itd., itp.

Żadne prawo w USA nie zabrania, jak wiadomo, manifestowania publicznie, bez gwałtu, swoich uczuć nie tylko wobec Czernienki, ale także Reagana, ale Rosjanie w tym miejscu wpadli chyba w panikę. Wszystkie te komitety, czego nie ukrywają, postawiły sobie za zadanie m.in. udzielić pomocy tym ze wschodu, którzy by chcieli wybrać wolność w Kalifornii, przede wszystkim jednak były zdecydowane pokazać wizualnie i wokalnie Moskwie, co o niej myślą w „kontekście” praw człowieka czy Boeinga koreańskiego, Jałty i Jaruzelskiego, okupacji Litwy i Węgier. „W Moskwie w 1980 roku, powiadają ci z Rosja won”, nikt nie wybrał wolności. *A priori*, w Los Angeles też nie jest to nieuniknione. Ale postaramy się, aby ten kto zechce, miał zagwarantowane bezpieczeństwo osobiste i nie został porwany przez KGB ani wydany przez FBI”.

Innymi słowy, mówiąc po marksistowsku-leninowsku, wszystkie te komitety wydały Moskwie zwyczajną wojnę ideologiczną. Wojna ta toczyłaby się i w terenie, oko w oko, i w eterze radio-telewizyjnym, tym groźniejszym, iż tutaj w Kalifornii Moskwie nie udało się wyeliminować, jak to się stało dzięki zachodniej głupocie w Sarajewie, ani Wolnej Europy ani Radia Swoboda. Z tego frontu super-potęga sowiecka wolała zdezerterować. Uciekała nie spod ostrzału sniperów, a sprzed kamery telewizyjnej. Jest to typowa mentalność KGB-owska. Jak nie można przeciwnika z tyłu ustrzelić, to należy go unikać.

To nie żadna premiera, wystarczy przypomnieć dezercję ZSSR z Międzynarodowej Federacji Psychiatrów, kiedy zbliżał się jej kongres, na którym zamierzano zadać Moskwie kilka pytań co do losu pacjentów leczonych na chorobę zwaną opozycją polityczną. Kowboje w westernach, tutaj właśnie w Kalifornii — i w Hollywood, mieli ponad 100 lat temu odwrotność zasady.

Kremłowi byłoby za ciepło

No i po czwarte, jak to już zauważył Michał Heller w jakimś dzienniku paryskim, jest to sygnał Moskwy, która w taki sposób właśnie rozmawia z Zachodem. ZSSR nie mógł jechać do L.A., nie mógł brać udziału w przeświernym amerykańskim widowisku ot tak, jak gdyby nigdy nic, w okresie, w którym taktyka sowiecka polegała na zaciskaniu śruby, podnoszeniu napięcia, zastrzaniu sytuacji. „Imperium zła” kontratakuję. Bojkot I.O. wpisany jest w aktualną strategię ZSSR, figuruje obok przesładowania dziennikarzy zachodnich w Moskwie, zastopowania emigra-

cji żydowskiej, blokowania wszystkich absolutnie kanałów dialogu sowiecko-amerykańskiego, impasu w Genewie, w Sztokholmie, w Wiedniu a nawet w Atenach, gdzie kolejna „po-madrycka” konferencja zakończyła się kolejnym fiaskiem. Tym razem dotyczyła ona, żeby było śmieszniej (bo smutniej już być nie może), dyskusji nad sposobami pokojowego rozwiązywania... konfliktów międzynarodowych.

Przed wszystkim jednak bojkot I.O. jest w tym samym stopniu anty-amerykańskim odruchem co przerażające znęcanie się nad obojgiem Sacharowów. Ta epopeja uczonego i jego żony, winnych wyrzeczenia się nomenklatury, przejdzie do historii upadku i hańby sowieckiego imperium, na razie jednak służy mu do szantażowania USA, a także np. Mitterranda, który uwikłał się nieostrożnie w beznadziejne próby godzenia w stosunkach z Rosją moralności i praw człowieka z polityką zagraniczną.

Zimny wiatr wieje ze wschodu, w Kalifornii byłoby Sowietom z Kremla za ciepło. Ich zawody to kto-kogo, ale w polityce. W imię tej konkurencji sparaliżowani starcy z Kremla, sięjąc wizję osaczonej fortecy, uniemożliwili młodzieży z połowy świata uczestniczenie w największej imprezie sportowej ich, młodzieży, życia. Czernienko nie mógł samodzielnie zrobić paru kroków, aby powitać króla hiszpańskiego. Niech inni też nie mogą, powiedziały. No i powiedział *niet*. To potrafił bez żadnej pomocy.

Czy ta gra olimpijska (i nie) warta jest świeczki? Trudno odpowiedzieć tak wprost. Można natomiast snuć wnioski rykoszetem. Można np. zbilansować koszty polityczne (finanse nie grają roli) jakie ZSSR ponosi w tej operacji. Cena za bojkot wydaje się istotnie ogromna. Oto niektóre tylko elementy tego rachunku strat.

Za jaką cenę?

Po pierwsze, ZSSR poniósł niepowetowane straty w dziedzinie propagandy. Obok rakiet atomowych i zatrutego deszczu, sport to jedyna dziedzina, gdzie obóz komunistyczny ze Związkiem Sowieckim na czele odnosi autentyczne sukcesy międzynarodowe. Sport, tak jak np. szachy, to dowód wprost na jakość systemu, to legitymacja statusu super-potęgi. Sukcesy odniesione w paszczy lwa, to znaczy w Kalifornii, w stanie Reagana, liczyłyby się propagandowo podwójnie. Niektórzy nawet sądzą, że Rosjanie nie byli w formie i bali się konfrontacji w L.A. Przypuszczam, że wątpliwe. Wyniki przez nich osiągnięte wiosną tego roku wcale nie świadczą o spadku formy sportowców. To forma polityków szwankuje. Po to aby uniknąć starcia z rzeczywistością USA w terenie i w telewizji, Rosjanie zrezygnowali więc z kolosalnego przypływu szowinistycznej hecy, zwanej po rosyjsku patriotyzmem, związanej z sukcesami bokserów czy dźwigaczy ciężarów z napisem ZSSR na plecach.

Największą jednak cenę, długofalową, płacą i będą płacić

Rosjanie w sferze stosunków wewnątrz obozu. To długi temat, dziś można tylko zasygnalizować zjawisko.

Bojkot Igrzysk w L.A. to prawdziwa Jałta olimpijska. Bardziej niż jakkolwiek inny epizod w powojennej historii, bojkot ten uzewnętrznia i uosabia trujący spadek i niszczące działanie ducha Jałty. Wszystkie kraje obozu wschodniego wiedzą, że zostały przez Moskwę zmuszone do bojkotu nie w imię ich własnych interesów, a w imię pustej pychy ZSSR. Nawet bowiem jeżeli uznać, że absurdalne argumenty o zagrożeniu życia atletów sowieckich mają jakieś uzasadnienie, to nie dotyczą one przecież w żadnym przypadku Polaków czy Węgrów, którym nic nie grozi w L.A.

W niektórych przypadkach, np. NRD, jest to prawdziwa, bez przesady, katastrofa narodowa. Sukcesy sportowe tej fabryki zimnego wychowu mistrzów jakim jest NRD były jedynym faktycznie źródłem jej międzynarodowego uznania. Medale, a były one naprawdę „kolossal”, jako że jeden medal przypada na 200.000 obywateli NRD, podczas gdy trzeba na to 2 milionów obywateli sowieckich lub amerykańskich. Sukcesy I.O. 1984 roku miały stanowić główny punkt narodowej dumy w czasie uroczystości 35-lecia wrzucenia tej części Niemiec w sowiecki gorset i proklamowania tam dziwnego tworu nie będącego, wbrew nazwie, ani republiką ani demokratyczną, a tylko częściowo niemiecką. Medale, to jest jedyny moment, kiedy flaga tego tworu i jego hymn grane były „legalnie” na terenie międzynarodowym.

Podobne rozumowanie dotyczy Kuby „*primo territorio libre de America*” w skali Ameryki Łacińskiej. Ale nawet innym krajom, mniejszym potęgą sportową, bojkot uniemożliwił udział w jedynych zawodach w ZSSR, gdzie na starcie wszyscy mają identyczne szanse i równe prawa. To veto, szantaż i przymus sowiecki sprowadziły kraje Europy wschodniej, niegdyś dumne i potężne, o historii często dłuższej niż Rosja, nie mówiąc już o Związku Sowieckim, do upokarzającej roli także sportowego satelity. Jest to policzek, którego tak szybko „sojusznicy” ZSSR nie zapomną.

Zasięg nienawiści i wstydu jest zresztą znacznie szerszy. Prawdopodobnie dotknie również samej nomenklatury sowieckiej. Sportowcy stanowią coś w rodzaju uprzywilejowanej kasty: 55.000 trenerów, 150.000 nauczycieli wychowania fizycznego, uniwersytety sportowe, cała ta nadbudowa świata zawodowego przecież sportu, ma poczucie ogromnej frustracji: podagrowani aparatczycy odebrali im nie tylko zabawę, ale przede wszystkim szansę przeprowadzenia dowodu ich użyteczności i niezbędności. O sportowcach nie warto mówić: cztery lata wysiłku na nic. Można zmuszać wybitnych nieraz atletów do „spontanicznego” deklarowania poparcia dla decyzji Kremla, ale to tylko zwiększa gorycz, dodaje wstyd do nienawiści.

Publiczności w Europie wschodniej odebrano nie tylko piękny *show* telewizyjny, ale przede wszystkim jedyną legalną możliwość wyrażania swych uczuć patriotycznych, to znaczy anty-

sowieckich czy antykomunistycznych. Mecz water-polo Węgry-ZSSR w Melbourne w 1956 roku był odbiciem masakry buda-peszteńskiej, „łokieć” Kozakiewicza w Moskwie przeszedł do legendy oporu wobec sowietyzmu, inwazja sierpnia 1968 roku nie napotkała oporu, ale mecz finałowy hokeja Czechosłowacja-ZSSR w Pradze w marcu 1969 wywołał rozruchy, mecz Wybrzeża z Juwentusem dał okazję do jedynej legalnej i nierepresjonowanej publicznej manifestacji 100.000 ludzi na cześć Wałęsy i „Solidarności” po zamachu generalskim.

Sowieckie *niet* odbiera całej wschodniej Europie jedyne faktycznie antidotum na obowiązkową „przyjaźń” z Sowietami. Odbiera jej równocześnie jedyne w swoim rodzaju telewizyjne otwarcie na świat, tak rzadką, a tak potrzebną iluzję przynależności mimo wszystko do światowej wspólnoty ludzi wolnych. Teżo Moskwie nikt na wschód od Łaby nie zapomni. W globalnym rachunku jaki po zgniciu Jałty pewnego dnia ludy cesarstwa wystawią Moskwie, koszty olimpijskiego wstydu figurować będą bardzo wysoko.

Cień Kusego

O Polsce w *Kulturze* piszę bardzo rzadko. Tym razem jednak trzeba. W kilku zwięzłych punktach, resztę dopiszą ludzie znad Wisty.

Po pierwsze, epizod sportowy, w istocie drugorzędny, wskazuje na kolosalne koszty jakie Polska musi płacić na rzecz „przyjaźni i sojuszu z ZSSR” w dziedzinach tak zasadniczych jak gospodarka, polityka zagraniczna, nauka, oświata itd.

Po drugie, suwerenność polska wynosi dokładnie 10 dni. Tyle trwało „kino” między decyzją sowiecką a polskim suwerennym przyłączeniem się. Nawet w sporcie ta władza nie potrafi utrzymać choćby pozorów godności własnej i narodowej.

Po trzecie, generał jest nagi. Główna teza puczystów na użytek Zachodu sprowadza się do twierdzenia, iż zamach grudniowy uratował Polskę od inwazji sowieckiej. Olimpijska kapitulacja potwierdza tezę odwrotną, w Polsce naturalnie znaną: zamach był przedsięwzięciem sowieckim wykonanym polskimi rękoma, sprowadził Polskę i to bez inwazji jak na Węgrzech czy Czechosłowacji, bez udziału bezpośredniego armii czerwonej, do roli i statusu Mongolii. Przypadek, który jest kochankiem prawdziwości, sprawił, że historia wystawiła obecnej władzy w Polsce najbardziej okrutne świadectwo hańby jakie można było sobie w ogóle wyobrazić: Jaruzelski uwięził polskich sportowców, aby uniemożliwić im start nie tyle gdzie, ale akurat na tej samej łaźni, na której 52 lata temu złote medale zdobywali niejaka Walasiewiczówna i niejaki Kusociński.

Po czwarte, oznacza to nadużycie zaufania i naderwanie więzów z Polonią na Zachodzie. To bardzo delikatna sprawa, jako

że polska diaspora nie tylko wypełniała sporo miejsc na trybunach, ale i w dużym stopniu finansowała udział PRL w olimpiadach. Chodzi więc także o zwyczajną kradzież, sprzeniewierzenie pieniędzy.

Ten właśnie punkt najlepiej uwidocznia absolutny bezsens argumentacji sowieckiej w odniesieniu do Polski. W USA żyje około 6 milionów ludzi powołujących się na pochodzenie polskie, wielu z nich mieszka w Kalifornii. Bardziej serdecznie niż w USA polscy sportowcy nie są przyjmowani nigdzie na świecie, nawet nie w ZSSR.

Ostatni epizod, wyjątkowo dla Polski zawstydzający, napisany został przez bałkańskiego stalinka Nicolae Ceausescu. Na tle decyzji Rumunii udania się do L.A. wbrew presji sowieckiej, pozycja Jaruzelskiego nabiera wyjątkowej barwy. Nie warto tego rozwijać. 10 dni w 1917 roku może i wstrząsnęły światem; 10 dni między decyzją Moskwy i Warszawy w 1984 roku nie potrafiły wstrząsnąć Polakami. Pozostały śmiech pusty i trwoga.

Czy warto?

Czas kończyć ten najdłuższy artykuł w historii Brukselczyka. Jeszcze więc tylko kilka słów kazania ogólnego. Główną ofiarą wtargnięcia polityki do sportu są oczywiście sport i sportowcy. Nie należy jednak się łudzić i mylić przyczyn i skutków. Bojkot, inwektywy, manipulacje, propaganda, to tylko symptomy upadku idei olimpijskiej, ba, złudzeń co do tej idei. Igrzyska były zawsze tylko odzwierciedleniem starcia zasadniczych wartości w skali świata i historii. Olimpiady upadały razem z cywilizacjami. To nasza cywilizacja upada, a sport, wraz z jego fałszywym amatorkstwem i prawdziwym szowinizmem, tylko temu upadkowi towarzyszy. Jest jego odbiciem.

Czy można uratować ideę olimpijską tak jak ją sobie wyobrażał de Coubertin? Prawdopodobnie nie. Czy warto ją ratować? Też chyba nie. Trzeba by właściwie sformułować nową kartę olimpijską, a do jej redakcji zaprosić nie oderwanych od życia arystokratów lub skorumpowanych urzędników partyjnych (w MKOL zasiada obecnie, m.in. 1 arcyksiążę, 4 książąt, 8 rozmaitych lordów i parów, 1 radza, 1 pasza, 1 amerykański milioner, kilkunastu członków rozmaitych KC, kilkunastu kuzynów rozmaitych małych satrapów afrykańskich itd.), a zaprosić rozmaitych Ueberrothów i Rubinsztejnów, Lendlów i Fibaków, Bonieka z Juwentusa, Coe czy Ovetta biegających już za pieniądze, podobnie jak kilku maratończyków, tych od najwspanialszej greckiej konkurencji, aby powiedzieli faryzeuszom z MKOL ile kosztuje trening, ilu wyrzeczeń wymaga utrzymanie formy, jak trudno jest pogodzić np. wyczyn ze studiami czy zawodem.

To ich zadaniem byłoby wyeliminowanie z karty i z praktyki olimpijskiej finansowej hipokryzji i przekupstwa, czyli uczciwa i otwarta profesjonalizacja sportu i sportowców oraz jego głę-

boka denacjonalizacja i odpaństwowienie, to znaczy wyeliminowanie sztandarów narodowych i hymnów, likwidacja na tyle, na ile natura ludzka na to pozwoliłaby, zatrutego smogu militaryzmu, nacjonalizmu i szowinizmu, inwazji Olimpiady przez Sparta-kiady. Bokser o pokrwawionej twarzy niech szlocha, jeżeli nie może się powstrzymać, po zwycięstwie, ale nie przy akompaniamencie hymnu i nie w imię honoru jego narodu i sławy jego ojczyzny.

Oczywiście, wszystkich ujemnych elementów nie da się ze sportu wyeliminować. Sport jest częścią życia i jak ono jest narażony na choroby, ułomności i uwiąd. Otwórzmy więc oczy. I portfele. Ani pieniądź ani historia już się nie zatrzymują u bram olimpijskiej wioski. Stadionów nie strzeże już żaden święty duch olimpijski, a zwyczajna policja, KGB i FBI. Sportowcy nie mogą zadowalać się już tylko laurem, a muszą mieć środki do życia.

Znicz olimpijski jeszcze płonie, ale już nie grzeje. Pytanie więc czy warto tak bardzo się wysilać aby go co cztery lata zapalać?

Leopold UNGER

Pisane w Brukseli, 1 czerwca 1984

KONTRAST-OFFSET-DRUCK

BREITENSTEINSTRASSE 33 • D-8209 SCHLOSSBERG-ROSENHEIM
TELEFON 08031 / 7777

Jedyna w RFN POLSKA DRUKARNIA WYDAWNICZA wykonuje:
książki, broszury, czasopisma, katalogi, prospekty, karty świąteczne,
zaproszenia, odezwy, ulotki, blankiety
i tp. organizacyjne, społeczne, prywatne i reklamowe druki.

Skład elektroniczny — także „na wynos“ —
zapewniający najwyższą jakość druku.
Solidne wykonanie — ceny umiarkowane!

Nos

W szesnastym roku życia, czyli tuż po zakończeniu drugiej wojny światowej, wyskoczył mi na twarzy nos. Duży, tak zwany „orli”, szczególnie wydatny w stosunku do niezupełnie jeszcze uformowanej reszty. Przedtem miałem nos zwyczajny, umiarkowany i prosty, nie zwracający niczyjej uwagi, przede wszystkim mojej.

Odkryłem go pewnego dnia kiedy, korzystając z nieobecności starszych w domu, przy pomocy dwóch luster starałem się stwierdzić i ocenić szanse mojej urody. Bowiem myśli o tajemnicy płci, zwłaszcza przeciwnej, trapiły mnie już nie na żarty i chciałem znaleźć odpowiedź na dręczące pytanie czy mogę w ogóle podobać się dziewczętom.

Dzień był pamiętny i odkrycie straszne. Trzeba wiedzieć jakie były kryteria męskiej urody bezwzględnie wtedy obowiązujące. Ani Eugeniusz Bodo, amant polskich filmów przedwojennych, ani Johnny Weismüller, hollywoodzki odtwórca ról Tarzana nie mieli takich nosów. Tym mniej Errol Flynn.

Lecz taki nos był klęską z innego jeszcze powodu. Nos tego typu można ewentualnie nazwać burbońskim — miewali go ponoć królowie tej francuskiej dynastii — można go zauważyć, choć w mniejszym i subtelniejszym zarysie — w niektórych szlachetnych profilach polskiej arystokracji, coś podobnego miał Fryderyk Chopin, a nawet prości górale — przynajmniej na obrazkach — miewali nosy. Dobrze, dobrze, dla kogo takie gadanie i kogo tu chcemy oszukać. Burbony, Chopiny, znamy te wykręty, nie zmylą nikogo. Mój nos był jednoznaczny: żydowski.

Jakże ja więc mam pokazywać się ludziom? Wezmą mnie za Żyda, a gdyby doszło co do czego nie uwierzą mojej niewinności,

nawet najlepiej udokumentowanej. Bo wiadomo, zwłaszcza po latach niemieckiej okupacji, że Żydzi są mistrzami w udawaniu, że nie są Żydami, więc im bardziej który się zapiera, że nie jest, tym większe prawdopodobieństwo, że jest. A nawet gdy się udowodni, to zanim się udowodni różne mogą być przykrości po drodze. I czyż samo podejrzenie, a tym bardziej konieczność udowodnienia, nie jest obrazą dla chrześcijanina?

Właśnie, podejrzenie. Bo nawet jeśli nic mi nie zrobią, jeżeli nic nie powiedzą nawet, to patrząc na mój nos będą sobie myśleli. A jak im wtedy udowodnić, że to co myślą jest niesłuszne, jeśli myśl nie jest wyrażona? Nikomu nie można wykazać, że coś sobie myśli choćby i myślał. Zaprzeczy, ale będzie sobie myślał dalej. „Ja wiem co pan sobie myśli patrząc na mnie, ale...” — to jeszcze gorzej niż udawać, że się nie domyślam co on sobie o mnie myśli i cierpieć w milczeniu. Więc ogarnęły mnie zarazem strach, bezsilność i gorycz urażonej niewinności. Przeklęty nos.

W moim środowisku, w mojej rodzinie, wiedzieli się o Żydach tyle, ile należy, ale ani więcej ani mniej, tak się złożyło, że nie było ich w sąsiedztwie ani w kręgu znajomości. Nie mówiło się o nich ani często ani rzadko, ani ze szczególną napastliwością, ani oczywiście przychylnie, tylko tak, jak to bywało.

A jak bywało?

Istnieje jeszcze coś innego niż antysemityzm, coś trudniejszego do określenia niż antysemityzm i mniej efektownego w dyskusjach, więc rzadziej bywa brane pod uwagę. Antysemita przyznaje Żydowi byt choćby przez to, że go neguje, że pragnie go zniszczyć. Lecz przyznaje tym samym, uznaje Żyda za wroga, czyli jednak partnera, angażuje się w niego aż do paroksyzmu i trwałej obsesji i przez to samo czyni z żydostwa rację swojego własnego istnienia. Antysemita nie może żyć bez Żyda, nie może istnieć, czuć, myśleć. Natomiast ten ktoś, o kim teraz mowa, może się bez Żyda obejść nie jak człowiek, który obywa się bez obcego mu człowieka, ale jednak człowieka — tylko tak — i na tym to wszystko polega — jak się obywa bez ptaków z rybią łuską, czy ryby z ptasim upierzeniem. Czy to dla Żydów lepiej, czy gorzej? Zależy od okoliczności. Na przykład system krwionośny u każdego człowieka jest taki sam. Więc jeżeli jakiś człowiek krwawi, należy mu pomóc i ranę opatrzyć. Natomiast jeżeli krwawi Żyd, na przykład za sprawą antysemity, to tak, jakby krwawiła upierzona ryba. Więc i to krwawienie nie jest ludzkie, ani nawet zwierzęce, ono jest żydowskie, czyli żadne. Można się temu najwyżej przypatrzeć, ale bez żadnych uczuć, także bez nienawiści, czy bodaj niechęci. Przez zaciekawienie tylko.

W moim środowisku, w mojej rodzinie nie było więc antyse-

mityzmu. Ale czy było to coś innego? Nie chcę sądzić, nie chcę przesądzać. Powiedzmy ogólnie i ostrożnie, że było coś w tym rodzaju, odcień jakiś. Zresztą nigdy nie doszło do próby. Podczas okupacji żaden tropiony Żyd nie trafił do naszego domu prosząc o pomoc. (Choć i nikomu do głowy nie przyszło, żeby takiego szukać, to naturalne). Gdyby trafił, jestem pewien, że nikt by go nie wydał, prawie pewien, że dano by mu pożywienie, ale co dalej? Ryzykować życie dla Żyda? Niemcy zabijali zarówno złapanego, jak i tego, kto mu pomagał. To, co się działo podczas okupacji z Żydami nie budziło w moim otoczeniu uciechy, budziło zgrozę, ale była to zgroza wkomponowana w ogólną grozę wojenno-okupacyjną. Ostatecznie to, co się działo między Niemcami a Żydami to była sprawa między Niemcami a Żydami. Nie nasza, a więc nic nam do niej. Nieprzyjemna, więcej nawet niż nieprzyjemna, może nawet straszna, kiedy jej się przypatrzeć, ale nie nasza.

No właśnie. A tu, teraz, nagle, ni stąd ni zowąd — ten nos.

Odtąd, kiedy przechodziłem krakowskimi plantami, wzdłuż ławek, na których siedzieli beczynni, ale zawsze gotowi do akcji młodzi ludzie ze sfer chulikańskich — starałem się rozwiązać następujący dylemat: jak iść, żeby iść wyłącznie *en face*, to znaczy aby mój profil nie był widoczny z ŻADNEGO punktu widzenia? Geometria uczy, że to nie jest możliwe. Życie też.

Trudna sytuacja

Nie chcę przesadzać. Byłem wtedy pełen lęków i paranoi w ogóle, nie wychodzi się bezkarnie z takiej wojny i takiej okupacji kiedy ma się piętnaście lat, po pięciu takich latach zaczętych jako dziecko dziewięcioletnie. Sprawa mojego nosa na pewno była uzasadniona w otaczającej mnie wówczas rzeczywistości, choć wyolbrzymiona w mojej znerwicowanej wyobraźni. W szkole nie robiono z mojego nosa kwestii, co mnie pocieszało, bo nie ma nic okrutniejszego i w nieomyślności najniższych instynktów bardziej bezwzględного niż grupa niedorostków rodzaju męskiego. (W owych czasach gimnazja dzieliły się na męskie i żeńskie). Zresztą horda zawsze zostawiała mnie w spokoju wietrząc we mnie *outsider'a* o osobnych przeznaczeniach. Co nie znaczy, że ja zostawiałem w spokoju sam siebie i nie liczyłem się z hordą. Horda nie dostrzegała mojego nosa, ale ja wiedziałem, że go mam.

Tym bardziej, że wreszcie znalazł się jeden, który podczas przerwy między lekcjami stanął przede mną i powiedział: „Ty Żydu”.

Pamiętam jego nazwisko, ale go nie wymienię. Był muskularny i znany z wszechstronnej agresywności. Horda nie podchwyciła. To znaczy uznała, że chodzi o bójkę, normalna rzecz i żeby mnie sprowokować użył obelgi wyjątkowej, mocniejszej niż te, którymi obdarzaliśmy się zazwyczaj i które na nikim już nie robiły wrażenia. We mnie jednak, w owej panicznej sekundzie, była pewność, że on tak myślał naprawdę. I właśnie na skutek tej pewności nie uderzyłem go, nie zareagowałem, ku wiecznej mojej hańbie według kodeksu hordy. Ale czy tylko według tego kodeksu?

Oczywiście bałem się jego siły, ale to inna sprawa, taki strach daje się przezwyciężyć pod wpływem impulsu. Tylko jakiego impulsu w tym moim wypadku. Takiego widocznie, którego mi zabrakło.

Czyżby ta straszna obelga była nie tylko straszną obelgą, ale także — gdzieś w mojej głębi, zdemaskowaniem mojej haniebnej tajemnicy? Ale jakiej tajemnicy na Boga, skoro ja nie Żyd, ja katolik! Czy też: zareagować, uderzyć go — to byłoby przyznaniem się i uderzyłbym go jako Żyd, któremu mówią „ty Żydu” tonem obelgi i wobec tego musi bronić żydowskiego honoru? Ale jakże przyznać się, kiedy w sumieniu swoim nie ma do czego? Więc bić jako Słowianin szwoleżer urażony na aryjskim honorze? Można, tylko wtedy trzeba mieć inny nos. Tak, owak, czy jeszcze inaczej — paraliż. Sytuację skomplikował dodatkowo fakt, że mój napastnik, choć nie czarny, rysy miał, jak to się mówi, charakterystyczne. Więc czyżby i on... Może on tylko żeby uprzędzić... odwrócić od siebie podejrzenia. Na szczęście sprawa natychmiast poszła w publiczne zapomnienie, ale na nieszczęście nie w moje własne. Tym bardziej, że jednocześnie i skądinąd palił mnie wstyd za moje niemęskie zachowanie. Stchórzyłem, ale przed czym właściwie? W tym sęk, zupełnie nie umiałem się w tym wszystkim połapać. Zachowałem się jakoś źle, ale jakkolwiek rzecz obrócić, nie miałem pojęcia na czym to źle polegało. Ale źle na pewno. I to źle na pewno było nie bez związku z tym, co zdarzyło się jakiś czas potem i jak ja się wtedy zachowałem. Bowiem „źle” rzadko pozostaje bez potomstwa.

Prowokator

Otóż było w naszej klasie dwóch Żydów, jeden, którego nazwiska nie pamiętam był Żydem, jeżeli tak można powiedzieć, ulgowym. Przystojny, ujmujący w obejściu, nie zaprzeczał, że jest Żydem gdy go o to pytano, ale robił to jakoś tak mimo-

chodem, elegancko — powiedziałbym — i bez konsekwencji. Zresztą szybko przewinał się przez nasze szkolne życie i zniknął z tą samą zręcznością z jaką brał w nim udział. Ale czy brał naprawdę? Był między nami, ale raczej jak podróżnik, który na etapie stosuje się do tubylczych obyczajów, grzecznie i ze znajomością rzeczy, ale nic więcej.

Jemu z żydostwa nie robiono szczególnej sprawy. Czy dlatego, że nie „wyglądał”? Ale przecież wiadomo było, że jest Żydem, choć nos miał — co mnie dziwiło i co uważałem za niesprawiedliwe — zupełnie „normalny”, prawie taki jak Errol Flynn.

Więc może dlatego, że wszystko skupiło się na drugim? Ten drugi nie tylko, że był Żydem, ale i nadawał się na Żyda po prostu idealnie. Wprawdzie nos miał mniejszy od mojego, ale za to wszystko inne miał takie, jakie przedtem oglądało się na hitlerowskich plakatach antyżydowskich, a teraz ogląda się na „antysyjonistycznych” plakatach moskiewskich. Przesada oczywiście, ale powierzchowność miał nieprzyjemną. Gruby, o niezdrowej cerze, z wargami, które Stanisław Ryszard Dobrowolski opisałby jako „obleśne”, wylupiasto-krótkowzrostowy, z bełkotliwą wadą wymowy i prychający śliną, zwłaszcza kiedy się zdenerwował, (a zdenerwowany był stale, sam z siebie i ponieważ o to zadbano), o dziwnie nieforemnej głowie i karku bez szyi. Nazwisko jego pamiętam, ale zastąpię je tutaj zmyślnym. Powiedzmy: Cwibelsztajn. Brzmi równie beczelnie, prowokacyjnie żydowsko jak jego własne.

I ten Cwibelsztajn mało, że był Żydem, mało, że był aż takim Żydem, to jeszcze był z tego dumny.

Gdybyż znosił swój los w pokorze, uznał swoją niższość, przeproszał, że jest Żydem, zabiegał o łaski i względy, nie byłoby mu aż tak źle. Ostatecznie byłby wtedy na swoim miejscu i w swojej roli. Ale on swoje żydostwo ogłaszał bezwzględnie i donośnie i tak, jakby chodziło o wartość równą co najmniej polskości. Kiedyśmy odmawiali modlitwę przed i po zakończeniu lekcji (w owych czasach odmawiano jeszcze modlitwę w szkole: „Dzięki Ci Boże za światłość tej nauki, pragniemy, abyśmy nią oświeceni...” itd.) on stał z podniesioną głową, hardy i wyzywający, jak nam się zdawało, bo przecież powinien być — jeżeli nie przestraszony swoją obcością — to zakłopotany przynajmniej. Jego nieobecność na lekcjach religii (w owych czasach lekcje religii były obowiązkowe) była legalna i równie naturalna, jak nienaturalna byłaby jego obecność. Ale dla nas ta naturalność była naturalnością nie tyle nieobecności, ile wykluczenia, usunięcia go ze społeczności, a legalność — zalegalizowaniem wzgardliwej niechęci

do wykluczonego. Choć jednocześnie i po cichu trochę żeśmy mu tej nieobecności zazdrościli, bo miał wtedy wolne.

Gdyby więc uciekał, stronił, albo choć nie patrzył w oczy, lepiej by mu było. Ale on, gdy go atakowano, bronił się, a kiedy nie mógł się obronić, atakował. Był nieustępliwy, zaciekły i zaczepny. I to kto, ta zadyszana oferma, ta słabowita pokraka? Takie postępowanie domagało się sprawiedliwej kary i sam sobie był winien, że nie miał lekkiego życia.

Chodziły słuchy, że należał do tajnej organizacji żydowskiej Haganah, przygotowującej powstanie państwa Izrael. Może i należał, jeżeli jakieś komórki tej organizacji istniały wówczas w Polsce. Ale tak mówiono, żeby było śmieszniej, bo Cwibelsztajn z bronią, to dopiero heca. A w ogóle to były śmieszne tematy. Kiedy Cwibelsztajn w jakiejś dyskusji mówił o prawie Żydów do własnego państwa, wyniknęło z tego, że takie państwo miałyby posiadać także własną flotę. Żydki-marynarze! To wzbudziło powszechną wesołość.

Dla ścisłości: nie trzeba sądzić, że ten krótki okres (bo Cwibelsztajn również pewnego dnia już więcej się nie pojawił) był dla niego pogromem bez chwili wytchnienia. Zdarzały się momenty rozluźnienia, koleżeństwa czy po prostu odwrócenia uwagi. Poza tym, że był Żydem, był też naszym rówieśnikiem i współuczestnikiem szkolnej doli, a naturalne prawa współzycia nie mogą się ograniczać — z samej natury współzycia — tylko do negacji i konfliktów. Zaś horda, poza tym, że była hordą, składała się z różnych i bardzo odmiennych jednostek, które nie zawsze działały jako horda. Prześladowanie, nawet kiedy się wzmagало, nigdy jak dotąd — czyli do tego momentu mojej opowieści — nie dochodziło do bicia. Zresztą są różne sposoby prześladowania, zwłaszcza w szkolnym, podobnie jak w koszarowym, czy obozowym życiu. Jedno miał zapewnione: nigdy — i w tym rzeczywiście nie miał ani chwili wytchnienia — nie mógł być pewien dnia, godziny ani sekundy.

Ja w dręczeniu Cwibelsztajna nie brałem udziału. Może dlatego, że dręczenia w ogóle nie lubię, lektura Markiza de Sade tyleż mnie podnieca, co „Kapitał” Marksa. Zresztą nie-dręczył Cwibelsztajna mogłem bezpiecznie, bo to zgadzało się z moją pozycją *outsider'a*. I trzeba też powiedzieć dla ścisłości, że dręczenie Cwibelsztajna nie było przymusowe. Dręczył kto chciał, kiedy chciał i na tyle, na ile miał ochotę.

Uczył się doskonale, ale nie tylko dlatego, że był bardzo zdolny. Uczył się z nieludzką pilnością, co samo w sobie było już denerwujące, ponieważ pogardliwość dla prymusów była w do-brym tonie. Nie pracować, ale jakoś dawać sobie radę, taki był styl. Ale to nie była tylko pilność, on uczył się przeciwko

nam, wbrew nam i pomimo nas. Wyzywająco. Jak wszystko co robił, albo czego nie robił. Bo cały był wyzwaniem i prowokacją.

Osiągał więc doskonałe wyniki nawet w tych przedmiotach, do których był mniej uzdolniony z natury. Jedno tylko mu się nie udawało: gimnastyka, czyli tak zwane wychowanie fizyczne. To była jedyna porażka jego woli, kiedy bez tchu, purpurowy jakby go za chwilę szlag miał trafić (tym śmieszniejsze), obszcnicznie niezdatny próbował i nie mógł wykonać najprostszycich ćwiczeń. Ten widok stanowił dodatkową atrakcję gimnastycznych lekcji. Jak on się przewracał, osuwał, padał, dyszał, czerwieniał i nie mógł. Choć próbował, próbował i próbował wciąż, wciąż i wciąż od nowa z tą samą co zawsze, ale w tym wypadku bezskuteczną, choć tak namiętną determinacją. Wreszcie, prawdopodobnie z obawy przed jakimś poważnym incydem i odpowiedzialnością, nauczyciel gimnastyki wykluczył go z tej — dla niego męki, a dla nas uciechy — może porozumiał się z jego rodzicami, czy opiekunami (o jego życiu prywatnym nic nie było wiadomo) albo postarał się o zakaz lekarski. Nie powiem: zwolnił, ani: zwolnienie lekarskie, ponieważ Cwibelsztajn nigdy i z niczego nie chciał być zwolniony. Podobno był chory na serce, czy na coś innego, dokładnie nie wiadomo, bo to nikogo szczególnie nie interesowało. W każdym razie odpadł z gimnastyki, ale dwie rzeczy zapamiętano: jego ambicję także w tej dziedzinie, oraz jego absolutną niesprawność fizyczną.

Wolna lekcja

Było to podczas tak zwanej wolnej lekcji, czyli kiedy zostawiono nas bez nadzoru, poleciwszy tylko nie opuszczać klasy, do czego oczywiście stosował się kto chciał. A zaczęło się wszystko od dwóch par rękawic bokserskich. Nie pamiętam kto wpadł na pomysł, żeby sprowokować Cwibelsztajna. Może to był pomysł kolektywny, czyli wziął się sam z siebie. Kilku niesportowców przyłączyło się do grupy sportowej, jedni zapewne ze szczerą ochoty, inni z nudów, a niewykluczone, że także ze względów nie mających nic wspólnego z Cwibelsztajnem, tylko z ich osobistymi sprawami do załatwienia. Tutaj mam na myśli przede wszystkim jednego małego i dziobatego, który, choć wcale nie Żyd, był pośmiewiskiem klasy. Cierpiał z powodu małego wzrostu, dziobatości i lichy wie czego jeszcze, bo nie wszystkie prawa, według których ustala się hierarchia w stadzie są wiadome. On był na spodzie tej hierarchii. (Żyd, to osobna sprawa, Żyd jest w ogóle poza hierarchią, bo do stada nie należy). W każ-

dym razie ów mały zapłonął szczególnym entuzjazmem do pomysłu i okazał się najbardziej aktywny w jego realizacji.

Niby żartem zaproponowano Cwibelsztajnowi mały meczyk, ot, niezobowiązujący „szparing” raczej. Żart polegał na pewności, że Cwibelsztajn do boksu w ogóle się nie nadaje, lecz mimo to nie odmówi.

Dlaczego nie odmówił? Przecież wiedział, na co się zanosil. Na co liczył? Nie mógł liczyć na nic. Dlaczego więc podjął wyzwanie, choć wiedział, że go prowokowano i że nie miał żadnych szans, jeśli przyjmie prowokację. Wątpię, czy jego odwaga była jedynie naturalną cechą jego charakteru. Wątpię nawet, czy to była jedynie odwaga i nic więcej. Bał się najwyraźniej, kiedy zawiązywano mu rękawice, pocił się i bladł, bał się śmiertelnie. Prawdopodobnie pokonał swój strach, jakże uzasadniony i zgodny z najzwyczajszym zdrowym rozsądkiem w imię jakichś zasad, w imię obrony czegoś, co wykraczało poza jego osobistą i jednostkową tylko sprawę, czegoś, o czym nie wiedzieliśmy i nie chcieliśmy wiedzieć, a co dla niego było najważniejsze, ważniejsze od jego własnego strachu, bólu i utraty zdrowia.

Bił go mały i bił tak skutecznie — bo bił jak chciał i bez żadnego dla siebie ryzyka — że prawie natychmiast krew poszła z nosa bitego, a krew to rzecz poważna i kiedy ją zwęszy człowiek, albo zwierzę — sytuacja nabiera innej jakości. Coś wtedy tak się zmienia w człowieku, czy zwierzęciu, że nie wiadomo do czego doprowadzić może, wiadomo tylko, że to coś zaczyna samoistnie, wymyka się kontroli i samo przejmuje władzę. I co wtedy ono robi z człowiekiem? Zależy z jakim. Ze mną nic nie zrobiło, to znaczy nic tylko w tym sensie, że nie ruszyłem się z miejsca, z którego, w pewnej (jak zwykle) odległości od miejsca akcji ja to wszystko widziałem. Jak tkwiłem od początku tak tkwiłem i nadal, a nawet tkwiłem jeszcze bardziej, tkwiłem absolutnie. I jedyne, co najwyraźniej pamiętam, to poczucie realności tego wszystkiego, ale to wszystko było takie, że niemożliwe, żeby było, wobec tego też i nierealności, w rezultacie ogromne, naczelne i daremne pragnienie, żeby nie było niczego, realnego czy nierealnego, łącznie ze mną samym.

W tym momencie wszedł do klasy kolega, którego nazwisko pamiętam i wymienię. Nazywał się Leszek Herdegen. Wysoki blondyn o urodzie wymarzonej przez niemieckich teoretyków ras, brał udział w Powstaniu Warszawskim, siedział w więzieniach niemieckich i z nich uciekał, miał ojca na Zachodzie, psa i piękną narzeczoną, nosił kurtki z amerykańskiego demobilu, palił papierosy, jeździł na rowerze i mówił autentycznym, wyjątkowo dźwięcznym i doniosłym barytonem. Uczył się od niechcenia i źle, ale profesorowie jakoś mu wiele wybaczały, choć traktowali ich z naiw-

na niby nonszalancją. Był zgodnie akceptowany, cieszył się nim i prestiżem, odpowiadał regułom hordy, z wyjątkiem sportu, którym gardził, a jednak w jego wypadku nie miało to żadnego znaczenia. Był „swój”, najbardziej „swój” jak tylko być można.

Zobaczywszy co się dzieje Leszek zbladł, a potem zaczął krzyżeć. Nigdy już potem nie pamiętam go tak krzyczącego, choć znałem go przez wiele następnych lat. Obrzucał oprawców Cwibelsztajna najgrubszymi przekleństwami i wyzwiskami, ale co dziwniejsze, również i słowami takimi jak: nikczemność, podłość, hańba, wstyd. Nikt mu się nie przeciwstawił, nie opierał, nie próbował nawet protestować. Zresztą nawet gdyby ktoś próbował, nie podobałby chyba tej jego furii, oczom białym z wściekłości, głosowi, od którego brzęczały szyby i trzęsły się ławki, słysząc go było chyba aż pod Wawelem. Jak gdyby doznał osobistej zniewagi, od której oszalał, lub co najmniej jakby to Żydzi bili Polaka, a nie Polacy Żyda. Zniknęli oprawcy, zostali tylko zmieszani gówniarze.

Ale w tym zmieszaniu odczuliśmy też i wielką ulgę. Może nawet i mały-dziobaty wdzięczny był Leszkowi, że rozstrzygnął jakoś tę sytuację. Jakby Leszek nie tylko Cwibelsztajna, ale i jego samego przed czymś uratował. Ulgę i jakby z czegoś wyzwolenie.

Leszek już nie żyje, Cwibelsztajna straciłem z oczu, nos mi pozostał. Ale dzisiaj ja go nawet lubię. Przysporzył mi wiele cierpień, ale gdyby nie on, mniej bym teraz rozumiał, a czułbym jeszcze mniej.

Sławomir MROŻEK

**POLSKA KSIĘGARNIA NA MANHATTANIE
POLISH BOOKS & ARTS, INC.**

**97 EAST 7th STREET, NEW YORK, NY 10009
Tel.: (212) 254-8457**

Książki polskie. — Książki w języku angielskim dotyczące spraw polskich. — Słowniki. — Podręczniki. — Płyty i kasety. — Bogaty wybór polskich plakatów.

Przyjmujemy książki w komis.
Realizujemy zamówienia pocztowe.

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 385 — RYSZARD BUGAJSKI

PRZESŁUCHANIE

Halucynacyjny opis metod i tortur fizycznych i psychicznych stosowanych przy przesłuchaniach w czasach stalinowskich w Polsce.
Str. 112. Cena F. 45,00.

TOM 386 — LEOPOLITA

TEKSTY CYWILNE

Pisane w okresie od 1976 do końca października 1983 pasjonujące rozważania znanego pisarza i krytyka literackiego na temat politycznej i kulturalnej rzeczywistości w kraju.

Str. 176. Cena F. 55,00.

TOM 387 — JERZY HOLZER

«SOLIDARNOŚĆ 1980-1981»

Geneza i historia

Str. 357.

Cena F. 95,00.

TOM 389 — HENRYK SIEWIERSKI

SPOTKANIE NARODÓW

Losy Polaków w Związku Sowieckim w czasie drugiej wojny światowej i ich kontakty na terenie więzień i łagrów z przedstawicielami wielu innych narodów uciskanych przez ZSSR.

Pierwszy raz zebrane i przypomniane wszystkie książki i wspomnienia które ukazywały się na ten temat w czasie wojny i zaraz po niej, z których większość nie jest znana.

Str. 144.

Cena F. 55,00.

Folklor tamtych czasów* (I)

Na podstawie budowy jednego plastra miodu można określić strukturę wszystkich; tylko na ulicach Radomia, w gmachu mieszczącym sądy i na spektaklach rozgrywanych tam od jesieni 1976 po wiosnę 1977 można było jak w laboratoryjnej próbówce obejrzeć w precyzyjnym skrócie rozległy i znaczący obraz życia w PRL w trzydziści parę lat po wyzwoleniu z jednego totalitaryzmu przez drugi.

Przyjeżdżało się do tego miasta rano, koło ósmej, samochodem, pociągiem, autostopem. Jesienią i zimą brnęło się na ogół po błocie, po dziurawych chodnikach pełnych kałuż, przez martwe, szare ulice. Czy Radomiacy obrażą się za ten pejzaż ich miasta wbity mi w pamięć i nerwy taki a nie inny? Wszystkie kawiarnie zamknięte (to było ważne, bo rozprawy zaczynały się najwcześniej o 9-tej, człowiek był niewyspany, zazwyczaj zmarznięty i głodny); przed zaryglowanymi sklepami o pustych witrynach ukazujących puste kaflowe ściany koczowały gromady kobiet, często najwidoczniej przyjezdnych, z wiejskimi tobołami; powiedziano mi, że kolejkę „za mięsem” zajmuje się poprzedniego wieczora lub nocą (system ten nie był zastrzeżony dla Radomia; już w połowie lat siedemdziesiątych tak zdobywała żywność polska prowincja). Sporo pijanych — rano; dużo mundurowej milicji. Przy jednej z pryncypalnych ulic miesiącami gniły jeszcze na deszczu i śniegu resztki trybuny ustawionej tu w lipcu 1976 na skrzyżniętą nagle właśnie w Radomiu centralną uroczystość ku czci MO i SB, które tak umiejętnie stłumiły przed niespełną (wówczas) miesiącem robotnicze rozruchy w robotniczo-chłopskim państwie.

* Fragment nieukończony jeszcze opowieści z dziejów KOR-u.

Przez te ulice pilotowali nas na ogół do sądu i z sądu cywilni osobnicy nie ukrywający swej profesji. Po filiżance kawy w szczęście otwartej wreszcie hotelowej kawiarni niedaleko sądu szło się już wprost do siedziby radomskiej Temidy, całej wówczas w rusztowaniach, z zachłapanymi farbą szybami. Mieściła się na zbiegu trzech ulic, kute drzwi w ściętym narożniku otwierały się ciężko w mroczne wnętrza.

Widzę to wewnątrz. Może nie wszystko zauważyłam pierwszego dnia, kiedy tam weszłam z Kuroniem, ale później byłam tam jeszcze wiele razy. Na wprost drzwi schody, które się rozdważyły na półpiętrze w prawo i lewo. Na każdym piętrze ciemne korytarze rozbiegały się w dwie strony ku zachłapanym oknom na dwu przeciwległych krańcach. Budynek bez szatni, ubicacje publiczne jak niemal wszędzie w Polsce: groza. Zresztą w całym tym gmachu, na całą niezliczoną ciżbę ludzi zapelniającą parter i dwa piętra — czynna była tylko jedna „toaleta” na parterze. Do drugiej — na piętrze — wstęp mieli tylko pracownicy sądu; ta zamknięta była na klucz. Kolejkę czekających przed ubicacją przeznaczoną do użytku publicznego trudno opisać.

W korytarzach chyba po obu stronach drzwi do sal i pokoi urzędowania. Może dlatego prawie nie było ławek. Za to pełno ludzi w wilgotnych płaszczach podpierających ściany, babin z tobołkami, wyszarżanych dzieci, których nie było z kim zostawić w domu. Na pierwszym piętrze w centralnym miejscu naprzeciw schodów dwoje drzwi: jedno do sali Sądu Wojewódzkiego, drugie zaraz obok do posterunku MO. Tam wprowadzano przed rozpoczęciem rozprawy i na przerwy sądzonych robotników w kajdankach; w te drzwi stukały i biły pięściami pochlipujące kobiety z bezskutecznymi prośbami, aby milicja przyjęła od nich kanapki, jabłka, papierosy dla ich mężów i synów.

Zaduch nędzy i wilgoci unosił się nad zabłoconym parkietem w półmroku bezokiennych korytarzy. Świadkowie, rodziny oskarżonych, tłocząca się publiczność — nikt prawie nie miał na czym usiąść. W dniu, w którym po raz pierwszy znalazłam się w tym gmachu, nieliczne ławki przykryte były gazetami i papierzyskami: świeżo malowane. Podarte i przyklejone do ponurej brunatnej farby strzępy tych papierzysk służyły ludziom do składania na stosy pałt, starym babinom do przysiadania choć na chwilę; rajtuzy zmęczonych dzieci pełne były brudno-rudych palm. Świeży tynk ścian zostawiał na ramionach i plecach białe ślady, z zawsze przepełnionych popielniczek w kształcie spluwaczek na wysokich nogach wysypywały się na podłogę niedopałki, ogryzki jabłek, śmieci.

W tym otoczeniu wiara w sprawiedliwość wydawała się dość trudna. Nie zauważyłam też, żeby sprawiedliwości ktoś tu

oczekiwał. Ludzie wokół — rodziny robotników mających stanąć przed sądem dziś, jutro, w następnym tygodniu czy miesiącu, ci, z którymi się rozmawiało, którzy podchodzili, żeby się czasem zaledwie szeptem, ukradkiem, porozumieć, podać jakiś adres, nazwisko, którzy częstowali jabłkami i bułką, a podczas rozprawy opiekowali się naszymi płaszczami — ci byli jakby z góry przeświadczeni, że gdy już człowiek dostanie się w ich ręce, może zostać tylko bardziej lub mniej skrzywdzony. Tamci inni, trzymający się w osobnych grupkach, strzelający w nas czujnymi spojrzeniami, bezczelnie zagląający nam i naszym rozmówcom w twarze — też z pewnością nie zostali tu wezwani na pokaz praworządności ani nie byli jej symbolami. Sylwetki i fizjonomie wielu z nich zapamiętałam na zawsze: niektórzy — jak my — byli najwierniejszymi bywalcami radomskich rozpraw.

Trzaskały drzwi posterunku. Wychodzący stamtąd lub tam wchodzący mundurowi — niebywale zresztą liczni — posiadali co do jednego niezwykłą umiejętność, o której dotychczas czytałam jedynie w książkach: patrzyli przed siebie nie widząc. Nikt nigdy nie znajdował się na linii ich wzroku: „od obserwacji” byli tamci w cywilu. O sztywne karki nad kołnierzami mundurów wspierały się głowy o proletariackich twarzach robotniczych i chłopskich synów; ale od najmłodszego po najstarszych wyniesieni zostali wysoko ponad takich jak oni sami, jak ten tu robotniczy i półchłopski lud, który czuł jeszcze na swych grzbietach i czaszkach ich pałki i pięści, który spodziewać się mógł od nich tylko pałek, pięści, kopniaków i fałszywych zeznań. Ci, którzy ze swej pałkarskiej władzy czerpali satysfakcję degeneratów i renegatów, nie dostrzegali nikogo zapewne z pogardy; inni — bo jednakowi nie mogli być wszyscy — być może, z zawstydenia. W każdym razie rzucał się tu w oczy ostry podział na poniżanych i poniżających.

Tyle spacer przez Radom i pobyt w przedsionku miejscowej świątyni sprawiedliwości.

— Słuchaj, uważaj, patrz, trzeba wszystko słyszeć, wszystko widzieć — upominał mnie pierwszego dnia Kuroń. Mógł sądzić, że się psychicznie zagubiłam w tej ciżbie, w plusku rozmów, wśród czepiających się nas rąk, pod drwiącym wzrokiem tajniaków: mam taką swoją „gładką” minę, „zewnątrzną twarz” na okazji większych napięć i emocji nadchodzących na mnie publicznie. W dodatku, jeśli mogę wtedy milczeć, milczę. Rozgadane-mu z ludźmi Kuroniowi dorównywałam tylko w paleniu papierosów jednego po drugim. Z posterunku wyszedł niemłody sier-

żant z piękną twarzą, cienkie rysy, gorzkie wąskie usta, chabrowe oczy wbite głęboko pod wyrazistym łukiem brwi. — Bydlak — powiedziała trzęsąc się dzisiejsza oskarżona, Zofia Sadowska. — Jak po mnie przyszedli do domu, dziecko czepiło się mnie, nie puszczało. To je tak trzasnął, że upadło na głowę, potem trzy dni nie mówiło i nie słyszało. — Przyświadczyli sąsiedzi; po aresztowaniu matki dziecko przez kilka dni — póki jej nie puszczone na tak zwaną „wolną stopę” — było u nich. Dziecko, jedenastoletnia może dziewczynka, zachowywało się spokojnie; na niebieskiej czapeczce ściana sądowego korytarza odbiła białą pieczęć. Na przylepionej do ławki gazecie siedziała mamrocząc, opatulona w chusty stara kobieta; usłyszałam, że się nazywa Kaimowa; ma pod Radomiem kawałek ziemi, dwudziestoparoletni syn, chłoporobotnik, jedynak, który obrabiał tę ziemię, siedzi „za czerwiec”. Wydawała się niczego w ogóle nie rozumieć; mąż niedołęzny, mamrotała, ziemniaki trzeba kopać, a jego nie ma, syna; dali jej widzenie, to całe ręce miał czarne, patrz, matka, i pokazywał jej te ręce całe czarne od bicia.

I ona, i inni przychodzili tu do sądu, bo słyszeli, że są jacyś z Warszawy, co chcą bronić, dać adwokata, czy coś takiego, że ich tu można spotkać, sam adwokat też tu przychodzi. Ale ona, Kaimowa, pieniądze na adwokata nie ma. Jest sama, stara, mąż niedołęzny, kto te ziemniaki... Zanotowałam jej nazwisko i adres o krok od kogoś z rękami w kieszeniach; jeszcze go nieraz w tym korytarzu i na sali sądowej zobaczę.

Wysoki i prosty jak struna, z nagą, kształtną czaszką widoczną nad głowami wszystkich, pojawił się mecenas Siła-Nowicki, Siła, jak się go po prostu nazywało, człowiek-legenda, jeden z kilku późniejszych mrówek-adwokatów, uwijających się między najdalszymi od siebie zakątkami kraju od jednego trefnego procesu do drugiego. Powiało przedwojennym salonem, ziemiaństwem, nie dającą się podrobić kindersztubą. Matki i żony aresztowanych, przyszłych podsądnych, podpisywały mu *in blanco* formularze upoważniające do obrony swoich bliskich. Liczył je ołowiany wzrok tajniaków, strzepujących popiół z papierosów do tej samej popielniczki, co my, ocierających się o nasze płaszcze. Stawało się coraz ciasniej, rozmowy przycichały do szeptów. Kartka maszynopisu przypięta pluskiewką do drzwi sali rozpraw — wokanda — informowała o wyznaczonym na dziś procesie Zofii Sadowskiej, podawała nazwiska świadków i obrońcy, milczała — co okazało się regułą — o składzie sądu i prokuratorze, przypominała o godzinie rozpoczęcia posiedzenia: godz. 9.00. Godzina dziewiąta minęła już godzinę temu. Odwlekanie rozprawy — lub przekładanie jej na późniejszą porę — także okazało się regułą.

Prawie wszystko w ogóle, co tu zobaczyłem po raz pierwszy, okazało się regułą. Scenerię, scenopis i scenariusz do wszystkich radomskich procesów opracowano według tej samej receptury. W blisko rocznym okresie coś tam w proporcjach stałych składników falowało, inaczej kładziono akcenty i naciski, stopniowano nastrój zagrożenia, gęstość sztucznego tłoku, procent alkoholu we krwi „robotniczego aktywu”, wydawano mniej lub więcej przyzwoleń na rozmaite ekscesy i utrudnienia wobec KOR-owskich obserwatorów. Jednak zasadę reżyserii i rodzaj możliwych do przewidzenia *gag'ów* w tych spektaklach rozpoznać można było i zrozumieć już po jednym z takich radomskich przedstawień. Po kilku zostawało się prawdziwym rzeczoznawcą.

Więc najpierw zawsze to wyczekiwanie; w atmosferze jak wyżej. Więc jednego dnia mniejsza, drugiego większa ilość tych samych osobników raz bardziej, a raz mniej natarczywych, hałaśliwych, awanturnicznych, kraciastych, skórzanych, ukożuchowionych (jeden zawsze w tzw. „dyplomatce” z czarną walizeczką-akuszerką, poważny, z młodą twarzą sumiennego urzędnika; ten nigdy nie brał udziału w żadnych ekscesach). Więc ta wokanda na drzwiach nigdy nie podająca nazwisk sędziego i ławników ani prokuratora. Więc te mundury i spojrzenia niczego spod milicyjnych daszków nie widzące.

O jakimś czasie do sali rozpraw zaczynali przemykać się wśród tej ciżby to jakaś pani, to jakiś pan, to znowu ktoś. Potem już się ich rozpoznawało: o, prokurator, o, sędzia, protokollantka. Ilość mundurów przed wciąż zamkniętą salą wzbierała. Bliskość rozpoczęcia rozprawy poznawało się po tym, że na drzwiach rozkrzyżowywało się paru milicjantów, a dokoła nich zbijała się ciasno zwarta grupa cywilów na służbie. Żeby wedrzeć się na rozprawę, trzeba było przedtem wedrzeć się między nich.

Nie było to łatwe, ale możliwe. Jednak żaden tramwaj, ani autobus o żadnej godzinie szczytu nie przewozi w Polsce tak zwartej i splecionej grupy Laokoona — tyle że liczniejszej niż pierwowzór — jaką stanowiliśmy pod radomskimi salami rozpraw my: Służba Bezpieczeństwa i KOR-owscy obserwatorzy.

Tamci nie mieli rozkazu, żeby naprawdę nie wpuścić, za wszelką cenę odepchnąć nas, wykopać. Skoro przecież wtłaczaliśmy się między nich, wydana im instrukcja musiała brzmieć: utrudniać, przeszkadzać, zohydzać; ale pamiętać, że rozprawy kurwa, są otwarte. Na otwarte rozprawy każdy, kurwa, może wejść. Teoretycznie. W praktyce — niech im się odechce.

Więc jeśli bardzo mocno wciskałeś w ten bezczelny gąszcz ludzki rękę, ramię, łokieć, jeśli z całej siły napierałeś nogą i biodrem, mozolnie wkręcając za nogą i biodrem tułów, jeśli wresz-

cie — spływając potem — szukałeś cierpliwie miejsca dla drugiej nogi stojąc tymczasem na pierwszej — już tam wplecionej ściśle między cudze łydki i uda — jakoś w końcu dostawałeś się we wnętrze ciżby. Zaczynałeś sam stanowić jej część: jedna wielka wspólnota.

Całkiem nagle któryś z rozkrzyżowanych na drzwiach milicjantów uchylał je na szerokość przekrojonego wzdłuż człowieka. Na tę szparę rzucała się hurma cywilów rozweselonych sytuacją. Przychodził drugi ważny moment: przeczyć razem z nimi. A jeśli razem, to tak samo jak oni: rozpychając się, walcząc, wpijając palce w futrynę drzwi, depcząc po nie wiadomo czyich nogach. Szamotanina, zajadła przepychanka, zmieszane, przyspieszone oddechy. Zdaje się, że ta część bitwy odbywała się raczej w milczeniu. Tak ją zapamiętały moje uszy: łomot krwi we własnej czaszce, uderzenia bębna w piersiach, tępy szurgot wielu butów, odgłos uderzeń ciał o ściany i drewno drzwi, stęknienia i sapanie ludzi ciężko pracujących fizycznie. Wszystko pod akompaniament okrzyków mundurowej władzy: — Najpierw rodzina! Miejsc mało! Wchodzą krewni!

Po intensywnej walce pod drzwiami i w drzwiach „tamci”, parę osób z rodziny oskarżonego i my — kto tam z nas miał tego dnia szczęście — wpadaliśmy z całym impetem do małej salki — już, o dziwo, zawsze mniej lub bardziej obsiadłej przez „najbliższych krewnych”, dokładnie znanych żonom i matkom oskarżonych jako miejscowa Służba Bezpieczeństwa. Dopadało się pierwszego z brzegu skrawka ławki, nasi przeciwnicy z dopiero co stoczonych bitwy i my; wpaśowywaliśmy się, jak kto mógł, między szeroko rozsiadłe postacie, wywatowane, barczyste i biodrzaste. Stać zazwyczaj nie było wolno; czasem jakiś sędzia odstępował od reguły, chwalał mu choć za to. Prawdziwi krewni oskarżonych kurczyli się więc i zważali na z trudem zdobytych miejscach, aby starczyło ich i dla nas. Zdarzało się nawet, że ktoś z rodziny któremuś z nas ustępował swoje własne miejsce. W tych ludziach przez wszystkich opuszczonych budziliśmy nadzieję na nadzieję.

Gdyby nie ich zaufanie i życzliwość — te jabłka i bułki, to zajmowanie dla nas miejsc, gdyśmy ich sami nie zdobyli, te żałosne przestrogi w rodzaju „uważajcie”, „nie wychodźcie z sądu sami”, „pani stanie między nami, ten koło pani to ubek” — o wiele większym kosztem psychicznym opłaciłabym samą już tę tylko sytuację, w której musiałam wdzierać się i wpychać do wszystkich tych sal, za każdym razem walcząc z całej siły z mężczyznami, odpychając ich łokcie i ramiona, które mnie odpychały, z twarzą wciśniętą pomiędzy ich barki, piersi, twarze, deptana przez ich buty, depcząc po ich butach. I tak musiał upły-

nąć pewien czas, i tak trzeba było „zaliczyć” kilka takich rozpraw, wręcz sporo takich walk — bo powtarzały się one po każdej z przerw w każdym procesie — aby odcucić się uczucia, że nie jest to właściwie do zniesienia. Wkrótce stałam się „procesowym wygą”. Ale za pierwszym, drugim razem byłam bliska torsji i — przynaję — rozpaczy.

Prócz — jak powiedziałam — „najbliższych krewnych” zajmujących jeszcze w zamkniętej sali lwia część nielicznych miejsc przeznaczonych dla rodziny oskarżonego i publiczności — świadkiem naszego nieprzystojnego wpadania do wnętrza był zespół sędziowski w pełnym składzie. Siedzieli pod państwowym godłem, na tle okien zachlapanych wapnem, z krzyżówką rusztowań za szybami. Rozprawa po rozprawie oglądali to samo kłębowisko, te same wulgarnie przepychanki w drzwiach; czasami — o tym później — bywali świadkami widowisk charakterystycznych dla folkloru najbardziej podrzędnych knajp, a rozgrywanych tu w sądzie. Proces po procesie też usiłowali upodobnić bezprawie do prawa, co nie udało się jeszcze nikomu.

Jak zawsze, czym innym jest wiedzieć, a czym innym widzieć, słyszeć, doświadczyć. Zawistość sądu w PRL dla niewielu była tajemnicą; ja na przykład znałam tę tajemnicę, nim zrozumiałam, co naprawdę oznacza. Mój ojciec, przedwojenny sędzia, nie chciał wykonywać swojego zawodu w PRL, i jego dzieci od małego wiedziały, czemu. Od dawna nie żył już, gdy pierwszy raz przyjechałam do Radomia; nagle zaczęłam myśleć o nim częściej niż przedtem, w dni moje powszednie. Przypłynęło nawet wspomnienie starej fotografii: okryty sukniem długi stół, na ścianie orzeł z koroną, za stołem trzej sędziowie w togach; w środku mój młody ojciec z łańcuchem przewodniczącego na piersiach.

Padłszy na ławę, zdyszana, pierwszy raz w radomskiej sali rozpraw zobaczyłam przed sobą to zdjęcie; tutaj zrobiono z niego fotomontaż. Te same dekoracje, tylko orła pozbawiono korony, a na miejscu poniechanym przez mojego ojca — funkcjonariusz aparatu zemsty, sędzia Dobrowolska. Z tamtą fotografią przed oczami poczułam dumę osoby s z l a c h e t n i e u r o d z o n e j: dzieci pani Dobrowolskiej ani innych jej podobnych sędziów tego uczucia nie poznają.

Więc — mówię — niby wiedziałam. A przecież takiej pogardy dla sprawiedliwości nie spodziewałam się być świadkiem.

Ledwie wyjęłam z torby kartkę i długopis, dowiedziałam się od przewodniczącej sędziowskiego zespołu, że notatek robić nie wolno. Była pierwszą z długiego szeregu sędziów, którzy noto-

wać na procesach nie pozwalali, i właściwie jestem ciekawa: czego się tak bali, jeśli nie bali się i nie wstydzieli swego publicznego służalstwa i poniżenia? Musieli nienawidzić nas, „tych z Warszawy”; jakie uczucia żywili do „naszych” adwokatów, trudno sobie nawet wyobrazić. My na tych cyrkowych przedstawieniach mieliśmy choć zamknięte usta. Ale adwokaci, adwokaci, te potwory: Grabiński, Olszewski, Siła! Przyjeżdżali sobie ze stolicy i jednego po drugim radomskich sędziów i prokuratorów publicznie pouczali: że istotą rozprawy sądowej jest dochodzenie prawdy; że aby oskarżonego skazać, trzeba mu najpierw dowieść winy; że wszelkie wątpliwości w materiale dowodowym rozstrzygane być mają na korzyść podsądnego; że zeznania świadków oskarżenia zawierające w sobie podstawowe sprzeczności — są bezwartościowe; że zasada odpowiedzialności zbiorowej nie ma żadnego zastosowania w sądzie, gdzie rozpatruje się określone czyny określonych osób w określonym czasie i miejscu; i dalej, i jeszcze, bez końca i bez litości, jak gdyby któryś z pouczanych sędziów i prokuratorów nie wiedział, co jest istotą procesu sądowego, i że aby oskarżonego skazać trzeba najpierw... i że wszystkie wątpliwości... i sprzeczne zeznania... i że odpowiedzialność zbiorowa...

Poniżeni najpierw przez instrukcje mocodawców przeżywali teraz kolejne poniżenia na kolejnych rozprawach. Siedzieli w swoich togach jak besztane za nieuctwo uczniaki; wypatrywałam czerwieni na ich uszach. Mieli grać w innej sztuce, w innej konwencji, dla innej publiczności. Obsadzono ich w parodii; rolę ich jedynych antagonistów powierzono aktorom bez znaczenia: nieświadomym nie tylko przepisów prawa, ale swoich własnych praw, z góry skazanym na skazanie, bezbronny, nieuczonym *robolo*m. O dochodzeniu prawdy nie miało być mowy. Nie darmo doskonale tę zasadę rozumiejący miejscowi adwokaci odmawiali oskarżonym obrony, nie darmo stawali w tych rozprawach tylko wyznaczeni przez sąd z „urzędu”. Według instrukcji wszystko było proste: rozprawy mają być pozorowane, materiału dowodowego dostarczają świadkowie oskarżenia czyli milicjanci, ewentualnych świadków obrony nie wzywa się lub nie bierze ich zeznań pod uwagę, kolega prokurator odczytuje swoją ściągę z odgórnie naszkicowanego aktu oskarżenia, sąd wymierza karę z góry zaplanowaną, i „następny”, seryjna produkcja wyroków.

Sen o awansach, premiach, zasłużonych pieszczotach za dyspozycyjność — przykró zostaje zakłócony. Skądś biorą się „jacyś z Warszawy”, przyjeżdżają, słuchają, notują — jeśli nie w notesach, to w głowach. Nagle RWE wyciera sobie agenturalną — ale słyszalną, *jak* słyszalną! — gębę nazwiskami radomskich sędziów i prokuratorów. I czy taki Siła nie ma ich za durniów,

gdy ich poucza, że pełnię praw obywatelskich musi mieć nawet sprzątaczką? Gdy z warchołów i chuliganów robi nagle publicznie klasę robotniczą, przed której niezadowolaniem uznał za stosowne ustąpić rząd robotniczego państwa? Gdy nazywa rozróbę *roboli* uprawomocnionym sytuacją protestem społecznym?

A jednak nerwowo załamuje się jedynie pani sędzia Dobrowolska. Z zaciśniętymi zębami wypieńnia obowiązek. Skazuje sprzątaczkę — Zofię Sadowską — na grzywnę tak obłudnie wysoką, że po prostu śmieszna, i na długie miesiące przymusowej, bezpłatnej pracy. Wyrok i tak jest łaskawszy niż ten, którego domaga się dla wynędzniałej i chorej matki małych dzieci, żony tokarza skazanego już na kilka lat za udział w proteście czerwcowym, piękna pani prokurator z filmową falą złotych włosów płynących po todzie. Obie panie lekceważą sumiennie zeznania dwu świadków obrony — dziennikarza miejscowej gazety i urzędnika KW — którzy odważnie zaprzeczają oświadczeniom milicjantów, jakoby Sadowska miała w KW tłuc szyby, drzeć zasłony. Pani prokurator do końca rozprawy wygląda ślicznie i pogodnie, jakby na *rendez-vous* z reżyserem filmowym, który jej obiecuje próbne zdjęcia. Obaj ławnicy drzemią: żadnych dodatkowych pytań, wszystko jasne, statystują ściśle według planu. Ale pani sędzia Dobrowolska najwyraźniej gotuje się wewnątrz: niemal widać bąbelki wyskakujące jej z uszu i nosa. W Radomiu mówi się, że jest żoną komendanta wojewódzkiej MO; jeśli to prawda, tym bardziej rozumiem jej charakter niezawisły i niezależny, jej osobowość nienawykłą do ustępstw. Ona jedna — sumienne narzędzie *vendetty* państwa obrażonego na sprzątaczkę — nie wybacza warszawskiemu adwokatowi łatwości, z jaką ją kompromituje.

Aż do wiosny 1980 roku (!) toczyć się będzie w Izbie Adwokackiej proces mecenasu Siły-Nowickiego wytoczony mu przez sędzię Dobrowolską za obrazę, jakiej dopuścił się podczas rozprawy Sadowskiej wobec Wysokiego Sądu (pouczając go) i PRL (analizując głośno sytuację społeczną, w której doszło do robotniczych protestów). Oskarżyciel Siły, słynna z prowadzenia śledztw przeciw opozycjonistom prokurator Bardonowa, potraktuje mnie podczas składania zeznań dokładnie tak, jak świadków obrony traktowały sądy radomskie (i Najwyższy): nie dając mi wiary.

— Czy prokurator ma pytanie do świadka? — zwróci się do oskarżyciela przewodniczący i oskarżyciel Bardonowa potwierdzi, że tak, ma. Pytanie, raczej odległe od sprawy, brzmi: — Jaki jest stosunek świadka do KSS „KOR”?

I na moją odpowiedź, że jestem jego członkiem, świadoma tego naturalnie pani prokurator wyrazi swą opinię o wartości zeznań takiego jak ja świadka pogardliwym i pełnym wstrętu:

— Więcej pytań nie mam.

Koniec końców, adwokat Siła-Nowicki został niewinny: warszawska Izba Adwokacka nie dała się zwariować. Ale okazana przez sędzię Dobrowolską wrażliwość pozwoliła mi uświadomić sobie szare, codzienne bohaterstwo tych ludzi w togach przy sędziowskim stole: wiele lat składaną przez nich ofiarę na rzecz braterstwa aparatu korupcji i ucisku; dobrowolną rezygnację ze swego zawodowego prestiżu i człowieczej godności.

W dwa, trzy dni po rozprawie Sadowskiej spotkaliśmy się w kawiarni „Mokotowska” z Kuroniem, wydzwonionym zresztą przeze mnie, trawioną gorączką działania. Czekałam zaledwie z kwadrans. Jacek wpadł do małej kawiarenki uśmiechnięty od ucha do ucha, zdumiewająco szybko ukląkł, na klęczkach wręczył mi pierwszy z długiej serii bukietów małych, jesiennych kwiatków, pocałował mnie w rękę i policzek, rozejrzał się na wszystkie strony i wskazał mi trzech pogrążonych w rozmowie panów, którzy według niego przybyli również na nasze spotkanie, służbowo. W moich niedoświadczonych oczach nie wyglądali na policjantów i odniosłam się do informacji Kuronia sceptycznie, choć bez oporu przyjąłam nową konwencję rozmowy odbywanej mianowicie częściowo przy pomocy długopisu i papierowej serwetki.

Zażądałam tego spotkania, bo chciałam koniecznie robić coś konkretnego, a także bardzo się czułam nieszczęśliwa bez informacji bieżących; wyczekiwanie na następny komunikat wydawało mi się za trudne. Prosiłam o wykorzystywanie mnie, o kontakty, materiały do przepisania, o terminy następnych rozpraw w Radomiu i sądów pracy w Warszawie.

Kuroń obiecał mi złote góry, to znaczy mnóstwo roboty — i trzeba przyznać, że dotrzymał słowa. Na razie dowiedziałam się, jak i od kogo wydierać informacje o rozprawach, i dokąd wpadać wieczorem, gdybym chciała spotkać się z „ludźmi” i nowymi wiadomościami. Jacek stwierdził również, że wydadę mu się osobą właściwą do współpracy z Chojeckim przy prowadzeniu kartotek robotniczych; czy chcę się tym zająć? Chciałam. Ustaliliśmy, że Mirek dowie się o tym możliwie szybko.

Wszystko to pisaliśmy sobie na serwetkach — zobaczyłam koszarne pismo Kuronia, wielkie nieczytelne kulfony, wyrazy, w których brakuje całych sylab — wypiliśmy kawę i na pewno koniak, bo spotkania z Jackiem nigdy się bez koniaku nie odbywały, a Kuroń uwiódł uśmiechami i komplementami usługującą nam kelnerkę, czarną i tłustą, olbrzymie kłęby i takiz biust, miał to być jego typ. W kawiarence „Mokotowska” spotykaliśmy się

później często (znajdowała się blisko mojego Instytutu i mieszkania pani Anieli) i ta kelnerka witała zawsze Jacka niemal jak osobistego znajomego.

Tamtego dnia Jacek spytał, czy wstąpiłabym do KOR-u, gdyby mi to zaproponowano. Bez namysłu odpowiedziałam twierdząco, ale pamiętam, że się zdziwiłam. Wyobrażałam sobie, że aby zostać członkiem KOR-u trzeba przejść Bóg wie jakie próby i być w ogóle Bóg wie jak zaufanym i zasłużonym człowiekiem. W mojej naiwności i zapale myślałam też, że inaczej ludzie pchali-by się do KOR-u drzwiami i oknami, a przecież trzeba ich dobierać i wybierać. W każdym razie nie ośmieliłabym się wtedy składać takiej oferty z mojej strony. Jacek prosił mnie zresztą, abym nie powtarzała nikomu, że zadał mi takie pytanie, i dziś dopiero zdradzam tę tajemnicę, choć jestem prawie pewna, że Jacek sam jej nie dochował.

Dlaczego miało to być tajemnicą, nietrudno się domyśleć. Wstąpienie kogokolwiek do KOR-u musiało być akceptowane przez wszystkich członków i spontaniczność Jacka wobec mnie mogła spotkać się z uzasadnioną krytyką i oporem. Z całą pewnością nie powinien był rozmawiać o tym ze mną bez porozumienia z innymi — a tamci inni nic jeszcze o mnie jako o człowieku nie wiedzieli. Żywiolowy Kuroń ryzykował kłopoty różnego rodzaju. Gdybym na przykład była bardziej próżna i ambicjonalna niż konsekwentna w dokonywanych wyborach, mogłabym obrazić się straszliwie na niego i cały KOR przez następne tygodnie, kiedy nikt do tematu poruszanego przez Jacka nie wracał. Ale nie obraziłam się, tylko po prostu pracowałam i kiedy w dwa miesiące później sama uznałam, że mam podstawy, aby się zwrócić do KOR-u o przyjęcie — moja kandydatura nie wywołała żadnych sprzeciwów, o ile dobrze jestem poinformowana.

Podczas tego spotkania Kuroń nauczył mnie jeszcze bardzo prostej metody unikania w kawiarniach bezpośredniego sąsiedztwa inwigilujących. Trzeba wybierać wolny stolik wśród innych już obsiadłych, nigdy nie siadać tam, gdzie obok znajduje się stolik jeszcze nie zajęty. Ten obyczaj został mi do dziś — i nie jestem zupełnie pewna, czy się go wyzbywać.

Zakończyliśmy swoje sprawy, Jacek spalił nad popielniczką nasze serwetki i wyszliśmy w październikowy chłód. — Widzisz, mała? — spytał Jacek z szerokim uśmiechem. Trzej panowie, których wskazał mi przedtem, wyszli tuż za nami, po czym jeden odszedł, a dwu stanęło tuż za nami na autobusowym przystanku, skąd odjeżdżał Jacek. Poczekałam z nim na jego „A”, do którego wsiadł razem z nimi. Miałam stamtąd bliźutko do Instytutu.

Biegłam w deszczu pod parasolką, nie oglądając się i śledząc kawiarnię na chodniku. Pod Instytutem złożyłam parasolkę i pchnęłam wejściowe drzwi; ktoś nadchodził ulicą, słyszałam kroki, myślałam, że to któryś z kolegów, spojrzałam. Nie zwracając na mnie uwagi wędrował sobie tędy w deszczu trzeci pan „od kawiarnianego stolika”.

— Ja jestem Mirek — zaszumiała mi w ucho telefoniczna słuchawka chyba już nazajutrz. — Czy będzie pani dziś wieczorem w domu? To ja bym wpadł.

Do dziś tak właśnie szmerze w telefon „dyrektor” Chojecki, głosem — chciałoby się powiedzieć: głosikiem — nieśmiałego wyrostka, który w najmniejszym stopniu nie chciałby się nikomu, broń Boże, narzucać. Nie podobna wyobrazić sobie za tym głosem człowieka żelaznych sił, skondensowanej energii i wielowymiarowego zmysłu organizacji czyli Mirosława Chojeckiego, tak jak nie sposób skojarzyć tego głosu z mężczyzną siejącym pożary i zgłiszcza wśród dookolnych kobiet, co okazało się być jedną z wielu dziedzin aktywności niestrudzonego animatora NOWEJ. Kiedy mi się Mirek pierwszy raz objawił w słuchawce, nie miałam o nim najmniejszego pojęcia: wybuchły we mnie wszelkie możliwe instynkty macierzyńskie, i przede wszystkim pobiegłam do sklepu po jakiś pasztet, chleb, jajka. Najważniejsze wydało mi się móc właściciela tego głosu nakarmić i ogrzać.

W jakimś momencie wieczorem zadzwonił dzwonek u furtyki na dole. Wpuściłam kogoś niedużego i brodatego, kto po wejściu do mieszkania przedstawił się jako forpoczta Mirka, jego młodszego brata. Sławek położył na podłodze wypchaną nylonową torbę-worek; zaszeleściło papierami. Leżał sobie przede mną tobołek bardzo niepozorny, bardzo ważny dla nas, bardzo ważny dla policji. Mirek nie powinien go mieć przy sobie, łążą za nim, wyjaśnił Sławek. Było okropnie zimno, wietrzno, chłopak wydawał mi się na kość zmarznięty w jakichś tam szmatkach z wyblakłego teksasu: zrobiłam mu pierwszą z paruset szklanek gorącej herbaty, które mi przyszło przez następne lata podawać zmarzniętym, zalatany, zmęczonym ludziom wpadającym na chwilę z czymś, po coś, żeby na przykład tylko napisać jakieś zdanie na kartce i zaraz lecieć dokądś w mróz, deszcz, noc. Sławek wypił herbatę i poleciał w czarny ziab, a wczesną nocą wpuściłam do mieszkania Mirka, do którego z miejsca się przywiązałam, i który, co się później stało w naszej wspólnej pracy obyczajem, wyszedł dopiero światem.

Zawartość nylonowego worka rozkładaliśmy w moim małym

kawalerskim mieszkanku na krzesłach, stoliku, tapczanie, i podłodze. Były to zmiętoszone w kieszeniach strzępki papieru zapisane gryzmołami zdradzającymi różne charaktery pisma i pośpiech. Na takich skrawkach jadące do Radomia ekipy notowały nazwisko robotnika i każdy okrucuch zdobytej o nim informacji. Trzeba było wielu rozmów z rodziną, a więc wielu wyjazdów, wielu starań o kontakt, o zdobycie zaufania, aby się taki strzępek informacji rozrastał i uzupełniał. Z mnóstwa karteczek spinało się mniej lub bardziej szczegółową całość. Mieliśmy „zorganizowany” przez kogoś zapas kart bibliotecznych, twardych i dość sporych kartoników. Na tych kartonach z nadrukami „autor”, „tłumacz”, „tytuł dzieła”, „sygnatura” itd. wypisywaliśmy nazwisko robotnika jak bibliograficzne hasło, a pod nim wszystkie dane, jakie dawało się zebrać z karteczek co dzień zwożonych przez radomskich poszukiwaczy informacji.

Trzeba sobie umieć wyobrazić, jak oni je zbierali, ci młodzi ludzie, znani tylko paru osobom koordynującym tak zwaną akcję radomską. Najmniejsze nawet publiczne uznanie nie mogło stać się ich udziałem. Bez ich niebezpiecznej i mrówczej pracy KOR nie mógłby naturalnie istnieć, ale żaden splendor ich właśnie nigdy nawet nie musnął. Mieli wywiedzieć się możliwie ściśle danych o możliwie największej ilości pokrzywdzonych — o każdym z osobna; mieli przy tym zataić się i uchować przed policją, która wypatrywała sobie za nimi oczy. Wszystko to mieli robić i robili w obcym mieście, w którym od 25 czerwca panował nieprzerwanie zwykły terror, w mieście, którego dworce kolejowy i autobusowy obstawione były przez SB, którego ulicami chodząc potraçało się i wymijało agentów; byli w tym mieście obcy, w torbach na ramię mieli komunikaty KOR-u, może jeszcze kanapkę z serem; musieli zaczepiać obcych sobie i nieufnych ludzi, przeganiani przez nich, podejrzewani o prowokację, jaki KOR, co to za KOR, daj mi pan spokój. Ci, którzy wyszli już z aresztów, spluwając krwią, śledzeni byli i straszni, wzywano na przesłuchania rodziny odsiadujących wyroki, wpadano do mieszkań bezrobotnych z rewizjami i pogrózkami. Milicja legitymowała ludzi w biały dzień na ulicach. Pacyfikowane wciąż miasto żyło jak podczas stanu wyjątkowego, sądy i kolegia od lipca skazywały dziesiątki nieszczęślików wytypowanych przez komendę miasta na odpowiedzialnych za robotniczy bunt. W tym mieście, wśród zastraszonych, dławiących się własną bezbronnością i krzywdą ludzi, między rozbieganymi spojrzeniami wzmocnionej liczebnie Służby Bezpieczeństwa i milicji — różni ci nasi „Jankowie”, „Krzysiowie”, „Małgosie” i „Joasie”, których podpisy widniały na pomiętych kartkach, musieli stukać do cudzych drzwi, zdobywać adresy, kontakty, zaufanie, namawiać ciężko doświadczono-

nych, aby narażali się znów — wbrew terrorowi, strachowi, konsekwencjom: bo zezwalanie na ogłoszenie ich nazwisk pod relacją z doznanych krzywd było przecież narażaniem się na następne; bo decyzja napisania skargi do Prokuratury Generalnej na rodzimą komendę MO, która autora skargi miała w zasięgu radiowozu, była przecież w Radomiu aktem absolutnej odwagi.

A jednak na karteczkach, które przed sobą miałam, gromadził się słowo po słowie, ziarno faktu po ziarnku, przerażająco rzeczowy obraz bezprawia, które bezskutecznie usiłowano przed społeczeństwem ukryć. Jedno robotnicze mieszkanie, które otworzyło drzwi przed wysłannikami z Warszawy, stało się nieraz kopalnią sygnałów i wskazówek, za którymi idąc trafiało się do następnych i następnych. Decydując się mówić o sobie, ludzie podawali nazwiska współtorturowanych i współdreczonych; czasem znali tylko ich imiona, czasem niedokładne adresy. Trzeba było za tym iść, sprawdzać, narażać się na wpadnięcie w łapy policji albo na zatrzęsienie drzwi przed nosem: tamci udrećzeni nieraz przecież śmiertelnie się bali. Czasem nawiązany już kontakt urywał się, przyjęte już pieniądze zwracano: nie chcemy, idźcie sobie, niczego nie trzeba, „oni” byli tu znów, znowu grozili, przesłuchiwali, nie przychodźcie więcej. Niekiedy raz już dostarczący informacji, przerażeni ludzie cofali je: nic nie było, nic nie powiedziałem, nie będę gnął w więzieniu.

Wtedy na kartkach z Radomia czytało się: wycofał podpis ze skargi, oddał pieniądze, nie chce kontaktów z KOR-em, Hanka, Agnieszka, Tomek.

A jednak, a jednak. W końcu częściej nienawiść silniejsza okazywała się od strachu, poczucie niezawinionych krzywd rodziło chęć ujawnienia jej i dochodzenia sprawiedliwości, bez względu na konsekwencje. „Ludzie z Warszawy” trafiali na takich informatorów, którzy sami zaczęli szukać kontaktów z innymi ofiarami pocerwcowych bestialstw. Po paru miesiącach w samym Radomiu funkcjonowała już „komórka” robotników zaangażowanych w akcję wyszukiwania informacji. „Nasi” mieli tam już noclegi, przyjmowani byli jak swoi i jak swoi przechowywani przed policją. Nawet powtórne represyjne kleszcze, w które dostawali się tacy współpracujący z nami radomiacy — wciąż zastraszani, represjonowani, szantażowani, zatrzymywani i przesłuchiwani — nie potrafiły powstrzymać tego chałupniczego ruchu rewindykacji ludzkich praw. Ciężko prześladowani za współpracę z KOR-em Ewa Soból, Leopold Gierek, Anna Ostrowska, wielu innych — pozostaną już na stałe prawdziwymi naszymi przyjaciółmi i współpracownikami.

Ale wybiegam w przyszłość. Na razie w październiku i listopadzie 1976 przenosimy nocą ze zmiętych zapisanych świstków na twarde kartoniki lepiej znoszące czas i warunki, wszystko, co o poszczególnych robotnikach udało się dotychczas dowiedzieć i zebrać. Jeden kartonik to jeden człowiek. Co parę dni zakłada się nowe karty ze świeżo odkrytymi nazwiskami, co parę dni każdy prawie kartonik trzeba uzupełniać. Tu jeszcze brak wieku i daty kolegium, choć wyrok jest. Tu znajdujemy informację: „obieczał dać adres faceta ze złamaną szczęką”. Zakładamy więc kartę faceta ze złamaną szczęką; wkrótce otrzyma imię i nazwisko. Tu nie ma informacji o przekazaniu pieniędzy — dlaczego? Tu brak adresu; zamiast niego opis mający następnym umożliwić trafienie: „naprzeciwko DW. PKS drewniany domek na parterze za frytkami. Dzwonić 8-15”.

Zachowałam sobie odpisy kilkudziesięciu takich kart ewidencyjnych. Odnotowane na nich informacje uchwycone są w różnych etapach, różnych stadiach. Przepisuję kilka z nich dla przykładu; więcej są w stanie same powiedzieć czytelnikowi o tej żmudnej i chałupniczej akcji niż jej opis i lepiej niż on uzmysłowić mogą dynamitowy charakter zawartości nylonowego worka.

SIKORSKI MARIAN

1 Maja 48

Upośledzony. Tak zбитy, że mają mu zdejmować paznokcie. Przesłuchiwał go MO ze Szczytna (pijany). Kazał kłaść się na stole i bił pałą. Wypuszczony

JASTRZĘBSKI MARIAN

lat 18

Strzelecka 13

pracował dorywczo

zatrzymany w rozwoju

nie ukończył szkoły, trudności z pamięcią

Aresztowany 01.07.76. Wmawiają mu kradzież 3 butelek wódki. Przyznał się po torturach — wbijano mu szpilki w pięty. Był na celi chorych.

W domu 5 rewizji — nie nie znalezione

I rozprawa ok. 20.7 odroczone z powodu nieobecności świadka. II — odroczone z powodu nieobecności oskarżonego, w szpitalu? — sprawdzić — i adwokata Marszałka.

Nie pozwolono matce na widzenie ani na paczkę z ubraniem. Od 1. 7. jest w jednej koszuli i spodniach. Zezwolono na paczki żywnościowe. Jest świadek, który widział jak go bito (Marchewka — mieszka na Słowackiego), jak go prowadzono oblewając wodą, bo mdlał.

III rozprawa 7.10.76 — odroczone z powodu nieobecności świadka oskarżenia. Sąd przyjął wniosek Siła-Nowickiego (Siła broni od 23. 9) o wypuszczenie MJ na wolną stopę, ale MO zatrzymała go w więzieniu. Zła sytuacja materialna, ale nie wzięli pieniędzy.

Uwaga: matka twierdzi, że odkał sprawę wziął Siła-Nowicki, w więzieniu radomskim przestano dawać synowi talony na paczki.

KAIM BOGDAN

lat 27

Radom-Wojniki

Pośrednia 30

jedyny syn Juliana i Władysławy z d. Chamczyk.

Matka wiekowa, ojciec sparaliżowany, bez renty. BK był jedyną osobą zarabiającą, ostatnio jako konwojent w mleczarni (od 2 lat). Zarabiał do 3.000 — według matki: DUŻO. Dom biedny, kilka kur, mały ogródek, kartofliko. Brak pieniędzy.

Wzięty 25.6 wieczorem. Bity (nerki, wątroba), kopany; matka była na widzeniu: „na rękach całe ciało czarne od bicia”. Naczelnik więzienia obiecywał lekarstwa: „ludzki człowiek”. BK został zatrzymany przez MO, bo „poszedł zobaczyć”. Kopany już w wozie, bity za tatuaż na rękę. Przewieziony następnie do Kielc („był tam też lekarz, który potem zginął”).

Matki nie zawiadomiono o procesie, który odbył się 12.8.76. Wyrok — 3 lata. Sądził go ktoś z Warszawy. Nie miał adwokata. Przedtem karany za obrazę władzy (2,5 roku więzienia w Nowogardzie k/Szczecina) oraz za okradzenie pijanego (2 lata, z czego odsiedział 3 miesiące, bo się okazało, że nie on okradł).

Matka nie zna aktu oskarżenia. Widziała syna ostatni raz w drugą niedzielę września w więzieniu w Radomiu, posłała potem paczkę (nie wie, czy dostał) i kupiła lekarstwa (asprocol, proszki przeciwbólowe). Boli go cały czas głowa, szumi w uszach, ma zaburzenia słuchu, bóle nerek i wątroby. („Zęby wprawione przez kolegę w więzieniu” — ? sprawdzić).

Mec. Kawecki mówił, że czas składania rewizji minął, ale sędzia zięc mec. Kaweckiego — radził, żeby pisać do Min. Sprawiedliwości.

Matka wystawiła pełnomocnictwa dla Siła-Nowickiego.

2.10. — 2.000*

* adnotacja o doręczeniu matce zasiłku z funduszu KOR-u.

JANICKI MARIAN

lat 28

Al. Róż 7 m. 1

monter konstrukcji żelbetowych w Kombinacie Budownictwa Miejskiego.

wyrok: 5 lat w sprawie DS 16/76/S z dnia 11.8. — 14.8.1976.

Zarzuty: przewrócić w KW biurko, wybił szybę, żądał listy płac KW.

25 czerwca od 15.30 był w domu. Kierownik budowy na ul. Chrobrego (Mazurkiewicz) zeznawał, że jeszcze przed 15.00 widział go w pracy. Nie wiadomo kiedy zrobił to, o czym zarzut. Obrońca Głodo z Zespołu nr 3 wziął 3.000 zł. Nawracał rodzinę, żeby się „nie mieszała w KOR”. Świadek oskarżenia — Zenon Jasiński MO.

Siedzi w Barezewie. 3 tygodnie torturowany. Nie przyznał się do winy. Bity tak, że popękała mu skóra.

Brat obiecał dać adres faceta ze złamaną szczęką.

9.10 pełnomocnictwo otrzymał mec. Grabiński.

30.9. — 1.500

? — 1.000**

** adnotacja o przekazaniu rodzinie zasiłku z funduszu KOR-u.

CIBOR ZBIGNIEW

lat 27

Domagalskiego 15 m. 40

syn Czesława i Apolonii

Skończył zasadniczą szkołę garbarską, pracował w Wytwórni Koncentratów Paszowych. Zwolniony z pracy przed 25.6. Starszy brat w wojsku, młodszy w szkole.

Wzięty z ulicy 25.6 kopany w pierś, głowę. 2 dni w więzieniu w Ra-

domiu, potem Grójec, potem Białystok (częściowo przewożono ich chłodnią „lodówka”; wielu mdlało z braku powietrza, zatrzymywano wówczas wóz i cucono ich wodą). Z Białegostoku przewieziono go do Pińczowa. Po biciu i kopaniu w głowę dawano krople „cucące” i na serce. Bity również w pięty. Krew z nosa, uszu, oczu, mdlał.

Wrócił do domu w stanie choroby psychicznej 31.7. W sierpniu stan się pogarszał. 6.9 zabrany do szpitala psychiatrycznego (Krychnowice). Ordynator Jan Wenczyk, specjalista psychiatra.

Z.C. wzywany był na rozprawy 25.8 i 3.9. Na drugiej został zaocznie skazany na 400 zł grzywny + 50 zł kosztów skarbowych.

16.10.76 — wyszedł ze szpitala z diagnozą: zespół paranoidalny.

2.000***

*** jak wyżej.

ADAMSKI WALDEMAR

Swierczewskiego 80

3 miesiące aresztu (wyszedł). Murarz w Kombinacie Budownictwa Miejskiego.

Wzięty o godz. 12.40, 26.6.76 w drodze do pracy na rogu Niedziałkowskiego i Curie-Skłodowskiej (razem z kolegą Piotrem Nowocieniem, wypuszczonym 29.6). *Bardzo bity.*

Po przewiezieniu do KW MO przy ul. Kilińskiego jeszcze przed drzwiami przeszedł „ścieżkę zdrowia”: MO stali wzdłuż schodów — kazano iść powoli i każdy uderzał. Przewieziony na Malczewskiego na przesłuchanie; tam biciem kajdankami zmuszony do podpisania zeznań, które zasłonięto przed nim papierem; po czym postawionego twarzą do ściany bito z tyłu kajdankami i pałami. Przesłuchiwany był w pojedynkę. W nocy ok. 1.00 przewieziony przed kolegium „z bomby”.

Z kolegium przewieziony na Malczewskiego 1 do aresztu; następnie do Białegostoku (7 dni), tam chodził do izolatki na opatrunki (piersi i plecy poprzecinanane). Cała cela chodziła na opatrunki — 37 osób.

9.7 więzienie w Kielcach (zamek) — tam na przywitanie „ścieżka zdrowia” — po 3 godz. przewieziony do Pińczowa, skąd wypuszczono go we wrześniu. Z pracy zwolniony w trybie natychmiastowym — art. 51 § 2 kw.

Ojciec pisał do ministra sprawiedliwości, że syna zabrano niewinnie („zabierajcie całą rodzinę, mnie, żonę, dzieci”). Odpowiedź: „w aktach rodzina nie figuruje”.

I tak dalej, i dalej. Dziesiątki, setki, setki. Wciąż powtarza się to samo: tortury, bestialstwa, „ścieżki zdrowia”. To termin polskich milicjantów: dowiedli nim poczucia bezkarności i humoru. „Ścieżki zdrowia” w komendach i więzieniach Radomia, Białoobrzegów, Kielc, Białegostoku, wszędzie: tak ich szkolono. Myślałam, że od niedawna, ale gdzie tam! W relacjach z Grudnia 1970 na Wybrzeżu spotkam się z tym samym. Polska szkoła oprawców.

Z danych na setkach karteluszków jasno wynikało, że kolegii do spraw wykroczeń karały po parę razy tych samych za to samo. Że ich bez rozpoznania, bez pozorów dochodzeń potrafią rozdzielac — zaraz tam w aresztach — na grupy: jedna w lewo, druga w prawo, ci przed kolegium, ci do sądu, zarzut się znaj-

dzie. Że podczas tortur i przesłuchań wymagano przyznania się do czegokolwiek, czego życzył sobie akurat bijący: nie chcesz się przyznać do kradzieży, wlepimy ci podpalenie. Nie wybiłeś tej szyby? To zginięsz w więzieniu za co innego.

Przydzielali ich do przestępstw byle jak, byle prędzej. Obstawiano ich przedmiotami ze sklepów i fotografowano: grabiłeś. Zaprzeczasz? Nie tacy jak ty miękli nam w rękach.

Sztama z prokuraturą, z sądem, sztama z pracodawcą czyli państwem, z prasą, z sejmem, z poszczególnymi postami, jeszcze jedna wielka sztama solidarnej ferajny. Niedługo Michał Misiorny, kolega literat, napisze: ani jednemu robotnikowi nie spadł z głowy ani jeden włos.

A my z Mirkiem co tydzień, dziesięć dni, wypełniamy po nocach kartę po karcie, dowód po dowodzie: nazwiska, daty, fakty. Parzę morze herbaty, kawy; w jakimś momencie wypijamy po kieliszku wódki. Mirek zasypia, głowa opada mu na piersi. Staram się go nie budzić. Jestem w naszej robocie coraz sprawniejsza. Raniutko dotykam jego ramienia: powinien wyjść. Błady, mizerny, zaspany, włosy i broda zmierzwiłone, naciąga na sweter jakąś płócienną kurteczkę. Wychodzi: dynamit zostaje u mnie, za godzinę przyjdzie go ktoś odebrać.

Pierwszym razem jest to chyba Zosia Romaszewska, wspaniała, groźna Zośka; przystojna, ciemne oczy i zaczesane w węzeł na karku włosy. Szefowała radomskim ekipom razem z mężem Zbyszkim, przyszłym członkiem KSS „KOR” i kierownikiem Biura Interwencyjnego KOR-u. Pamiętam, jak mnie mierzyła wzrokiem, co też to za jedna. Jak się kiedyś okaże, wgardliwie traktowała miłosne powieści, z których jedno napisałam ja. Ale „na żywo” zaakceptowała mnie, myślę, o co u niej trudno. Wydała mi się energiczna, rzeczowa, bezpośrednia. Potem poznam ją jeszcze jako jednego z tytanów pracy. Nasze drogi w KOR-owskim środowisku często się będą spotykały. Ze swoim temperamentem, wybuchowością, wymaganiami, ostrym subiektywizmem i weredycznością będzie czasami siała prawdziwą groźbę. — Powiedz to Zośce, zadzwoń do Zośki, bo ja się boję; kto podejmie się załatwić to z Zośką? — usłyszę to nie jeden raz i wcale się nie zdziwię. Myślę, że Zośki bali się nawet Kuroń i Michnik, których przestraszyć niełatwo.

Trzęśłam się z niewyspania i zimna; obwąchując się chyba z wzajemną sympatią napiłyśmy się kawy. Zośka zabrała wór z naszym „urobkiem” i popędziła na lekcje matematyki, których udzielała dzień w dzień od 8-mej rano u siebie w domu. Ja weszłam ogrzać się i otrzeźwić do wanny z wrzątkiem. Z wanny — do Instytutu, do pracy.

Anka KOWALSKA

Archiwum polityczne

Stan rzeczy

Kiedyś — dawno temu — polityka NKGB wobec dysydentów zdawała mi się głupia: anonimowych ludzi o mniejszych umysłach pakować do łagrów, zdręzczać po cichu, a prominentów wyrzucać na Zachód, gdzie, jak Sołżenicyn czy Zinowiew albo Bukowski — brali się od razu do uświadamiania Zachodu, czym jest naprawdę sowiecki system. Nie mogłem tego pojąć: milionowymi nakładami książek o Gułagu Sołżenicyn udokumentował prawdę życia w Sowietach, Zinowiew dokonał sekcji sowieckiego społeczeństwa, opisał „homososa”, inni emigranci dopowiedzieli całą resztę. Jakże mogło się NKGB tego nie spodziewać i nie obawiać? Czemu takich ludzi nie zabiło całkiem przypadkowo jakieś auto, jakaś nagła choroba, uliczny wypadek? Czyż „koszty własne” sowieckiego systemu nie byłyby wtedy mniejsze?

Byłem głupi. Im więcej prawdy znał Zachód, w tym głębszą popadał schizofrenię polityczną. Mniejsza, że to się przejawiało na przykład jako potępienie „Solidarności” przez intelektualistów niemieckich i jako skrywana z trudem złość, że złożeni przez generałów do grobu Polacy nie chcą cicho leżeć w mogile, jak przystoi trupowi. Mniejsza o zestawienie roczników *Spiegla*, o to, jak Augstein usiłował zakochać się z wzajemnością w Andropowie, niestety kochanek za prędko zmarł a Czernienko jakoś gorzej się do tej miłości nadaje. Casus RFN jest osobny — toż marzą o zjednoczeniu i dlatego subwencjonują NRD, dając jej nad stołem miliardy, kiedy ich ona pod stołem kopie.

Ale proszę zajrzeć — powiedzmy — do *International Herald Tribune* z 7 maja tego roku. Stephen Cohen, profesor politolog uniwersytetu w Princeton, więc nie z jakiejś dziury, pisze („The Soviet Union: A Script of Bad News and Loaded Language”),

że Amerykanów o ZSSR informuje się tendencyjnie, potwarczo, jednostronnie, złośliwie i przez to kłamliwie. „Język pełen uprzedzeń nie jest do pogodzenia z obiektywną analizą”... „Masowe środki przekazu wzięły za zwyczaj tworzenie popularnej opinii, że Sowiety winne są wszystkiemu, o co się je oskarża. W ostatnich latach prasa i telewizja „skazały” sowieckie przywództwo za następujące występki: wzrost wydatków na zbrojenie o groźne 4 % do 5 % rocznie, inwazję Afganistanu, aby sięgnąć po ropę Zatoki Perskiej, próbę zabicia papieża, wojnę chemiczną („żółty deszcz”) w południowo-wschodniej Azji, rozmyślne zniszczenie południowo-koreańskiego samolotu pasażerskiego z 269 pasażerami. Dane, ogłoszone później w mniejszym zakresie, unicestwiły jedno z tych oskarżeń i wzbudziły poważne wątpliwości co do innych. Mimo to w mniemaniu większości osób, jakie pytałem, ZSSR pozostaje wszystkiemu temu winny. Rezultatem jest rozszerzająca się postawa amerykańska, by wspierać czy wznowić politykę Zimnej Wojny”. (...) „Wielu studentów (w koledżach — P.Z.) dziwi się, dowiadując się, że w tym kraju żyją i publikują do dziś utalentowani pisarze”. „Obiektywizm wymaga zwalczania dyfamacji kraju, który tyle cierpiał i tyle osiągnął” (... „*that has suffered and achieved so much*”). Itd.

Amerykański ekspert polityczny nie twierdzi, że ZSSR NIE dokonał inwazji Afganistanu, że NIE zestrzelił tego samolotu, że NIE spotęgował zbrojeń podczas lat odprężenia. Nie, on powiada jedynie ogólnikowo, iż jedno z tych oskarżeń zostały potem bez rozgłosu odwołane, a inne zakwestionowane. Nie warto pytać: a któreż to, Panie Profesorze, okazały się dyfamacją tego kraju, co się tyle nacierpiało i tyle osiągnęło? Skąd się wzięły te cierpienia — kto je zadał? Hitler? Ale przecież Hitler wymordował mniej obywateli sowieckich, niż Stalin. Przecież to można dokładnie udokumentować! I jakież są osiągnięcia Sowietów poza dziedziną militarnego zbrojenia i agresji, którymi ten wspinały kraj ma prawo się szczycić? Dlaczego Pan Profesor nie wymieni chociaż jednego takiego sukcesu? Zdaje się, że po opis tych sukcesów odsyła nas do *Prawdy*. A gazeta, w jakiej ogłosił swój interesujący esej, to ekstrakt *New York Times'a* i *Washington Post*. Wiadomo, że w USA panuje wolność słowa i każdy może tam głosić, co żywnie mu się zachce. Lecz ten artykuł jest ważnym symptomem mądrości NKGB. Proszę bardzo: półki bibliotek Zachodu trzeszczą od książek przedstawiających konkretne i liczbowo ludobójcze sukcesy sowieckie, emigranci ze skóry wyłażą, żeby uświadomić Zachód o naturze tego ustroju, a efekt jest zaiste skromny, skoro okazuje się, według uczonego fachowca, że to są potwarze. Że z tym państwem, co się tyle nacierpiało i tyle osiągnęło, trzeba postępować po dobremu. Zamach

na papieża tylko się nam przyśnił. Pasażerski samolot wysłała nad Sowiety oczywiście CIA. W Afganistanie lud wprost kocha się w Rosjanach, a biją się z nimi bandy ciemnych kontrrewolucjonistów i opłacanych najemników. O Polsce, o Czechosłowacji, o państwach bałtyckich, o zagładzie wielkich tradycji kultury i literatury rosyjskiej nie ma co mówić — to tylko kłamliwa propaganda antykomunistów. Stosunek wzajemny sił zbrojnych NATO i Paktu Warszawskiego to też pewno łągarstwo. Stany Zjednoczone koniecznie chcą rozpętać wojnę z Sowietami, i wszystko przez to.

Skądinąd warto zauważyć, że te różne brzydkie zarzuty, znieważające świetlany sowiecki ustrój, od dziesiątków lat pojawiały się i nadal się pojawiają najpierw w pismach emigracyjnych typu *Kultury*, a ładnych parę lat potem niesłychanie zaskoczeni i przykro zdziwieni politycy Zachodu zupełnie te same twierdzenia wypowiadają sami, nie mając pojęcia o tym, że są to objawienia tylko dla nich. Gdyby ktoś miał dość czasu i możliwości, mógłby tę moją uwagę bardzo porządnie udokumentować odpowiednią bibliografią. Mit dobrego Sowieckiego Państwa jest nieśmiertelny. Żeby się wszyscy dysydenci na głowach postavili, zawsze znajdzie się pożyteczny uczonego idiota na Zachodzie, który wie od nich lepiej. To prawdziwie ponure zjawisko należy traktować z uwagą i z powagą. Nie trzeba głosić, że autorzy w rodzaju tego politologa są na żołdzie Moskwy. Nie ma tak dobrze. Agencjonalno-konspiracyjna wizja dziejów jest właśnie moskiewskiego pochodzenia. Bynajmniej nie każdy, kto wypisuje takie pocziwości o Związku Rad, robi to za pobory w czerwonościach. Chodzi po prostu o brak rozumu, wyobraźni i „chciejstwo”, jak zwal Wańkowicz *wishful thinking*. Czyż nie byłoby znakomicie, gdyby okropności 60 lat systemu sowieckiego okazały się jednym wielkim wymysłem potwarców? Czyż nie byłoby wtedy bardzo łatwo dogadać się z tym sympatycznym supermocarstwem? Wystarczy zamknąć oczy na kilkanaście milionów faktów, a wszystko będzie fajnie.

Schizofrenia, o jakiej wspominałem, rozszerza się w prasie Zachodu. Sumarycznie biorąc, objawy jej są proste. O tych niezwykle pięknych rzeczach, jakie zaszły, powiedzmy, w Polsce, pisze się i drukuje — to owszem. I to jest alibi obiektywizmu. Można o tym czytać w *Newsweek*, w *Spieglu*, w *Expressie*, i tak dalej. Natomiast o ZSSR pisze się delikatnie. Każdy kolejny starzec, stający w nieco agonalnej zadyszce na czele Politbiura, znajduje pełnych nadziei sympatyków w redakcjach i poza nimi. Stał na szczycie NKGB, owszem, ale to liberał, zaraz zobaczymy, że wycofa się z Afganistanu, bo lubi jazz. Czernienko jazzu wprawdzie nie lubi, ale może gra na gitarze, a przynajmniej na

banjo? Tych bredni czepiają się z namiętnością, godną lepszej sprawy. Nie tylko wysiłki sowieckich dysydentów, żeby zdemaszkować psychiatrię sowiecką, były olbrzymie. Ogromne też były wysiłki licznych psychiatrów Zachodu, żeby udokumentowanych potworności — traktowania normalnych umysłowo ludzi jako groźnych wariatów — nie przyjąć do wiadomości.

Każdego najbardziej bolą własne rany. To oczywiste. Również to, że wiele jest na świecie okrutnych militarnych dyktatur. Podczas wojny polsko-jaruzelskiej nie doszło do tak masowych mordów, jak w Argentynie. Lecz w państwach, podobnych Argentynie, można mieć nadzieję zmiany systemu. Tam do niej już doszło. Natomiast my podobnej nadziei nie możemy żywić. Sytuacja wielu krajów, także zamożnych państw Zachodu, jest kiepska. W niektórych jest zła. Nasza natomiast jest beznadziejna i w tym cała różnica. Nie brak nam mądrych głów. Mimo to lektura wszystkich politycznych medytacji, konceptów, propozycji, rozpaczliwych w zarodku — „co robić, kiedy nic nie można zrobić”, publikowanych „pod ziemią” w Kraju i na emigracji, przyprowadza o ponurą depresję. Nieszczęście nasze jest bardzo stare. Szaleństwa, autentyczne, niewmówione, w które wpadali Polacy, ze swymi wieszczami na czele, za Wielkiej Emigracji w XIX wieku, brały się z tego samego poczucia niemocy i niezgody na ową niemoc, wywołaną zniewoleniem. Cały Towianizm, dziwactwa starzejącego się Mickiewicza, cuda i anioły Słowackiego, a pewno i po części tragedia Norwida, stąd się przecież wzięły. Ileż to było ratunkowych pomysłów i nadziei, żeby nad głową partii dogadać się z Sowietami, aby wyperswadować ekipie Jaruzelskiego powrót do totalnego zakłamania, aby stworzyć wewnątrz sowieckiego państwa wolne państwo, i tak dalej. To niestety ucieczka od rzeczywistości.

Wziąć choćby nieboszczkę reformę ekonomiczną. Reforma bez częściowej decentralizacji władzy jest niemożliwa. Pójść na jakiś NEP — to dać ludziom skrawek ekonomicznej niezależności od państwa, bo przestanie być jedynym pracodawcą. Marks miał pełną rację: kto ma środki produkcji, ten ma władzę. Mechanizmy, udaremniające w kraju gospodarczą liberalizację, widać jak na dłoni. W Polsce panuje „faszyzm o ludzkim obliczu”. Idioci u władzy pojęli, do czego mogą prowadzić ustępstwa. „Koniec wieku ideologii” Raymonda Arona ziścił się najpierw w pełni u nas. Fasada „marksistowskiego humanizmu” poszła w proch. Powstała władza militarna, rozumująca w militarny sposób. To wyjaśnia wiele paradoksów ekipy Jaruzelskiego, wyglądających na wariactwa. Generałowie myślą po wojskowemu, tak jak ich nauczono. „Nepla” należy zaatakować, zmusić do poddania się, a kiedy się ma przewagę w uzbrojeniu i w rozmieszczeniu żywej

siły, można to zrobić. Tyle, że to wojskowe myślenie jest na nic w gospodarce, w życiu społecznym, w kulturze. Myśl, że na rozkaz pobite społeczeństwo „podda się” tak, jak się poddaje zwyciężona regularna armia nieprzyjacielska, jest rodem z wodogłowa. Lecz cóż, tych biednych umysłowo Pseudopolaków nie stać na nic więcej. Można pytać, czy nie mogą działać inaczej (bo tak chce Kreml), czy tylko nie chcą, boją się społeczeństwa w rozluźnionych okowach? Różnica jest zamglona, ale nie jest zbyt wielka. Paradoksalnym nieszczęściem skądinąd wspańskiego okresu „Solidarności” było to, że wszyscy cokolwiek wariaci ludzie „zdjęli maski” i reżym zobaczył nagle, że może liczyć tylko na łotrów, stojących przy nim, bo na żadną karierę poza zdradą ich nie stać. Więc słyszemy teraz narzekania, że nie należało tworzyć jednego dziesięciomilionowego Związku, lecz liczne rozmaite ruchy, partie, o wyodrębnionych programach, jak gdyby powstanie owych partii z prawie że niczego w parę tygodni było możliwe. Nie mogło być inaczej, niż było. Owszem, z ludzkiego morza, co stało przy „Solidarności”, wyłoniłyby się z czasem różne programy i wyodrębniłyby się odmienne polityczne czy społeczno-ekonomiczne stanowiska, ale jednoczący wpływ na te miliony miała postawa reżymu, który ustępował, kłamiąc, oszukując, kręcąc, wywijając się, a właściwie częściej udawał, że w ogóle ustępuje.

Nie tylko żołnierze, lecz niższa kadra oficerska była na schyłku „Solidarności” zaniepokojona brakami uzbrojenia i nabojów: ci ludzie byli naprawdę gotowi się bić, gdyby weszli Rosjanie (lub inni nasi bracia). Jednak wyżej majora czy pułkownika oficerowie zawodowi byli już po „tamtej” stronie. Sytuacja była całkiem inna niż w 1956 roku, kiedy na ruchy sowieckich wojsk w Polsce odpowiedziały ruchy naszych wojsk, nim Chruszczow przyleciał z kolegami do Warszawy na pogawranki z Gomułką. Teraz alternatywy oporu zbrojnego nie było, bo Sowietci o to roztropnie zadbałi. Za Spychalskiego, Kliszki, Gomułki, powołusku wymienili kadre niepewną na pewną, wierną w stu procentach. Zresztą chociaż nie mam na to żadnego dowodu pewien jestem, że Moskwa nienawidzi nas wszystkich razem z generałami i Jaruzelskim, a różnica tkwi tylko w natężeniu tej nienawiści. Polacy im się zbuntowali, więc dobrze, że na miejscu mieli swych hyclów i rakarzy, ale czy można specjalnie lubić rakarzy i hyclów? Rosyjski szowinizm, ubrany w sowiecki socjalizm, jest taki sam, jak sto lat temu. Najbardziej optymistycznie nastroszeni realiści mówili nieraz, kiedy nad „Solidarnością” zbierały się już czarne chmury, że jej upadek nie będzie całkowitą klęską, ponieważ po każdym z poprzednich zrywów coś nam jednak pozostawało. Więc teraz też coś zostanie. Owszem, zostało: jako upowszechn-

niona w całym społeczeństwie świadomość, że nie tylko jesteśmy w sferze sowieckich interesów, ale że stanowimy sowieckie strategiczne przedpole, i że to jest najważniejsze dla Moskwy. Przez trzydzieści lat ogromna większość Polaków szła na różne kompromisy z władzą, udając, jak kto umiał, że to nie jest władza narzucona przez obce imperium, o charakterze pośredniej okupacji, ale nasza własna, chociaż niemiła. Ludzie czepiali się eksploatowanych przez reżym ukochanych narodowych symboli, Orła Białego, narodowego hymnu (mądry Józef Wissarionowicz powiedział: „*Mazurka Dombrowskowo charosza piesnia, ostawit' paka*”) a życzliwy Generał dodał jeszcze jako prezent rogatywki.

Wszystko to jest już zupełnie puste, wydrążone, gołe i bosc. Taki jest stan rzeczy. Co będzie dalej? Zachodni wierzyciele będą prolongowali spłaty długów, bo im z tym lepiej. Traktują niespłacone długi jako chwilowo unieruchomione aktywa, więc takie postępowanie leży w interesie bankierów. Natomiast zachodnie rządy nie będą już dawać gwarancji na nowe kredyty, więc strumyczek wpływających do kraju dewiz będzie skromny. Dalej będzie się eksportować węgiel wydobywany jawnie rabunkową gospodarką, rabunkową, bo śląska niecka trzeszczy, zapada się, lecą wiadukty, domy, cała infrastruktura, ale trudno. Dalej będzie się sprzedawać po dumpingowych cenach cukier i co się jeszcze da oderwać ludziom od ust. Ruch samochodowy będzie dalej mały, bo Rosjanie mają na głowie ważniejsze rzeczy, niż motoryzacyjne satysfakcje Polaków, więc i benzyny będzie mniej (już jest). Chodzą słuchy o projektowanych dalszych zmianach ustaw dewizowych, żeby skończyć z tą niesłychaną w obozie walutowej swobodą posiadania własnych dolarowych kont. Inżynierowie będą jak długo się da dalej pletli słomianki, elektronicy szyli buty, akademicy — czepiali się firm polonijnych. Kościelny fundusz dla rolnictwa jeszcze nie powstał, a już poszły po nim rysy, bo i władza chętnie by te zapowiadane miliardy wzięła i dotąd jakoby hojnie ofiarodawcy zaczęli się z przyrzeczeń po trochu wycofywać. Z miliardów zrobiły się miliony.

Zachód nie kocha nas i Wielki Brat też nie. Trudno, taka jest prawda. O tym, jak Kreml ufa Jaruzelskiemu, nie świadczą słowa lecz fakty: gazowy rurociąg idący okolem przez Czechosłowację na Zachód, żeby wyminąć Polskę, brak rakiet SS-20 w kraju, bezpośrednie promowe połączenie Libawy przez Bałtyk z Rostokiem. Jesteśmy chwilowo spacyfikowanym przedpolem i o to chodzi. Oraz o to, żeby polski przemysł zbrojeniowy pracował dalej dla Paktu, czyli dla Sowietów, tak samo jak za „Solidarności”, boż on był przecież i wtedy TABU. Nawet wtedy nikt nie był aż tak szalony, żeby o nim wspominać inaczej niż półgębkiem.

Owszem: pojawiło się w tej „powojennej” Polsce parę ciekawych, bo nowych zjawisk. Po raz pierwszy (poza Chinami) w państwie socjalistycznym ukazały się artykuły o antynatalistycznej treści: nie stać nas na przyrost roczny rządu 3/4 miliona dzieci, bo by trzeba 3.000 nowych szkół w 1990 roku, a nie ma jak ich zbudować. Tymczasem przekroczyło się 37 milionów ludności i ta demograficzna prężność zapowiada wnet czterdziestomilionową Polskę — cywilizacyjnego i kulturalnego regresu, padającej oświaty (być dziś nauczycielem czy nauczycielką to mała przyjemność — kto może, ucieka z tego zawodu, a wszak im słabsza i gorsza kadra pedagogiczna, tym bliżej do analfabetyzmu), kompletnie przestarzałych i zużytych technologii, spadku jakości i prestiżu nauki (dyplomu zjeść się nie da), ale za to jako *novum* zjawily się porno-partyjne periodyki literackie z krakowskim przerobionym *Pismem* na czele. Oraz dziwne — pod jakże purytańskim Generałem — jakieś na marnym papierze drukowane „Wenusy”, co starszym osobom Niemile kojarzą się z pornograficzną „Falą”, wydawaną przez Niemców za okupacji, ażeby odwrócić uwagę Polaków od polityki w stronę narządów płciowych.

A Kościół? „Solidarność” była pierwszą linią jego obronnych wałów. Reżym weźmie się za Kościół, kiedy uzna, że to już możliwe. Zresztą ten reżym tkwi w takiej samej bezwyjątkowości, jak naród. Chce, ale nie może. Ileż pięknych rzeczy pisze się i słyszy o naszej podziemnej działalności kulturalno-oświatowej! (Co prawda zaszło pewne przesunięcie — sporo ludzi, też drukarzy, łączy interes patriotyczny z finansowym, bo można tam nieźle zarobić). Bardzo to dobra i pożyteczna działalność, lecz jej zasięg okrutnie przesadzony. Są to zjawiska wielkomięjskie. Prowincja i wieś tych wydawnictw nie widzi, w zasadzie słucha się tam Głosu Ameryki i Wolnej Europy, lecz raczej Głosu (gdyż WE jest skutecznie zagłuszana). Bodaj najwięcej smutku budzi los młodzieży. To jak patrzeć w otchłań. W pewnym całkiem konkretnym, chociaż bardzo osobliwym sensie, całe społeczeństwo stara się „uciec”, schować się gdziekolwiek, a już dosłownie moc młodych ludzi roi o emigracji na Zachód, wspaniały wciąż w wyobrażeniach tych, co go nie posmakowali. Emigracyjne lawiny Węgrów po powstaniu 1956 zostały przez Zachód wchłonięte, gdyż całkiem inna była wtedy sytuacja. Dziś ten Zachód drzy na widok każdego emigranta czy „azylanta”.

Zachodnia Europa jest ciężko chora, choć wciąż bogata. Już się w niej nie słyszy tyle o „finlandyzacji”, co niedawno temu. Finlandia zresztą wcale się nie upodliła, nie uległa zbiorowemu samozakłamanemu (za które Niemcy w RFN biorą się jak tylko mogą), tylko ma ograniczoną swobodę polityki zewnętrznej i poniekąd wewnętrznej.

Pozostają więc naprzeciw siebie dwaj ogromni przeciwnicy: ZSSR i USA. Czy Reagan jest rozsądny ze swoim (raczej wmówionym mu) projektem Gwiazdowych Wojen — laserowym płotem orbitalnym, który bodaj za bilion dolarów ma Amerykę osłonić przed sowieckimi raketami? Rozsądny jest o tyle, o ile wynika ze zrozumienia, że Sowiety nie pojmują żadnych argumentów prócz argumentu siły. Czy nie oznacza to prawdziwie rosnącego zagrożenia świata, więc oczywiście i Polski? Ależ tak. Paradoksalnie jednak w tym nieustannym wzroście światowego zagrożenia tkwi ostatnia polska nadzieja, ponieważ jest to stan, który nie może trwać kilkadziesiąt lat: Eskalacja jest i będzie coraz bardziej kosztowna. Jeśli dojdzie do najgorszego, zginiemy wraz z tymi wszystkimi, którzy robią najgorszy użytek z największej, realnie dostępnej wolności. Jeśli zaś do atomowego zderzenia nie dojdzie, będzie się musiał wyłonić z antagonizmu jakiś rodzaj pojałtańskiego ładu. To właśnie stanowi na daleką przyszłość ostatnią naszą nadzieję. Poza biologicznymi granicami życia średniej i starszej generacji, zapewne. Ale choćby się bardzo chciało, trwania Polski nie można przymierzać do trwania osobistej egzystencji.

P. ZNAWCA

Maj 1984

Neonacjonalizm czy kryzys wartości

Symetria w polityce jest rzeczą rzadką. Kto sądził, że po zmianie rządu w RFN *obecna* polityka niemiecka wobec Polski Jaruzelskiego będzie dokładną odwrotnością *poprzedniej*, miał dość czasu, by spostrzec swą pomyłkę. Zamiast zmiany polityki — wyraźna ochota na zakończenie kwarantanny. Zamiast zapowiadanej nowej linii w *Ostpolitik*: ustępstwo tylko w zamian za ustępstwo — coraz mniej warunków, coraz więcej kontynuacji a nawet, cichcem, powrót do odprężeniowej frazeologii. Zamiast nacisku na władze PRL, chociażby w dziedzinie obrony praw człowieka — regularne zabiegi o normalizację między rządem a rządem. Sondażowe, często i gęsto okraszane kurtuazyjnymi uśmiechami podróże do Polski czołowych polityków nowej koalicji (Strauss, Bernhard Vogel, Mischnick, niedługo prawdopodobnie Genscher) wyglądają niekiedy wręcz na przyzwolenie, a w każdym razie na pogodzenie się z faktami.

Głośniejsze niż dawniej utyskiwania rewindykacyjne ziomkostw i śmielszy niż poprzednio margines neo-nazistowski nie

mając tego głównego nurtu ani trochę, poza ułatwianiem Jaruzelskiemu propagandy przeciw rewanżystom niemieckim na użytek wewnętrzny. Kręgi te — różne zresztą w swej genealogii, w licebności i w programach — denerwują się granicami, a nie losem Wałęsy czy Michnika. Na ogół rząd RFN unika wprowadzić polemiki z rozmaitymi odłamami rewanżystów, a nawet wchłania niektóre ich postulaty, oświadczając np., że sprawa granic pozostaje otwarta aż do podpisania traktatu pokojowego. Chodzi tu jednak raczej o retoryczny manewr asekuracyjny w stosunku do najskańniej szowinistycznej grupy wyborców, niż o jakiegokolwiek realne zmiany w polityce.

Oczywiście sprawę Polski wpisać trzeba w całość polityki niemieckiej wobec bloku wschodniego. Choć zakrawa to na paradoks, dwutorowość jej uległa zaakcentowaniu. Rząd Kohla wywiązał się i wywiązuje prawidłowo ze swych zobowiązań w ramach Sojuszu Atlantycznego. Instalacja Pershingów na terenie RFN postępuje bez zakłóceń, rozpoczęła się zresztą w terminie, bez większego krzyku, bez oczekiwanej tu z niepokojem „gorącej jesieni” — pomimo, iż zasadnicza anty-atomowa orientacja nie zmieniła się wśród większości społeczeństwa ani na jotę. Tego poprzednia ekipa rządowa — ze względu na zapoczątkowany już od dawna odwrót socjaldemokracji od „podwójnej decyzji NATO” — dokonać nie byłaby w stanie. Jednakże jak gdyby pod osłoną sojuszniczej lojalności, tuż pod jej powierzchnią, dzisiejsza koalicja zaczęła rozwijać tak gorączkową działalność „odprężeniową”, o jakiej Schmidtowi i socjaldemokratom marzyć by się nie mogło. Miliardowy kredyt dla NRD, załatwiony przez Straussa, prawie wyścigi tutejszych ministrów i działaczy w odwiedzaniu Honeckera, istne procesje na Targi Lipskie, szukanie kontaktów oficjalnych i poufnych, przerzucanie publicznych i prywatnych mostów i pomostów — oto sytuacja sprzed kilku miesięcy, różniąca się od okresu poprzedniego jedynie zawrotnym nasileniem. W tej chwili tempo nieco opadło, ale nie wiadomo czy tłumik nałożono w samym Berlinie wschodnim czy w Moskwie — jak by nie było, intencje tutejsze są niewątpliwe. Uderza w tym wszystkim ze strony RFN świadoma powściągliwość w sposobie finalizowania i w prezentowaniu różnorakich porozumień kłopotliwych dla reżimu Honeckera tak, by nie naruszać propagandowej rutyny NRD. Gdy od początku tego roku zaczęła gwałtownie wzrastać liczba legalnych wyjazdów na stałe z NRD do RFN (ponad 20 tys. osób w ciągu kilku miesięcy — takiej liczby dotąd nie zanotowano) — przywitano przesiedleńców raczej cicho i rzeczowo, bez żadnych widomych oznak triumfu. Gdy do ambasady RFN w Pradze uciekła wraz z rodziną siostrzenica premiera NRD Stopha, usiłując dostać się tą drogą do Niemiec Zachodnich, stawano dosłownie na rżęsach, by sprawie odebrać posmak skandalu i wynegocjować ją w tonacji wyciszzonej, według warunków Berlina wschodniego. Niesfora krewniaczka wróciła więc najpierw do domu, by później, znowuż bez rozgłosu, przenieść się legalnie na Zachód.

Kontrowersji nie wywołuje oczywiście ani naturalna tendencja do wzajemnych zbliżeń w podzielonym kraju, ani umiar czy dyskrecja w pertraktacjach, zwłaszcza gdy pomaga to konkretnym ludziom w konkretnych sprawach. Jednak przy całym zrozumieniu — niezależnie od tego, że istotna wzajemność korzyści, uzyskanych w czasie wizyt tutejszych prominentów w NRD wymagałaby dopiero szczegółowego zbadania — nie wolno przeoczyć innego, znacznie ważniejszego czynnika. Impet polityki Kohla i Genschera, raptowne, niepozabawione zresztą efektów komicznych „kochajmy się” tutejszej koalicji z Honeckerem rewolucyjnie, w imię wewnątrzniemieckiego spokoju, reżim NRD. Wystawia mu świadectwo stabilizacji w chwili, gdy pewne drobne drgnięcia odśrodkowe (nie tylko run wyjazdowy, ale np. tamtejszy ruch pokoju, domagający się *obustronnego* rozbrojenia atomowego) stabilizację tę w jakiejś ograniczonej mierze podważają. Toteż o jakościowej zmianie stosowanych teraz zabiegów odprężeniowych w porównaniu z poprzednimi nie może być mowy. Proklamowana przed laty wykładnia odprężenia, czyli dążność do pobudzania po drugiej stronie „przemian poprzez zbliżenie” (*Wandlung durch Annäherung*) pozostaje dalej martwą literą. Ożywiający stosunki między dwoma państwami niemieckimi, nowy rząd boi się, jak poprzednio socjaldemokracja, wszelkiego ruchu *wewnątrz* drugiego systemu. Żywo stają w pamięci ambiwalentne postawy wobec „Solidarności”: najprzód nieskrywany podziw, później nieskrywany strach. Strach, jak widać dziś wyraźnie... ponadpartyjny.

Zachód niepokoi się o Niemcy. Nad przyczynami tego niepokoju szeroko rozwodzić się nie będę, są ogólnie znane. Powiem tylko zbiorczo, że baza społeczna, na jakiej opierał się *konsens* w zakresie obrony kraju, obsunęła się tu i skurczyła. Należy, rzecz jasna, wnioskować ostrożnie, sondaże socjologiczne w sprawie instalacji Pershingów (75 % głosów przeciw) nie były precyzyjne, pomijały np. element równowagi raketowej między mocarstwami itd. Społecznej niechęci do instalacji rakiet nie należy także utożsamiać z chęcią wyjścia z NATO (na razie postulują to tylko Zieloni). Bez wątplenia jednak panuje powszechne przekonanie, że rakiety nie wzmacniają bezpieczeństwa, lecz odwrotnie, osłabiają je, coraz częściej zatem linia miękka góruje nad twardą.

Ogromne nasilenie kontaktów między obydwojema państwami niemieckimi na początku tego roku zbiegło się z zachodnim sceptycyzmem w związku z ewolucją tutejszych poglądów. Obawy przed zamiłowaniem Niemców do własnych dróg i ich skłonnością do abstrakcji; lęki przed „niemieckimi niepewnościami” (*les incertitudes allemandes*), przed zjednoczeniem zneutralizowanych Niemiec jako zdeklarowanym (po cichu) celem ogólnonarodowym — otrzymały wspólny mianownik. Neutralistyczny neonacjonalizm niemiecki został uznany prawie za realną groźbę i funkcjonuje już w roli jakby sloganu, niezmiernie chwytliwego, lecz słabo uzasadnianego.

Tymczasem sytuacja wygląda inaczej z bliska niż z daleka. Powodów do niepokoju jest mnóstwo, lecz kierunek niepokoju wydaje mi się, nie od dziś zresztą — fałszywy. Poszczególne barwy obrazu zgadzają się z rzeczywistością, natomiast podciąganie ich pod neo-nacjonalistyczny wspólny mianownik upraszcza znacznie bardziej złożoną sytuację. Słowem, symptomy choroby niemieckiej, dostrzegane i rejestrowane trafnie, są fałszywie interpretowane, z czego wynika chybiona diagnoza.

Sięgając do istotnego przedmiotu obaw trzeba podkreślić absurdalność, w obecnych warunkach, wszelkich rojeń o konfederacji dwóch zdemilitaryzowanych państw niemieckich. Do takiego przetargu brak po prostu partnerów. Jeśli mimo to niektórzy politycy niemieccy mówią dziś częściej o jedności Niemiec, to za takim hasłem, odwołującym się do emocji, nie stoi żadna nawet mglista koncepcja. (Kto wie zresztą czy w zamysłach rządu sianie złudzeń narodowych nie ma na celu amortyzacji aktualnych napięć społecznych). Wielkie Niemcy między Wschodem a Zachodem, których suwerenności nie zagrozi Związek Sowiecki? — trudno przypuszczać, by ktokolwiek brał to poważnie. Nawet skrajni przeciwnicy Pershingów czy wręcz Sojuszu Atlantycznego nie są gotowi do dobrowolnego skomunizowania swego kraju, ani nawet do świadomego wystawienia się na niebezpieczeństwo przyszłego komunizowania go w etapach. Nawet Zielona Petra Kelly wraz z Zielonym generałem Bastianem wycofali swe podpisy spod pacyfistycznego „Apelu krefeldzkiego”, gdy uznali tę imprezę za narzędzie w rękach komunistów. Heinrich Böll wezwał niedawno uczestników ruchu pokoju do ostrzejszego odgraniczania się od DKP (Niemieckiej Partii Komunistycznej) i zakwestionował jej wiarygodność, ponieważ domaga się ona wyłącznie likwidacji rakiet amerykańskich, odmawiając równocześnie poparcia ruchowi pokoju w NRD, gdzie chodzi o rakiety sowieckie.

Jednakże trzeba stale pamiętać, że niepokoję o Niemcy wśród naszych pokoleń nie mogą całkowicie wygasnąć. Ponieważ wiemy dobrze z historii, że wszelki irracjonalizm na dziś może się okazać realizmem jutro, trzeba przynajmniej owoim niepokojom prawo patrzenia w przyszłość, prawo do pytań o granice niemieckiej identyfikacji narodowej, o napięcia uczuciowe i przywoływane wartości, towarzyszące ich rozszerzaniu się lub kurczeniu. Tylko pamiętając o tych sprawach można zastanawiać się czy istnieją lub nie istnieją marzenia nacjonalistyczne wśród współczesnych Niemców.

Temat to obszerny, mogę więc jedynie operować wybranymi przykładami. Sprzeciw socjaldemokratów wobec instalacji Pershingów jest tu najlepszym przykładem chociażby dlatego, że to przeciw SPD, najważniejsza tu i opiniotwórcza siła opozycyjna, wchłaniając tematykę ruchu pokoju przetworzyła *atmosferę* polityczną w *akt* polityczny. Hipotezy o neutralistycznym nacjonalizmie niemieckim otrzymały zatem dodatkowe uzasadnienie.

Przypomnijmy, że w kwestii narodowej socjaldemokracja niemiecka przeszła długą i ciernistą drogę. Od Bismarcka poprzez Niemcy weimarskie, a potem hitlerowskie, piętnowana jako partia „bez ojczyzny”, wyrównała w oczach opinii publicznej po drugiej wojnie światowej (gdy na jej czele stał Kurt Schumacher), zarzucany jej dawniej brak patriotyzmu: uznała prymat zjednoczenia Niemiec nad koniecznościami zachodniej integracji. Koncepcja ta, pozbawiona śladu neutralistycznych iluzji, kształtowała się w ostrej, namiętnej wprost opozycji wobec Sowietów i komunizmu.

Jeśli jednak idzie o priorytety, trzeba było długiego czasu, by socjaldemokracja zrównoważyła w swej własnej świadomości ich hierarchię i z końcem lat pięćdziesiątych zharmonizowała cele narodowe, czyli postulat zjednoczenia Niemiec (choćby w dalekiej, nieprzewidywalnej perspektywie) z polityczną, strategiczną i gospodarczą integracją Republiki Federalnej w ramach Sojuszu Atlantycznego. Wtedy to właśnie osiągnięto tu w sprawie narodowej i w zakresie obrony kraju *konsens* wszystkich znaczących partii politycznych, któremu zarówno ich zwolennicy jak i przeciwnicy nie odmawiali znaczenia historycznego. Przetrwiał on, przy sporach o szczegóły, przez lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte, by zachwiać się — w części dotyczącej obronności — dopiero w ramach kontrowersji na temat Pershingów i załamać się ostatecznie przy definitywnym odwołaniu SPD od „podwójnej decyzji NATO”.

Na owej drodze odwrotu socjaldemokracja niemiecka spotkała nowych partnerów: Zielonych, tzw. ruchy alternatywne, ruch pokoju. Związała się z nimi najpierw w dorywczych, a potem w otwarcie przyznawanych aliansach — i zaczęła coraz bardziej ulegać, a coraz mniej przewodzić. Wspólny odtąd protest atomowy zatarł kontury. SPD nie wpisała wprawdzie w swój kurs ani żądań o wyjście z NATO, ani pomysłów jednostronnego rozbrojenia — lecz tolerowała ich emocjonalną otoczkę, by wreszcie podjąć na nadzwyczajnym zjeździe w Kolonii, w roku 1983, znaną uchwałę antyrakietową. Kilka dni temu, na kolejnym zjeździe w Essen, poszła jeszcze dalej, wprowadziła w miejsce obiektywnego pojęcia równowagi — subiektywne i płynne pojęcie „stabilności” (*Stabilität*) sił zbrojnych obu bloków i wypowiedziała się za zmianą strategii NATO, a przede wszystkim za rezygnacją z doktryny „atomowego odstraszania”.

Od dłuższego już czasu różne grupy wewnątrz SPD (w tym również grupa profesorów szkół wyższych, publicznie protestująca przeciw koncepcjom socjaldemokracji w zakresie obronności i stosunków ze Wschodem) przestrzegają przed aktualną polityką kierownictwa tej partii. Jednakże stanowią one mniejszość o świetnym wprawdzie potencjale intelektualnym, lecz o ograniczonej liczebności. Na razie zwyciężyła w SPD „nowa fala”.

Prosty stąd wniosek, że w nowej konstelacji zacieśni się jeszcze przymierze socjaldemokratów z całym ruchem kwestio-

nującym dotychczasowe podstawy strategiczne obrony Zachodu. Tymczasem wpływ „pokojowej” argumentacji tego ruchu ogarnął znacznie szersze kręgi społeczne niż wynikałoby to z układów partyjnych. Przełał się nie tylko poza początkową bazę społeczną ruchu pokoju, ale wykroczył daleko poza klientelę wyborczą SPD i Zielonych. I choć opiera mu się większość społeczeństwa (niezależnie od niechęci do Pershingów), jest głośniejszy i bardziej nośny niż wszelka przeciwstawiana mu polemika.

Wracam jednak do pierwotnej wątpliwości. Czy cały ten nurt, rozszerzający się siłą własnego napędu, emancypacyjny wobec Ameryki, odśrodkowy — choć w różnym stopniu — wobec Sojuszu Atlantycznego, usprawiedliwia podejrzenia o neutralistyczny neo-nacjonalizm niemiecki? Spróbujmy wejrzeć w uruchomione odniesienia i argumenty, w emocje i wartości.

Przekonamy się szybko, że w kręgach o których mowa, analiza stosunków z Sowietami nie zawiera najlżejszego nawet odniesienia do własnego poczucia narodowego. Związek Sowiecki występuje w dwóch rolach, raz lwa, raz baranka. Obie służą temu samemu: uzasadnianiu i pogłębianiu ustępliwości. Ponieważ jednak o lwie, żeby go nie drażnić, lepiej mówić po cichu, w podtekstach tylko lub ze zmrużeniem oka, więc w otwartej argumentacji na szeroki użytek przyjęła się wersja baranka. W tygodniku *Der Spiegel* Rudolf Augstein wymyślił inną jeszcze metaforę ze świata zwierząt. Przypominając, iż niegdyś wewnętrzne słabości pchały określone kraje do awantur wojennych, przeciwstawia temu Sowiety:

„Nie jest to absolutnie wypadek Sowietów i nigdy nim nie był. Odwrotnie, Związek Sowiecki mógł pokrywać swoje wewnętrzne słabości tylko przez ostrożne postępowanie na zewnątrz: patrz Persja i Grecja, patrz blokada Berlina i sowieckie cofnięcie się, gdy Kennedy zablokował Kuba. Związek Sowiecki jest jak wilk z bajki, który przeżarł się — patrz Polska — i nie może się już wydostać ze śpiżarnianej nory”.

A zatem: komunizm uważa się tu za ustrój na wewnątrz agresywny i bardzo by się go nie lubiło u siebie. Natomiast Związek Sowiecki jako mocarstwo traktuje się statycznie i niemal w oderwaniu od czasu i przestrzeni, jak gdyby sowiecka ekspansja w Afganistanie czy w Afryce nie miała nic wspólnego z interesami europejskimi i jak gdyby sama Europa nie zauważała nigdy ze strony sowieckiej cienia nawet tendencji agresywnej. Helmut Schmidt niezmiennie przestrzega w tygodniku *Die Zeit* przed sowiecką potęgą militarną jako narzędziem nie-militarnego szantażu. Ale Schmidt jest niemodny, a modny ideolog SPD Peter Glotz obwieszcza, przypominając „doktrynę Breżniewa”, że „wprawdzie Sowiety bronią zębami swego *status quo*, ale w żadnej mierze nie zachowują się ekspansywnie w Europie Środkowej”.

Tak wyśrubowane złudzenia i tak ahistorycznie skrócona perspektywa (ważne jest tylko „tu” i „teraz”) stępują oczywiście

wrażliwość na ryzyko narodowego zagrożenia. Jeśli już ryzyko, to biologiczne, zawieszane między atomami, a atomy trafić mogą z obu stron. Konstruuje się odwrotnie proporcjonalne dowody: im straszniejsza jest zagłada biologiczna, tym mniej ważny interes narodowy. W takiej konstrukcji prosowieckie iluzje posiadają zróżnicowane funkcje, zależnie od pokoleń. Wobec starszych generacji, którym strach przed Sowietami z ostatniej wojny tkwi jeszcze głęboko w kościach, spełniają rolę egzorcyzmów, wyganiających duchy złych wspomnień. W oczach młodszych — systematycznie, od dziesięcioleci niedouczonego w zakresie wiedzy o ekspansywności sowieckiej — układają się w sielankowy wizerunek świata bez niebezpieczeństw, gdzie nawet atak odpięra się miłością. Znakomity skądinąd piosenkarz porywa tłumy śpiewając:

„Gdy przyjdą do nas bracia nasi,
Z bombami i karabinami,
W ramiona ich weźmiemy,
Bronić się nie będziemy”...

Przykład dalszy: jednego z działaczy CDU zapytano niedawno w wywiadzie telewizyjnym, dlaczego, jego zdaniem, wśród ludności NRD dyskutuje się o sprawach narodowych częściej i z większym napięciem uczuciowym niż w RFN. Polityk, dobrze zorientowany w problemach NRD, mówił długo i inteligentnie o wielu możliwych motywacjach — tylko nie o najprostszej, że mianowicie obca dyktatura pobudza uczucia narodowe.

W artykule opublikowanym w *Le Point* z 2 stycznia br., a przedrukowanym w marcowym numerze *Kultury*, Jean-François Revel pisze, iż problem zjednoczenia Niemiec „tkwi w umyśle każdego Niemca, choćby się tego wypierał”. Może i tkwi (choć niewątpliwie w stłumionym wobec braku aktualności nasileniu) w umysłach elit. Zapewne tkwi — gdy idzie o warstwę szerszą — w wyuczonych i z biegiem czasu zmechanizowanych odniesieniach, w archiwach pamięci, jako jedna z maksym Konstytucji. Ale na co dzień — nie tkwi. Więzy rodzinne czy przyjacielskie po obu stronach wewnętrzniemieckiej granicy, pielęgnowane dziś intensywniej przy łatwiejszych niż dawniej podróżach, nie przekształcają się w ostre pragnienie wspólnoty narodowej. My i oni — nierzadko w takich kategoriach przyjmowano tu licznych przesiedleńców z NRD z początkiem tego roku: „Co mamy z nimi zrobić przy naszym własnym bezrobociu”... Nie ma tu nic do diabolizowania, również takie reakcje należą do zwyczajnego obrazu społecznego w drastycznej (lub tak odczuwanej) sytuacji gospodarczej. Lecz idzie właśnie o to, że nuta zadośćuczynienia narodowego nie zabrzmiała głośniejsz niż owe zwyczajne reakcje. Ten czy tamten strajk — akurat chwila obecna skłania do porównań — gotów tutaj obudzić więcej solidarności (oczywiście w określonych warstwach), niż potok przesiedleńców z NRD, którzy przybrał, bądź co bądź, rozmiary naszego *exodusu*.

W tej niezmiernie delikatnej materii, gdzie przyzwyczajenie

walczy z uczuciami, a czas ze świadomością, ankietom socjologicznym trudno dopracować się wspólnych, precyzyjnych wyników. Jedno jest wszakże pewne: przy powszechnym, niestabnym z latami żądaniu, by prawo narodu niemieckiego do samostanowienia i jedności pozostało w tekście Konstytucji (około 80 % wypowiedzi w ankiecie Instytutu Demoskopii w Allensbach) — poczucie wspólnoty narodowej słabnie w młodszych pokoleniach. W połowie lat sześćdziesiątych 45 % respondentów uważało zjednoczenie Niemiec „za sprawę dla Niemców najważniejszą i wymagającą nieprzerwanego wysiłku” — w roku 1983 sądziło tak... poniżej pół procentu. Z ankiet przeprowadzonych przez instytuty „Infratest” i „Ifas” wynika, że dla 40 % osób poniżej lat 25 NRD to „zagranica”, a 43 % osób poniżej lat 30 nie odczuwa bliższej więzi ze spotkanym na zagranicznym urlopie mieszkańcem NRD, niż np. z Austriakiem, a więc z kimś, kto tylko mówi tym samym językiem. Czy to wszystko oznacza narodową abdykację, ostateczną zgodę na podział Niemiec? Oczywiście nie. Lecz znaczy, że podział dotkliwie nie boli, a wspólnota narodowa przesuwa się stopniowo ze sfery uczuć w sferę paragrafów i dalekich teorii.

Inaczej w gruncie rzeczy być nie może, czterdzieści lat niemożliwości robi swoje. Jednak równocześnie zachodzą znamienne przesunięcia w obrębie tożsamości własnej. Kiedyś zdziwiłam się ogromnie, gdy reagując na jakąś moją mimochodem rzuconą uwagę: „Przecież jest pan Niemcem”, pewien młody człowiek odparł: „Tak, ale bardzo niechętnie”. Mniej już zdziwiło mnie niedawno restrykcyjne samookreślenie się znajomej, czterdziestokilkuletniej Niemki w rozmowie o poczuciu narodowej przynależności: „Cóż to takiego narodowość? ... Każdy człowiek rodzi się gdzieś *przypadkowo*, ja np. w Niemczech”. Wcale nie wyrzykował to przykłady, podobnych tendencji mogłabym przytaczać dziesiątki, i sądzę, że każdy kto mieszka tu dłużej spostrzeżł — wśród młodszych i średnich pokoleń (nie zmieniają tego najnowsze oznaki szowinizmu) — odbarwienie, *odwartościowanie* niemieckiej tożsamości. Rozluźnionej, trzeźwo rzeczowej więzi z własnym krajem towarzyszy zresztą silniejsza może niż gdzie indziej więź z miastem, okręgiem, miejscem urodzenia, pochodzenia rodzinnego, spędzonego dzieciństwa. Świadomość obcości trapi tu przez dziesięciolecia wielu ludzi, przeniesionych w nowe miejsca zamieszkania (a są ich po wojnie dziesiątki milionów) i uważanych za nietutejszych przez nowe otoczenie*. Często wygląda to w hierarchii uczuciowej prawie tak, jak gdyby na pewno nie było przypadkiem to, że ktoś się rodzi w Berlinie, Dreż-

* Z niechęci wobec obcych, pomnożonej oczywiście przez różnice obyczajowe, a przede wszystkim przez mniej lub bardziej wyimaginowaną konkurencję na rynku pracy w pogarszającej się sytuacji gospodarczej, powstają też nieprzychylnie nastroje wobec tureckich *Gastarbeiter*ów. Typowa ksenofobia bez żadnej niemieckiej specyfiki, znana również dobrze — wobec różnych grup narodowościowych — w innych krajach Europy Zachodniej.

nie, czy Kolonii, jak gdyby natomiast Berlin, Drezno czy Kolonia przypadkowo leżały w Niemczech. Dobrze znana z socjologii nadrzędność emocjonalna więzi miejscowej nad dalszą, plus opóźnione kiedyś historycznie dojrzenie Niemiec do zjednoczonego państwa, plus potrzeba odgródzenia się od hitleryzmu — dają w sumie ów niespodziewany efekt, że dla wielu Niemców *niemieckość* przestała być cechą dodatnią.

Kto sądzi, że to dobrze, niech spojrzysz trochę dalej. Osłabienie tożsamości narodowej pociąga za sobą rozchwianie identyfikacji szerszej: z zachodnimi wartościami. Proces postępuje szybko, on to właśnie przejawiał się drastycznie w ruchu antyatomowym. Gesine Schwan, uczestniczka grupy socjaldemokratycznych profesorów, o której wspominałam, pisała w swoim czasie:

„Dla nich (przeciwników „podwójnej decyzji NATO” w SPD — K.Ch.) nie istnieje już konflikt Wschód-Zachód jako konflikt między systemami, istnieje tylko konkurencja między supermocarstwami. Problem systemu, czyli zagrożenie zachodniej wolności, przestaje zatem odgrywać decydującą rolę w wysiłkach utrwalenia pokoju”.

Istotnie, ruch antyatomowy zdołał pozbawić całą kontrowersję na temat interesów niemieckich w obliczu wojny czy pokoju jakichkolwiek odniesień do sfery *wartości*. Specjalistyczną dyskusję wojskową przetworzono w sugestywny nacisk propagandowy na szeroką publiczność. Mówi się głównie o takiej lub innej strategii, o broniach konwencjonalnych czy innych, o podniesieniu progę ataku atomowego, o raketach, zasięgach rzutów, pierwszym czy drugim uderzeniu, strefie bezatomowej — nie mówi się gdzie jest wolność, a gdzie jej nie ma. Prowadzi się spór o nagie siły — nie o treści. O to, czym by kto strzelał — nie o to, czego kto broni.

Niedawno Oskar Lafontaine, burmistrz Saarbrücken i *superstar* nowej fali w SPD, oświadczył publicznie, iż raczej wolałby dzielić los Polaków czy Węgrów, niż zgodzić się na wojnę atomową. Sztuczną, absurdalną przeciwstawność między *rot* a *tot* znamy co najmniej od paru lat, chodzi jednak o to, że wybitny polityk przydaje jej wagę alternatywy moralnej (choć na razie na cudzy koszt). Nie od dziś także obszerna literatura przynosi dysputę w rejonie pozornej filozofii i pozornych kodeksów etycznych. Apeluje nawet do motywacji religijnych, powołując się na Ewangelię i kazanie na Górze, na szerszy od wszelkich samookreśleń i interesów narodowych imperatyw miłości bliźniego, na uświęconą w Biblii i nadrzędną nad wszystkim innym rangę życia ludzkiego. Chyba rzadko spotkać można podobną — pewnie i często nieświadomą — manipulację wartościami. Apoteoza życia bez ceny i ofiary, wyrwanego z zespołu wartości towarzyszących, zrównanego z przyrodniczym tylko przetrwaniem — fałszuje zachodnią skalę priorytetów moralnych.

Cały ten proces obsuwania się wartości, redukując dążenia i

pragnienia społeczne do obrony fizycznej substancji, sprzyja strojdom kapitulacji — ale nie sprzyja nakręcaniu nacjonalistycznej koniunktury w oparciu o sowiecki protektorat. Znacznie szerszy — powtarzam raz jeszcze — niż przypuszcza zagranica, jest tu stopień wiedzy, iż Niemcy składając swój los w ręce Sowietów nie ostałyby się jako ich partner nawet „sfinlandyzowany”. Że weszłyby, nieco wcześniej lub nieco później, w rolę pokonanego przeciwnika, skazanego bez pardonu na sowieckie warunki. W sprzeczności między tą wiedzą a równią pochyłą nastrojów kapitulacyjnych w zakresie obronności i strategii leży, być może, osobliwy dramatyzm dzisiejszej sytuacji.

Nie z przerostu poczucia narodowego, ale z jego niedowładu bierze się zatem współczesna choroba niemiecka. Nie neonacjonalizm, lecz kryzys wartości może stąd grozić interesom Europy. Nie recydywa szowinizmu, lecz pragnienie świętego spokoju wznieca wśród Niemców nastroje antyamerykańskie i osłabia rykoszetem uprawnione z ich strony żądanie amerykańskich gwarancji strategicznych dla kraju pierwszego zagrożenia. To nie żaden Piemont, neutralistycznie zaprogramowany — to ryzyko atrofii narodowej rozmiękcza niemieckie ogniwo Sojuszu Atlantyckiego.

Ktoś powie, że to wszystko jedno, skoro efekt pozostaje ten sam — właśnie rozmiękczenie. Za łatwy wniosek chociażby dlatego, że utrudnia także sprzymierzeńcom i sąsiadom Niemiec rozpoznanie, skąd i na co czekać, co wesprzeć, a czemu się sprzeciwić. Odpór przeciw ofensywie rezygnacji (przy czym nie o platformy polityki oficjalnej tu chodzi, lecz o odpór społeczny) jakkolwiek zagłuszany, jednak tu istnieje i nieco śmieiej daje znać o sobie. Wyrażają się w nim te same nurty polityczne, które przeciwstawiając się szowinizmowi, wiążąc ściśle niemieckie interesy narodowe z Zachodem i jego wartościami, domagały się jednocześnie w polityce wobec Wschodu zdecydowania, oparcia się na wartościach, a nie na modłach o trwałe bezruch w bloku sowieckim. Te właśnie nurty należy poprzeć, nie dając się zbić z tropu przez sprzeczne ciśnienia w tutejszej atmosferze.

Jest rzeczą aż nadto zrozumiałą, że kiedy w Niemczech dzieje się coś nie tak, pierwsze podejrzania kierują się w stronę nacjonalizmu. Zapewne przez długi czas jeszcze tutejszym dylematom narodowym towarzyszyć będą postawy nieufne i chwiejne wśród społeczeństw europejskich: Co jest w końcu lepsze w tych Niemczech, atrofia narodowa czy jej przeciwnieństwo? A jednak choć nic nie wydaje się dziś dalsze i mniej prawdopodobne niż zjednoczenie Niemiec — problemu niemieckiej tożsamości przeskoczyć się nie da. W narodzie, którego historia, i to nie tylko najnowsza, toczyła się między kolejnymi fazami apatii narodowej i rozżarzonego szowinizmu, między akceptacją upokorzeń a ich nagłymi, krwawymi kompensatami — odywa się dziś, niezależnie od opisanej tu sytuacji, potrzeba narodowej *normalności*. Wejść do rodziny społeczeństw *normalnych*, mieć prawo do formułowania i obrony interesów narodowych, nie budząc

tym samym podejrzeń o skłonność do wiecznych paroksyzmów — oto współczesna tęsknota niemiecka, podskórna i daleka od spełnienia.

Jak pomóc Niemcom w ich dążeniu do *normalności*? Może na razie najskromniejsza propozycja: ani nie cieszyć się z przejawów ich narodowego niedowładu — ani nie szukać nacjonalizmu tam, gdzie go nie ma.

Kamila CHYLIŃSKA

27 maja 1984

Pra-wybory Partii Demokratycznej w USA

Od kilku miesięcy odbywają się w Stanach Zjednoczonych prawyby Partii Demokratycznej. Do rozgrywek półfinałowych (finałem będzie ogólna konwencja Partii Demokratycznej w lipcu) doszło trzech kandydatów. Są nimi Fritz Mondale, b. wiceprezydent za czasów Cartera, Gary Hart — senator z Colorado i Jessie Jackson — czarny pastor i polityk również niezmiernie czynny w okresie kadencji Cartera, nie piastujący jednak żadnego oficjalnego stanowiska rządowego.

Mondale — to człowiek który jest doskonale wysterylizowany ze wszystkich cech wykraczających poza absolutną przeciętność. Jest on faworytem amerykańskich związków zawodowych AFL-CIO, co oczywiście nie oznacza że popierają go masy pracujące Stanów czyli duża część warstw średnich, bo proletariatu w dawnym, późno dziewiętnastowiecznym i wczesno dwudziestowiecznym znaczeniu w Stanach Zjednoczonych nie ma.

Prawdopodobnie w prawyborach generalnych przejdzie Mondale. Z tej prostej przyczyny że Hart chce być troszeczkę inny niż wygładzony i dopięty na wszystkie guziki produkt maszyny demokratycznej. W związku z tym usiłuje się zaprezentować jako człowiek nowy rokujący nadzieje na przemiany. Nie bardzo mu to wychodzi, bo jak tu być innym i jednocześnie ulepiołym według doskonałego wzorca Partii Demokratycznej. Atutem Harta jest to, że Mondale był wiceprezydentem u Jimmy Cartera, który w masie wyborców amerykańskich jest całkowicie skompromitowany z powodu swej chwiejności i niedoświadczenia. Wszelako jest to argument wątpliwy ponieważ wiceprezydent nigdy nie miał i nie ma żadnego udziału w decyzjach prezydenta. W rezultacie więc obydwaj kandydaci — Mondale i Hart — zarzucają sobie wzajemnie tylko to, że ten lub tamten nie zawsze był taki super-liberalny i nie zawsze był w 100 % i bezwarunkowo za tym,

żeby Amerykę Środkową czy jakiś inny kontynent zagrożony dyktaturą komunistyczną pozostawić samemu sobie — czyli oddać Sowietom! — że przeciwnik miał jakieś drobne skazy w polityce *appeasement*'u, która od lat jest wyznaniem wiary Partii Demokratycznej. W sumie o tych dwóch demokratycznych kandydatach nie warto się rozwodzić. Ich polityczne przedbiegi zanim nastąpi w lipcu wielki finał zaczynają już nużyć amerykańską publiczność. Prawdopodobnie z tego powodu amerykańskie *mass media* kierują w coraz większym stopniu uwagę na trzeciego kandydata — czarnego pastora Jessie Jacksona i jego najbliższego współpracownika Louisa Farrakhana. Jest on również duchownym, ale mahometańskim. Jest głową kościoła czy też sekty pod nazwą „Naród Islamu” (*Nation of Islam*)*.

Nadanie zgromadzeniu religijnemu takiej osobliwej nazwy wskazuje od razu że jego wyznawcy powołani są do czegoś innego niż szerzenie nauki Proroka. I tak jest rzeczywiście. Od lat Kościół Farrakhana uchodził za jeden z najagresywniejszych w stosunku do białej ludności Stanów. Obecne pojawienie się głowy tego „kościółka” u boku chrześcijańskiego duchownego Jessie Jacksona rzuca osobliwie światło na cele tej organizacji. Status Farrakhana w stosunku do Jessie Jacksona nie jest jasno sprezygowany. Wspiera jego kandydaturę, występuje gwałtownie przeciw jego przeciwnikom, ale bynajmniej nie jest w stosunku do Jacksona postacią drugoplanową. To znaczy oficjalnie — jest, bo nie on a Jessie Jackson jest kandydatem na prezydenta w prawyborach Partii Demokratycznej. Tyle tylko, że Farrakhan dominuje jako indywidualność nad Jessie Jacksonem. Wodzowi Narodu Islamskiego marzy się po prostu, że przy pomocy chrześcijańskiego pastora zmobilizuje masy murzyńskie aby rozbić Stany Zjednoczone jako naród. Oczywiście są to wizje chorego umysłu, ale historia uczy, że ci którzy zdobywali popularność wśród szerokiej publiczności często nie byli najlepszymi okazami zdrowia psychicznego. Louis Farrakhan jest działaczem, który usiłuje zaszczerpić nienawiść do białej Ameryki w takim stopniu, w jakim nie uczynił tego dotychczas żaden z czarnych polityków w Stanach.

Zapytany czy jest siewcą nienawiści do białej ludności odpowiedział:

— Nie jestem przepełniony nienawiścią i nie traciłbym cennego czasu by uczyć Czarnych nienawiści do Białych... Najlepszymi nauczycielami tej nienawiści są sami Biali (*The Village Voice* z 22. V. 1984).

I dalej: — Islam toruje sobie łatwiej drogę do dusz czarnej ludności niż kiedykolwiek mógł to uczynić Chrystus, ponieważ Chrystus był „zbawcą” właścicieli niewolników i segregacjonistów (*The Village Voice* z 22. V. 1984, str. 15). To wąskie spojrzenie

* Naród Islamu jest sektą której praktyki i cele odbiegają od innego ugrupowania: Czarnych Muzułmanów (*Black Muslims*). Ci ostatni wyznają i praktykują Islam w sposób bardziej tradycjonalistyczny.

Farrakhana na dwie religie po to by degradować chrześcijaństwo i wywyższyć Islam w kontekście sprawy niewolnictwa ma swą wymowę. Dlatego sprawie tej wypada przyjrzeć się bliżej. Sam fakt zgranego działania dwóch czarnych duchownych, z których jeden jest chrześcijaninem a drugi muzułmaninem należącym do „wojującego” kościoła muzułmańskiego, świadczy, że przynależność wyznaniowa, statut duchownych Jessie Jacksona i Louisa Farrakhana służą jedynie politycznym celom. Że cele te są najzupełniej utopijne — to już inna sprawa. Tyle że nacechowana nienawiścią mitomania Farrakhana, od której nie chce odgrodzić się Jackson, może w ostatecznym rachunku obrócić się przeciwko czarnej ludności Stanów.

Jessie Jackson w porównaniu z wieloma innymi działaczami murzyńskimi jest postacią mniej niż przeciętną. Nie wyróżnia się niczym prócz bardzo niskiego kalibru demagogii, zdobywając w prawyborach demokratycznych przeciętnie około 90 % murzyńskich głosów. Dla wytłumaczenia tego zjawiska wynaleziono proste wyjaśnienie. Trafia do swego ludu charyzmatycznym urokiem. Charyzma Jessie Jacksona została zadekretowana przez tutejsze *mass media*. Koniec. Kropka. Myślę że w amerykańskich środkach przekazu fikcją charyzmy Jessie Jacksona stworzono celowo. Louis Farrakhan jest postacią trochę ambarasującą, dlatego oficjalne koła Partii Demokratycznej usiłują rolę jego przy boku Jacksona nieco przyćmić.

Jessie Jackson jest zwolennikiem niepodległego państwa palestyńskiego. Wśród czarnych polityków i działaczy społecznych jest to stanowisko dość częste. Oczywiście postawa taka nie implikuje antysemityzmu. Wszelako Jessie Jackson zmanifestował również swój antysemityzm złośliwą charakterystyką Nowego Jorku jako miasta żydowskiego. Początkowo zaprzeczył, że się kiedykolwiek w tej sprawie wypowiadał, później zaś uwagi te odwołał. Cierpkie słowa pod adresem amerykańskich Żydów zostały podsłuchane przez murzyńskiego dziennikarza Milтона Colemana i dzięki niemu ujawnione opinii publicznej. Jessie Jackson nie zareagował w ogóle na informację Colemana. Prawdopodobnie dlatego, że chciał aby ta sprawa została jak najrychlej zapomniana. Natomiast Louis Farrakhan zadziałał szybko i zdecydowanie. Nazwał Milтона Colemana Judaszem i zapowiedział, że za swoją zdradę zostanie ukarany śmiercią. Kara śmierci spotka nie tylko jego, ale i jego żonę o ile nie przerwie stosunku małżeńskiego ze swym zdradzieckim mężem. — Kiedy to nastąpi? — We właściwym czasie — odpowiedział Farrakhan (*Newsweek* z 23. IV. 1984, str. 32, *The Village Voice* z 29. V. 1984, str. 8). Ponieważ w obecnym systemie amerykańskim dziennikarzom wolno pisać i mówić co im ślina na język przyniesie, kara śmierci na „judasz” typu Colemana wiąże się prawdopodobnie z wizją jakiejś innej, nowej Ameryki. Nie bardzo wiemy jakiej, ale mo-

żemy snuć domysły śledząc dalsze wypowiedzi natchnionego mahometańskiego duchownego. „Hitler był wielkim człowiekiem — oświadczył Louis Farrakhan — bynajmniej nie dlatego, że wymordował Żydów, ale dlatego że doprowadził Niemcy do świetności. W pewnym sensie można go porównać z nami, którzy wyprowadzają nasz lud (tzn. Czarnych — dop. mój) z nicości do świetności. Nie należy jednak porównywać mnie z nikczemnymi zbrodniarzami” (*Newsweek* z 23. IV. 1984). Śledząc dalsze wypowiedzi Farrakhana wypada zacytować jeszcze jedno: „— Wierzę, że działam jak twórca Opatrzności. Odwracając niebezpieczeństwo ze strony Żydów, walczę o wypełnienie dzieła bożego (*The Village Voice* z 29. V. 1984, str. 9). Pastor Jessie Jackson, w którym Farrakhan widzi instrument dla wypełnienia swych celów, oświadczył w wywiadzie telewizyjnym „Nightline” 6. IV. 1984 że: „Farrakhan ma jeszcze wiele do zaoferowania temu narodowi”. Jak wiele — możemy się jedynie domyślać z cytowanych wypowiedzi.

Te wszystkie deklaracje, pogroźki i przepowiednie nie zasługiwałyby na szczególną uwagę w kraju gdzie w parkach publicznych i na skrzyżowaniach ulic produkuje się wielu samozwańczych proroków. Ale Farrakhana nie można sklasyfikować w tych kategoriach. W swej jadowitej propagandzie posługuje się Jessie Jacksonem, jednym z demokratycznych kandydatów na prezydenta Stanów. Na zdjęciach widzimy obydwu duchownych złączonych braterskim uściskiem. „Kiedy Farrakhan mówi, Czarna Ameryka go słucha” — oświadczył John Davis, były wydawca dziennika *New Amsterdam* — organu czarnej wspólnoty nowojorskiej. Pozostaje faktem niezbitym, że czarni wyborcy w przeciwieństwie do innych ras i grup etnicznych w przytłaczającej większości głosować będą na czarnego kandydata bez względu na to co mówi, co czyni lub czynił i jaką wizję Ameryki ukazuje wyborcom. Jest to luksus niedostępny dla jakiegokolwiek białego polityka. Ten musi się liczyć z każdym wypowiedzianym słowem.

W przypadku dwójki Jessie Jackson — Louis Farrakhan, jest to scenariusz który nasuwa skojarzenia z fundamentalistyczną dyktaturą Ayatolli w Iranie. Oczywiście nie ma żadnych szans żeby podnieść Czarnych obywateli Ameryki „do świetności do jakiej doprowadził Niemców Hitler”. Można tu wyliczyć 113 przyczyn. Wystarczy jedna: Czarni obywatele Ameryki w niczym nie przypominają Niemców. Tu, w Ameryce, różnią się bardzo od wszelkich innych grup rasowo-etnicznych. A najbardziej od Chińczyków i Hindusów. Dlatego o żadnej koalicji kolorowych mniejszości (które w sumie stanowią już większość) żaden murzyński działacz nie ma co marzyć.

Jeśli chodzi o amerykańskich Murzynów, to poza nieliczną warstwą średnią nie związali się ekonomicznie z demokratyczno-kapitalistycznym ustrojem. Dlatego, jak przypuszczam, chętnie

słuchają fałszywych proroków. Ponieważ jednak stanowią około 25 % ludności, reprezentują się z którą musi się liczyć Partia Demokratyczna, którą czarni wyborcy od wielu lat tradycyjnie popierają. I dlatego kierownictwo Partii Demokratycznej z własną szkodą legalizuje brednie Farrakhana. Nie wyraża na nie żadnej zgody, nie udziela swej aprobaty, ale godzi się na to, żeby cały ten ponury cyrk odbywał się w ramach retoryki przedwyborczej. Partia Demokratyczna nie może oczywiście zakneblować ust Farrakhanowi, bo byłoby to sprzeczne z zasadą wolności słowa. Ale właśnie na gruncie wolności słowa gwarantowanego Konstytucją mogłaby zwyczajnie i po prostu oświadczyć, że poglądy głoszone przez Farrakhana i akceptowane przez Jessie Jacksona są demokratom amerykańskim obce i nie mieszczą się w ich wizji Ameryki. Jeśli biali demokraci tego nie czynią; jeśli biernie i lekko słuchają nonsensów Farrakhana, to dlatego, że nie chcą się narazić na utratę wpływów wśród czarnych obywateli tego kraju. Partia Demokratyczna w pewnym sensie stała się zakładnikiem czarnej mniejszości Stanów Zjednoczonych.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, 4 czerwca 1984 r.

Independent Polish Agency przyjęła na siebie zadanie rozpowszechniania materiałów fotograficznych, filmowych i dokumentacyjnych o współczesnej Polsce. Realizacja tej inicjatywy mogła dojść do skutku dzięki poparciu i pomocy innych ośrodków emigracyjnych oraz niezależnych ugrupowań w kraju.

Po pierwszych miesiącach działania dysponujemy ponad 30 tysiącami zdjęć i negatywów dokumentujących działalność antytotalarnej opozycji w Polsce w miastach i na wsi.

Mamy nadzieję, że systematycznie tworzone archiwum fotograficzne i filmowe stanowić będzie dla wszystkich zainteresowanych istotną pomoc w rozpowszechnianiu informacji o Polsce. Materiały naszej Agencji będą udostępniane innym ośrodkom emigracyjnym. Agencja prowadzić będzie również działalność komercyjną, sprzedając posiadane materiały prasie i telewizji. Zyski z tej działalności, a więc sumy pozostałe po pokryciu kosztów utrzymania i honorariów autorskich, przeznaczone będą na pomoc dla opozycji w Kraju.

W miarę możliwości rozwijać będziemy własną działalność wydawniczą, wydając albumy fotograficzne o wydarzeniach w Polsce, plakaty, rysunki, itp.

Zwracamy się w tym miejscu z prośbą o pomoc w gromadzeniu materiałów, a także o pośrednictwo i kierowanie do nas osób szukających dokumentacji fotograficznej i filmowej z Polski.

Nasz adres:

**INDEPENDENT POLISH AGENCY
OSTA MARTENSGATAN 15, BOX 2113,
220 02 LUND, SWEDEN**

Kraj

Klęska czy zwycięstwo ?

Przed trzema laty po raz pierwszy od wojny czciliśmy święto Konstytucji 3 Maja otwarcie i radośnie. Żyliśmy wtedy w kraju w nieustającym podnieceniu, niezbyt jasno i nie powszechnie świadomi zagrożeń, ufni w przyszłość. List moskiewski,zywający Partię do „odwrócenia biegu wydarzeń”, powinien był wprowadzić wzbudzić niepokój, zadawaliśmy sobie jednak pytanie, jak to może nastąpić? Mało kto wierzył w możliwość zbrojnej inwazji ze Wschodu, a i dziś nadal sądzę, że mieliśmy rację. Zbyt wielkie musiałyby to być przedsięwzięcie, zanadto naruszające panujące od wojny europejskie porządki i rzucające wyzwanie całemu, jak nigdy dotąd w historii zjednoczonemu narodowi. Zjednoczenie to było powodem naszej dumy i źródłem poczucia siły. Najeźdźca musiałby się liczyć z oporem całego społeczeństwa, podobnym, jak we wrześniu 1939 roku. Obecnie jednak o ilez głębsza i powszechniejsza była świadomość narodowa społeczeństwa: wielokrotnie liczniejszych niż wtedy robotników, takich jak Anna Walentynowicz, Wałęsa, Jurczyk, Bujak, nie zdeklasowanych chłopów, inteligencji, wszystkich mocno i rzetelnie ze sobą spojonych, popieranych całym sercem przez Kardynała Stefana Wyszyńskiego, błogosławionych przez Papieża. Najeźdźca nie mógłby liczyć na szczerze mu oddanych wewnętrznych sprzymierzeńców. Zadawano nieraz pytanie, jak w przypadku inwazji zachowałoby się wojsko? Trudno było na nie odpowiedzieć, ale zabrakłoby z pewnością wyższych dowódców, którzy by zbrojnie przeciwstawili się najazdowi. Sądziliśmy jednak, pewnie słusznie, że żołnierze — emanacja świadomego, świętującego tchnienie wolności społeczeństwa — nie daliby się użyć masowo do zorganizowanych represji u boku nielubianej (wyrażając się eufemistycznie) armii inwazyjnej. Stanowiliby więc dodatko-

wy element niepewności w ryzykownym przedsięwzięciu inwazyjnym. Nikt więc rozsądny nie liczył się chyba w kraju z nowym militarnym wystąpieniem w ramach doktryny Breżniewa.

Jak więc inaczej odwrócony być mógł bieg wydarzeń? Większość spośród nas wyobrażała sobie, że przedłużać się będą pertraktacje i targi, które doprowadzą w końcu do pewnej stabilizacji na nowym poziomie, na którym w „socjalistycznym”, jak dotychczas ustroju, obok Kościoła oraz indywidualnego rolnictwa chłopskiego, umocnią się jako trzeci, względnie swobodny czynnik — niezależne, samorządne związki zawodowe. Wszelkie ustępstwa władz, nawet w stosunkowo błahych sprawach, musiały być, co prawda, wywalczane, często aż przez strajki. Rozsądne i w gruncie rzeczy umiarkowane żądania Solidarności usprawiedliwiały jednak wiarę w trwałość gdańskiego kompromisu. Wiarę tę umacniała oczywista konieczność ogólnonarodowego współdziałania w obliczu katastrofy gospodarczej, od którego nikt się nie uchylał.

Dzisiaj, patrząc wstecz, trudno powątpiewać, że już wiosną 1981 roku powzięta została decyzja, dotycząca zimowego zamachu stanu. Prowadzono z pewnością niezbędne przygotowania militarne (przesunięcia kadrowe, gromadzenie samochodów pancernych, transporterów, śmigłowców itd., lokowanie w całym kraju komisji wojskowych), a przy tym mnożono prowokacje, mające na celu bałamucenie społeczeństwa i dyskredytowanie „Solidarności” we wszystkich jej ogniwach. Najbardziej jaskrawymi ich przykładami są zajścia bydgoskie oraz „zerwanie” przez Wałęsę i jego doradców rozmów z wicepremierem Rakowskim. To właśnie Rakowski podjął się roli organizatora, wielkiego mistrza owych prowokacyjnych poczynań i nawet stanowiąc, być może, mózg dość szczupłego grona w pełni wtajemniczonych spiskowców, bez wątplenia przygotowujących niecieśne swe plany w ścisłym porozumieniu z moskiewskimi mocodawcami. Psychologiczne efekty tych wstępnych działań nie minęły zupełnie bez echa i do dziś nawet dostrzec można ich ślady. Najboleśnieszcy spośród nich upatruję w stwierdzeniu, zbyt często, niestety, słyszonym, i to nie z byle jakich ust, że „Solidarność”, na skutek popełnionych błędów, „przegrała”, „poniosła klęskę”. Błędy te jedni chcą widzieć w nadmiernej uległości i w zaniedbaniu przygotowania do fizycznej konfrontacji, inni zaś, o wiele liczniejsi, w nieostrożności, w nazbyt szybko postępującym „upolitycznieniu”, wreszcie w skłóceniu i niedostatecznej jedności władz „Solidarności” różnego, aż do najwyższego szczebla. Zapatrywania tego rodzaju są bardzo szkodliwe, szczególnie zaś wtedy, gdy głoszone są przez osoby, cieszące się w społeczeństwie autorytetem. Stanowcze przeciwstawianie się im jest więc konieczne.

Ubolewaniom, że w skali całego kraju grudniowemu gwałtowi nie przeciwstawiono się przemocą, ani nawet strajkiem generalnym, choć są zrozumiałe i wzbudzają sympatię, brak realizmu. Odruch górników „Wujka”, godny podziwu i czci, przeszedł do historii, tak, jak Reduta Ordona, lecz uwielokrotnienie go, gdyby było możliwe (a wiadomo, że nie było), stał by się mogło zaczątkiem tragedii w trudnych do przewidzenia rozmiarach. Pozostanie na zawsze wymownym symbolem tego, co odczuwały miliony członków „Solidarności” i doczeka się pomnika, takiego, jak pomniki poległych robotników poznańskich i gdańskich. Nie wolno jednak również zapominać, że pośród wartości, w imię których dokonał się ruch sierpniowy, było wyrzeczenie się przemocy. Wysoką rangę nadaje „Solidarności” także i ten fakt, że w następstwie jej poczynań od sierpniowego strajku do grudniowego zamachu stanu nie stracił życia ani jeden człowiek.

Rozdzieranie szat nad wszelkimi innymi „błędami” „Solidarności” jest natomiast dolewaniem wody na jaruzelski młyn. O to tylko rakowskim i urbanom chodzi, aby „Solidarność” zlekceważyć, upowszechniając przekonanie o jej niekompetencji, o dyletantyzmie i wręcz prostactwie jej przywódców. Taka była melodia, pod którą Rakowski w Stoczni Gdańskiej i przed telewizorami całego kraju uprawiał swój obrzydliwy ekshibicjonizm.

Perfidna deklaracja o wyborze „mniejszego zła” miała na celu zasugerowanie poglądu, jakoby wprowadzenie stanu wojennego było alternatywą inwazji, miała więc wzbudzić ciepłe uczucia rodaków, wdzięcznych Jaruzelskiemu za uchylenie groźby sowieckiego gwałtu. Kłamstwo to niemało ludzi wzięło w grudniu za dobrą monetę, a może i dziś jeszcze są tacy, którzy w nie wierzą. W istocie zamach był „mniejszym złem”, ale nie dla Polski, lecz dla jej wschodniego sąsiada, mniejszym i nieporównanie tańszym politycznie i także ekonomicznie, my bowiem za cały zabieg płaciliśmy i długo jeszcze będziemy płacić. Szatańską perfidią było również obciążanie „Solidarności” całą odpowiedzialnością za grudniową tragedię. Do wspomnianych już, stale spiętrzanych prowokacji dodano jeszcze na koniec grubymi nićmi uszyty, manipulowany podsłuch rozmowy pomiędzy członkami solidarnościowej czołówki na radomskiej naradzie. Choć już w noc 13 grudnia z bezprzykładną brutalnością zdemolowano biura, redakcje i drukarnie „Solidarności” i pozbawiono wolności tysiące jej działaczy oraz wybitniejszych przedstawicieli wszystkich zawodów, odwlekano na razie jej formalną delegalizację, dalej jeszcze próbując „Solidarność” dyskredytować i oczekując bodaj pozorów aprobaty tej insynuacji przez opinię publiczną. Dziś wiemy, że oczekiwania te zawiodły — powszechnie i głęboko. Zjednoczone społeczeństwo okazało wytrwałość i niewzruszoną wierność idei,

zmuszając dyktatorską władzę do posługiwania się makietami organizacji społecznych w rodzaju okonów, pronów, niby-związku literatów, niby-zaspu, niby-związków zawodowych, przez nikogo poważnie nie traktowanych, głośno wysmiewanych. Akcja opluwania „Solidarności” wciąż jednak jeszcze trwa, a lata mijają, żyć trzeba i trzeba pracować, młodzież musi się uczyć. Gdy w pierwszym pogrudniowym roku maleńkie nakłady wszystkich czasopism prawie w całości wędrowały na makulaturę, dziś gazety i tygodniki są już czytane, niektórzy patrzą nawet na telewizję. Chociaż głoszenie sukcesów normalizacji w sferze materialnej i tym bardziej kulturalnej jest zwykłym kłamstwem, jakiś sposób życia musi być przyjęty i zaaprobowany. Otóż pragnę raz jeszcze najmocniej podkreślić, że cokolwiek się robi i jakkolwiek jest czyjaś społeczna pozycja, jeśli tylko w dniach posierpniowych do czyjegoś serca i sumienia przemówiły ideały Sierpnia, nie wolno mu ich się zapierać i nie wolno mu dopuszczać do ponizania „Solidarności”. Taki jest warunek naszego przetrwania.

Nie można nigdy zapominać, czym był i czym na zawsze pozostał ruch „Solidarności” nie tylko dla naszego kraju, ale w skali światowej. Po raz pierwszy w dziejach wielkie masy ludności z wszystkich warstw społecznych z niebywałą, spontaniczną jedynomyślnością wystąpiły i opowiedziały się nie tylko w sprawie warunków bytu i podziału dóbr, nie tylko w sprawie narodowego ucisku i przeciw obcej przemocy, lecz w imię bezwzględnej primatu moralności, jako jedynej, nienaruszalnego źródła wolności, równości, sprawiedliwości i demokracji. Opowiedziały się za zasadami etyki, będącymi najgłębszą treścią europejskiej kultury, przyjmowanymi, choćby milcząco, za podstawę działalności politycznej wszelakich odcieni, wypisywanymi nawet na sztandarach sowieckich komunistów, choć równocześnie cynicznie przez nich łamanymi. Tak właśnie rozumiane znaczenie „Solidarności” dostrzegane było nie tylko w Polsce. Warto przytoczyć, jak wypowiedział się o nim Timothy Garton Ash, wyróżniający się głębokością sądu publicysta angielski: „'Solidarność'... uparcie nie daje się 'przetłumaczyć' na istniejące kategorie 'lewicy' i 'prawicy', 'Wschodu' i 'Zachodu', 'komunizmu' i 'kapitalizmu'. Bo czy istnieje gdziekolwiek na świecie jakiś inny ruch społeczny popierany jednocześnie przez prezydenta Reagana i Señora Carillo, przez Berlinguera i Papieża, przez Margaret Thatcher i Tony Benn, przez pacyfistów i zwolenników NATO, przez chrześcijan i komunistów, konserwatystów, liberałów i socjalistów?” (*Survey*, Special Issue, 1982, nr 3+4, str. 116, oraz *Puls*, 1984, nr 20, str. 78). Rzecz tylko w tym, jak trwał i przede wszystkim jak szczere jest to poparcie, o którym pisze Garton Ash? Bo gdyby było głębokie i szczere, oznaczać by musiało bezwarunkowe uzna-

nie primatu zasad etyki w całej europejskiej działalności politycznej, a tym samym zmierzchu różnicowania politycznego według pryncypiów narodzonych w XIX wieku. Ostateczne wyrzeczenie się wojującego nacjonalizmu, powszechną zgodność co do celu działania, będącego realizacją zasad etyki, a przyjęcie jako nowego kryterium demokratycznej dyferencjacji społeczeństwa jedynie sposobów urzeczywistniania tego celu i wyboru dróg, które do niego prowadzą. Przeobrażenie polityki światowej w tym duchu nie jest, być może, tak bardzo dalekie, jak to się różnym realistom i czynnym politykom wydaje, nie jest jednak jeszcze z pewnością, niestety, bardzo bliskie. Niemniej, jeśli działanie zgodne z moralnością znajduje wyraz przynajmniej w intencji osób i grup społecznych, wymienionych przez Garton Asha, zasadnicza linia podziału świata została już nakreślona, a rola „Solidarności” w jej wyznaczeniu i zdefiniowaniu nie powinna być przeoczana.

Fizyczne, brutalne obalenie niezależnych, samorządnych związków zawodowych w Polsce poczytywane być musi za zdradę narodową nikczemniejszą od wszystkich, którym przychodziło nam przeciwstawiać się w przebiegu dwustu lat walki o godziwy, niepodległy byt. Dokonane zostało bowiem wyłącznie w obcym interesie, wbrew dobru narodu, wbrew przygniatającej większości jego obywateli. Było jednocześnie zdradą kultury europejskiej. Myślę, że ci wszyscy, nieliczni, do których należała decyzja, wiedzą dobrze, komu służą i nie zamierzam penetrować ciemnych labiryntów ich sumienia. Pragnąłbym jednak, aby istotę i głębię tej zdrady ujeli wykonawcy ich rozkazów różnych rang i szczebli, szczególnie zaś ci wszyscy — nie ma ich, dzięki Bogu, wielu — którzy z własnej woli do nich się przyłączają i biorą udział w zdradzie, przyjmując za to zaszczyty i ordery, stając na czele źleorganizacji lub chociażby w nich uczestnicząc. Z wielkim bólem zwracam się także do tych, którzy niepomni zobowiązujących ich urzędów i godności, odwracają się od „Solidarności”, zarówno od jej nieprzemijających dokonań w przeszłości, jak i od obecnej działalności, z bohaterskim uporem prowadzonej w ukryciu: autorytetem swoim udzielają bowiem poparcia złej sprawie, złej, nie tylko z narodowego, ale również ogólnoludzkiego stanowiska.

Zarzuty stawiane „Solidarności” przeważnie są płaskie, wynikają z braku zrozumienia dla niezbędnego ścierania się poglądów, wyolbrzymiają donośność jednych wypowiedzi, pomniejszają innych. Tak, jak działalność „Solidarności” od jej narodzin była szkołą demokracji, tak i obecna dyskusja nad jej dorobkiem powinna przyczyniać się do pogłębiania dojrzałości politycznej społeczeństwa. Aby polemiki, jakich nie brak w krajowych publikacjach podziemnych i przede wszystkim na emigracji spełniały ten cel, wypowiedzi nie mogą wzbudzać żadnych podejrzeń o złą

wolę i wykazywać przynajmniej pewne minimum fachowości. Ponieważ brak mi dość wszechstronnych informacji i czuję się niedostatecznie kompetentny, ograniczę się tylko do kilku wzmianek, dotyczących spraw politycznych i gospodarczych. Tak więc uważam, że program „Solidarności” przyjęty na wrześniowym Zjeździe nie dawał żadnych powodów do dokonanego w grudniu jej pogwałcenia. Wydaje mi się, że wyrażał on stanowisko bardziej umiarkowane, niż ruch Praskiej Wiosny, co zresztą wynika z faktu, że w jednym przypadku chodziło o związki zawodowy, a w drugim o partię polityczną. W istocie rzeczy ani w jednym ani w drugim przypadku nie można dostrzec zagrożenia ani dla ustroju (tj. władania środkami produkcji), ani dla politycznego porządku europejskiego, uzasadniającego użycie przemocy, w obydwu miała ona na celu tylko zachowanie z zewnątrz sterowanej totalnej dyktatury. Jeśli chodzi o sprawy gospodarcze, to obciążanie „Solidarności” przez władze odpowiedzialnością za ruinę, w jakiej się dziś znajdujemy, jest kalumnią, której arogancja przekracza wszelkie granice. Wszyscy jeszcze przecież pamiętamy, że zapalnikami strajków, z których dopiero narodziła się „Solidarność”, była niekompetentna, tragicznie nieudolna i skorumpowana polityka władz, szczególnie w latach siedemdziesiątych, gdy generał Jaruzelski, jako członek Biura Politycznego i Prezydium Rządu, zajmował w nich bardzo poczesne miejsce. Stan wojenny znacznie jeszcze przepaść gospodarczą pogłębił, przez same swe bezpośrednie koszty, poprzez zastój i rozsypywanie się niedokończonych inwestycji, aż do kontynuacji „woluntarystycznych” poczynań w przemyśle, zaniedbania rolnictwa i rabunkowej eksploatacji zasobów węgla. Dobrze tymczasem wiadomo, że „Solidarność” poważnie zabierała się do uzdrowienia gospodarki, rozwijała w tej mierze inicjatywę teoretyków i praktyków i, co najważniejsze, liczyć mogła na niewymuszoną ofiarności społeczeństwa, niezbędną dla wydobycia się z marazmu.

Niefatwe jest dziś życie w kraju. Braki i ubóstwo wyzierają coraz częściej przez cienką powłokę blichtru, którą pragniemy je zakryć. O każdy drobiazg trzeba się zatroszczyć, nic samo nie przychodzi. Jak trudno o pracę, którą chciałoby się lubić! Nawet gdy się pracuje zgodnie z powołaniem i umiejętnościami: czy się jest rzemieślnikiem, pracownikiem naukowym, lekarzem czy artystą, ile trywialnych przeszkód trzeba codziennie pokonywać, aby te zawody — czasem tylko byle jak — uprawiać! Bywamy zmęczeni. Często. Ale czy jesteśmy tym przygnębieni? Dlaczego na msze w kościele św. Stanisława Kostki, odprawiane w każdą ostatnią niedzielę miesiąca, trudno się dostać, bo tylu ludzi młodych, starych, wszelakich tam przychodzi? Dlaczego tych, którzy tłumnie się zeszli, by uczcić święto 3 Maja w Gdańsku, Warsza-

wie, Wrocławiu, w tylu innych miastach, rozpędzają zomowcy pałkami i armatkami wodnymi? Zaraz po uchwaleniu Konstytucji 3 Maja przyszła Targowica, przyszły rozbiory a my dzień ten tak czcimy od blisko dwustu lat? Klęska to była czy zwycięstwo? A „Solidarność”? Tak, jak Konstytucja 3 Maja, jak konsolidacja narodu w obliczu Potopu oraz najazdów 1920 i 1939 roku, po-czytywana być powinna za zwycięstwo.

Jan KIELANOWSKI

W maju 1984

Demokracja bez władzy

Wojna, jaką toczy Jaruzelski ze społeczeństwem ma, jak dotychczas, skutek w pewnym stopniu odwrotny od zamierzonego. Mimo represji moi rodacy w żadnym wypadku nie są zastraszani. Wielu ludziom otwarły się oczy, zwłaszcza tym, których osąd zmyliły lata gierkowskiej *prosperity* początku lat siedemdziesiątych, wielu się zradykalizowało, wielu poczuło się zmuszonymi do myślenia. I jest to już jakby bardziej skutkiem Grudnia 81 niż Sierpnia 80. Intensywność pozalegalnej działalności jest nieporównanie większa niż przed rokiem osiemdziesiątym, przed zbliżającą się społeczną burzą, mimo że tym razem ludzie na ogół wiedzą, że trudno spodziewać się prędkich efektów. Wszelkie porównania poziomowi opozycyjnej działalności należy czynić właśnie z latami 76-80, a nie z wyjątkową, jak się okazało, epoką legalnej „Solidarności”. Przed pięciu czy sześciu laty działalność ta skupiała się w środowiskach typowo inteligenckich, w kilku największych miastach, utrzymując sporadyczne i wyrywkowe, choć jak się później okazało — w przypadku inicjatyw jaką było np. pismo *Robotnik* — niezwykle ważne kontakty ze światem robotniczym. Dziś ma się wrażenie jakby całe społeczeństwo w mniejszym lub większym stopniu zamierzało przystąpić do elitarnego niegdyś KOR-u.

Głównymi przeciwnikami systemu są dziś ludzie wyrosli właśnie spośród robotników. Faktem podstawowej wagi jest to, że świat robotniczy stworzył swoje własne elity. Nie potrzebują już one intelektualistów jako inicjatorów działań, chcą ich najwyżej jako doradców. Stwarzają własny klimat ideowy i sami artykuluja własne dążenia. Znaczny procent większych zakładów pracy posiada lokalną elitę działaczy, lokalnych przywódców, swoich represjonowanych, swoich bohaterów oraz głęboko doświadczaną własną historię walki z komunistyczną władzą i administracją. Środowiska te — działające najczęściej jako solidar-

nościowe — są jednak całkowicie niezależne od jakiejkolwiek scentralizowanej struktury i od struktury TKK. Ich działalność wypływa z potrzeb lokalnego środowiska, wokół tych potrzeb się koncentruje i ma w tym środowisku szerokie oparcie. Istnieją też powiązania międzyzakładowe, które najczęściej nie powstają skutkiem odgórných i zewnętrznych impulsów, ale są wynikiem pragnienia wyjścia na zewnątrz i szukania partnerów. Ważną rolę w życiu środowisk zakładowych odgrywają samodzielne powielaczowe piśmka, będące często kontynuacją zakładowych biuletynów wydawanych za czasów legalnej „Solidarności”. Poziom tych pism bywa bardzo różny, od biuletynów o niezłym, niemal dziennikarsko profesjonalnym poziomie, po nazbyt napastliwe broszury, aby skłaniać do myślenia, tym nie mniej w każdym wypadku ich redagowanie, drukowanie i rozprowadzanie jest ważnym czynnikiem kształtowania się robotniczych środowisk. Setki zakładowych gazetek stanowią mogą znakomity materiał do badań nad socjologią polskiego świata pracy, ale jedynie systematyczne gromadzenie i opracowywanie może dostarczyć dokładniejszej wiedzy o rozmiarach zawartości i znaczeniu tego wydawniczego ruchu, wyrosłego z samych zakładów pracy.

Podkreślając znaczenie ostatecznego ukształtowania się nowych robotniczych powiązań w okresie po 13 Grudnia, nie można zapominać, że środowiska te nie są zamknięte wobec środowisk inteligentkich. W przypadku wielu inicjatyw trudno tu przeprowadzić jakąkolwiek wyrazistą granicę. Np. środowiska pism takich jak warszawska *Wola* czy *Tygodnik Wojenny* związane są zarówno ze środowiskami inteligentkimi jak i robotniczymi i w obu znajdują czytelników. To samo da się powiedzieć o wielu inicjatywach samokształceniowych.

Tajne struktury „Solidarności”, którymi kieruje TKK, moim zdaniem, tracą powoli swoją pierwotną skuteczność. Ludziom z TKK nie udało się jak dotychczas znaleźć nowego stylu działania, a rzucanie wezwań do masowych wystąpień przestało być już skutecznym środkiem. TKK nie udało się przekształcić z ośrodka powszechnie wysłuchiwanego dyspozycji w ośrodek opiniotwórczy równie powszechnie brany pod uwagę (rolę taką odgrywa dziś raczej Wałęsa a nie TKK). Nie oznacza to bynajmniej by TKK, Zbyszek Bujak i Bogdan Lis tracili na popularności. Choć pozabawieni trochę dawniejszego wpływu są niczym legendarny Robin Hood, którego cała ludność po cichu wspiera i cieszy się już choćby z tego sukcesu, że nie daje się on władzy złapać. Podziemna TKK, choć być może w bardzo ograniczonych rozmiarach, ma wszelkie szanse przeżyć jeszcze sporo czasu. Gdyby jednak władzy udało się odnieść jakieś nadspodziewanie duże sukcesy w jej zwalczaniu, nie oznacza to w żadnym wypadku załamania się tego, czym jest podziemna działalność.

Wykracza ona daleko poza tajne struktury samej TKK, a także struktury podziemnej „Solidarności” niepodległe bezpośrednio ani nie powiązane z organizacją TKK. Spółki wydawnicze takie jak „Krańg” lub „Nowa” (ta największa niegdyś oficyna zna-

lała się wyraźnie na drugim miejscu wobec rozmachu ludzi z „Krańgu”), czasopisma literackie i polityczne takie jak *Wezwanie*, *Nowy Zapis*, *Spotkania*, *Polityka Polska*, *KOS* lub *Głos* są od TKK i „Solidarności” całkowicie niezależne. Cała ta działalność ma charakter wysoce zdecentralizowany. Na bibule nie kończy się w żadnym wypadku zakres tego, co można nazwać działalnością opozycyjną. Dochodzą do tego przede wszystkim najrozmaitsze formy pracy oświatowo-samokształceniowej, naukowej i artystycznej (największy rozmach przybrała w tej dziedzinie działalność KOS), oraz pracy charytatywnej i samopomocy. Najbardziej znane są przypadki kościołów św. Jacka w Krakowie i św. Marcina w Warszawie. Pracę taką prowadzi też wiele parafii oraz samodzielne grupy w poszczególnych zakładach pracy lub środowiskach zawodowych. Wśród inteligencji każde niemal środowisko, np. aktorskie czy dziennikarskie, posiada własne formy samopomocy. Do działalności opozycyjnej można też zaliczyć z pewnością to co dzieje się w wielu wypadkach na terenie Kościoła. Za przykład przywołać by można chociażby masowy ruch młodzieży „Oaz”.

Owoce szesnastu miesięcy legalnej „Solidarności” oraz szoku wywołanego 13 Grudnia jest otwarcie się ludzi, zbliżenie dawniej zamkniętych środowisk, łatwość z jaką następuje wzajemne porozumienie. Ukształtowało się w pewnym sensie nowe życie towarzyskie i nowa obyczajowość, w której nie ma miejsca na wiele z dawnych podziałów: na inteligencję i robotników. Odkryto niekonięcznie wesołą prawdę, że jesteśmy społeczeństwem bezklasowym, tzn. w całości niemal sproletaryzowanym. Ukształtowało się natomiast nowe, choć z pewnością odwołujące się do głęboko zakorzenionych nawyków społecznych, styl działalności i stowarzyszania się. Ludzie — mimo wielu objawów zniechęcenia i wielu rozczarowań — czują się zobowiązani do działania i nie czekając na zewnętrzne impulsy, sami tę działalność organizują. Czynią to nie tylko z pobudek politycznych, nie posiadając często określonego do końca kierunku politycznego myślenia, ile z pobudek moralnych oraz w poczuciu, że aktywność jest jedynym sposobem przezwyciężenia apatii i nadania swojej szarej i ubogiej egzystencji jakiegoś sensu. Szczególnie silna jest taka motywacja u ludzi młodych. Wszystko to sprawia, że ruch opozycyjny w jego najrozmaitszych postaciach — choć trudno w to uwierzyć — jest powszechny i niemal każdy albo drukuje bibułę albo ją czyta, zbiera pieniądze na samopomoc lub otrzymuje pieniądze z samopomocy, a jeśli nie drukuje, nie czyta i nie otrzymuje pomocy, to słucha radia i uczestniczy w jakimś kółku samokształceniowym lub dyskusyjnym. Jest to rewolucja, która nie mogąc być jawną, jest rewolucją podziemną. Nie mogąc być rewolucją otwarcie polityczną, spełnia się na terenie kultury, życia towarzyskiego i obyczajowości. Mówiąc uproszczeniem: zamiast pić wódkę i gadać o kupnie „malucha” — co czyniono nagminnie w latach 70-tych — czyta się bibułę i organizuje się samokształcenie i pomoc dla represjonowanych.

Uproszczenie nazbyt wielkie, nazbyt optymistyczne? Oczywiście. Tak jednak jak dla połowy lat siedemdziesiątych ambicja posiadania małego „Fiata” była dość powszechna i stanowiła problem społeczny, tak dzisiaj jest nią ambicja dostępu do bibuły i udziału z mniejszą lub większą odwagą, w taki lub inny sposób, w „nielegalnym” życiu. Nie sięgnie się do istoty tych procesów mówiąc tylko o samej polityce, zwłaszcza, jeśli na politykę w Polsce patrzy się jedynie w płaszczyźnie konfliktu między społeczeństwem a komunistyczną władzą. Mamy do czynienia ze zjawiskiem nazbyt głębokim, by mówić o samej tylko polityce i jej wydarzeniach. Trzeba mówić też o przemianach w kulturze, w mentalności, w psychice społecznej. Tym bardziej, że pod względem demograficznym społeczeństwo polskie wciąż niezwykle młode, dokonuje jakby ponownego samookreślenia wraz ze wstąpieniem w dojrzałe życie publiczne najbardziej licznych młodych roczników. Na to ponowne samookreślenie się polskiego społeczeństwa składają się zarówno zjawiska związane z typowymi dla XX wieku procesami społecznymi, jak i elementy potwierdzające ciągłość polskiej kultury. W Polsce dokonuje się proces drugiego awansu społecznego. Pierwszy awans dokonywał się w okresie wielkich migracji ze wsi do miast w warunkach stalinowskiej industrializacji i trochę później w latach sześćdziesiątych (choć wtedy powstała także liczna grupa chłoporobotników). Ambicje awansujących zdawały się ograniczać do życia w mieście, do lodówki i telewizora. Wymarzony wzorzec życia był w najlepszym wypadku drobnomieszczański. Władze dbały o to, aby awansujący nie dowiedzieli się czym są prawdziwe związki zawodowe (o czym wiedziała stara, pamiętająca czasy przedwojenne warstwa robotnicza), czym jest samorządność, prawa pracownicze itp. Chciano, za obietnicę lepszej płacy i lepszej konsumpcji, podporządkować robotników regułom partyjnej administracji. Wyżej pójść mogli już tylko ci, którzy decydowali się na partyjną przynależność oraz partyjną karierę. Okazało się jednak, że ambicje awansowanych, zwłaszcza wyrosłego już w ośrodkach miejskich młodszego pokolenia, sięgają dalej. Dominująca w polskim społeczeństwie grupa ludzi między 18 a 35 rokiem życia, posiada rozbudzone ambicje obywatelskie. Ludzie ci z „robotli” chcą awansować na pełnoprawnych obywateli uczestniczących w życiu publicznym, współdecydujących w sprawach zarówno kraju jak i własnego zakładu pracy.

Z tego punktu widzenia ruch społeczny „Solidarność” jest w jakimś sensie kontynuacją czy też zwieńczeniem przemian społecznych dokonujących się w Polsce w latach pięćdziesiątych i częściowo sześćdziesiątych. Niewydajność komunistycznego państwa, kryzys gospodarczy, despotyczny charakter władzy wzmacniają tylko siłę tego procesu. Jeśli posiada się większe ambicje trudno inwestować dziś w Polsce w wątpliwą karierę w partyjnym aparacie, można natomiast współuczestniczyć w ruchu społecznym, zaspakajającym zarówno pragnienie wiedzy, pragnienie prestiżu jak i pragnienie współdecydowania o sobie.

„Solidarność” jako strukturę organizacyjną czy znaczną część bardziej rozbudowanych podziemnych inicjatyw, można oczywiście zniszczyć, ale władze musiałyby do tego użyć środków niszczących również ich własne nadzieje na poprawę sytuacji gospodarczej, stwarzając niebezpieczne dla niej samej mechanizmy represji. Nie wydaje się jednak by nawet taka porażka mogła zniweczyć skutki owej wielkiej przemiany, jaką nazwałem drugim awansem. Gdy zabraknie zorganizowanych form życia zostanie jeszcze powszechna świadomość kulturowych dążeń oraz trwałych symboli wyrażających te dążenia.

Dla ogromnej części społeczeństwa „Solidarność” jest nie tyle organizacją, do której takich czy innych posunięć odnosić się można z dystansem a nawet rozczarowaniem, co właśnie wielkim symbolem. Solidarność stała się symbolem, który pojawił się na równych niemal dziś prawach i równej sile oddziaływania obok dawniejszych symboli narodowych i religijnych. Społeczeństwo polskie ma kulturowy nawyk porozumiewania się, wobec braku dostępu do innych środków komunikacji, takimi właśnie kulturowymi symbolami. Dzięki nim ustala i utrwała własną tożsamość, używa ich jako środka ekspresji, z ich pomocą prowadzi dyskusję. Fakt, że „Solidarność” stała się takim symbolem, który wraz z likwidacją związku ukształtował się ostatecznie i znalazł się całkowicie poza obszarem oddziaływania propagandowego władz posiada znaczenie, którego nie można przecenić. Obok symboli narodowych określanych przez niezwykle żywą świadomość i pamięć historyczną oraz symboli religijnych — których siły oddziaływania w Polsce nie ma co dowodzić — zjawił się w polskim życiu symbol dla społecznej sfery życia. „Solidarność” oznacza samorządność, prawa pracownicze i związkowe, jest pamięcią o zaangażowaniu w sprawy własnego zakładu pracy, itd. Wprowadza to w polską kulturę — jako kulturę do pewnego stopnia symboliczną (bez pewnej socjologii symbolu nie można, jak mi się wydaje zrozumieć mechanizmów zbiorowej świadomości Polaków) istotnie nowy i pozytywny czynnik. Tracąc wraz ze wzrostem represji inne środki porozumienia, uwaga społeczna w coraz większym stopniu koncentrować się będzie na owym symbolicznym życiu, niedostępnym dla działań propagandowej manipulacji. Znaczek „Solidarność” czy nawet sam graficzny układ związany z „Solidarnością” wywoływać może w indywidualnej i zbiorowej świadomości te wszystkie skojarzenia i fakty, które władze będą usiłowały zatrzeć. To, że tej trwałej i powszechnej uwadze poddana zostanie obok problematyki narodowej i religijnej również problematyka społeczna stanowi zasadniczą, głęboką i niezwykle pozytywną zmianę w naszej kulturze.

Wydarzenia polityczne, w wąskim tego słowa znaczeniu, demonstracje, ustępstwa lub represje ze strony władz, poszczególne deklaracje i wystąpienia opozycji nie stanowią istoty tego co się w Polsce dzieje. Sytuację w Polsce należy spostrzegać nie w kategoriach wydarzeń — co czyni wielu obserwatorów na Zachodzie

dzie — lecz w kategoriach wielkiego społecznego procesu, na co niekiedy zachodnim obserwatorom brak zupełnie wyobraźni.

Jeśli zastanawia się ktoś nad politycznymi skutkami tych wielkich procesów w Polsce, trzeba także pytać nie tylko o realny stan społeczeństwa (ograniczonego przez władze) ale również o jego stan potencjalny, o jego wyrażone ale nie zrealizowane polityczne możliwości.

Program „samorządnej Rzeczypospolitej” pozostał jedynie w uchwałach pierwszego i ostatniego zjazdu „Solidarności”. Z pewnością zawierał on wiele niekonsekwencji i sprzeczności, które ujawniłaby każda bardziej długotrwała próba realizacji. Tym niemniej posiada on wraz z całą dyskusją, jaka się wokół niego toczyła, historyczne znaczenie. Po raz pierwszy udzielono w nim odpowiedzi jakie są możliwe drogi wyjścia z tego chaosu społecznego, jaki wytworzył w społeczeństwach komunizm. W latach 60-tych i 70-tych brak było na ogół takich wyobrażeń. Czym miałyby być „powrót kapitalizmu” trudno było sobie wyobrazić. Szukano odpowiedzi w tzw. rewizjonistów, ale nurt ten mimo tylu nadziei, które wzbudzał na Zachodzie, zamarł zupełnie w bloku i nie dał żadnych poważniejszych owoców. Rewolucja w Polsce wskazała po raz pierwszy wyraziście, jakie mogą być drogi ewolucji społeczeństwa post-komunistycznego. Nacisk jaki położono na samorządność, rola jaką zaczęły odgrywać załogi wielkich zakładów pracy, dążność do uspołecznienia państwowej własności połączona z przekonaniem o potrzebie uruchomienia możliwości dla działania indywidualnej inicjatywy, wszystko z pewnością nie miało czasu dojrzeć i nie zostało w „Solidarności” dostatecznie przemyślane, tym niemniej składa się na nieprzypadkowy zestaw problemów, na jakie napotkać musi każde post-komunistyczne społeczeństwo. Okres „Solidarności” wzbogaca naszą wyobraźnię i czyni przyszłość krajów wschodniego bloku nie miejscem nieokreślonych wolnościowych nadziei, ale bardziej skonkretyzowanych obietnic ładu społecznego.

Tłem dzisiejszej opozycji politycznej, sposobem jej politycznego myślenia i prób tworzenia doktrynalnych konstrukcji jest przekonanie, że uczyniono zasadniczy krok, tworząc określoną wizję przyszłego społeczeństwa. W wizji samorządnej Rzeczypospolitej, do której w mniejszym lub większym stopniu nawiązują wszystkie dyskusje i powstające dziś programy, zawarte są doświadczenia czterdziestoletniego współżycia z komunistycznym systemem. Wizja samorządnej Rzeczypospolitej nie jest próbą doktrynalnej utopii, lecz próbą określenia ewolucji społecznej z tego punktu i z tego stanu, w jakim pozostawia je komunistyczna władza. Jest to nawet wizja pewnego kompromisu z władzą w określonych geopolitycznych warunkach. Ta gotowość do kompromisu wciąż obecna jest w Polsce. Mimo 13 grudnia, represji i przepaści, jakie dzielią władze od społeczeństwa wydaje się, że główny nurt opozycji odwołuje się do ducha realizmu politycznego, który nie pozwala maksymalizować żądań i każe

poszukiwać owocnych kompromisów. Wydaje się jednak, że druga strona — ekipa Jaruzelskiego — dawno już przestała myśleć o jakimkolwiek kompromisie.

Mówiąc o tej gotowości do kompromisu nie można jednak zapominać, że dalekosiężnym i głęboko zakorzenionym dążeniem ruchu społecznego w Polsce była i jest pełnia demokracji. W tym ruchu ten jest nie tylko reakcją na system pozbawiający elementarnych swobód. To zasadnicze demokratyczne dążenie ma pozytywną a nie reaktywne podstawy i jest zakorzenione nie w takim czy innym politycznym wyborze, lecz w podstawowych wartościach kultury. Demokracja jest kulturowo zakorzenioną wizją przyszłości, jaką wytwarza polskie społeczeństwo. Przyszłość wyobrażana jest powszechnie jako pluralistyczna, parlamentarna i ludowa demokracja. Ogromnie zróżnicowany ruch społeczny szesnastu miesięcy legalnej „Solidarności” nie wyłonił ani jednego znaczącego ugrupowania posługującego się jakąś totalitarną lub totalitropodobną frazeologią. Opcja na rzecz pluralizmu i wzajemnej tolerancji (przy pełnej gamie politycznych stanowisk od „lewicowych” KOS czy WSN po „prawicową” *Politykę Polską* i KPN) jest stanowiskiem powszechnie uznanym i przez wszystkich uważanym za oczywiste (mimo zdarzających się praktycznych odstępstw od tych reguł w codziennym działaniu).

Demokracja należy więc do podstawowych samookreśleń ruchu społecznego w Polsce. Kto patrzy nań wyłącznie jako na ruch narodowo-wyzwoleńczy albo też wyłącznie społeczno-rewolucyjny ten, moim zdaniem, nie rozumie istoty tego ruchu. U jego podstaw leżą nie tylko rewindykacje swobód osobistych albo też rewindykacje narodowej niezależności, ale przede wszystkim rewindykacje związane z tym szerokim światem wartości, który nazwany jest w Polsce chrześcijańską Europą i którego nieodłącznym w świadomości Polaków składnikiem jest demokracja.

Przedstawiając polską oddolną demokrację bardziej jako dążenie kulturowe niż jako dążenie polityczne nie można ominąć wielkiego tematu jakim jest katolicyzm i Kościół. Katolicyzm stanowi dziś, bardziej niż kiedykolwiek w powojennych dziejach Polski, potężną siłę. Wpływa na to nie tylko szczególna sytuacja polityczna, w której tak ważną rolę odgrywa kościelna hierarchia. Polski katolicyzm ożywił się i pojawiło się w nim wiele dynamicznych i spontanicznie rozrastających się ruchów i inicjatyw takich jak zrzeszające tysiące młodzieży „Oazy”, ruch charyzmatyczny czy liczniejsze niż kiedykolwiek Kluby Inteligencji Katolickiej, przyjmujące kierunek ideowy *Tygodnika Powszechnego*. Do głosu dochodzi młode pokolenie księży mających duże poczucie niezależności wobec hierarchii, gdy chodzi o sprawy ich własnego środowiska, i pragnących angażować się w życie społeczne.

Henryk PILSKI

Kalendarium „zamachu stanu” w PZKS-ie

11. VI. 1983. — Walne Zebranie Polskiego Związku Katolicko-Społecznego wybiera nowy Zarząd na trzyletnią kadencję. Prezesem zostaje wybrany jednogłośnie Janusz Zabłocki.

Czerwiec 1983 - luty 1984. — W składzie Zarządu formuje się stopniowo niewielka większość kontestująca coraz otwarciej dotychczasową linię Związku oraz osobę prezesa. Jej trzonem jest grupa endecko-nacjonalistyczna, a jej liderami przedwojenni endecy o ONR-owskiej formacji (J. Matłachowski, W. Olszewski, A. Moskal). Grupa ta nie kryje się ze swymi powiązaniem ze Zjednoczeniem Patriotycznym „Grunwald”, organizacją skupiającą dogmatyczne i sekciarskie tendencje aparatu władzy.

11. II. 1984. — Posiedzenie Zarządu, na którym w wolnych wnioskach, pod nieobecność szeregu członków Zarządu, przy sprzeciwie innych, Witold Olszewski stawia wniosek o kooptację do Zarządu trzech nowych członków, przedstawicieli linii endecko-nacjonalistycznej. Następnie zostaje dokonana z naruszeniem Statutu zmiana w składzie Prezydium.

12. III. 1984. — Do Zarządu wpływa wniosek Komisji Rewizyjnej o zwołanie w ciągu 30 dni Nadzwyczajnego Walnego Zebrania dla omówienia sytuacji powstałej w Zarządzie. Z podobnym wnioskiem występuje ponad 1/3 członków zwyczajnych. Zgodnie ze Statutem Nadzwyczajne Walne Zebranie musi się odbyć w ciągu 30 dni od daty wpłynięcia wniosku.

14. III. 1984. — Sekretarz Episkopatu, arcybiskup Bronisław Dąbrowski w imieniu Rady Głównej Episkopatu przesyła list adresowany do prezesa J. Zabłockiego, w którym wyraża „głębokie zaniepokojenie dochodzącymi do nas wiadomościami o sytuacji wewnętrznej w PZKS”. „Rada Główna Episkopatu oczekuje, iż potrafi Pan przezwyciężyć obecne rozdziewki i trudności wewnętrzne w Związku, a zarazem skutecznie obronić i utrzymać dotychczasowy jego charakter — charakter organizacji formującej laikat katolicki w duchu służby Ojczyźnie, lojalności wobec Kościoła i zgodności z Jego społeczną nauką. Od tego zależeć będzie dalszy stosunek Episkopatu Polski do Waszego Związku”.

17. III. 1984. — Posiedzenie Zarządu, na którym prezes J. Zabłocki informuje o zwołaniu Walnego Zebrania na 8 kwietnia.

Oświadczenie to nie wzbudza żadnych zastrzeżeń ze strony innych członków Zarządu. J. Zabłocki odczytuje członkom Zarządu list arcybpa B. Dąbrowskiego.

23. III. 1984. — Komisja Rewizyjna podtrzymuje swój wniosek w przedmiocie Nadzwyczajnego Walnego Zebrania i przyjmuje do wiadomości jego zwołanie na 8 kwietnia.

24. III. 1984. — Poza lokalem PZKS-u (w „Libelli”) odbywa się zebranie części członków Zarządu pod przewodnictwem Zbigniewa Zielińskiego. To nielegalnie zwołane i działające w zakwestionowanym składzie gremium podejmuje szereg „uchwał” a przede wszystkim odwołuje J. Zabłockiego z prezesury oraz odwołuje Nadzwyczajne Walne Zebranie zwołane na 8 kwietnia.

26. III. 1984. — Separatystyczny Zarząd pod przewodnictwem Andrzeja Horodeckiego zgłasza władzom rejestracyjnym (Wydział Spraw Społeczno-Administracyjnych Urzędu m.st. Warszawy) skład nowych władz PZKS do wpisu do rejestru. Tego samego dnia prezes J. Zabłocki i sekretarz L. Kula składają na piśmie te same władzy rejestracyjnej zastrzeżenia prawne dotyczące decyzji zebrania separatystycznego. Pismo to zwraca uwagę na fakt nielegalności zebrania i uchwał tam podjętych zarówno z punktu widzenia Statutu PZKS, jak i prawa o stowarzyszeniach.

26. III. 1984. — Na zebraniu Komisji Wspólnej przedstawiciele Episkopatu przedstawiają delegatom strony rządowej wydarzenia w PZKS-ie w duchu listu arcybpa B. Dąbrowskiego. W ten sposób problem PZKS-u zostaje przeniesiony na płaszczyznę stosunków między Kościołem i Państwem.

27. III. 1984. — Prasa ogłasza informację rządowej agencji PAP o nowych władzach w PZKS-ie. Następuje to zanim jeszcze władza rejestracyjna ustosunkowała się do zastrzeżeń prawnych zgłoszonych przez prezesa J. Zabłockiego. Tego samego dnia do PAP złożone zostają sprostowania przez przewodniczącego Komisji Rewizyjnej, Przemysława Kłosiewicza i wiceprezesa Zygmunta Drozdka. Z. Drozdek informuje, że jego nazwisko w gronie Prezydium PZKS pod prezesurą A. Horodeckiego wprowadzone zostało bez jego zgody. PAP odmawia opublikowania tego sprostowania. W związku z tym Z. Drozdek przesyła sprostowanie do *Tygodnika Powszechnego*, który publikuje je w numerze z 22-29. IV. 1984.

28. III. 1984. — Koło Poselskie PZKS (J. Zabłocki, W. Auleytner, R. Buchała) podejmuje uchwałę, w której stwierdza, że decyzje powzięte przez separatystyczny Zarząd PZKS „nie gwarantują utrzymania dotychczasowej linii ideowo-politycznej Związku”. W związku z tym Koło Poselskie PZKS stwierdza, że „w wypadku utrzymania takiego stanu rzeczy nie będzie mogło reprezento-

wać w Sejmie Związku i tym samym stoi wobec możliwości podjęcia decyzji o rozwiązaniu Koła”. Informację o tej uchwale Koło przekazuje do Prezydium Sejmu.

29. III. 1984. — Na spotkaniu sygnatariuszy PRON PZKS jest reprezentowany nie tak jak dotychczas przez posła J. Zabłockiego ale przez Zbigniewa Zielińskiego i Andrzeja Elbanowskiego.

29. III. 1984. — Władze rejestracyjne odrzucają zastrzeżenia prawne prezesa J. Zabłockiego i uznają separatystyczne zebranie Zarządu za legalne, łącznie z decyzją o odwołaniu Nadzwyczajnego Walnego Zebrania w dniu 8 kwietnia. Prezes J. Zabłocki odwołuje się od tej decyzji. Pismo do resortu nadzorującego zawiera zarówno ocenę prawną powstałej w PZKS sytuacji, jak i ocenę społeczno-polityczną.

29. III. 1984. — Sprawę PZKS omawiają biskupi na Konferencji Plenarnej Episkopatu. Odczytany zostaje list arcybpa B. Dąbrowskiego do J. Zabłockiego. W dyskusji ujawnia się jednolite stanowisko biskupów, zgodne ze stanowiskiem Rady Głównej. Postanowiono, że w powstałej sytuacji władze kościelne nie będą przyjmować przedstawicieli nowych władz PZKS-u.

31. III. 1984. — Po rozmowach na Miodowej ks. dr Ryszard Słowiński składa do Prezydium PZKS pismo, w którym rezygnuje z obowiązków kapelana PZKS. Jako uzasadnienie podaje „radikalne zmiany we władzach Związku poprzedzone energiczną akcją zwolenników nowego Prezydium. Ohydne anonimy na posła Janusza Zabłockiego z jednej strony, a z drugiej strony odsunięcie od wpływów na losy Związku godnych zaufania działaczy katolickich oraz potraktowanie bez dostatecznej powagi i szacunku listu ks. arcybpa Bronisława Dąbrowskiego”.

10. IV. 1984. — Odpowiedź resortu nadzorującego na odwołanie prezesa J. Zabłockiego od decyzji Urzędu m.st. Warszawy. „Podczas posiedzeń Zarządu PZKS w dniu 11 lutego, jak i w dniach 17-24 marca br. nie dopuszczono się naruszenia przepisów prawa ani Statutu Związku, które uzasadniałyby ingerencję władzy nadzorczej w działalność Związku”. Równocześnie resort nadzorujący stwierdza, że na Zarządzie spoczywa obowiązek zwołania Nadzwyczajnego Walnego Zebrania.

14. IV. 1984. — Zarząd PZKS zwołuje Nadzwyczajne Walne Zebranie na 7-8 lipca 1984.

17. IV. 1984. — Koło Poselskie PZKS podejmuje uchwałę o zmianie nazwy na Katolicko-Spółeczne Koło Poselskie. Przewodniczącym Koła jest nadal poseł J. Zabłocki, sekretarzem — W. Auleytner, a członkiem — R. Buchała.

P.S. jak doniósł londyński *Dziennik* w kwietniu bieżącego roku

Z. Zieliński spotkał się w Londynie z prezesem Stronnictwa Narodowego, Dargasem.

D.M.

INFORMACJA BIURA PRASOWEGO EPISKOPATU

CZASOPISMO *ŁAD* ADMINISTRACYJNIE ODEBRANE OŚRODKOWI DOKUMENTACJI I STUDIÓW SPOŁECZNYCH I PRZEKAZANE POLSKIEMU ZWIĄZKOWI KATOLICKO-SPOŁECZNEMU

Decyzją Głównego Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk Ośrodek Dokumentacji i Studiów Społecznych utracił prawo do wydawania katolickiego tygodnika społecznego *Ład*. Decyzja wydana została na wniosek nowego Zarządu Polskiego Związku Katolicko-Spółecznego, który w dniu 24 marca bież. roku równocześnie z odwołaniem posła Janusza Zabłockiego ze stanowiska Prezesa Zarządu i zawieszeniem go w prawach członka PZKS, powziął uchwałę o przejęciu tygodnika *Ład*.

ODiSS otrzymał zezwolenie na wydawanie *Ładu* w październiku 1980 roku, a więc w trzy miesiące przed powstaniem PZKS. Prymas Polski, Ks. Kardynał Stefan Wyszyński, wyznaczył czasopismu asystenta kościelnego, a w konsekwencji prawo do określania się w tytule jako „katolicki tygodnik społeczny”.

Przejęcie *Ładu* decyzją administracyjną przez nowe władze PZKS dokonane zostało pomimo oświadczenia ODiSS, iż jako dotychczasowy wydawca i posiadacz zezwolenia nie wyraża na to zgody, a decyzja będzie miała charakter bezprawnego zawłaszczenia tytułu prasowego z wszystkimi moralnymi i prawnymi tego konsekwencjami. W rezultacie aktu przejęcia czasopisma złożył rezygnację asystent kościelny ks. dr Ryszard Słowiński, którą to rezygnację przyjął Kardynał Prymas Józef Glemp. W ślad za ks. Słowińskim rezygnację złożyło 19 członków kolegium redakcyjnego. Odmówił również dalszej współpracy z przejętym w takich okolicznościach czasopismem prawie cały zespół pracowników redakcji, w wyniku czego po 22 kwietnia bież. roku ukazywanie się *Ładu* musiało ulec zawieszeniu.

W wyniku powstałych zmian czasopismo *Ład* traci moralne prawo do posługiwania się w podtytule przymiotnikiem „katolicki”. Zostaje skreślone z listy pism katolickich. Traci też prawo do reprezentowania katolickiego ruchu społecznego.

Decyzja Głównego Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk zaprzecza twierdzeniu, że władze państwowe istniejącą sytuację w PZKS traktują jako sprawę wewnętrzną.

Listy niekontrolowane

11 listopada 1983:

„Wszystko wskazuje na to, że do władz dotarła nagle informacja o stanie społecznego wzburzenia, a także jakby zaczęły

trzeźwiej oceniać sytuację polityczną w kraju. Jak mówią wta-
jemniczeni, jest to rezultat sondażu, który przeprowadzono w
ostatnich dniach: wynikało zeń ewidentnie, iż społeczeństwo jest
wzburzone i podenerwowane. Wprowadzenie ponownie kartek
na masło wywołało społeczny protest i było papierkiem lakmuso-
wym nastrojów. Spece od propagandy postanowili działać sto-
sując nową formę zrzucania odpowiedzialności na niższe szczeble.
Odbłyło się posiedzenie Rady Ministrów, na którym kajano się
i przepaszano społeczeństwo, że jego zdenerwowanie było słusz-
ne, ale także decyzja była słuszna, wykonawców — na wszelki
wypadek — ukarano upomnieniami, m.in. Łakomca. Bardzo to
śmieszne, ale jakiś efekt propagandowy zostanie być może osią-
gnięty. Komunikat przede wszystkim akcentował, iż decyzja nie
jest „pierwszym objawem ogólnego pogarszania się warunków
zaopatrzenia”. Rzeczywistość jednak temu przeczy. Wystarczy
wczytać się w komunikaty GUS-u i uważnie czytać *Życie Gospo-
darcze*. Dochodzimy do bardzo złej sytuacji w zaopatrzeniu w
mięso, „niż świński” zbliża się wielkimi krokami, a ściślej konse-
kwencje spadku pogłowia świń. Pogłowiu trzody chlewnej zmniej-
szyło się o 4 mln sztuk. To musi odbić się na rynku i tego się
spodziewaliśmy.

Wydaje się, że podstawowym błędem władzy w sferze gospo-
darczej jest ciągłe trzymanie się pasywnej polityki ekonomicznej,
polityki działań obronnych, defensywnych przed inflacją, nierów-
nością budżetową, nadmiernym ruchem cen. Każde z tych po-
ciągnięć może być nawet słuszne, ale wzajemnie się one znoszą.
Sytuacja wymaga drastycznych kroków, odważnych pociągnięć, nie-
konwencjonalnych rozwiązań. W świetle ostatnich danych widać
także wyraźnie, że reforma nie dała praktycznie żadnych rezulta-
tów; wskazuje na to uważna lektura „Założeń Centralnego Pla-
nu Rocznego na 1984 rok”. Nie udało się osiągnąć żadnego z
postawionych celów: nie udało się zdyscyplinować dochodów ani
poprawić wydajności pracy, zwłaszcza w przemyśle przetwórczym,
nie udało się zmiany strukturalne, a przede wszystkim nie roz-
wiązano kluczowego problemu zwiększenia produkcji towarów
rynkowych, a tylko tutaj leży klucz do sprawy. Nie udało się
to mimo, iż potencjał wytwórczy wykorzystywany jest zaledwie
w 60 procentach. Reforma gospodarcza jest tylko w słowach,
nie ma jej w praktyce, nie ma w sposobie kierowania gospodar-
ką, która coraz bardziej przypomina już nie nakazowe, ale gene-
ralskie: rozkaz i meldować o wykonaniu. To jest duch, jaki
wniosło wojsko do naszej gospodarki, której eksponentem jest
min. Piotrowski, szef od węgla i energetyki. Tak długo pracować
nie można. Piszę Ci o tym szczegółowo, bo są to dziś sprawy
decydujące dla nastrojów społecznych, a nie wiem na ile dociera

do Ciebie prasa, na ile masz kontakt z tym co się u nas dzieje.
Na tym tle szerzą się plotki, że na najbliższym plenum, które ma
się odbyć niebawem nastąpi zmiana ekipy gospodarczej, mówi się
o odejściu Obodowskiego. Są to jednak tylko plotki i nie wiem
na ile prawdziwe. Ostatnio takie plotki zazwyczaj się nie spraw-
dzały.

Tyle o gospodarce. Skończyły się wakacje i wracamy już do
normalnego życia, które nie jest wesołe, ale też nie jest znowu
takie smutne. Nie ma upadku ducha, ktoś miał nawet pretensje
do Ciebie, że podobno takie informacje od Ciebie płyną. Jeśli
rzeczywiście mówić o upadku ducha, to raczej wieje on od strony
rządowej. W. Górnicki w Krakowskiej Kuźnicy wygłosił odczyt,
w którym straszył nas wizją katastroficzną. Mówił, że sytuacja
obecna (na świecie) przypomina wiosnę roku 1950 albo nawet
okres pomiędzy majem a sierpniem 1939 roku, straszył kryzysem
ekonomicznym i nowymi technologiami broni. (...)

Źródłem „wrogich doktryn i poglądów” jest — zdaniem wła-
dzy — przede wszystkim Kościół katolicki, trwalszy i silniejszy
niż ruchy społeczne zrodzone przez kryzys. Z nim władza chce
walczyć skutecznie, ale czy potrafi? Śmiem wątpić. Kultura
narodowa — to pole, które partia zamierza odwojować spod
tych samych wpływów. Jest to pole szersze, prymarne wobec
pierwszego. Łopatką w wywiadzie, nie bez powodu wydruko-
wanym tuż po plenum, określił kulturę katolicką jako klerykalną
i kosmopolityczną, jako „obce ciało w polskiej socjalistycznej kul-
turze narodowej”. Do walki o kulturę narodową włącza się teraz
administracja (zdejmwowanie krzyży w szkołach etc.). Co to ozna-
cza, też Ci nie muszę tłumaczyć.

Trzecie pole sporu: inteligencja i środowiska twórcze. Partia
odczuwa silny brak własnej inteligencji. Czyrek powiedział w
referacie: „niektórzy naukowcy i twórcy wybrali drogę walki
politycznej... Jesteśmy gotowi dyskutować z polską inteligencją”
(już nie „naszą”, ale z „polską”!). Te trzy wątki na plenum
scalają się w jedno pragnienie partyjnej kontroli nad Kościołem
i wiernymi. Siły naporu przeciwko Kościołowi i społeczeństwu,
która uwidoczniła się na plenum, nie należy mierzyć głosami dys-
kutantów (było ich tylko pięciu i to głównie z dołów partyjnych),
należy raczej szacować go ze względu na ważność dziedzin, które
partia wyznaczyła sobie do opanowania. Czyrek na plenum rzucił
hasło: więcej walki, więcej porozumienia. Trzeba raczej widzieć
w tym dyrektywę: więcej walki, porozumienie to jest zasłona
dymna.

Można by się oczywiście tym wszystkim martwić, gdyby nie
fakt, iż — jak sądzę — problemy ekonomiczne na razie przy-

słonią tamte kwestie ideologiczne, które siłą rzeczy zejda na dalszy plan. A sprawy gospodarcze są jak gdyby świeższej daty, bardziej dręczące i jeszcze bardziej kłopotliwe dla władzy”.

12 listopada 1983

„Spore tu poruszenie w związku z masłem. Nie chodzi o samą reglamentację ale o to, dlaczego oni tak się zdenerwowali. Przeprasiny, upomnienia, cyrk! Pikanterii sprawie dodaje fakt, że w sklepach jest teraz masło z kwietnia i że o tym wspominają niektóre gazety. Nie sądzę, żeby chodziło tylko o wzburzenie społeczne. Nastroje ogólnie były złe i przedtem, a 31. X oczywiście przeklinanie, kolejki, panika, zepsuty zaduszkowy dłuższy *weekend*. Ale nikt chyba nie ma złudzeń. Tymczasem akcja propagandowa ruszyła straszna — rząd, Biuro Polityczne, itd. no bo kiedy mają robić potrzebny im hałas? Jednak sądzę, że podziały też jakieś kanały wewnętrznej informacji, która — z definicji — nie jest rzetelna, ale jej może kierownictwo bardziej wierzy, skoro wie, że w gazetach nie ma już wiadomości. Tak więc chyba się czegoś nastraszyli. Skoro zaś nic się nie stało takiego nagle, to być może opiekunowie tych wewnętrznych informacji coś tam na złość generałowi dopisali. Nie wiem, do prawdy. Najważniejsze, żeby wyjść ze starcia z ciosem: red. Bronikowski powiedział w DTV 4 listopada, że „raz jeszcze rząd gen. Jaruzelskiego pokazał, jak wsłuchuje się w głos opinii publicznej”... Za parę dni powinni wreszcie ogłosić propozycje podwyżek cen no i zdecydować się na obniżenie norm mięsa. W rolnictwie — bliskie bankructwo.

W niższych kołach aparatu partyjnego, gdzie bardzo ostrzono sobie zęby na 13-te plenum i liczone, że „wreszcie załatwimy się z Kościołem”, teraz mówi się, że *de facto* plenum ideologiczne nie odbyło się, że nie czas był, że sprawy bieżące są pilniejsze, a partia chyba za słaba, by stanąć ostro w sprawach ideologii (musieliby znowu połowę aparatu wyrzucić za światopogląd).

Dziś ogłoszono propozycje podwyżek cen. Są właściwie niższe, od tego czego spodziewaliśmy się. Ale jest to bardzo mylące bo nie wymienia się wielu towarów, które z całą pewnością podróżują, ale które nadają się do przechowywania. Chleba nie schowasz na przyszły rok, a masło, mąka i konserwy są na kartki. Więc o tym się pisze, a już o herbacie czy wódce — nie. Niemal pewne jest dwuetapowe podniesienie w trakcie przyszłego roku ceny benzyny — wiadomości z Sejmu wspominają o docelowej cenie 80 zł/1. To przyszłość, ale i ten projekt jest straszny. Telewizja nadaje ankiety w rodzaju: ja wybieram wariant drugi,

ja opowiadam się za modelem 1b. Czasem tylko mignie jakaś staruszka z przerażeniem w oczach.

Pogodę mamy tej jesieni piękną, ja to doceniam bardziej niż Grażyna, bo mam szansę na spacer w godzinach południowych po mieście. Jak dotąd odbyło się bez jesiennej chlapy. Było słonecznie, choć coraz chłodniej. Wreszcie w sobotę, 12-go spadł śnieg, mróz ścisnął i zima, że hej, dzieci jeżdżą na sankach, rękawice, czerwone nosy, skrzypi pod nogami... Pewnie to jeszcze stopnieje i błota nie unikniemy, ale na razie wygląda dobrze a na poniedziałek prognoza — 9° w nocy, — 3° w dzień.

Te spacerki słoneczną jesienią skłaniają do refleksji. Wciąż trudno mi znaleźć sobie miejsce, poukładać rzeczy w sobie i zdecydować się na wytyczenie jasnej ścieżki na przyszłość. Boli mnie bardzo, że powinienem się uczyć, wykształcić w jakiejś specjalności „twardej” i przyszłościowej, a tego — z wielu powodów — nie robię. Jeśli kiedyś pojedę za granicę to właśnie po to, żeby się uczyć — wyuczyć się tak, by godnie żyć i przydać się ludziom, krajowi. Choć nie widzę tu jasnej przyszłości przed końcem lat 90-tych, ale jednak może dożyjemy wolności. Wtedy będzie dużo pracy.

18 listopada 1983

„Gospodarczo są już pod ścianą — oczywiście jeśli zaktądamy, że ta ekipa jeszcze chce wyjść z kryzysu, chce poprawy sytuacji ekonomicznej jako rodzaju usprawiedliwienia swej obecności. W tej rozpaczy robią błędy, które nas kosztować mogą wiele lat odbudowy. Już dziś Polska jest zapóźniona technologicznie o 15 lat, tymczasem tu coraz więcej mówi się o „reorientacji”. Pół biedy, gdy chodzi o handel zagraniczny, czy źródła surowców. Gorzej, że za 2-3 lata trzeba będzie masowo odnawiać park maszynowy po okresie całkowitej dekapitalizacji (czy jak to się określa). Wtedy albo będziemy wstawiać coś na poziomie światowym, nie w sensie nowinek ale energo- i materiałochłonnym, albo zafundujemy sobie ciężką, toporną, nie liczącą się z kosztami materiałów i pracy technologię sowiecką. Rząd może upaść, ale to zostanie.

Generał nienawidzi Ameryki, zwłaszcza od dnia, w którym Weinberger powiedział o tym jego mundurze... W ogóle oni bardzo mocno odczuwają wszelkie akcje *ad personam*, plotki, niedyskreje, napisy na murach imienne. Pamiętajcie, jak Rakowski się pienił, gdy była mowa o synach itd. Prasa niezależna sprawdziła zresztą ten adres, który on wymienił wówczas w stoczni i oczywiście jest to adres fałszywy.

Gdy się krytykuje system, czyli całą drużynę, to oni są solidarni. Ale gdy „wywoływani” są pojedynczo, to reszta wykozystuje to do walk wewnętrznych, podgryzania itd. Więc oczywiście nie wierząc w walkę liberałów z dogmatykami itd. korzystać można z tego, że X konkuruje z Y, osobiście, na tle budowy willi, jachtu czy czegoś tam (albo sławy).

24 listopada 1983

„Życie publiczne arcy-ciekawe i gdyby nie to, że straszne, to byłoby wesołe. W każdym razie „trybunę” czyta się jak opowieści z Marsa. Całe to plenum, dyskusja obnażająca kompletny brak znajomości zasad i tej reformy i ekonomii, myślę, że również oni w większości nie rozumieją tego swojego Marksa i tego, po co jest państwo, itd. Nawet leninizmu, który sprowadza się do: wziąć władzę i nie puścić, też nie umieją zastosować, skoro nad gospodarką nie panują, a brak im pragmatyzmu, polegającego na szukaniu w tym trudnym momencie jakichś sojuszników, czy taktycznych choćby ustępstw. Mamy za to naczelnika państwa (pamiętacie te ciepłe niedopowiedzenia na temat zamachu majowego 1926 w *Żołnierzu Wolności*?). A więc nadzieje, również w partii, że Jaruzel będzie stopniowo oddawać stanowiska, okazały się płonne. Zaczyna się nagrzewanie psychozy wojennej. Co dzień w TV mówią o raketach, o zagładzie itd. W dniu, gdy Bundestag głosował za rozmieszczeniem Pershingów, a następnie gdy Rosjanie zerwali rozmowy w Genewie — spikerzy DTW byli już tak nadęci i poważni, na granicy płaczu, że — powtarzam — gdyby nie było to straszne, byłoby komiczne.

Środowiskową rozrywką jest wystrzał (z opóźnionym zapłonem) w uczestników dyskusji opublikowanej przez jezuicki *Przeгляд Powszechny* pt. „O wyborze postaw”. Wzięli udział w tej rozmowie, bardzo okrojonej przez cenzurę m.in. Gotowski, Kapuściński, Król, Maziarski, Moskwa, a zagajał — Wierzyński. Numer jest 5/6. Minął dłuższy czas i oto najpierw Misiorny w *Trybunie Ludu*, jak diabeł obawiający się wody święconej, nie podaje nawet gdzie była taka dyskusja, nie wylicza wszystkich uczestników, tylko pastwi się — ale dość enigmatycznie — nad Maziarskim i Wierzyńskim, Kapuścińskiemu mając za złe, już nie tyle to, co powiedział, lecz samą obecność. Wczoraj zaś, wyraźnie na gwizdek z KC, rusza do ataku obrażony Passent (ktoś tam wspominał, że jego osoba to dobry, choć negatywny przykład). Zaczyna od tego, że o postawach intelektualistów dyskutują ludzie, którzy się za intelektualistów uważają, a przecież wcale nie wiadomo, czy nimi są, natrzasa się z Maziarskiego i

Wierzyńskiego, ze sklepu i taksówki: wymawia im przeszłość itd. W najlepszym stylu Grunwaldu. Oszczędzę Wam dalszego ciągu. Zresztą pewnie za chwilę ruszą *Tu i Teraz* (Rem) i inni zasłużeni bojownicy.

2 grudnia 1983

„W kraju coś na kształt ciszy przed burzą. Władze chodzą na paluszkach. Wydano zarządzenie wewnętrzne, by nie drażnić społeczeństwa nawet indywidualnymi represjami (patrz *TM — Tygodnik Mazowsze*). Z tego też (m.in.) powodu odłożony został do co najmniej 20 stycznia proces KOR-owców. Spotkanie TKK z Wałęsą i wypowiedzi Bujaka sprawiają, że atmosfera tężeje. Zaopatrzenie pogarsza się, a z drugiej strony ludzie wykupują co się da i na ile starcza im pieniędzy. Sam też mam czasem ciągoty, żeby wziąć resztki oszczędności i rzucić się na te dzemy, groszek, ocet — i dopiero chwila zastanowienia jest potrzebna, żeby się pohamować. Z jednej strony trochę niepokoi mnie pewność siebie Bujaka, jego nadzieja na mobilizację społeczną, z drugiej wiem, że to dla niego wóz albo przewóz no i nastroje społeczne są rzeczywiście fatalne. Mówił mi Andrzej, że robiony przez OBOP test nastrojów społecznych, który polega na zadawaniu pytania: Czy pan(i) z nadzieją widzi przyszłość? (czy coś w tym sensie) wykazał na dwa dni przed ogłoszeniem reglamentacji masła, a więc pod koniec października — wynik 14 %, najniższy w historii ostatnich kilkunastu lat. Nawet w 1982 przekraczał on 30 %.

Wyjeżdżałem w zeszłym tygodniu na wieś, na północ od Białegostoku. Ludzie tam polityką specjalnie nie pasjonują się. Starają się żyć swoim życiem, a wielkie sprawy trafiają do nich poprzez jakieś idiotyzmy zasady skupu albo przez indywidualny, w rodzinie, przykład, jak mój: a dlaczego cię wyrzucili, a co ty im zrobiłeś itd. (Polska jest biedna to i tak wszystko idzie na wschód). Oni tam mają jeszcze co jeść i zawsze za jedzenie kupią najpotrzebniejsze rzeczy z miasta. Ale potwierdzają to, co mówią fachowcy: świnie będą trzymać tylko w takiej ilości, co na własne potrzeby, hodowla jest zupełnie nieopłacalna. Choć w sklepach w Warszawie łatwiej dostać jakieś tzw. łopatki z Chin (co po rozmrożeniu jest furą drobnych, tłustych kawałeczków) niż nasze mięso, obojętnie — czy wołowe czy wieprzowe, nie zrobiono dotąd nic, by rolnictwo choćby zachęcić, choćby obiecać, że w przyszłym roku będą lepsze relacje cenowe. Nic.

Na początku listopada, w nastroju zaduszkowym, telewizja wyświetliła w dwu częściach „Dziady” Mickiewicza przeniesione

z Teatru Starego z Krakowa. Przedstawienie bardzo dobre, a w tej wygłodzonej telewizji to był rodzynek, rarytas. No i co? Nagle w połowie listopada zaczęły chodzić słuchy, że kierownictwo cenzury gorączkowo bada, kto właściwie dał zgodę na tę emisję, która tak źle oddziaływała na stosunki polsko-rosyjskie etc. Powiedziano mi parę dni temu, z dobrego źródła, że powodem tej gorączki była interwencja sowiecka na wysokim szczeblu. Co więcej, z podobnymi ingerencjami występują również pozostali sąsiedzi: Prusacy mieli nawet krytykować „czterech pancernych i psa”, a Czesi narzekali na zbyt dużą amerykańską TVP. No, świat się kończy. Najlepszy znak, że nasi sąsiedzi uważają obecne władze polskie za bardzo słabe, nie panujące nad sytuacją u siebie a zarazem takie, którym można robić tego rodzaju uwagi. Podobnie było za Kani, ale w epoce Gierka Czesi nie układali naszego programu TV, bo by się nie odważyli. Nawet znane później rozmowy i dyktando w sprawie podręczników historii Rosjanie robili dość ostrożnie. Mam wrażenie, że na uwagach w sprawie TV to się nie skończy.

W gazetach i telewizji do znudzenia trwa kampania przeciwko rakietom amerykańskim. Jest to robione bardzo szampowem, mało składnie, bez wiary w efekt. Ktoś myślący, nawet bez znajomości źródeł zagranicznych, musiałby w końcu dojść do wniosku, że te argumenty kupy się nie trzymają. A przecież co drugi chyba Polak słucha VoA i wie, że medal ma drugą stronę. Efekt tej propagandy jest jednak taki, że spory odłam społeczeństwa zaczyna się bać: nie amerykańskich rakiet, czy w ogóle wojny, ale czegoś złego, nie nazwanego, że coś się może stać... Z drugiej strony ludzie czują, że Rosji się nie wiedzie, i to znaczy, że Ameryka górą.

4 grudnia 1983

„Mówi się, że w poniedziałek ma być jakaś mowa Kiszczaka. Po wizycie szefa KGB jakby nabrali odwagi, zaraz zamknęli ludzi w Bielsku-Białej i Wrocławiu (a może tylko ogłosili o aresztowaniu, które miało miejsce wcześniej — kto to wie...) a w sobotę w DTV był komunikat, że w Warszawie władze podejmują akcje przeciw elementom przestępczym, byłym kryminalistom, złodziejom aut itp., i że w związku z tym będzie wzmożone kontrolowanie dokumentów przez mundurowych i cywilnych, zatrzymywanie samochodów, sprawdzanie lokali i — uwaga — władze przeproszą społeczeństwo za te utrudnienia. Podano też telefon, na który należy zgłaszać donosy. Podejrzewam, że to wszyst-

ko propaganda na eksport, ale nie jest przyjemnie. W końcu ciągle ma się coś w kieszeni czy torbie...

9 grudnia 1983

Nasi wspaniali przywódcy partii i państwa działają cokolwiek nerwowo. Takie właśnie cechy — nerwowego przebiegania nogami — odnajduję w obu nowych przemówieniach: Jaruzelskiego na Barburkę i Kiszczaka w „parlancie”. Wszystko na granicy wyzwisk i tupania nogą. Ale, rzecz oczywista, mogą narobić niezłego bigosu. To potrafią. Grupy wojskowe znów w terenie, masa policji na ulicach, suki, rogatki, posiedzenia specjalne KOK, WOK i Bóg wie czego. No i Reagan sukinsyn. I Wałęsa. Podali z przekąsem, że samolot do Kopenhagi spóźnił się dlatego, że pożegnanie p. Wałęsowej było za długie i zbyt huczne.

15 grudnia 1983

U nas wszystko po staremu. Mamy już za sobą Oslo i całą Polskę przy radioodbiornikach (zagłuszali nawet BBC i VoA na średnich falach). Minął też spokojnie trzynasty. Dużo policji na ulicach, choć podobno u nas to nic, wszystkie siły na prowincji — Wrocław, Poznań, Gdańsk... Mroźny mamy ten gruzdzień, dosłownie i w przenośni.

W sejmie obrady na temat ustaw o stanie wyjątkowym i prawie paszportowym. Osmańczyk darł szaty, zaklinał, prosił, ostrzegał. I dowiedział się, że „projekt ustawy wychodzi naprzeciw wielu postulatów wysuwanych w społeczeństwie”. Poseł pezetpeerii Kandefer dodał, że polityka paszportowa jest uwarunkowana sytuacją wewnętrzną i międzynarodową, w związku z czym koncepcja posła Osmańczyka jest „zapewne szlachetna w intencjach ale oderwana od rzeczywistości”. Ponieważ chodziło głównie o sądową kontrolę decyzji paszportowych, kropkę nad i postawił Wit Gadomski:

„Nasza konstytucja mówi o wymiarze sprawiedliwości jako o sferze aktywności państwowej. Sądy są organami państwa, a nie instytucją stojącą ponad aparatem państwowym. Dlaczego zatem z Naczelnego Sądu Administracyjnego usiłujemy robić superarbitra w sporach, czy w sprawach na linii władza-obywatel? Czemu służy takie stawianie sprawy pokaże najbliższa przyszłość”. (Czy to jakaś pogrózka?) „Rządowi i wszystkim podległym mu organom administracji należy się trochę pomocy choć sobie doskonale radzą. Pomocy, która by polegała na tym, by cały system kontroli pomagał im w spełnianiu ich roli, a nie utrudniał”.

Cytat to długi ale może przyda się studentom zachodnim, którzy sądzą, że administracja wszędzie z natury jest oddzielona od sądownictwa.

PZKS chyba zaczyna się delikatnie dystansować, bo cały *Ład* jest w tym tygodniu w łąkach cenzury. Zabłocki głosował przeciw obu wspomnianym ustawom, na pierwszej stronie jest komentarz sugerujący, że bez wolnych wyborów do samorządów terytorialnych nie ma mowy o jakichkolwiek warunkach stabilizacji, zaś naczelna wiadomość brzmi: „Prymas Polski przyjął posła J. Zabłockiego”. Niczego sobie po tym nie obiecuję, bo wiadomo, że to starzy gracze ale właśnie dlatego, że to gracze — sądzą, że skoro wolą teraz usunąć się na bok, to coś w tym chyba jest.

20 grudnia 1983

Ogłoszono projekt ordynacji wyborczej do rad. Z tego co widać *nihil novi*: FJN został zastąpiony PRON-em, nadzieje, że w tej sprawie władza zdecyduje się na jakiś liberalizm nie sprawdziły się. Nie wiem jeszcze, co w tej sytuacji będzie chciało zaproponować podziemie: czy ogłosi bojkot? Wydaje się, że na szczeblu najniższym takie hasło byłoby jednak niesłuszne. Na wsi sprawa wyborów zawsze budziła większe zainteresowanie i być może także teraz chłopci będą mieli między kim a kim wybierać. W mieście oczywiście sprawa przedstawia się inaczej.

W związku z sytuacją na wsi ciekawy tekst ukazał się w *Polityce*, która na tle innych pism (tygodnik PRON-u *Odrodzenie* ma ponoć prawie 100% zwrotów) jest jeszcze stosunkowo najlepsza. Jest to nagrodzona praca w konkursie na wspomnienia, jakiegoś oficera, który był w pierwszych grupach usiłujących zrobić porządek na wsi. Wyłania się prawdziwie rozpaczliwy obraz wsi, gdzie nie ma żadnych instytucji, które by rzeczywiście służyły rolnictwu a cała siatka służy prywatnie i klikom. Aż się dziwię, że to wydrukowano.

5 stycznia 1984

Jacyś ludzie, podobno m.in. Aleksander Paszyński, kiedyś z *Polityki*, próbowali zorganizować Towarzystwo Reformy Mieszkaniowej. Miała to być duża impreza, do której ręki chciał przyłożyć Episkopat, różne środowiska naukowe, społeczne itp. Miało to być nawiązanie do przedwojennej idei ale w nowoczesnym kształcie. Wszystko było na dobrej drodze, aż nagle prezes Sto-

warzyszenia Architektów został wezwany do KC na rozmowę, gdzie mu powiedziano, że jest to wręcz inicjatywa podziemia, że owszem, taka akcja jest możliwa ale tylko w ramach PRON-u. Również MSW się tym zainteresowało i sprawa została upupiona na amen. Jeszcze jeden przyczynek do idei porozumienia i współpracy ze społeczeństwem. Taka współpraca jest możliwa tylko w oparciu o ich afiliowane instytucje i wypróbowanych towarzyszy: licencjonowanych katolików, demokratów i chłopów.

Świąteczna przerwa była, jak to obserwuję, dość spora i bardzo potrzebna. Ludzie zmęczeni, zagonieni, z radością odłożyli wszystko na bok by zamknąć się na trochę w swym rodzinnym kręgu. Była przerwa we wszystkich pismkach, działaniach itp. Sądzę, że zakończył się znów jakiś etap naszego żywota, tej walki, tego zmagania. Szesnasty (grudnia) był słaby a zarazem upokarzający. Chętnych do demonstrowania było i tak mniej, a gdy zobaczyli potęgę jaką przeciw nim wytoczono to musieli ulec i jeszcze raz doznać upokorzenia. Ciekawe, że wykorzystano nawet cywilnych pracowników MSW, by popieraniem w mundurach robili wrażenia nieprzebranej siły. A więc nie marsze uliczne, nie strajki... Co pozostaje? Prasa kwitnie, książek ostatnio trochę mniej ale są doskonałe — kłopot tylko z nich zdobyciem. I jeszcze samokształcenie. I troska o sprawy materialne. Ciekawa jest np. forma protestu u Grażyny w pracy. Gdy robotnicy dowiadują się, że nie dostaną pieniędzy, na które liczyli, nie robią strajku lecz wszyscy z danego wydziału składają wymówienie. Ten zakład może ich przetrzymać nawet sześć miesięcy, ale cóż z tego, kiedy później zostanie bez fachowców. Więc idzie na ugodę i wcześniej czy później płaci. Próbowano też zrobić taki numer, że da się premię robotnikom, a nie da administracji. Na drugi dzień zrezygnować musieli i z tego. Więc kto trzyma się jakiejś produkcji, to jeszcze przeżyć przeżyje. Najgorzej z emerytami, kalekami itp...

30 stycznia 1984

Styczeń minął właściwie spokojnie, ospale. Gdyby nie szyskany wobec adwokatów i odłożenie procesu mordców Przemyska, nie działałoby się nic. Zastanawiamy się jak ludzie przyjmą podwyżki cen. Władza w każdym razie stosuje klasyczną metodę rozmywania ciosu. W tych dniach bowiem w zakładach wypłacane są różne premie i trzynastki za zeszły rok i kwartał. Emerytom zapowiedziano jakąś jednorazową zapomogę. Czyli w lutym ludzie będą mieli jeszcze stosunkowo dużo pieniędzy. To,

że będą musieli je przejeść zamiast kupić sobie buty wyjdzie im za miesiąc-dwa, każdemu trochę inaczej.

Ze stołecznych kół partyjnych dochodzą uporczywe pogłoski, że narasta w aktywie niechęć do wojskowych, że już czekają dnia kiedy Messner obejmie urząd premiera i że tą drogą chcą wyeliminować wojskowych, najpierw w rządzie potem w partii. Oczywiście, gadać można różne rzeczy, a junta siedzi mocno i nie da się łatwo usunąć. Inne źródła, zwykle dobre, choć oczywiście bez możliwości sprawdzenia, wskazują, że sam generał wciąż wzmacnia środki swego bezpieczeństwa, że liczba goryli, obstaw wszelkiego rodzaju rośnie. Widać ma poczucie zagrożenia od swoich, a otoczenie pewnie robi wszystko, aby tak właśnie myślał. No i jeszcze jedna plotka, krążąca uparcie: bardzo zwiększyła się obecność i aktywność rosyjskich doradców w bezpieczeństwie, resortach gospodarczych itd.. Na zewnątrz objawia się, to... dużą ilością kolizji samochodowych z tymi jeżdżącymi nonszalancko facetami. Hotel sejmowy pełen jest ponoć „dziennikarzy” sowieckich, którym z garaży rządowych dano łady, polonezy i kręcą się. Jak jest naprawdę to inna sprawa. Istotne, że takie wieści ludzie powtarzają sobie przy byle okazji i że dają temu wiarę.

Był w telewizji „The Day After”. No, duża sprawa. Dali całość, bo pilnowali ludzie z ABC, chociaż przy buncie w armii NRD nie wytrzymali i był zanik dźwięku na słowie „wschodnio”. Ludzie jednak wiedzieli o co chodzi, bo wcześniej *Tygodnik Mazowsze* wymienił najbardziej kontrowersyjne kwestie. Oglądało to bardzo dużo ludzi. Na drugi dzień w pracy, w autobusach było słychać dyskusje. Oczywiście bomba jest straszna, ale po pierwsze nie zrobił zbyt wielkiego wrażenia obraz zniszczeń, bo my, karmieni Oświęciamiem, fotografiami z Powstania, filmami o Hiroszimie, doszliśmy do wniosku, że jest to film robiony na Amerykanów. Po drugie, jasne jest, kto zaczął wojnę i to jest dla ludzi oczywiste, choć zarówno konstrukcja filmu jak i tutejsza propaganda sugerują, że to Amerykanie wystrzelili rakiety, które potem na nich spadły. Dziś w *Trybunie Ludu* jakiś wojskowy zauważa, że właściwie cały ten film jest niedobry, bo stwarza nadzieję na przeżycie. Czyli połknęli tę kluchę, a teraz powoli zaczynają myśleć. Film jest zły i to każdy po namyśle musi potwierdzić. Z drugiej strony pierwsza część pokazuje jak ludzie żyją, jak mieszkają. Potem zaś jak w sytuacji przecież beznadziejnej zaczynają się dźwigać, jak wygląda samoorganizacja wolnego społeczeństwa.

Oni go wyświetlili właściwie — to moja opinia — ze względu na podwyżki cen. Nie denerwujcie się małą obniżką stopy życiowej, bo patrzcie, co może się stać. Ciekaw jestem, czy inne miłu-

jące pokój stolice też to wyświetlą. Powinni tak jak Rosjanie wychwalić film pod niebiosa i pokazać tylko dwie minuty samego wybuchu ze zwiastuna, a całości nie kupować. Swoją drogą TVP kosztowało to ponoć tylko 6.500 dolarów!

Dostałem trochę emigracyjnych pism. Pierwszy raz miałem w rękę *Kontakt*. No, parę rzeczy ciekawych ale i sporo waty. *Puls* lepszy ale te polemiki z innymi pismami to żenujące. *Aneks* bardzo dobry. Prawie taki dobry jak ta staruszka *Kultura*. Może się mylę, ale nowa emigracja nie jest ani o cal lepsza od wojennej, kocha zreć się między sobą. Wpływów wielkich nie ma, ale od razu powstało parę ośrodków, parę pism i dalej się kłócić, dogryzać... Jakie to smutne, jakie polskie.

12 lutego 1984

Przez pięć dni nie było mnie w Warszawie, pojechałem na Warmię aby pobyć trochę na świeżym powietrzu. Świeżego powietrza zastałem niewiele, drogi zawiane, nierówne, koleiny. Przynajmniej na jeziorze dzikie łabędzie. Wokół gospodarstwa inteligentkie, sporo młodych ludzi, którzy wybrali ten rodzaj egzystencji w nadziei, że się szybko dorobią. Nie wszystkim się udaje, rolnictwo jest szalenie kapitałochłonne, a oni na ogół boski. Jeśli mają wsparcie rodziców z PAX-u to żyją dzięki wsparciom i pozwalają sobie nawet na fanaberie w rodzaju koni. Reszta bieduje wiążąc z trudem koniec z końcem i ciągle kombinuje jakieś nowe atrakcyjne pomysły na wielkie pieniądze. W czasie mojego pobytu takim pomysłem była hodowla gęsi. W pierwszy wieczór było to nawet zabawne przenieść się w taki inny zupełnie świat, ale na trzeci wieczór miałem już zupełnie dość dyskusji o gęsiach, zwłaszcza że ich wiedza nie posuwała się naprzód i było to raczej rojenie niż dyskusja. Poza jednym facetem z Krakowa, byłym internowanym, który wynajął się za parobka u tutejszej najbogatszej gospodyni i próbuje się czegoś nauczyć, bractwo sprawiało wrażenie nie z tego świata.

Jest to jednak pewna forma ucieczki inteligencji przed czerwoną zarazą, jeden z wariantów poszukiwania własnej niezależnej drogi. Województwo olsztyńskie pełne jest takich nowych rolników. Zresztą ta fala nie jest pierwsza, nie wiem czy pamiętasz zagospodarowanie Bieszczad.

Po przyjeździe zastała mnie wiadomość o śmierci Andropowa. Polacy przyjęli ją z radością. Natychmiast wykupiono wódkę w obawie, że będzie załoba. W zakładach pracy były nawet wybuchy entuzjazmu. Taksówkarz, który mnie wiozł powiedział, że

nie płacze, bo nie był to jego krewny. Kontrastuje to z opinią władz, które są zmartwione, robią ponure twarze i przekonują nas, że to był nasz przyjaciel. Być może, że po nim przyjdzie ostrzejszy kurs, ale te wszystkie krokodylowe łzy nie mają nie wspólnego z rzeczywistością i ludzie to wiedzą.

14 lutego 1984

Mamy już nowego przywódcę. Czernienko wydaje się być na swoim miejscu. Nie jest to młodzieniaszek i z tego punktu widzenia jest to może dla nas lepiej, że nie oznacza żadnej radykalnej zmiany, że proces gnicia będzie trwał. Przez kilka dni mieliśmy taki zalew rusyfikacji dzięki obchodom i pocałunkom, wartom itp., że aż się chce rzygać. Ciekawe, że w delegacji do Moskwy nie było naszego Miecia Rakowskiego, widać znowu nie został dopuszczony do tego wyróżnienia...

20 lutego 1984

Dziwne, ale tu ludzie uwierzyli (tak jak media zachodnie), że to jest podwyżka o 6-10 %. Oni sprytnie mówili, że ogólne wydatki na żywność wzrosną o 10 %, a nie same ceny. Te skoczyły nawet o 50 %. Dziś wykladałem żonie K. koszyk moich zakupów: bułki z 1,60 zł na 2,40, chlebek mały z 10,50 zł na 13. Serek *fromage* (siostry-sisters) pieprzowy czy paprykowy z 30 na 36 bodajże. Droższe są sery, no i mięso. Jak dalece nie wiem, bo sam jeszcze nic nie kupowałem (a Grażyna poszła do sklepu, ale dostała tylko zwyczajną i z tej złości nie pamięta po ile...). My jesteśmy w luksusowej sytuacji, oboje pracujący, bez dzieci, mamy trochę ciuchów, butów i ręczników. Wyobrażam sobie tylko dramat młodego małżeństwa z dzieckiem, humanistów na dodatek. Bez pralki, lodówki. Kredyt? Tak, to jest, na początek. Ale nie ma kredytu na płaszcz i książki. Przy tym wszystkim wiemy, że nie są to kosza rozwoju i szansa na lepsze zaopatrzenie kiedyś tam, lecz po prostu dalszy drenaż. To samo dzieje się z cenami artykułów przemysłowych. Pralka kosztuje najmniej 31 tys., telewizor od 80 do 120 tys., czarno-biały matlutki 20 tys. A właśnie dowiedziałem się, że rząd chce podnieść tzw. podatek od towarów luksusowych, więc te wszystkie ceny (wyrobów skonstruowanych w połowie lat 70-tych i powielanych coraz gorzej) jeszcze skoczą.

(„Głos Ameryki” powiedział któregoś dnia, że w Polsce były podwyżki cen i podróżowały nawet tak podstawowe artykuły jak

pieczywo, masło i szynka. Mieliliśmy chwilę wesołości z samego rana).

Kościół, jak wynika z ostatniego komunikatu biskupów, zajmuje się wygodnymi ogólnikami i będzie czekać na nie wiadomo co. Sądzę, że pomocy dla rolników w gruncie rzeczy nie będzie, albo znikoma. Choć rozumiem, że Kościołowi może na tym bardzo zależeć, bo zawsze widział swój fundament na wsi i dla niej najchętniej chciałby coś zrobić.

Prasa niezależna działa, ale cierpi na uwiad myśli (publicystyka bardzo obszerna, ale raczej przyczynki niż coś przełomowego) i informacji. Rozmawiałem z W. i R. Zasadniczo przyznają rację, ale faktem jest, że władza zawężyła bardzo kręgi mające dostęp do wiadomości, nie stosuje kontrolowanych przecieków (chyba, że dla *Le Figaro*) a w gazetach nie ma już nic. Nawet *Soldaten-Zeitung* (*Żołnierz Wolności* — przyp. redakcji) już nie bulwersuje, a *Życie Partii* można dzieciom czytać na szybsze zaśnięcie. Słuchamy stacji zagranicznych ale tam też sporo wody, zwłaszcza w VoA.

Autor wystawy orwellowskiej w Małej Galerii fotografików odczytał na otwarciu fragment książki o marksizmie-leninizmie z definicją, co to ma być komunizm, szczęście, równość, braterstwo, pokój itp. Było pięknie. Ponieważ na fotogramach pochodzących z prasy rosyjskiej, a przez artystę zwielokrotnionych i zestawionych brak jakichkolwiek podpisów, cenzorka długo badała niektóre zdjęcia przez lupę, czy tam przypadkiem czegoś nie napisano maczkiem. Tytuł „1984” to tylko następny rok. Wisiała wystawa szczęściem aż do końca. Wiem tyle, że przyszedł radca ambasady USA i kręcił głową, jak to możliwe. Ja też nie wiedziałem, ale już wiem. Parę dni temu w *Trybunie Ludu* ukazał się felieton Lulińskiego, że Orwell spełnił się już na Zachodzie, że tamtejsi policjanci to się śmieją z orwellowskich wizji podsłuchu i kontroli ludzi: Napisał: „Przypomnijmy treść książki”. Ponieważ RWE to podchwyciła, więc wiedzieli nawet ci, którzy boją się *Trybunę Ludu* wziąć do ręki i całe miasto się cieszyło.

Życie tu to czyste poezja — powiedział smutno mój kolega. Właśnie miał przystępną kupić łóżko dla dziecka. Łóżek nie ma. Trafiał jednak na kogoś kto ma narzędzia i potrafi łóżko zbudować. Jeździliśmy do Falenicy, do sklepu z drewnem, przywieźliśmy dwumetrowe deski elektryczną kolejką. Facet łóżko piękne, jak IKEA, zbudował. Ponieważ spółdzielnia wyrabiająca materace nie ma surowca i musi się przebranzować, materac został kupiony z ogłoszenia za okazyjne 5.500. Radość i zajęcie na dwa tygodnie. Wreszcie triumfalny marsz przez pół Mokotowa z gotowym dziełem. Poezja, no nie? Tylko niektórzy już nie wy-

trzymują. W autobusach widzę coraz częściej ludzi, którym nerwy puściły, nagle odwracają się do obcych pasażerów i wygłaszają całe tyrady o ustroju, urzędach, dygnitarzach. Są już niespełna rozumu. Najwyraźniej życie im dopiekło, ten przesył poezji.

Wezwany w listach, zastanawiałem się czy czegoś nam nie potrzeba — nie przyszło mi nic właściwie do głowy. Jeść niby mamy co — głównie z rezerw. Mama Grażyny zaopatruje nas teraz w kurczaki kupowane na targu, więc świeże. Po trzech tygodniach przywrócono nam ciepłą wodę po tzw. remoncie poziomu. Czekamy teraz na tzw. remonty pionów, co potrwa pewnie dłużej i zamieszanie będzie o wiele większe. Książek też mam teraz sporo, nie chcę zapeszyć, ale po ostatnim zrzucie nie wiem doprawdy od czego zacząć. Brak nam pasty do zębów, ale w tym poratuje nas Jurek, już raz nas pięknie zaopatrzył w tubę Colgate.

Jak bumerang powraca tu sprawa emigrowania lub zostawiania w kraju na dobre i złe. Te debaty są, moim zdaniem, przeważnie czasem zmarnowanym. Funkcjonują bowiem masowo stereotypy zarówno na temat zagranicy jak i kraju. Bardzo mnie denerwują powszechne tu wyobrażenia na temat jedwabnego, albo znów tragicznego, życia Polaków za granicą. Kolejne nieporozumienie to rzekome prawo ludzi do decydowania o losach swoich przywódców: powinni być tu lub tam, robić to lub tamto. Takim sposobem odbiera się owym przywódcom w walce o wolność ich własną wolność. To także okazywanie braku zaufania. Los wyplątał nam figla rozbudzając nadzieje bez szans spełnienia. Co gorsza, jesteśmy narodem który być może stać na solidarność, ale z roztropnością, mądrością gorzej. Kto tu winien, komuna czy kto inny, nie wiem. I jakaś niechęć do indywidualistów. Przecież sukces Solidarności jeszcze utrwalił przekonanie, że trzeba „kupą, mości panowie, kupą...”.

5 marca 1984

W dziennikarstwie mamy narodzenie się nowego talentu publicystycznego. Jest to niejaki Jerzy Nowomiejski, chłopiec zręczny do mokrej roboty, który niedawno wystąpił na łamach dzienników z bardzo interesującą dysertacją na temat jednego bardzo zramolałego adwokata, niejakiego Siły-Nowickiego, który to ramol wystosował list otwarty do Jaruzela w sprawie innego adwokata, który kumał się z bandytami, dezertarami z ZOMO itp. Sprawa śmierzcząca, wina Bednarkiewicza nie ulega wątpliwości, co precyzyjnie wyłożył nowy uczeń Jana Rema, a zapewne nawet jego sobowtór.

Rakowski był w Poznaniu i spotkał się z twórcami i naukowcami. Na ścianie wisiało motto z jego książki: „Stoimy jako naród przed zbyt wielkimi zadaniami, abyśmy mogli pozwolić sobie na luksus uników i niedomówień”. To go zachęciło. Dość tego płaszczenia się przed opozycją, dość wznowień książek autorów zdradzających antysocjalistyczne ciągoty, trzeba poprzeć prawdziwych realistów i tak postępować będziemy. Wydawcy się wreszcie bardzo cieszą z takiej klarownej postawy. Czytelnicy już ustawiają się w kolejce do księgarni, podobno ma wyjść nowa książka Lenarta, coś rewelacyjnego szykuje Czeszko, ale wszyscy żyjemy jeszcze pod wrażeniem książki Bratnego. Prawdziwy *best-seller*: synek zabił tatusia, który dmuchał jego dziewczynę. Rzecz dzieje się w epoce anarchii, książka ocieka spermą i polityką. Polecam: wyśmienite! O poważniejszych sprawach następnym razem.

List do Redaktora

Szanowny Panie Redaktorze!

Chciałbym podzielić się z Panem wrażeniami z pobytu w Polsce. Moje spostrzeżenia mogą okazać się cenne, gdyż jako obywatel obcego państwa od ośmiu lat zamieszkały na Zachodzie, patrzyłem na kraj innymi niejako oczyma, a przede wszystkim prawdziwego obrazu nie przesłoniła mi duma ani fałszywy wstyd lub też iluzje, jakim niekiedy zdają się ulegać rodacy z kraju. W podróży towarzyszyła mi żona, cudzoziemka, dla której pobyt w Polsce był pierwszym zetknięciem z rzeczywistością Europy Wschodniej. Moja żona doznała szoku — nie przypuszczała bowiem, że kontrast między krajami zachodnimi a znajdującą się na tym samym kontynencie Polską jest tak jaskrawy. To dało mi dużo do myślenia. Pierwszy wniosek to ten, że środki masowego przekazu na Zachodzie nie dają prawdziwego obrazu polskiej rzeczywistości — jest to obraz złagodzony, zamiast kolorów czarnych używa się szarych. Po drugie rodacy z kraju, z różnych pobudek, najczęściej zaś z niemożności porównania Polski z innymi krajami, przedstawiają sytuację tam panującą jako kryzysową, nie zaś — co byłoby właściwsze — katastrofalną. Dotyczy to zarówno życia gospodarczego jak i polityki wewnętrznej. Stan wojenny, choć nieoficjalnie, trwa nadal. Przekonujemy się o tym w chwili opuszczenia statku, na przystani promowej w Nowym Porcie. Witają nas uzbrojeni żołnierze.

rze. Odprawa paszportowa jest również dokonywana przez wojsko, poza tym widoczni są cywile bacznie obserwujący przybyłych. Nieliczni celnicy toną w gąszczu zielonych mundurów. Odnoszę wrażenie, że walizki co najmniej połowy pasażerów są otwierane, a ich zawartość uważnie przetrząsana.

Gdańsk wita nas żalosnym milczeniem, przygnębiającą szarością domów, niechlujstwem wysypisk popiołu, wszechobecny pyłem węglowym, którego drobiny dostają się do nozdrzy i drażnią spojówkę oczu.

Wycieczka po Trójmieście. Wreszcie — najbardziej zaludniona dzielnica Trójmiasta. Idziemy ulicą Grunwaldzką: szerokie acz nierówne trotuary, budynki w kształcie kartonów, dzielnica o najbardziej stalinowskim charakterze, bez wyrazu, prowincjonalna, ceglasto-szara.

Mijają nas przechodnie, kroczą szybko lecz jak gdyby w zamysleniu, bladzi, wymizerowani, źle odziani. Anemiczne kobiety popychają toporne wózki dziecięce. Sklepy o brudnych szybach, o wnętrzach na ogół ziejących pustką. Uliczne stoiska z sałatą, ogórkami, niekiedy jabłkami — o niekończących się kolejkach.

Wchodzimy do domu „mody polskiej”: czuć intensywny zapach potu zmieszanego z kurzem niezamiatanych podłóg. Dusząco. Brak wentylacji. Przy każdym stoisku kolejka. Ożywione twarze. Oglądam garnitury — jest ich około dwudziestu, w cenie od ośmiu do kilkunastu tysięcy złotych (przeciętny zarobek miesięczny wynosi obecnie osiemdziesiąt tysięcy). Żona namawia mnie do wejścia do Cepelii, zachęcona widniejącymi na wystawie lalkami w strojach ludowych. Ze zdumieniem spoglądamy na ceny. Obrusy lniane — od siedmiu do trzynastu tysięcy złotych, album na fotografie — dziesięć tysięcy.

Następnego dnia jesteśmy na Starówce. Zimno, wieje północny wiatr. Po obejrzeniu kościoła Mariackiego i bazyliki św. Mikołaja oraz przejściu się ulicą Mariacką, zmarznęci kierujemy się do kawiarni Kolumbia. Na drzwiach napis: „remont — najbliższa kawiarnia Kameralna”. Kierujemy się do Kameralnej. Nie mamy szczęścia — otwierają od trzynastej. Idziemy do Palowej. Znowu pech — w remoncie. Pozostaje cocktail-bar. Wchodzimy. Zaduch, zapach szmaty, którą przecierane są szkła stolików, ciasno, przytłumione rozmowy, niemalże szept. Kawy nie dostaniemy. Brak. Jest cocktail o konsystencji pomyj, lody i pepsicola.

Po południu obiad w restauracji hotelu Monopol. Sala restauracyjna niemalże pusta. W drugim końcu stolik zajęty przez czterech Arabów, nieopodal cztery siedemnasto-, może osiemnastoletnie prostytutki szczerzące zęby znad talerzy ze sznycelami, zaabsorbowane orientalnymi gośćmi. Raz po raz rozlegają się ordynarne salwy śmiechu. Podchodzi kelner z jadłospisem. Okazuje się, że są zaledwie dwa dania. Restauracja pierwszej kategorii została zamieniona w „garkuchnię”. Podobnie ma się rzecz z innymi punktami kulinarnymi Trójmiasta. Kilka dni potem

jesteśmy w Grand Hotelu w Sopocie. Niegdyś elegancka sala kawiarniana i restauracyjna przypomina obecnie bufet stacji kolejowej. Zabrudzone, pomazane szyby okien, od lat niezmiennego zasłony, wysłużone meble, wytarte tapety oraz bardzo niewielka i określona klientela. Wszystko to wydaje się bardzo charakterystyczne dla polskich restauracji, kawiarni i klubów nocy. Na ogół jadamy w domu, u krewnych i przyjaciół. Tutaj muszę powiedzieć, że opowiadania, iż Polacy nadal jedzą obficie należy uznać za mitomanię. Stwierdzam z całą odpowiedzialnością, że w Polsce ludzie głodują. Dzienna racja składa się zazwyczaj z jednego gorącego posiłku. Porcje są śmiesznie małe, gdyż wskutek stale pogarszającego się zaopatrzenia w ostatnich latach przeciętna polska rodzina ograniczała sukcesywnie swe dzienne racje. To, co je się obecnie prawdopodobnie starcza na przeżycie, lecz w krótkim czasie na pewno wpłynie na znaczne pogorszenie stanu zdrowotności społeczeństwa. Widok niedożywionych, anemicznych dzieci, bawiących się na kopach piasku lub wysypiskach śmieci nowych dzielnic miasta jest bardzo typowy. Spotykamy się z nim podczas zwiedzania Zaspy, Moreny czy też innych rejonów Gdańska. W ogóle poziom zamożności społeczeństwa obniża się gwałtownie. Tłumaczono mi, że obecnie nieistotne jest, czy się zarabia dziesięć czy też pięćdziesiąt tysięcy złotych. Jedzenie jest na kartki, a kupowanie na czarnym rynku prawie niemożliwe, gdyż zaostrzono kontrole. Milicja zatrzymuje samochody osobowe i sprawdza zawartość bagażników, stąd ryzykowne stają się zakupy żywności na wsi.

Jedynie posiadający obcą walutę radzą sobie względnie znośnie, lecz naprawdę niewielu stać na kupno dolarów, których cena czarnorynkowa wynosi od siedmiuset do tysiąca złotych. Dwupokojowe mieszkanie w nowej dzielnicy kosztuje obecnie dziesięć tysięcy dolarów. Można wprawdzie otrzymać mieszkanie za darmo, lecz czas oczekiwania wynosi około dwudziestu lat, dlatego jest zjawiskiem normalnym, że osoby w wieku ponad trzydziestu lat mieszkają nadal u rodziców. W Polsce doby Jaruzelskiego nie ma ludzi zamożnych, a przynajmniej nie spotyka się takowych na ulicach miast. Ubiory przechodniów są stare, wytarte i pozbawione barw, podobnie jak bezbarwne, uderzające szarością są tynki domów. Najbardziej przygnębiające wrażenie sprawiają nowe dzielnice mieszkaniowe, oddawane do użytku w stanie surowym, bez trawników, z niedomykającymi się drzwiami wejściowymi domów, bez światła na klatkach schodowych, z wiecznie psującymi się windami. Upiorne, brudnopielate kwadraty wielopiętrowych budynków, nie różniące się od siebie niczym — nadają Trójmiastu nowe piętno: brzydoty i beznadziei.

Jeszcze kilka słów o telewizji. Pokazywane są przede wszystkim programy publicystyczne i niekończące się debaty o charakterze moralizatorsko-demaskującym. Tak więc prowadzona jest od pewnego czasu nagonka na prywatnych przedsiębiorców, którym zarzuca się nieuczciwość, zaleganie z płacaniem podatków,

niekiedy wręcz nazywa się właścicieli drobnych zakładów złodziejami lub elementem antysocjalistycznym. Debatujący w studio zadają sobie pytanie „jak to się dzieje, że wśród nas jest tak dużo milionerów” i czy tychże bogaczy można tolerować w socjalistycznym państwie. Przed 1 maja TV nadała cykl programów demaskujących działalność Radia Wolnej Europy, Głosu Ameryki i innych „agentur CIA” oraz pokazywała nowo aresztowanych członków zdelegalizowanej Solidarności, których nakryto na wydawaniu broszur wzywających do bojkotu pochodu pierwszomajowego. Uprzedzono również „siły antysocjalistyczne”, że w razie zorganizowania nielegalnej demonstracji da im się „na- leżną odprawę”.

Wraz z pogłębiającym się regresem gospodarczym zauważa się coraz większy niepokój władz, czego wyrazem jest ogromne zmasowanie w Trójmieście sił represyjnych. Milicję, chodzącą trójkami, spotyka się na każdym kroku. Często zatrzymywana i legitymowana jest młodzież w wieku szkolnym. Wydaje się, że mimo zastraszania i represji opór społeczeństwa nie słabnie. Solidarność zdołała otrząsnąć się z szoku stanu wojennego i obecnie z dużym powodzeniem buduje nowe struktury na uczelniach, w zakładach pracy a nawet w szkołach średnich. Ale o tym innym razem.

Łączę pozdrowienia

Jerzy STYPUŁKOWSKI

STARANIEM PRZYJACIÓŁ, DRUKIEM OFICYNY POETÓW I MALARZY

ukazała się pod redakcją Katarzyny Fejcher
książka zbiorowa pt.

TOLA KORIAN — ARTYSTKA SŁOWA I PIEŚNI
Zawiera prace 33 autorów, liczne fotografie z różnych okresów życia Artystki i dwa niereprodukowane rysunki JACQUESA AUDIBERTIEGO.

Dwubarwna okładka kompozycji FELIKSA TO-
POLSKIEGO.

Do nabyria u wydawcy:

**Poets' and Painters' Press, 146 Bridge Arch,
Sutton Walk, London SW1 SXU**

i w księgarniach polskich w Europie i Ameryce.

Cena: £ 4,50 lub ekwiwalent w innych walutach.

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

W Dniu Prasy artykuł wstępny *Prawdy* (5. 5. br.) zaczynał się od słów „Miliony sowieckich ludzi rozpoczynają dzień od lektury gazet. Słowo drukowane przynosi czytelnikowi ładunek informacji...” Jest to zdumiewająco ścisła formuła: słowo niesie ładunek, strzela w czytelnika przygotowanymi przez partię myślami. Wstępniak *Prawdy* otwarcie nazywa prasę „trybuną partii”.

Ładunek, jakim strzela w człowieka sowieckie prasa, radio i telewizja zawiera się w jednym słowie: mobilizacja! Oświadczenia, konferencje, uchwały i wystąpienia przywódców, w tym „osobiście towarzysza Czernienki” natarczywie powtarzają: ogłaszamy mobilizację do walki ze straszny wrogiem — z imperializmem amerykańskim, który zorganizował „krucjatę przeciw komunizmowi”.

Mobilizacji przyświeca hasło, które ogłosił Czernienko w jednej z moskiewskich fabryk: „Każdego agresora natychmiast spotka kara”. Minister spraw zagranicznych Gromyko podczas spotkania ze swym włoskim odpowiednikiem wyraził tę samą myśl w sposób znacznie bardziej wyszukany, użył mianowicie neologizmu „pompeizować”. Związek Sowiecki jest w stanie „pompeizować” całe Włochy. To samo powiedział w sposób retoryczny minister obrony Ustinow w wywiadzie dla TASS-a (*Prawda* z 21 maja br.): „Czyż naprawdę wzrosło bezpieczeństwo RFN, Anglii i Włoch po zainstalowaniu na ich terytorium rakiet amerykańskich? Wręcz przeciwnie — bezpieczeństwo ich zmalało”. Marszałek Ustinow wspomniął i o tym, że „wzrosło zagrożenie także samych Stanów Zjednoczonych”, oświadczając („ładunek informacji”): „Zwiększyliśmy u brzegów USA liczbę naszych łodzi podwodnych wyposażonych w rakiety nuklearne”. Ministerstwo Obrony ZSSR dodało (*Prawda* z 15 maja br.), że w odpowiedzi na rozmieszczenie rakiet amerykańskich na terytorium krajów zachodnioeuropejskich na terytorium NRD „instaluje się dodat-

kowe sowieckie operatywno-taktyczne kompleksy raketowe o zwiększonym zasięgu”¹.

Straszenie Zachodu stanowi tylko jeden z elementów mobilizacji. Znacznie ważniejsze jest straszenie własnej ludności. W maju odbyło się spotkanie sekretarzy organizacji komsomolskich armii sowieckiej. Ze było ono ważne, dowodzi obecność na otwarciu wszystkich pracujących w Moskwie członków Biura Politycznego i sekretariatu KC oraz wystąpienia Czernienki, Ustinowa i innych „wychowawców” młodzieży. Zwracając się do tych, których *Prawda* (29 maja br.) nazwała „najlepszymi przedstawicielami żołnierzy lat 80-tych” Czernienko zażądał „jeszcze intensywniejszego wzniesienia w młodzieży miłości ojczyzny i nienawiści do jej wrogów, najwyższej czujności politycznej i klasowej i stałej gotowości do boju”. Ustinow z naciskiem mówił, że należy „walczyć o to, aby każdy żołnierz... do głębi rozumiał napięcie współczesnej sytuacji międzynarodowej...”.

Czernienko, a za nim i inni mówcy podkreślali (tymi samymi słowami), że istnieją „dwie podpory internacjonalizmu”. Jedna podpora — to obecność w armii sowieckiej „przedstawicieli wszystkich narodów naszej ojczyzny”, a druga to „coraz silniejsza więź z żołnierzami bratnich krajów Paktu Warszawskiego”. Czernienko dodał ponadto: „Wszechstronny rozwój tych więzi jest ważnym zadaniem”. Mobilizacja dotyczy więc wszystkich krajów Paktu Warszawskiego, być może jednak przywódcy sowieccy mają podstawy, by wątpić w siłę więzi armii sowieckiej z „bratnimi” wojskami.

„Gotowość do boju”, którą Czernienko każe rozwijać, propaguje się coraz szerzej na przykładzie „bohaterskich działań ograniczonego kontyngentu sowieckich wojsk” w Afganistanie. W czwartym roku wojny ZSSR rejestruje najwidoczniej pewne sukcesy sowieckiego oręża, mówiąc otwarcie o bohaterach, zarówno żywych jak martwych. Wojna afgańska służy nie tylko jako poligon dla wypróbowania broni oraz kształcenia żołnierzy i oficerów — na prawdziwych wrogach i prawdziwych trupach, ale także jako materiał propagandowy. Wśród licznych artykułów, reportaży i relacji szczególnie obrzydliwy był artykuł nauczycielki, opowiadającej z zadowoleniem o śmierci swojego ucznia, który nie dożył dwudziestu lat. „Tacy chłopcy, bohaterscy w walce i pracy, są naszą dumą!” — stwierdza pedagog (*Prawda* z 23 maja br.). W maju odbyły się jeszcze dwa spotkania: młodych pisarzy i filmowców. Tytuły, pod jakimi gazety publikują materiały z tych zebrań, wystarczają za komentarz. Młodzi pisarze zebraли się pod hasłami: „Wierni sprawie partii”, „Służymy partii i narodowi”, filmowcom zaś przyświecała zasada: „Kino — potężną bronią pracy ideologicznej partii”. Młodzi pisarze,

1. Zdaniem zachodnich ekspertów zainstalowanie rakiet o zwiększonym zasięgu musi trwać co najmniej sześć lat. Rozpoczęto je zatem na długo przed pojawieniem się w Europie nowych rakiet amerykańskich.

żołnierze literatury sowieckiej lat 80-tych, informowali w liście dziękczynnym do KC, że „przyjmują uchwały XXVI zjazdu KPZS, plenów partyjnych, — Wasze myśli i wypowiedzi, Konstantynie Ustinowiczu — jako program działania”. Występujący na zebraniu sekretarz KC komsomołu przypomniawszy sługom partii, że „dziś są nam szczególnie potrzebne utwory o współczesnej armii”.

Filmowców zwołano na zebranie po przyjęciu przez KC i Radę Ministrów postanowieniu „O środkach dalszego podwyższenia poziomu ideowo-artystycznego filmów i umocnienia bazy materialno-technicznej kinematografii”. Postanowienie to, jak delikatnie zauważył członek Biura Politycznego i wiceprezes Rady Ministrów Gejdar Alijew, „uwzględnia praktycznie wszystkie postulaty filmowców” w dziedzinie „bazy materialno-technicznej”. I rzeczywiście — postanowienie zapowiada przede wszystkim podwyżkę honorariów. W zamian za to — słusznie podkreśla G. Alijew — trzeba służyć jeszcze gorliwiej niż dawniej.

Postanowienie proponuje „udoskonalic praktykę zamówień państwowych” i zwrócić szczególną uwagę na „tematy potrzebne państwu”. Wyliczono je w toku spotkania: tematyka wojenno-patriotyczna i polityczna (filmy publicystyczne na tematy międzynarodowe). G. Alijew przypomniawszy, że „na zamówienie państwowe nakręcono filmy 'Pancernik Potiomkin' i 'Październik', 'Szcors' i 'Lenin w Październiku'...”

Z właściwą czekistom bezpośredniością wyraził Gejdar Alijew zasadę, która przyświeca władcom sztuki sowieckiej: płacimy i wymagamy! Kilka lat temu pisarz Michaił Aleksiejew wyraził na zjeździe pisarzy RSFSR tę samą myśl jeszcze energiczniej: „Jeśli w warunkach braku wolności mogą powstawać arcydzieła, to niech żyje taki brak wolności”. Aleksiejewowi chodziło o filmy „Pancernik Potiomkin”, „Czapajew” i „Cichy Don”.

Jurij Bondariew, nagrodzony niedawno orderem Bohatera Pracy Socjalistycznej, co oznacza przeniesienie do wyższej kategorii pisarzy sowieckich, lepiej niż ktokolwiek inny zdefiniował miejsce twórcy w ustroju sowieckim. Bondariew, którego twórczość — jak mówiono na jubileuszowym wieczorze — „cechują poczucie obywatelskie, patriotyzm, filozoficzny namysł nad życiem, subtelną psychologią, wyraziste obrazy”, oświadczył z wdzięcznością: „Jestem żołnierzem. Byłem nim wtedy, kiedy podrzucałem karabin na plecach, i zostałem nim po dziś dzień — żołnierzem naszej partii, która wyznaje wielką ideę komunizmu” (*Literaturnaja gazeta* z 21 marca 1984).

Mobilizacja narodu sowieckiego nie napotyka na wyczuwalny opór. Ale to już nie wystarcza w wojnie, jaką prowadzi Moskwa. „Najważniejszym czynnikiem postępu społecznego” jest, jak wiadomo, międzynarodowy ruch komunistyczny. Jeden z wodzów tego ruchu, Wadim Zagładin, podaje imponujące cyfry: w krajach, w których komunizm jeszcze nie zwyciężył, kompartie liczą sobie „ponad 80 milionów bojowników (na początku lat 70-tych było ich 50 milionów). Bratnie partie istnieją już w 95 krajach (wobec 88 przed 15-tu laty)” (*Prawda* z 5 czerwca 1984). W. Za-

gładin stwierdza, że „ostatnie dziesięciolecie cechowało przyspieszenie ruchu ludzkości od kapitalizmu do socjalizmu”. Mimo że istnieją „obiektywne przesłanki dla socjalizmu” i „instynktowny pociąg mas”, „historia dowiodła, że żywiołowo to przejście dokonać się może”. „Ekspres historii”, powiada Zagładin, pędzi we właściwym kierunku, konieczne jest jednak, by partie komunistyczne trzymały ster lokomotywy w swych dłoniach.

Zagładin stawia przed międzynarodowym ruchem komunistycznym konkretne zadania: umocnić partie komunistyczne na gruncie „sprawdzonej przez życie zasady centralizmu demokratycznego”, tzn. pod żadnym pozorem nie odbiegać od moskiewskiego wzorca; uaktywnić „politykę sojuszków”, czyli wykorzystywać ruchy pacyfistyczne, partie socjalistyczne itd.

Do sojuszników należy i Kościół, ale Kościół oczyszczony z „kterykalnego antykomunizmu” i złych „kterykałów”. *Prawda* z 25 maja przypominała, że siły kontrrewolucyjne próbowały wykorzystać religię „dla próby obalenia ustroju socjalistycznego” na Węgrzech (1956), w Czechosłowacji (1968) i w Polsce „w czasie kryzysu”; „pod sztandarem religii występują przeciw władzy ludowej afgańscy kontrrewolucjoniści”; „Pismem Świętym zasłaniają agresję na państwa arabskie syjonistyczni przywódcy i kterykalne kręgi Izraela”. Z tymi „kterykałami” należy walczyć. Równocześnie jednak „liczni duchowni coraz jaśniej widzą, czym grozi ludzkości katastrofa nuklearna”, a „wyżsi dostojnicy istniejących w ZSSR Kościołów stwierdzają, że w ZSSR panuje swoboda wyznań” i „urzędy państwowe nie mieszają się do ich życia”. Mało tego: „Poświadczają to również uczciwi zagraniczni działacze kościelni”...

Na pierwszy rzut oka zebrania, wystąpienia wodzów i długie „naukowe” artykuły sprawiają wrażenie, że „ekspres historii”, a zwłaszcza jego pierwszy wagon — Związek Sowiecki — mknie od sukcesu do sukcesu. Przy bliższym wejrzeniu da się jednak dostrzec w zwycięskich komunikatach dyskretne echo pewnych problemów. Stróż ideologii pisarzy sowieckich F. Kuzniecowa przyznaje, że „szczególnie niepokojący jest nalot negatywizmu i braku poszanowania dla prostego człowieka, jaki pojawił się w ostatnich latach... W niektórych utworach codzienne życie nagle zaczęto opisywać celowo w szarych, niekiedy złośliwie ironicznych barwach”. Przewodniczący *Goskino* ZSSR F. Jermasz przedstawił dwie listy filmów: na jednej widnieją filmy „ideologicznie zadowalające”, na drugiej — cieszące się szczególnym powodzeniem u widzów. Ani jeden film z drugiej listy nie figuruje na pierwszej. Apel marszałka Ustinowa o „zwiększenie wysiłków komsomołu w pracy, mającej na celu wytłumaczenie młodzieży zasad proletariackiego, socjalistycznego internacjonalizmu i leninowskiej polityki narodowościowej partii” świadczy o tym, że kwestia narodowa jest wciąż nierozwiązana. To ona utrudnia mobilizację bratnich partii, w których „rewizjoniści wszelkiej maści spotykają się, by głosić 'marksizm narodowy' i 'komunizm narodowy' oraz wysuwają oportunistyczną tezę, że 'socjalizmów

jest tyle, ile narodów” (*Prawda* z 21 maja br.). To ona utrudnia wewnętrzną mobilizację kraju.

W licznych wystąpieniach i artykułach odczuwa się głuchy niepokój w związku z zachwytnymi nad „patriarchalnością jako źródłem uczuć narodowych”. Trwogę budzi „muzułmański kterykalizm”. Znowu — który już raz? — pisze się nową wersję historii podboju Kaukazu przez Rosję. Względnie niedawno twierdzono, że górale kaukaski przez dziesięciolecie walczyli o swoją niepodległość i że po zwycięstwie Rosja przyłączyła do imperium rosyjskiego Czeczenię, górny Dagestan i północno-zachodni Kaukaz. Ostatnio zaś okazało się, że Czeczenia w 1781 roku dobrowolnie weszła w skład tegoż imperium. Sowieccy historycy nie przeczą, że górale kaukaski walczyli z Rosjanami. Ale nie była to już wojna wyzwolenicza, lecz wojna przeciwko wojskowemu i administracyjnemu aparatowi caratu. „Historyczna” koncepcja zmieniła się tak szybko, że np. drugie wydanie „Sowieckiego słownika encyklopedycznego” nie nadażyło za nauką i jeszcze w 1983 roku pisze o „podboju przez rosyjski carat” Północnego Kaukazu. Być może dowiemy się wkrótce, że Afganistan już dawno wszedł w skład republik sowieckich i że wojna ma tam charakter czysto wewnętrzny.

W ramach akcji mobilizacyjnej coraz szybciej kręcą się maszyny drukarskie, wypływając setki tysięcy broszur, książek, plakatów demaskujących wywrotową działalność CIA. Antypolska biblioteka wzbogaciła się o nowe dzieła. Władimir Bolszakow, obecny zastępca redaktora działu zagranicznego *Prawdy*, który spłodził już był broszurę pt. „Przyczyny polskiego kryzysu”, zaoferował teraz czytelnikom „Krucjatę przeciw socjalizmowi”. Agencja „Nowosti” wydała tę broszurę w językach polskim, bułgarskim, czeskim, niemieckim, słowackim i węgierskim. Można by sądzić, że zadziwiający prymitywizm dzieła Bolszakowa jest wyrazem opinii sowieckich propagandystów o intelektualnym poziomie mieszkańców krajów socjalistycznych, gdyby nie to, że równocześnie wydawnictwo wojskowe w Moskwie wydało po rosyjsku książkę S. Siergiejewa „Totalne szpiegostwo”. Jak mówił Lec, znalazłszy się na dnie (w broszurze Bolszakowa), usłyszałem pukanie z dołu (z książki Siergiejewa).

Nie ulega wątpliwości, że poziom wszystkich tych publikacji — niższy od poziomu morza — jest świadomie zaplanowany. Mięły czasy analiz, wyjaśnień, rozważań, pozostało jedno: „bezustannie przejawiać wysoką czujność wobec knoń imperializmu USA i jego sojuszników” (S. Siergiejew).

Naczytawszy się prasy sowieckiej, zwycięskich komunikatów, odnalazłszy w nich ślady pewnych trudności, człowiek mimo woli zadaje sobie pytanie: jaki to wszystko ma związek z prawdziwym życiem prawdziwych ludzi? Co znaczą słowa Czernienki skierowane do wojskowych komsomolców: „Mielicie szczęście urodzić się i wyrastać w społeczeństwie, które osiągnęło najwyższy w dziejach świata poziom postępu społecznego”? Co znaczą

oświadczenia sekretarzy KC komunistycznych i robotniczych partii państw socjalistycznych, którzy zebrali się w Sofii, aby omówić zagadnienia wychowania młodzieży: „Tylko na drodze budownictwa socjalistycznego i komunistycznego można coraz pełniej zaspokoić autentyczne interesy, materialne i duchowe potrzeby młodzieży”?

Częściowe odpowiedzi na te pytania udziela artykuł pisarza Wiktora Astafiewa „Śmiecie pod schodami” (*Literaturnaja gazeta* z 30 maja br.) W. Astafiew, jeden z najzdolniejszych pisarzy powojennych, który lat temu dziesięć praktycznie przestał pisać, opowiada o codziennym życiu sowieckiego człowieka w ojczyźnie pisarza — na Syberii. Nic równie strasznego nie ukazało się po rosyjsku w ostatnich latach. Astafiew zajmuje się tylko drobnymi sprawami bytowymi: „Jak opowiedzieć o tych, którzy zrywają czapki z cudzych głów? Którzy wyrwują dzieciom świecidełka? Którzy niszczą budki telefoniczne? Którzy rozwalają przystanki autobusowe ot tak sobie, z nudów i nadmiaru sił?... Którzy wyją, ryczą w kinie, wyrażając w ten sposób swe przeżycia estetyczne? Którzy puszczają przez całą noc płyty, żeby zabawić sąsiadów? Którzy wyrzucają śmieci przez okna wagonów, prosto na głowy robotników kolejowych...?” Pisz też o sklepach, w których gardzi się klientem: „Miesiącami nie dowozić do warzywnego sklepu kartofli — bo brudne. Nie przyjmować do sprzedaży mleka — bo z naczyniami dużo zachodu. Nie zamawiać chleba — chlebem planu nie wyrobisz”. Pisz o poczcie, która przyjmuje listy tylko w standardowych kopertach, których nigdzie nie można dostać; o niesłychanym brudzie w hotelach robotniczych; o złej robocie, której był świadkiem (na oburzoną uwagę Astafiewa, że za taką pracę burżuj-właściciel wszystkich by przegnał, brygadier z wyrozumiałością odparł: „Właśnie po to, żeby nas nie przegnał, my przegnaliśmy go w 17-tym roku”).

Cienką kreską, na przykładzie mało wydawałoby się znaczących zdarzeń z codziennego życia, Wiktor Astafiew opisuje nieludzkie bytowanie zrezygnowanych, zobojętniałych wobec wszystkich poza własnym nędznym interesem obywateli sowieckich. Artykuł Astafiewa mógł się ukazać tylko dlatego, że autor proponuje panaceum, jedyny, wypróbowany, niezrównany środek: „Nie, tu żadne perswazje, żadna moralność, nawet najbardziej przodująca nie pomaga, tu możliwy jest tylko jeden środek, ten sam, który mądry batiuszka Kryłow podsuswał już ponad sto lat temu — „zastosować władzę”. I siłę — dodam — powszechną, ludową!”

Trudno o lepszy przykład sowietyzacji: zarówno tych, których opisuje Astafiew, jak i jego samego, który jedyny środek na uratowanie ludzi od zezwierzęcenia upatruje we władzy i sile. Wiktor Astafiew nie może nie wiedzieć, że właśnie sowiecka władza, oparta na sile, doprowadziła ludzi do stanu, w jakim ich zastał dojrzały socjalizm. Mają oni przed sobą dwie drogi.

Jedną proponuje Czernienko: iść dalej, „ureczywistnić dojrzały socjalizm”. Druga — to zmieniać system. Ale to już inna historia...

Adam KRUCZEK

11 czerwca 1984

Kronika niemiecka

Boński *Auswärtiges Amt* (AA) stwierdza autorytatywnie w wydanej na prośbę *Sądu Administracyjnego* w Düsseldorfie ekspertyzie, iż działaczom emigracyjnej *Polskiej Partii Socjalistycznej* nie grożą żadne represje w razie powrotu do Polski, ponieważ „PPS już w 1948 roku połączyła się z PPR — i nie była partią, której działalność została zakazana”... „Eksperci” AA widocznie nigdy nie słyszeli o działalności PPS na emigracji (Zygmunt Zarembo i Adam Ciolkosz) i represjach wobec działaczy PPS. ■ *Głos Wybrzeża* opublikował list czytelniczki: „Otrzymuję paczki od rodziny z RFN. Ilekroć paczki przechodzą przez Urząd Celny 2, są doszczętnie okradane. (...) W paczkach zamiast żywności znajdują się tylko puste opakowania, wypchane papierami”. ■ Tylko drogą pocztową wysłano do Polski z RFN w ciągu czterech pierwszych miesięcy bież. roku 470 tys. paczek. ■ Edmund Osmańczyk w *Sejmie*: „W latach 70-tych zawarliśmy rzekomo humanitarne umowy, w istocie czysto handlowe, o tzw. łączeniu rodzin. Oficjalnie rzekomo niemieckich, faktycznie bardzo polskich a mało niemieckich. (...) Na Mazurach opowiedziało się w 1946 roku 122 tysiące Mazurów, legitymując się polskimi ewangelickimi kancjonałami, drukowanymi w Królewcu lub Cieszynie, zachowanymi mimo pruskiego terroru. Ilu Mazurów jest dziś w Polsce? 6 tysięcy. To znaczy, że 116 tysięcy zostało odepchniętych, formalnie wysiedlonych jako Niemcy, z odebraniem im na granicy przynależnych w 1946 roku dowodów polskiego obywatelstwa”. ■ W maju br. władze PRL wydały zezwolenia na wyjazd do RFN — 1.062 osobom narodowości niemieckiej. Prasa krajowa nie publikuje tych danych, z uporem natomiast twierdzi, że w Polsce nie ma mniejszości niemieckiej. ■ W westfalskim mieście Bielefeld otwarto wystawę grafik i rysunków *Krakowskie impresje*. Twórcą prac jest profesor grafiki miejscowej wyższej uczelni zawodowej Alf Welski. ■ W poprzedniej „Kronice” (*Kultura* nr 5/1984) pisałem o nieudanej prezencji firm polskich na zachodniobermberskich targach drobnego przemysłu. *Warszawska Polityka* — po długim okresie milczenia — w obszernym artykule ogłoszonym ostatnio poddała ostrej krytyce bezradność, brak inicjatywy („złe mniemanie o wyrobach firm polonijnych jest dość rozpowszechnione”) i lekceważenie najbliższego zachodniego rynku przez polskich wystawców. Cytując *Politykę*: „Kto was ogląda, kto był? — pytamy na kilka godzin przed zamknięciem imprezy. — Paru oficjeli i redaktor Henryk Kollat [*Polskie Radio i TV*] — odpowiada ktoś z boku. (...) W tym roku po [polskiej] wystawie hulał wiatr zapomnienia. (...) *Frankfurter Allgemeine Zeitung* opublikowała ankietę, z której wynika, że dla większości młodzieży w RFN Wschodnie Niemcy są obcym państwem; młodzież gimnazjalna nie wiedziała często, gdzie leży Drezno, czasami lokowała je na terenie Polski. Dziś ponad 60 % mieszkańców RFN życzyłoby sobie zjednoczenia obu części Niemiec, nie precyzując jednak, czy miałyby

ono nastąpić w bliższej czy dalszej przyszłości; ankietowani nie wzięli tej kwestii za sprawę takiej czy innej polityki wschodniej. Blisko 7% ankietowanych stoi na stanowisku, że zawarty w *Ustawie Zasadniczej (Grundgesetz)* apel o działanie na rzecz zjednoczenia powinien być z niej wykreślony. W opinii 45% mieszkańców Republiki Federalnej NRD stanowi jedno z najbardziej niesympatycznych państw na świecie. ■ *Polski Czerwony Krzyż* zwrócił się do niemieckich placówek tej organizacji z prośbą o dalszą pomoc. Wyrazem jej stał się kolejny transport leków do naszego kraju, wartości ok. 400 tys. DM. ■ *Frankfurter Allgemeine Zeitung* drukuje w odcinkach *Miesiące* Kazimierza Brandysa (*Warschauer Tagebuch. Die Monate davor. 1978-1981*). Tłumaczenia dokonał Franz Josef Görtz. *Miesiące* w wydaniu książkowym ukazały się niebawem nakładem *Suhrkamp Verlag* we Frankfurcie. ■ Staraniem *La Maison franco-allemande* w Hamburgu miejscowe *Editions Maurice Moureau* wydało bibliofilski tomik z wierszami jedenastu polskich poetów (tłumaczyła na język niemiecki Lucienne Rey): Stanisława Barańczaka, Jacka Bierzina, Tomasza Jastruna, Juliana Kornhausera, Ryszarda Krynickiego, Ewy Lipskiej, Jana Polkowskiego, Barbary Sadowskiej, Leszka Szarugi, Rafała Wojaczka i Adama Zagajewskiego. Tomik uzupełniają — wstęp Maurice Moureau i noty biograficzne, uwzględniające również działalność poetów w ruchu opozycji demokratycznej i stosowane wobec nich represje. ■ Znany polski dyrygent, Antoni Wicherek z *Opery Warszawskiej* został dyrektorem *Musiktheater* w Oberhausen. Kontrakt opiewa na dwa lata. ■ *Polska Rada Narodowa* w RFN zwróciła się do Federalnego Ministra Pracy — Norberta Blüma o jak najszybsze przyznanie wszystkim Polakom w RFN prawa do pracy. W latach 1980-1983 przybyło do Niemiec Zachodnich ok. 87 tys. obywateli PRL. ■ *Świadectwo poezji (Sześć wykładów o dotkliwosciach naszego wieku)* Czesława Miłosza (*Instytut Literacki, Paryż 1983*), ukazało się nakładem monachijskiej oficyny *Hanser Verlag*, pt. *Zeugnis der Poesie*, w tłumaczeniu Petera Lachmanna. ■ Po siedmiu latach pracy na stanowisku korespondenta *Polskiego Radia i TV* w Bonn powrócił do kraju Janusz Kuczkowski. Nowym korespondentem został Jerzy Tepli, dotychczasowy z-ca kierownika działu zagranicznego *Polskiego Radia*. ■ Według raportu *Urzędu d/s Ochrony Konstytucji* landu Nadrenia-Westfalia — *Niemiecka Partia Komunistyczna (DKP)*, licząca ok. 40 tys. członków, otrzymuje z NRD subwencje w wysokości 60 mln DM rocznie. ■ Wychodzący w Düsseldorfie *Ost-Wirtschafts-Report* informuje, że PRL zabiega w Moskwie o odroczenie do 1990 roku spłaty zaciągniętych tam kredytów w wysokości 3,5 mld rubli i 1 mld dolarów. ■ Monachijska *Wolna Europa* nadawała w programie polskim, w ramach *Wszelchnicy Radiowej*, interesujący cykl 10 wykładów prof. Andrzeja J. Kamińskiego o obozach koncentracyjnych jako instytucji systemów totalitarnych. Wykłady te są popularyzującą postacią wydanego przed dwoma laty u *Kohlhammera* w Stuttgarcie studium *Konzentrationslager 1896 bis heute. Eine Analyse (Obozy koncentracyjne od 1896 do dzisiaj — Analiza)*, które to studium zostało obszernie omówione przez czołowe dzienniki obszaru języka niemieckiego. Zasadniczy, trzeci rozdział książki w przekładzie polskim autora przynoszą dwa kolejne zeszyty (3 i 4/1984) polskiego miesięcznika *Archipelag*, wydawanego w Berlinie Zachodnim. ■ *Początki sporów o polskość i niemieckość Śląska* oraz przygotowania do *III Kongresu Nauki Polskiej* były tematem sesji *Zgromadzenia Ogólnego* członków *Oddziału PAN* w Katowicach. ■ Wybrane teksty prof. Leszka Nowaka (*Universytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu*), filozofa, znanego krytyka marksizmu, ukazały się dzięki inicjatywie czeskich przyjaciół w języku polskim, we Frankfurcie n/Menem — pt. *Ani rewolucja, ani ewolucja (Wyd. Dialog, Frankfurt/M. 1984, str. 141)*. Autor w oryginalny sposób analizuje w IV częściach opracowania mechanizmy władzy funkcjonu-

jące w PRL po 1945 roku. ■ Ks. Franciszek Blachnicki zamierza powołać do życia *Niezależny Instytut Kultury Polskiej* z siedzibą w Carlsbergu (Nadrenia-Palatynat); *Instytut* miałby postawić sobie za cel doprowadzenie do „prywatyzacji” polsko-niemieckiej wymiany kulturalnej. ■ Od roku działa w Hamburgu polski kabaret o nazwie *PIKA*. Nazwa jest skrótami od *Polskiej Inicjatywy Kulturalno-Artystycznej*. Kierownikiem artystycznym kabaretu, autorem tekstów i reżyserem w jednej osobie jest Ryszard Wojtyła, w końcu lat 70-tych związany z wrocławskim teatrem studenckim *Kalambur*. ■ Latem bież. roku przybędzie do Bawarii 1.100 dzieci polskich na wypoczynek. Pośrednikiem w zorganizowaniu ferii dzieciom polskim w RFN jest *Katolicka Organizacja Pracobiorców (KAB)*. W porównaniu z rokiem ubiegłym liczba dzieci korzystających z wypoczynku w RFN ulegnie podwojeniu. Wyboru dzieci udających się na wczasy do Bawarii dokonały kościelne organizacje opieki społecznej w Katowicach. ■ Krajowe pismo podziemne *KOS (Komitet Oporu Społecznego)*: „Przed społeczeństwem polskim, przed jego niezależnymi instytucjami, staje obecnie zadanie budowania stosunków polsko-niemieckich opartych na uczciwości i wzajemnym poszanowaniu. Jest to niezbędne, tak ze względu na konieczność oczyszczenia społecznej świadomości z wytworzonych przez reżymową propagandę stereotypów, jak i ze względu na palącą potrzebę upodmiotowienia roli Polski w kwestii niemieckiej. (...) Wspomnijmy tylko o ogromnej pomocy charytatywnej, jakiej społeczeństwo RFN udzieliło Polsce w ostatnich latach, a której logistyka spoczywała i spoczywa nadal na strukturach kościelnych, tak katolickich jak i protestanckich. Te miliony paczek, być może bardziej niż jakikolwiek inny pojedynczy akt, przyczyniły się do pewnego przełamania w kraju negatywnego stereotypu Niemca. (...) Powinniśmy odrzucić częściowo sfałszowaną historię Ziemi Zachodnich, głoszącą ich stuprocentową polskość. Wystarczającym tytułem do ich posiadania jest wola zamieszkującej je, urodzonej już tam ludności. Wynika z tego, między innymi, obowiązek troski o znajdujące się tam resztki niemieckiego dziedzictwa kulturowego. Zauważmy przy tym, że postępując inaczej, pozbawiamy się przy okazji moralnego prawa do obrony polskiej historii kresów wschodnich”. ■ Tomasz Mianowicz poddał ostrej krytyce morale polityczne lewicowych pisarzy zachodniorniemieckich na łamach monachijskiego konserwatywnego miesięcznika *Criticon*. ■ Na *Międzynarodowym Festiwalu Majowym* w Wiesbaden Polskę reprezentował zespół *Teatru Wielkiego im. Moniuszki* z Poznania, który przedstawił operę Pucciniego *Turandot* we włoskiej wersji językowej, oratorium dramatyczne A. Honnegera *Joanna d'Arc na stosie* w języku francuskim, oraz *Stabat Mater* K. Szymanowskiego. Te same utwory poznańscy artyści powtórzyli na scenie teatru w Hanowerze. Krytyki wręcz entuzjastyczne (np. *Die Welt*). ■ Polski prom *Rogalin*, należący do skompromitowanej ostatnio różnymi aferami *Polskiej Żeglugi Bałtyckiej* (1,5 mld złotych strat), wznowił połączenie między Gdańskiem, Świnoujściem i Travemünde (RFN). Prasa krajowa podkreśla, że *Rogalin* (kupiony od Szwedów), znajdujący się w „wieku emerytalnym”, powoli się rozpada, a *Polish Baltic Shipping Company* skazana jest na bankructwo. ■ W Polsce przebywała na zaproszenie *Klubu Poselskiego PZPR* delegacja frakcji *SPD* w *Bundestagu* z wiceprzewodniczącym frakcji — prof. Horstem Ehmke. Obok Eгона Bahra najbardziej antyamerykański polityk zachodniorniemiecki wypowiedział się w Warszawie za jak najszybszym zniesieniem restrykcji zachodnich wobec Polski. ■ Dzięki inicjatywie Georga Zieglera (studiował na *KUL* i władza dobrze językiem polskim) powstała we Fryburgu Bryzgowijskim *Fundacja Pomocy Polskim Studentom (GFPS)*. Chodzi o umożliwienie studentom i doktorantom z Polski kontynuowania nauki i prac badawczych na uniwersytetach zachodniorniemieckich. Organizatorzy *Fundacji* (Postfach 6442, F800 Freiburg

i.Br. 26) zapewnili sobie poparcie polskich i niemieckich profesorów: Władysław Bartoszewskiego (Warszawa), Ernst-Wolfgang Böckenförde, Bernhard Caspera, Edith Picht-Axenfeld, Gottfrieda Schramma, Ernsta Schulina i Heinricha-Augusta Winklera (wszyscy z Fryburga), Tadeusza Styczonia (Lublin), Józefa Tischnera i Jacka Woźniakowskiego (Kraków) oraz Klauza Zernacka (Giessen). *Fundacja* ma w pierwszym rządzie przejmować stypendia, fundowane przez różne naukowe instytucje niemieckie, przeznaczone dla osób z Polski, które dotychczas nie były wykorzystane; rozwinie również akcję patronatów, w której założeniach jest objęcie przez Niemców, przez firmy i przedsiębiorstwa opieki materialnej nad studentami i doktorantami z Polski. ■ Hamburski *Der Spiegel* podjął temat kościelnego *Funduszu Pomocy Rolnictwu*; tygodnik przynosi w tym względzie informacje korygujące pierwotne zapowiedzi: ogłoszona pierwotnie na Zachodzie kwota 5 mld marek przestała być aktualna (potwierdzili to piszącemu *Kronikę* wysocy urzędnicy bońskiego *Auswärtiges Amt*). Ostatnio pojawia się już tylko kwota 2 mld marek. Kościół, Wspólnota Europejska, rządy i różne fundacje (chodzi głównie o *Fundację im. Konrada Adenauera*, której prezes Bruno Heck przebywał ostatnio w Polsce, gdzie spotkał się m.in. z kard. Glempem) kłócą się o to, kto ma ponieść główny ciężar obiecanych pieniędzy; w Brukseli mówi się, że Wspólnota Europejska i USA są skłonne ufundować 500 mln marek, a „pozostały miliard powinien nadejść od Kościoła”. Pierwsza rata dla 6 przewidzianych projektów pilotowych nie powinna przekroczyć 20 mln marek. Jedno jest pewne — z pieniędzy „mających wpłynąć na *Fundusz Pomocy Rolnictwu* liczyć można wyłącznie na 500 tys. marek, bo tyle wynosi *Pokojowa Nagroda Nobla*, którą Włafęsa przeznaczył do dyspozycji *Fundacji*”. ■ Prof. Stanisław Stomma, członek *Prymasowskiej Rady Społecznej*, przebywał z nieoficjalną wizytą w Bonn. W kołach zbliżonych do rządu bońskiego mówi się, że Stomma poinformował zachodnioniemieckie koła kościelne o stanie rozmów w sprawie *Fundacji*, prowadzonych przez przedstawicieli Kościoła i rządu PRL. ■ W siedzibie kolonijnej rozgłośni *Deutschlandfunk* odbyło się zebranie założycielskie *Wschodnioeuropejskiego Centrum Kulturalno-Szkoleniowego* pn. *IGNIS*. Pomysł i całoroczne przygotowania spoczywały w rękach Polki — Lili Andrzejewskiej; przewodniczącym *Centrum* został Czech, Tomas Kost. Poza Andrzejewską do Zarządu weszli: prof. Wolfgang Eichwede (Brema) i dr Hans Henning Hahn (Kolonia). Na razie opiekę nad *Centrum IGNIS* sprawuje *Niemiecki Czerwony Krzyż*. W ramach towarzystwa ma zostać niebawem uruchomiona biblioteka i kawiarnia. ■ W RFN przebywał osobisty delegat prymasa Polski — ks. kard. Józefa Glempa — ks. dr Czesław Nowak, zajmujący się sprawami wydawniczymi. Ks. Nowak zamierza zorganizować w jednym z krajów zachodnich wydawanie periodyku o charakterze religijno-społeczno-kulturalnym. Pismo miałoby unikać tematów politycznych i całkowicie reprezentować linię Prymasa, która jest różna od reprezentowanej przez *Tygodnik Powszechny*. Nowy periodyk — zdaniem ks. Nowaka — byłby całkowicie redagowany w kraju przez zespół nowo utworzonego *Tygodnika Katolickiego*, jedynie składopis byłby dostarczany za granicę. Według wysłannika Prymasa współpraca z *Kulturą* paryską nie wchodzi w rachubę, także z innymi pismami emigracyjnymi, „ponieważ są one zaangażowane politycznie”... ■ W PRL przebywali z oficjalną wizytą dwaj posłowie do *Bundestagu*, reprezentujący frakcję *CDU/CSU* — Hans Klein i Volker Rühle. Ostatni jest specjalistą w zakresie bezpieczeństwa i polityki zagranicznej. Bońscy politycy udali się do Warszawy na zlecenie kanclerza Helmuta Kohla, aby zasygnalizować w warszawskim MSZ-cie gotowość rządu zachodnioniemieckiego do ponownego pogłębienia współpracy politycznej. Rühle wygłosił odczyt w *Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych* i odbył spotkanie w sejmowej *Komisji Spraw Zagranicznych* (nie

wziął w nim udział Ryszard Wojna!). Podczas wizyty doszło do obustronnych, znacznych irytacji. Wyrazem tego „chłodu” były zmiany w programie, wykluczające przyjęcie gości z Bonn przez dwóch wysokich rangą przedstawicieli władz partyjno-rządowych (Barcikowski i Rakowski), a także głosy krytyczne po adresem Bonn (Męclewski w *TV* i Ignacy Krasicki w *Trybunie Ludu*), zarzucające gabinetowi Kohla „podtrzymywanie nierealistycznej i odwetowej linii politycznej oraz próbę wskrzeszania przez rząd RFN mitu o mniejszości niemieckiej w Polsce”. Klein jest jednym z sygnatariuszy apelu z żądaniem praw dla 1,1 mln Niemców na obszarach Odra-Nysa, wystosowanego przez niemiecką *Młodzież Śląską*, a Rühl podczas rozmów w Warszawie stanął na stanowisku, iż układ PRL-RFN z grudnia 1970 roku wprawdzie obowiązuje, ale nadal istnieje w sensie formalno-prawnym Rzesza Niemiecka w granicach z 1937 roku.

Andrzej J. CHILECKI

Kronika litewska

Litewsko-kanadyjski tygodnik *Teviskės Žiburiai* zamieścił artykuł wstępny pt. „Lepiej niż się spodziewano”, w którym czytamy: „Kazimierzowskie uroczystości już przeminęły, jednak długo będą pamiętane przez uczestników, gdyż wbrew przewidywaniom wywarły niezatarte wrażenie. W okresie przygotowań rozeszły się pogłoski, że uroczystości będą miały polskie zabarwienie, gdyż Papież Jan Paweł II jest Polakiem, byłym biskupem Krakowa, miasta rodzinnego Św. Kazimierza. Nawet w prasie wyrażano wątpliwości, czy warto, by Litwini tłumnie zbrali się w Rzymie. Były również pogłoski, że Polacy organizują liczne pielgrzymki. Być może, że te plotki powstrzymały niejednego Litwina od wyprawy do Rzymu na uroczystości kazimierzowskie. Okazało się na szczęście, że te wątpliwości i plotki były bezpodstawne. Uroczystości w dniach 3 i 4 marca w Rzymie były tak litewskie i na tak wielką skalę, że nawet najwięksi optymiści tego się nie spodziewali. Chociaż Papież jest Polakiem, lecz okazał Litwinom tak wiele serca i uwagi, jak to się nie zdarzyło w ciągu 600-letnich dziejów litewskiego chrześcijaństwa.

Według uzyskanych informacji była to decyzja samego papieża. Polacy mogą urządzać obchody kazimierzowskie w Krakowie, a Litwini niech urządzają w Rzymie, gdyż na Litwie są one obecnie nie do pomyslenia. Poza tym Litwie obecnie bardziej potrzebne jest wsparcie moralne i uwaga świata, niż Polsce.

Ze taki charakter będą miały uroczystości, wyjaśniło się, gdy *L'Osservatore Romano* podało wiadomość, że z okazji 500-lecia zgonu Św. Kazimierza ukazały się znaczki poczty watykańskiej. Mówiono, że projekt grafika R. Vieusula został przez dygnitarzy watykańskich odrzucony, jako nazbyt litewski. Gdy te pogłoski nie sprawdziły się, można było przypuszczać, iż charakter uroczystości będzie litewski. Dopiero jednak gdy tysięczna rzesza litewskiego wychodźstwa przybyła do Rzymu, zobaczyła, że dzięki Papieżowi, było to Święto Litwy i Litwinów. Jan Paweł II był pierwszym papieżem, który przemawiał w języku litewskim i to nawet trzykrotnie. A i kazanie w języku włoskim dotyczyło przeważnie Litwy. Papież tym razem nie prze-

mawiał po polsku. W koncelebrowanej mszy brał udział tylko jeden polski biskup, tak, jak i przedstawiciele innych kościołów europejskich. Wśród zebranych wiernych było więcej polskiego duchowieństwa (np. biskup łomżyński Paetz) lecz nie wysuwali się oni na czoło.

Po 500 latach, wyraźny głos Rzymu uznał zarówno historyczną, jak i współczesną litewskość Św. Kazimierza.

Godne podkreślenia jest nadanie uroczystościom charakteru ogólnego. Św. Kazimierz stawał się świętym nie tylko Litwy, lecz całej europejskiej wspólnoty. Dlatego też, na żądanie Papieża byli zaproszeni przedstawiciele konferencji biskupów z 14 krajów europejskich i cały korpus dyplomatyczny akredytowany przy stolicy apostolskiej. Było to podkreślenie, że niezależnie Litwy są troską całego Kościoła.

Pismo kończy artykuł apelem do biskupów litewskich aby starali się interweniować, żeby Św. Kazimierz był nazywany nie tylko polskim królewiczem, ale i synem Wielkiego Księcia Litewskiego.

Na uroczystościach było obecnych 17 kardynałów oraz 5 biskupów litewskich, wliczając w to i Amerykanina, arcybiskupa Marcinkusa, dwóch duszpasterzy litewskiej emigracji i dwóch z watykańskiej dyplomacji. Natomiast z Litwy nie przybyli ani biskupi, ani nawet świeccy pielgrzymi.

Nadanie temu jubileuszowi rozgłosu światowego odniosło skutek. W prasie katolickiej całego świata dużo pisano o Litwie, a modły poświęcone jej i Św. Kazimierzowi były odprawiane przez kardynałów Chicago i Paryża, przez biskupów niemieckich, brazylijskich i innych jak również polskich. O ile Litwini dążyli do wyłączenia Polaków z tych uroczystości i kultu Św. Kazimierza, o tyle Polacy ustami arcybiskupa Gulbinowicza głosili, że Św. Kazimierz „stał się ogniwem łączącym Polaków i Litwinów w szczególnej Unii”.

W dalekiej Wenezueli istnieje miasteczko Sancasimiero, gdzie bardzo uroczysto świętowano z udziałem licznie przybyłych ze stolicy Litwinów i inż. Żubra, Prezesa Polskiej Organizacji w tym kraju, który jako b. obywatel Republiki Litewskiej też mówił o królewiczu, który łączył a nie dzielił mieszkańców wielonarodowościowej Rzeczypospolitej.

Ale to był raczej wyjątek. Polacy nie byli zapraszani, a w sprawozdaniach zawsze się pomija, że Święty jest też patronem Polski jak i to, że jednak w dniu 4 marca Papież przyjął polską pielgrzymkę i do niej przemawiał mówiąc o patronie Polski i Litwy.

Na Litwie odbyły się podobno w tych dniach liczne nabożeństwa, nie reklamowane przez prasę urzędową obfitującą w artykuły wydrwiwające patrona Litwy itd.

W Polsce z tej okazji litewskie nabożeństwa odprawiono w katedrze sejmickiej, w Szczecinie, Warszawie i Wrocławiu, gdzie tenże arcybiskup Gulbinowicz wygłosił kazanie dwujęzyczne.

Jak wiemy w Wilnie w kościele Św. Kazimierza jest muzeum ateistyczne, w Katedrze — galeria obrazów, a trumna z prochami patrona została przeniesiona na Antokol, do kościoła Św. Piotra i Pawła.

Litwin zapytany dlaczego w uchwałach litewskiej emigracji tyle uwagi i troski poświęca się roszczeniom polskim do Wilna, odpowiedział, że można spodziewać się rozpadu Związku Sowieckiego, a wówczas między Moskwą a Warszawą powstanie obszar próżni politycznej i Polska nie oprze się pokusie, by ją wypełnić, a ponieważ jest tak popularna na Zachodzie, nikt się nie sprzeciwi jej ekspansji. Nie ma tego dobrego, co by nie miało złych stron, ale i odwrotnie, nie ma tego złego, co by nie miało dobrych stron. Litewska troska o polskie zakusy powoduje, że Rosjanie używają Polaków jako straszaków na Litwinów (jak używali Niemców w stosunku do Polaków) z takim skutkiem, że polskość na Ukrainie, Białorusi i dawnej Litwie Kowieńskiej zamiera, a na Wileńszczyźnie, gdzie jest polski instytut

pedagogiczny itd. nadal trwa, bez wielkich zmian, po ogromnym uszczerbku w latach czterdziestych.

W okresie „Solidarności” Polacy zyskali wiele sympatii sąsiadów, bo byli nosicielami nadziei na poprawę. Po wprowadzeniu stanu wojennego nadzieje pierzchyły i został gorzki smak zawodu. Wybór Polaka na papieża, dwie nagrody Nobla, prezydent Reagan intonujący: „Aby Polska była Polską”, wszystko to razem wywołuje niekiedy odruchy zawiści.

Dosyć charakterystyczne jest, że gdy dawniej emigracja litewska nawoływała wespół z Polakami, Węgrami i in. do unieważnienia Jałty, to obecnie prawnicy litewsko-amerykańscy wyszperali, że unieważnienie układów jałtańskich spowodowałoby przywrócenie stanu prawnego sprzed wojny, kiedy to rząd Stanów Zjednoczonych uznawał ówczesną polsko-litewską granicę i tym samym przyznawał Wilno Polsce.

Miesięcznik *Akiračiai* pisze, że: „Polsce poświęca się dużo uwagi i zaden cież nie pada na jej chwałę: wybór polskiego kardynała na papieża, dwie kolejne nagrody Nobla, popularność hasła 'Solidarność' w amerykańskich związkach zawodowych i poczytność książki 'Poland' znanego pisarza James A. Mitchenera — to są przykłady polskiej chwały”. Litewski historyk-publicysta zwraca uwagę, że w tej powieści przewija się wątek potrzeby łączenia się mniejszych narodów, a w tym wypadku unii polsko-litewsko-ukraińskiej, i żał, że do tego nie doszło w roku 1919. Recenzent wyciąga wniosek, że skoro pisarz, nie znający nawet języka polskiego i „instruowany” podczas pobytu w komunistycznej Polsce, tak pisze, widocznie idea unii jest tam nadal żywotna.

Podziemne czasopismo młodzieży katolickiej *Lietuvos Ateitis* (Przyszłość Litwy) stwierdza, że wraz z aresztowaniami księży, co się nie zdarzało w ostatnich dekadach, zaczął się dla kościoła okres męczeństwa. Według nowych haseł głoszonych na partyjnych zebraniach — katolik nie jest obywatel drugiego klasy, ani Murzynem, jest — wrogiem. Sytuacja nasza jest trudna. Straciłmy najlepszych przywódców. Równoległe idzie ucisk narodowościowy. Kulturalne ludobójstwo stało się bardziej wyrafinowane. Uchwały konferencji w Taszkencie o rusyfikacji są konsekwentnie wprowadzane w życie.

„Metody brutalnej siły są stosowane celem wyhodowania idealnych niewolników nie mających ani historii, ani pamięci. Rusyfikacja nie jest ostatecznym celem, lecz etapem do dehumanizacji. Po ukazaniu się 'Archipelagu Gułag' i ofiarnej akcji Kowalewa w obronie 'Kroniki Kościoła katolickiego na Litwie' nasz stosunek do Rosjan zmienił się w chrześcijańską miłość bliźniego.

Wierzmy, że Litwa zajmie specjalne miejsce w planach Bożych. Dlaczego nasz chrzest był tak długo odwiekany? Dlaczego nasze chrześcijaństwo jest najmłodsze w Europie? Dlaczego nasi praojcowie panowali nad wielkimi obszarami, a dla nas z tego tak mało zostało? Dlaczego jesteśmy jedynym katolickim narodem w Związku Sowieckim?”

Litwini w Polsce już mniej narzekają. Po pierwsze uzyskali litewskie nabożeństwa w katedrze w Sejnach, a od władz pozwolenie na wydawanie w Warszawie periodyku litewskich studentów. Jednego i drugiego domagali się od lat. Porównują oni wielki ucisk Litwinów w Republice Białoruskiej do stosunków w Polsce, co jednak nie zapobiega polonizacji młodego pokolenia.

*Do wspomnień, radości i żalu,
Którymi namiętnie leczę chorą duszę...*

Do poezji ukraińskiej wszedł Bażan od razu, bez żadnego terminowania, i to wszedł poetyką nie epicką, chociaż jedna z jego wczesnych poezji miała nazwę „Pieśń bojownika”. Od razu zaczął w rytmie rzeźbiarskiego dłuta.

W poezjach Bażana brak owej symetrii struktury wierszowania, jakże powszechnej wśród poetów popularnych, zwłaszcza w twórczości neoklasyków. Jego wiersze to lawina obrazów, które w stałym ruchu, niczym kra na odtajających rzekach, lecą wartko i stale się zmieniają. Poetycki język Bażana odznacza się niezwykłą strukturą składni i równie oryginalnym słownictwem. W obu tych płaszczyznach nikt mu nie dorówna. Dlatego też Bażan stworzył w ciągu tych 60-ciu lat własny szlak poetycki.

W jego wyjątkowym stylu występuje jeszcze jeden element — litera „R”; używa przede wszystkim słów z literą „R” wibrujących jak strzała, a płynnych jak ruch. Wierszy Bażana nie można czytać tak jak się czyta dzieła Sosjury czy Małyszka, gdzie wszystko mieści się w słowach poezji. Jego język trzeba zgłębiać, wczytywać się z trudem w dziwne elementy semantyki, którym obca jest łagodność formy.

Dlatego też mimo wszystkich oficjalnych jubileuszów, które wyprawiano na cześć jego społecznych zasług, Bażan nie był nigdy poetą popularnym. Byłoby to dziwne tam, gdzie nie ceni się najwyższych wartości intelektu, gdzie panują prymitywna folklorystyka i wymogi przystępności poezji dla „zwykłego człowieka sowieckiego”. W takim rozumieniu hierarchii wartości można było postawić ponad Bażanem twórczość nie tylko Rylskiego, ale i już wspomnianych Sosjury czy Małyszka. Zdaję sobie sprawę z tego, że pośród zwolenników kultu popularnego Rylskiego wywołam niepokoję, czy nawet podejrzenia o to, że chcę obniżyć poezję Rylskiego, stawiając ją w takim dwuznacznym kontekście. Ale w poezji, jak i w rozmaitych innych dziedzinach, bywają oczywiście większe i mniejsze różnice zdań na temat tego, kto ostatecznie jest większy. Istnieje tu niebezpieczeństwo stagnacji pojęć odnośnie uproszczonych opinii, jakże typowych w krytyce literatury sowieckiej. Należy je poddawać krytycznym weryfikacjom. Porównywanie Rylskiego z Bażanem, pod kątem widzenia który z nich jest większym poetą, nie ma w ogóle sensu, gdyż ich doniosłość jest całkowicie odmienna. Rylskij zdobył sobie — i to jak najślusniej — sławę poety, który w XX wieku położył największe zasługi na polu rozwoju ukraińskiego języka literackiego. Doszedł tu do krańca możliwości w doskonaleniu klasycznej wersyfikacji, tak że każdy kto usiłowałby iść w jego ślady, nie mógłby już dokonać żadnych nowych odkryć. Tak jak po Rafaelu, który wyczerpał możliwości techniki malarskiej w epoce renesansu, musiał nastąpić manieryzm, bo sztuka nie może dreptać w miejscu, tak i po Rylskim na próżno szukać czegoś nowego w technice poetyckiej. „Po” jest

Kronika kulturalna

Tragedia Mykoły Bażana

W końcu ub. roku (23 listopada 1983 r.) zmarł w Kijowie nestor poetów ukraińskich, Mykoła Bażan. Sylwetkę zmarłego kreśli znany ukraiński krytyk literacki, dotychczasowy redaktor naczelny czasopisma *Suczasnist'*, Iwan Koszeliwec.

Redakcja

Kiedy jesienią 1979 roku obchodzono w Kijowie 75-tą rocznicę urodzin Mykoły Bażana, miesięcznik literacki *Witczyzna* zamieścił na całej stronie wizerunek poety. Fotografia wyraziła więcej niż wszystkie oficjalne przejawy obchodów jubileuszowych. W oczach Bażana widać było i smutek i osamotnienie. Odszedł, po śmierci Jurija Smołyca i Petra Panca, ostatni z plejady poetów grupy „Waplite”. Jego najbliżsi przyjaciele — tacy sami romantycy, jak on — Jurij Janowski i Ołeksander Dowzenko opuścili ten świat już przed laty. Od pierwszego poematu Bażana, który ukazał się gdzieś w 1923 roku, minęło już 60 lat. Były to lata szalonego wlotu. Potem nastąpiły długie lata rozczarowań i porażek, uwarunkowanych kosztem wielkich ustępstw i to nie tylko w twórczości, ale także w przyjaźniach wobec najbliższych kolegów po piórze. Nie obyło się chyba też bez zdrady wobec nich. To wszystko uchwycił nieznaną fotograf w tym unikalnym wizerunku jubileuszowym. Sam Bażan upamiętnił swoje urodziny cyklem poezji „Nasz niepowtarzalny świat”, który ukazał się w tym samym październikowym numerze *Witczyzny*. Może pod wpływem ciężaru przeżytych lat, a może z konieczności (bo czego innego nawet i Bażan nie mógłby opublikować) usiłował uderzyć w nutę optymistyczną. Mimo to jednak poemat był wyrazem takiego samego smutku, jaki wycierał z oczu portretu:

*Niech raz jeszcze spieczone usta przytulę
Do życiodajnego jak młodość napoju,*

oczywiście relatywne, gdyż w rozwoju sztuki nie ma wyraźnych rozgraniczeń i nowatorstwo zlewa się z dotychczasowymi formami. Dlatego wyłom z wersyfikacji klasycznej w poezji ukraińskiej nastąpił nie u schyłku twórczości Rylskiego, ale już przy jej początku. Świadczy o tym swoimi eksperymentami Mychajł Semenko w pierwszym ćwierćwieczu naszego stulecia; zresztą z małą różnicą w czasie do podobnych procesów w poezji zachodniej. I to nawet w podobnej formie zachwałęgo buntu.

A jednak Semenkę wyśmiano. Ale Bażan — mądry dzięki doświadczeniu w życiu i twórczości — nigdy nie wykpiwał Semenki. Pisząc o „mistrzu żelaznej róży”, o Juriju Janowskim, Bażan tak się oto wyraził o owym dynamicznym i pełnym lęków człowieku:

„Kto traktował powierzchownie szaloną brawurę radykalnych słów i postaw, ten może nie zauważył, jak bardzo Semence chodziło o to, by odmłodzić literaturę, jak szczerze służył poezji, jak ją tworzył i rozwijał, jak delikatnie odczuwał pierwsze zapowiedzi i iskry nowatorstwa”. (*Witczyzna*, Nr 8 z 1979 r., str. 121).

Semenko dlatego nie był śmieszny dla Bażana, że on sam wypłynął na fali odrodzenia i wstąpił w poezję nie jako epigon, lecz jako odnowiciel i reformator, choć nie w tak zachwałęj formie, jak Semenko. W dobrze na ogół napisanym artykule („Współczesny Bażan”, *Witczyzna*, Nr 10 z 1979 r.), poświęconym analizie warsztatu poetyckiego Mykoły Bażana w ostatnich latach, Leonid Nowyczenko zacytował wypowiedź Maksyma Rylskiego o Bażanie: „Wiersze mogę pisać nie gorsze od niego, ale by znaleźć ostateczną formę w skomplikowanych sprawach i sformułować ważną myśl — do tego wielu z nas nie dorosło”. Tu mamy do czynienia ze szlachetnością Maksyma Rylskiego, który nigdy nie kierował się zazdrością. Rylskij był niewątpliwie bardziej operatywny, aktywniej ingerował w sprawy życia codziennego i rad pisywał na różne aktualne tematy. Bażan był bardziej skąpy w słowach i kiedy pisał, to zawsze w skondensowanej formie.

Przykładem tego jest artykuł Bażana z 4 marca 1975 roku w piśmie *Literaturna Ukraina* z okazji poematu historycznego Liny Kostenko „Marusia Czuraj”. Aby zrozumieć wagę tego artykułu, należy pamiętać, że pomiędzy tomikiem poezji Liny Kostenko „Wędrowni serca” (1961 r.) a ostatnim tomem „Nad brzegami wiecznej rzeki” (1977 r.) zawisło 16 lat milczenia, na pewno bardzo dla poetki ciężkich lat. To, że krytyka nomenklatury literackiej przemilczała ten ostatni tom poezji świadczy, że nie wiadano jak odnieść się do zjawiska czystej liryki. Należy też zważyć, że poemat „Marusia Czuraj”, siłą poetyckiej rzeźby tragicznej postaci na wpół legendarnej bohaterki tragicznych dla nas wydarzeń z połowy XVII wieku, był bez precedensu we współczesnej poezji Ukrainy sowieckiej albo — jak napisał Bażan — „Książką ogromnej wagi, tragiczną i pełną głębokiej siły katharsis...”.

Artykuł Bażana, pełen podziwu dla talentu poetki, ukazał się w okresie, kiedy Lina Kostenko powróciła do literatury po długich latach bojkotu. Autorytet Bażana i jego wypowiedź były w tym kontekście podwójnie ważne. Powróćmy jednak do głównego wątku. Mykoła Bażan, od 1951 roku członek Akademii Nauk URSS, poseł do najwyższych Rad Ukrainy i Związku Sowieckiego, członek Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Ukrainy, laureat najwyższych nagród — stalinowskich i leninowskich, kilka lat temu odznaczony Złotą Gwiazdą Bohatera Pracy Socjalistycznej — więcej już osiągnąć nie mógł. Czyż nie jest więc nonsensem w danym wypadku mówić o samotności i alienacji poety oraz niezadowoleniu z samego siebie? A jednak to nie jest nonsensem. Wszystkie kompensacje za sprzedany talent nie były w stanie zdławić uczucia zdrady wobec siebie samego i do końca życia nie dały spokoju poecie. Ale wobec tego nasuwa się pytanie, dlaczego żaden z szanowanych poetów i artystów pokolenia Bażana nie wyprostował grzbietu i nie powiedział — nie? Oczywiście wszelkie wygody, wypływające ze statusu nomenklatury, dache i przywileje, odegrały swoją rolę. Nie to jednak łamie charakter, lecz zapłata za te przywileje. Dlatego też Bażan nie poparł ruchu protestu młodych w latach 60-tych. Jedynym autorytetem dla dysydentów był Borys Antonenko-Dawydowycz, który mimo 22 lat więzień i zsyłek nie załamał się. Pawło Tyczyna wystąpił przeciwko młodym poetom z zarzutem, iż rzekomo kierują się nowatorstwem, chcą wszystko przewrócić do góry nogami (*Dnipro* Nr 3 z 1963 r.). Zaś szlachetny Maksym Rylskij, chociaż zdradzał tendencje do przyłączenia się do ruchu odrodzenia lat 60-tych i nie odmówił wymiany listów z kijowskim inżynierem Wasylem Łobko w sprawie rusyfikacji, to jednak, kiedy ów inżynier zażądał od niego jasnej pozycji — zawahał się. Wprawdzie napisał artykuł „Ojcowie i dzieci”, w którym jakby powołał powstanie ruchu „sześćdziesiątników”, ale zastrzegł się od razu, pisząc: „Jestem pewien, że pewnego dnia spadnie z nich łuska poszukiwaczy”.

Bażan był bardziej konsekwentny, gdyż z jednej strony nie brał najmniejszego udziału w odrodzeniu lat 60-tych, a z drugiej — nie atakował „sześćdziesiątników”, jak np. Ołeksa Połtorackij czy Lubomyr Dmyterko. Po prostu odizolował się od wszystkich namiętności ówczesnego życia literackiego Kijowa. Ale czy oznaczało to, że wszystko układało się dla niego gładko? Nie. Można zaryzykować przypuszczenie, że Ołeksa Połtorackij bez konfliktów z własnym sumieniem, a w zależności od koniunktury mógł pisać donosy na Ostapa Wysznę, a po rehabilitacji tego ostatniego — tak samo bezwstydnie go wychwalać, a potem znów pisać donosy na Swiatosława Karawańskiego i na Wiaczesława Czornowoła. Bażan to zupełnie inny przypadek. Spójrzmy na to, co napisał.

Wspomniałem już o artykule Bażana „Mistrz żelaznej róży”, czyli wspomnieniach o Juriju Janowskim. W tych wspomnieniach Bażan uwzględnił wszystko, aby artykuł mógł się ukazać

— a więc krytykę „Waplite”, rozróżnienie pomiędzy słusznym i niesłusznym w książce pt. „Cztery szable”, no i stwierdzenie, że „Opowiadania kijowskie” były wielkim osiągnięciem twórczym, podczas gdy w rzeczywistości stanowiły one upadek Janowskiego. Ale kiedy machnie się ręką na to wszystko, to pozostanie krzyk „zbołałego serca” — oto dosłowny cytat z tych wspomnień:

„I tak Juriju boli serce. Wracając do owych naszych młodych lat, z bólem wspominam o tym co ty wiesz i co zapisałeś na zawsze i czego już nigdy nie powtórzysz i na co nie odpowiesz. A mimo to piszę o tym, bo cię kochałem i kocham nadal i rana, którą ci zadałem stała się moją raną”.

Co miał wiedzieć nieżyjący już Janowskyj i o jaką ranę chodziło? Bażan zaprzyjaźnił się z Janowskim wiosną 1924 roku w Kijowie. Wkrótce potem obydwaj przyjechali do Charkowa i tam tworzyli na fali entuzjazmu. Pracowali też dla ukraińskiego filmu, od 1926 roku z najważniejszym twórcą w tej dziedzinie, Ołeksandrem Dowżenko. Był jeszcze w tych latach w ich towarzystwie Wasyl Kryczewskyj. On też współpracował z wytwórniami filmów w Odessie, gdzie Janowskyj był głównym redaktorem scenariuszy.

Zbliżał się koniec lat dwudziestych. Bażan miał już na swym koncie trzy tomy poezji, które wysunęły go na czoło wybitnych poetów Ukrainy: „17-ty patrol” (1926), „Rzeźbiony cień” (1927), „Budowle” (1929). Dzięki filmom „Zwenyhora” (1928) i „Arsenał” (1929) Dowżenko stał się twórcą kinematografii ukraińskiej, a Jurij Janowskyj wydał swą pierwszą wielką powieść „Mistrz statku” (1928). Wówczas to Janowskyj ogłaszała radośnie: „Przed nami młodość a przed nią szerokie horyzonty” i na tej fali romantycznego entuzjazmu tworzył powieść „Cztery szable”. Ale horyzonty raptem zawężyły się. „Cztery szable” ukazały się już w okresie kolektywizacji, a Janowskyj ciężko przeżywał ataki na swe dzieło, tak zresztą jak i Dowżenko po napaściach na jego filmy „Ziemia” i „Iwan”.

Terror początku lat trzydziestych nie ominął prawie nikogo. Również i Bażana.

„W 1932 roku znowu wróciłem do Charkowa. Polecono też udać się tam zarządowi kinematografii. Przepracowałem u nich jeszcze kilka miesięcy, aż mnie bez wyjaśnień zwolniono. Nie chciano nas więcej drukować. Było trudno. Sytuacja komplikowała się”.

Ale to nie wszystko. W terrorze trzydziestych lat zginął przyjaciel Bażana z czasów młodości, późniejszy dziennikarz w Charkowie — Stjopa Melnyk. Został po nim tylko portret, który namalował Dowżenko. Bażanowi nie pozostało nic innego jak nosić w sercu ból po utracie druha milcząc. I tak to trwało aż do sześćdziesiątych lat, kiedy to wymienił przyjaciela w jednym ze wspomnień.

Wraz z Jurijem Janowskim i Dowżenką Bażan przeżył całą wojnę i 6 listopada 1943 roku wszyscy trzej (w otoczeniu Chruszczowa, którego nazwiska nie pozwolono wymienić Bażanowi) weszli do zdobytego Kijowa. W kilka lat później zrujnowaną Ukrainę opisał Jurij Janowskyj w powieści „Żywa woda”, ścigając na siebie gniew obrońców linii partyjnej.

Bażan:

„Żywa woda” stała się dla Jurka gorzką, ba, strasznie gorzką wodą, chociaż wypłynęła z czystego źródła jego czułej i wrażliwej duszy. W tej powieści zostało napisane wszystko, co dotarło do jego świadomości, co ujrzał jeżdżąc i chodząc po tylko co wyzwolonej Ukrainie”.

Było to w roku 1947, na Ukrainie grasował L. Kaganowicz, tępiąc na nowo „burżuazyjny nacjonalizm”. Powieść „Żywa woda” czyli książka „o żywej wodzie wyzwolenia, która omywała i goiła ludzkie rany” (Bażan) została określona jako „nacionalistyczna”. I wtedy nastąpiła chwila, kiedy Bażan po tylu latach serdecznej przyjaźni zdradził Janowskiego.

„Niełatwo mi o tym pisać, ale wówczas postąpiłem, jak nie powinienem był postąpić. Nie zatarło się to i nie zatrze się nigdy w mojej pamięci”.

Szczerość jest zawsze wruszająca, zwłaszcza gdy się ujawnia w sowieckiej literaturze, w której tego rodzaju uczucia są owocem zakazanych. Szczerość Bażana jest rozbijająca i nie chce mu więcej niczego zarzucać. Taki zresztą jest sens tego artykułu, chodzi bowiem tylko o analityczne przedstawienie przyczyn ran w „nabolałej duszy”, pokazanie jednej z milionowych tragedii ludzkich, która w danym wypadku interesuje wielu, bo to przecie tragedia wielkiego poety.

Bażan nie ponosi żadnej winy za śmierć Stjopy Melnyka w tym sensie, że go nie zdradził i nie sprzedał. Ale czy to uczucie uwalnia go od winy za to, że sam żył na łasce tych, którzy zamordowali Stjopę? Janowskyj zmarł śmiercią naturalną wskutek chronicznej choroby, ale byłby mógł chyba żyć dłużej, gdyby nie był ofiarą nieustannych ataków. Bażan pożył kilka lat dłużej niż jego przyjaciel i był niemyym świadkiem powolnego mordowania w obozach koncentracyjnych tych którzy, podobnie jak on sam ongiś, wraz z Janowskim wyszli na czoło ruchu odrodzenia w sześćdziesiątych latach.

Około 75-tych urodzin zdawało się Bażanowi, że wszystko powinien był powiedzieć zmarłemu Janowskiemu, kiedy to w chłodną noc, w lutym 1954 roku, stał nad trumną przyjaciela:

„Była głęboka noc kiedy pozostałem sam koło Ciebie, podszedłem i spojrzałem w twoje zamknięte, wszechwidzące oczy. Miałem Ci wtedy jeszcze wiele powiedzieć. Nie zdążyłem. Nie zdążyłem już tego uczynić nawet w milczeniu. Nie podzielię się z tobą nawet niedopo-

wiedzeniem. Zabiorę to ze sobą. Na dalsze lata, do końca. Skończyła się twoja droga. Moja się też kończy. Radość. Ból. Strach. Entuzjazm...”

Otóż i to — tęsknota za oczyszczeniem. Nieprzypadkowo tragiczny poemat Liny Kostenko tak bardzo wzruszył Bażana, że napisał: „książka ogromnej wagi, tragiczna i pełna głębokiej siły *katharsis*...”. Ale by doświadczyć tej oczyszczającej siły, trzeba się było zupełnie odciąć od balastu przeszłości, jak to uczyniła Marusia Czuraj Liny Kostenko. Po otruciu Hrycia odbyła pielgrzymkę do świętego Kijowa i pozostała jako pustelniczka w opuszczonej chacie, czekając na śmierć. Bażana męczyła świadomość, że nie może się zdecydować na taki krok jaki uczynił Mykoła Rudenko: oddanie legitymacji partyjnej. Jego spowiedź nad trumną Janowskiego była tylko częścią tego, co legło mu na sumieniu. Ale i to obwarował zastrzeżeniami, wiedząc, że „całą prawdę zabierze ze sobą”. Wołanie „obolałej duszy” — tęsknota za oczyszczeniem — pozostało nieziszczalne.

Iwan KOSZELIWEĆ

(Z ukraińskiego przełożył B.O.)

Kongres Kultury Polskiej - wrzesień 1985

W maju bież. roku szereg osób otrzymało pismo Komitetu Organizującego — z inicjatywy Polskiego Towarzystwa Naukowego — KONGRES KULTURY POLSKIEJ — wrzesień 1985. Patronat nad tą imprezą objął Prezydent RP, a „Rząd RP na Uchodźstwie przyznał w budżecie na rok 1984 środki finansowe na pokrycie kosztów prac przygotowawczych”.

Do zaproszenia dołączona była ulotka podająca skład Komitetu Organizacyjnego oraz nazwiska organizatorów sześciu sekcji powołanych do wykonania zadań postawionych Kongresowi. Zaproszenia obejmowały nadto prośbę o przygotowanie referatu na wybrany przez adresata temat.

Akcja ta, zrodzona zapewne ze szlachetnych intencji, budzi poważne zastrzeżenia. Kilkanaście osób o zmiennym ciężarze gatunkowym, skupionych w powołanym *ad hoc* Komitecie, nie jest na pewno reprezentacją sił twórczych kultury polskiej na obczyźnie. Kto je wybrał i mianował? Jakie były kryteria wyboru? Jakimi osiągnięciami w zakresie tematyki sekcji mogą się legitymować?

Niejasne są także cele Kongresu, bo sygnalizowane w ulotce

„przekazanie młodszemu pokoleniu wiedzy i doświadczeń odchodzącego już niestety pokolenia wojennej emigracji” i „pogłębienie wglądu uchodźstwa polskiego w problematykę krajową” — to ogólniki dalekie od możliwego do zrealizowania programu.

Na palcach jednej ręki wyliczyć by można żyjących jeszcze przedstawicieli pokolenia wojennej emigracji mogących przekazywać młodszemu pokoleniu swe doświadczenia i udzielać im pouczeń. (Tu warto przypomnieć, że zbliżone cele stawiał w swoim programie Kongres Współczesnej Nauki i Kultury Polskiej na Obczyźnie urządzony we wrześniu 1970 roku, który także zamierzał podsumować osiągnięcia kulturalne Emigracji i wyciągnąć z nich wnioski. Z dystansu czasu wydaje się on jeszcze większym niewypałem niż ówczesnie. Mimo imponującej liczby uczestników (460), w tym prawie jednej czwartej (110) spoza Wielkiej Brytanii, konkretnych śladów wpływu tego Kongresu nie można się dopatrzeć. W druku ukazały się z opóźnieniem tom pierwszy księgi referatów. Nie ukazały się ani tom drugi, ani sprawozdanie i uchwały).

Piętnastolecie, którego dorobek zobrazować by miał Kongres, było — na Emigracji — okresem nie obfitującym w wielkie wydarzenia kulturalne — dla czasopism i wydawnictw był to okres szczególnie trudny, znaczone zejściem ze sceny *Wiadomości* i *Oficyny Poetów*, osłabieniem działalności wydawniczej Polskiej Fundacji Kulturalnej i „Veritasu”, opóźnieniami w wydawaniu *Rocznika Polskiego Tow. Naukowego na Obczyźnie*, *Tek Historycznych* — i wielu podobnymi objawami schyłkowymi. Poziom życia naukowego i kulturalnego „starej” Emigracji, mimo sporadycznych osiągnięć jednostek, uległ obniżeniu na skutek zgonów, podeszłego wieku lub braku poparcia i gotowości uczestniczenia w pracach wymagających bezinteresownego wkładu czasu. Poza to tylko przeciwstawia się tym stratom ożywienie wywołane wydarzeniami w Kraju, wyborem Papieża czy laurem Miłosza i Wałęsy. Inicjatywy nowych fal emigracyjnych nie wykazują tendencji do opierania się na doświadczeniach seniorów — i Kongres stawiający sobie jako cel pouczenie młodych stanowiska ich nie zmieni...

Kongres Kultury mógłby mieć sens, gdyby stawiał sobie za zadanie wypracowanie programu na przyszłość, a nie dzielenia się nad wyraz skromnymi osiągnięciami. Ale tu wyłaniają się dwa postulaty:

1) nie można mówić o „kulturze polskiej na obczyźnie” ale o kulturze polskiej *tout court*, a to wymaga współpracy z Krajem, bo kultura polska jest wspólnym dobrem narodu. Jawna współpraca jest dziś niemożliwa. Ale rozpadzony brutalnie w grudniu 1981 Kongres Kultury Polskiej ujawnił w wypowiedziach wielu pierwszorzędnych referentów wagę problemów zasługujących na rozpracowanie. Inicjatywa obecnego Kongresu do tragicznego kongresu warszawskiego *nie nawiązuje* — a to jest imperatywem chwili obecnej;

2) ramy Kongresu winny być opracowane nie przez Komisję

w składzie ogłoszonym w ulotce ale przez grono ekspertów, do których w toku prac organizacyjnych się nie zwracano.

— Bez tego Kongres będzie kosztowną i mydlącą oczy zabawką, której wynikiem będzie raz jeszcze *cicer cum caule*, groch z kapustą referatów na tematy dowolne.

Współczesna Polska w historycznej perspektywie

W dniach 23-25 maja br. odbyła się na uniwersytecie Yale konferencja pod powyższym tytułem, która zgromadziła na swych obradach około 300 osób ze świata naukowego i z kręgów Polonii amerykańskiej. Przewodniczącym komitetu organizacyjnego był wybitny ekonomista, profesor J. Michael Montias. Pierwszego dnia, po przemówieniu prezydenta Yale, A. Barlett Giamatti'ego w którym porównał on historyczny rozwój wyższych uczelni polskich z rozwojem Yale University, odbyły się trzy sesje: Pierwsza — poświęcona zagadnieniu ugody i oporu (*conciliation versus defiance*) pod przewodnictwem profesora Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, Martina Malii, objęła trzy referaty: „Powstania i praca organiczna w XIX wieku” — prof. Stefan Kieniewicz — odczytany w nieobecności uczonego (który tak jak i inni zaproszeni naukowcy z Polski nie mógł w konferencji uczestniczyć); „Druga wojna światowa i okupacja” — prof. Jana Grossa z Emory University; „Powojenne konfrontacje: od Poznania do Gdańska” — dr. Jakuba Karpińskiego. W dyskusji uczestniczyli prof. Andrzej Korboński i Stanisław Blejwas. Druga sesja, poświęcona sprawie narodu i państwa pod przewodnictwem prof. Edwarda Stankiewicza z Yale, objęła również trzy referaty: a mianowicie „Spuścizna okresu międzywojennego” — prof. J. Rotschilda z Columbia University; „Społeczeństwo i państwo”, dr. Aleksandra Smolara, CNRS i „Manipulacja pamięcią kolektywną: używanie i wykorzystywanie historii” — dr. Wojciecha Karpińskiego, CNRS. Komentowali prof. Z. Pełczyński z Oxfordu; dr Elizabeth Valkenier z Columbia University, dr Jane Curry z Manhattanville College i J. Kalabiński. Trzeciej sesji — ekonomicznej — przewodniczył prof. Stanisław Wellisz z Columbia University, a referaty przedstawili: dr Stanisław Gomułka z London School of Economics; prof. Włodzimierz Brus z Oxfordu i prof. Zbigniew Fallenbuchl z University of Windsor w Kanadzie. Jako komentatorzy wystąpili prof. Montias i Kazimierz Poznański z Rensselaer Polytechnic Institute.

Drugiego dnia odbyły się dwie sesje. Pierwsza pt. „Społeczeń-

stwo w kryzysie” pod przewodnictwem prof. F. Barghoorna z Yale, objęła 3 referaty: o PZPR mówił dr Jan de Weydenthal z Monachium, o zagadnieniu dysydentów politycznych i ideologicznych, prof. Kenneth Jowitt z Berkeley, a uwagi na temat roli Kościoła przedstawił Wojciech Karpiński. Wśród dyskutantów byli: znany publicysta Abraham Brumberg z Waszyngtonu i Tadeusz Szafar z Russian Research Center w Harvard University. Popołudniowa sesja poświęcona była Stanom Zjednoczonym i Polsce i złożyły się na nią: wstępny referat prof. P. Wandycza z Yale („Polska i Stany Zjednoczone od Drugiej Wojny światowej: zarys historyczny”) i konferencja okrągłego stołu na temat „USA a Polska: obecne możliwości”. W dyskusji, której przewodniczył prof. Andrzej Ehrenkreutz z Uniwersytetu Michigan wzięli udział Zbigniew Brzeziński, Jan Nowak, dwaj byli ambasadory amerykańscy w Warszawie R. Davies i W. Schaufele oraz nowomianowany ambasador John P. Scanlan, Helmut Sonnenfeldt z Brookings Institution i Sergent Shriver. Na bankiecie tegoż dnia przemawiał Zbigniew Brzeziński.

Ostatnia sesja miała miejsce trzeciego dnia obrad i dotyczyła spraw kultury i polityki. Przewodniczył prof. Alexander Schenker z Yale. Referat pt. „Kierunki w polskiej filozofii” przedstawił prof. Henryk Hiż z Uniwersytetu Pennsylvania; o „Literaturze i Zaangażowaniu Politycznym” mówił Czesław Miłosz; o teatrze prof. Daniel Gerould ze Stanowego Uniwersytetu Nowojorskiego; o filmie J. Foksiewicz. Komentarze wygłosili prof. Leszek Kołakowski i prof. W. Weintraub.

Po formalnym zamknięciu obrad dokonanych przez prof. Montiasa odbyła się sesja specjalna, podczas której Czesław Miłosz czytał fragmenty swego „Traktatu Poetyckiego”. Laureatowi Nobla sala zgotowała spontaniczną owację.

Konferencja w Yale była niewątpliwie największą i najpoważniejszą imprezą naukową tego typu, jaka odbyła się w USA. Fakt, że zorganizował ją jeden z czołowych uniwersytetów amerykańskich i że uczestniczyły w niej osobistości o tak dużym ciężarze gatunkowym, nadał temu spotkaniu wyjątkową rangę i charakter.

Polska Akademia Nauk, która była zaproszona na konferencję, odpowiedziała odmownie w formie bardzo brutalnej i obraźliwej. Tego rodzaju metody nie przyczyniają się do polepszenia stosunków PRL z USA.

Wystawa Kossów

W okresie kanonizacji błog. Maksymiliana Kolbe, miała miejsce w Watykanie, w hallu prowadzącym do sali audiencyjnej,

wystawa prac malarskich rodziny Kossów. Wystawa ta zawędrowała później do Gdańska i do Krakowa, gdzie w krężankach OO. Dominikanów znalazła miejsce na ekspozycję. Ma być jako by urządzona jeszcze w Kolonii, w Niemczech. Poziom tej wystawy jest żenujący i wywoływał w oglądających zaskakujące wrażenie. Jedynymi, którzy opowiadali o triumfach wystawy, byli jej twórcy.

Historia tej wystawy zaczęła się na dwa lata przed jej urządzaniem w Watykanie, kiedy to pewien emisariusz z Nowego Jorku — bo stamtąd pochodzą państwo Kossowie — usiłował nawiązać kontakty w Watykanie. Odbyła się rozmowa i pokaz przezroczy dzieł Kossów u pewnego światłego polskiego dostojnika watykańskiego. Wystawy wtedy nie urządzono.

Upłynęły dwa lata i oto ku zdziwieniu wielu — w tym zapewne również owego dostojnika — wystawa zawisła na ścianach hallu sali audiencyjnej. Oglądający mieli nieprzyjemność zobaczyć zdeformowane portrety Ojca Świętego — jeden z nich, poprzez swoją nieudolność, mógł robić wrażenie złośliwej karykatury. Były też portrety Prymasa Polski i św. Maksymiliana Kolbe. Te ostatnie zachowały wierność fotograficzną — bo zapewne fotografia była podkładem prac malarskich Kossów — i uchodziły za najbardziej udane. Były też olbrzymie (prawie wszystkie prace były wielkich rozmiarów) wizerunki Madonny, której twarze to portrety członków rodziny i przyjaciół twórców. Niezwykły wyraz twarzy nasuwał myśli o profanacji. Wszyscy byli zaskoczeni poziomem wystawy i nie odbiła się ona żadnym echem artystycznym.

P. Koss jest świetnym fotografem. Sporządził całą serię portretów Prymasa, z których kilka jest doskonałych. Wykonał szereg fotografii cennych i trudno dostępnych elementów rzeźbiarskich i obrazów w Watykanie. Między innymi sfotografował herb papieża Innocentego XI Odeschalchi'ego. Orzeł tkwiący w herbie tego papieża przypomina w formie godło Polski. Jak wiadomo za pontyfikatu tego papieża miała miejsce Odsiecz Wiednia w 1683 roku i niektórzy polonusi starają się twierdzić, że papież ten po Bitwie upodobnił orła w swoim herbie do polskiego. Nikt do tej pory nie poczynił odpowiednio poważnych badań heraldycznych na ten temat i nikt też nie zwrócił się do żyjących członków rodziny Odeschalchi'ch po informację. Nieprawdopodobne to twierdzenie krąży wśród niektórych polskich działaczy i badaczy. Ja stwierdziłem natomiast, że na monetach tegoż papieża — skudach, zarówno tych z okresu przed 1683 rokiem jak i później, herb wraz z orłem jest taki sam.

Otóż, jak już zaznaczyłem, wystawa powędrowała do Polski. W Krakowie *Tygodnik Powszechny* (nr 51, 18. XII. 1983) zamieścił na swoich łamach druzgocąca, ale prawdziwą krytykę pióra Stanisława Rodzińskiego w artykule zatytułowanym „Wypadek w krężankach Ojców Dominikanów”. To redaktorowi Rodzińskiemu należy się uznanie i wdzięczność, a *Tygodnikowi* chwała za bezkompromisowe stanowisko. Kraków nie dał się nabrać.

Grono nabranych jest spore, w Nowym Jorku, i w Chicago, we Włoszech, i w Polsce. Należą do niego osoby świeckie, jak np. pewna matka, która nie miała dość silnej woli by odmówić Kossom wykonania portretu swojego dziecka, za który później musiała zapłacić pięć tysięcy dolarów plus 7% amerykańskiego podatku od zakupu; duchowni, którzy przyczynili się do urzędzenia wystaw w Watykanie i w Polsce; instytucje, jak radio „Głos Ameryki”, w którym Kossowie parokrotnie opowiadali o swoim jakoby wielkim powodzeniu.

Obecnie zaczynają reagować ci, którzy nie mieli odwagi zrobić tego wcześniej, nie wyłączając autora niniejszych słów. Pierwszy *Nowy Dziennik* nowojorski (15. III. 1984) przedrukował skwapliwie tekst z *Tygodnika Powszechnego*.

Wielką zapewne mieli pp. Kossowie satysfakcję, że ich wystawa odbyła się w miejscu, gdzie widnieją najwspanialsze dzieła sztuki świata, jakie kiedykolwiek stworzył geniusz i talent człowieka. Przykry jest natomiast fakt, że Polacy wprowadzili do Watykanu dzieła tak żenujące swoim poziomem, jakich zapewne nigdy, w prawie dwutysięcznej historii, nie widziano na wzgórzu św. Piotra.

AMBROZ

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

KSIĘGARNIA POLSKA

1070 Wien, Burggasse 22

Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:

CODZIENNE / TÄGLICH 10.00 - 18.00

SOBOTA / SAMTAG 9.00 - 12.00

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND

KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

Polemiki

Sedno i kilka innych ważnych spraw

Czy myśląc o przyszłej Polsce, chciałbyś by była krajem o gospodarce rynkowej, czy też opowiadasz się za jakąś wersją gospodarki socjalistycznej? Taki jest zasadniczy dylemat, wobec którego stawia opozycję Stefan Kisielewski w artykule „Wstęp do programu opozycji”¹. I jest skądinąd zdumiewające, że jego polemista, autor tak inteligentny jak Waldemar Kuczyński, tego kluczowego pytania nie zauważa².

Sądzę, że stawiając swych czytelników wobec takiej alternatywy, Kisielewski, którego opcja jest jednoznaczna, trafia w sedno wszelkiej możliwej programującej myśli politycznej w Polsce. Zaś *en passant* we wszystkich krajach „bloku”, ale to już inna sprawa. Używam określenia „sedno” nie bym uważał, iż każdy przysły zryw oporu winien zaczynać od postulatu wprowadzenia gospodarki rynkowej. Z różnych względów jest to mało prawdopodobne. Bez szczególnego wysiłku można sobie wyobrazić, że w jakichś tam przyszłych pertraktacjach większość przedstawicieli opozycji będzie się składała — inaczej niż w Gdańsku — ze zwolenników gospodarki rynkowej i że się nawet na ten temat nie zajakną. Niemniej jest to sedno sprawy, gdyż wszystkie ważne i długofalowe postulaty ruchu oporu muszą się sytuować względem odpowiedzi na zadane przed chwilą pytanie. Znaczący to tyle, że nawet nie wspominając o gospodarce rynkowej (lub socjalistycznej), przedstawiciele ruchu oporu, zależnie od

rzeczonyj odpowiedzi, będą wysuwali jedno żądania, o innych zaś — i to jest chyba ważniejsze — nie będą nawet wspominali.

Powiem od razu, że w tej kluczowej sprawie bez zastrzeżeń popieram stanowisko wyrażone we „Wstępie do programu opozycji”, co skądinąd czytelników moich tekstów nie powinno dziwić. Podobnie jak Kisielewski uważam gospodarkę rynkową (ze wszystkimi jej mankamentami) za nieporównanie lepszą i społecznie bardziej pożądaną od gospodarki socjalistycznej, o której mniemam jak najgorzej. Toteż w innych ważnych sprawach z Kisielewskim polemizując — a taki mam zamiar — chciałbym podkreślić, że jest to spór w ramach zgody w przedmiocie najważniejszym.

Skądinąd wyższość gospodarki rynkowej nad socjalistyczną jest, a w każdym razie mogłaby być, widoczna dla każdego i to gołym okiem. Po bez mała 70 latach doświadczeń sowieckich i 40 naszych własnych trudno o inny wniosek. Każdy z nas zresztą wie, jak rzadko spotyka się w Polsce ludzi, którzy w rozmowach prywatnych broniliby gospodarki socjalistycznej. A jeżeli tak, to powstaje pytanie, dlaczego opozycja — pomijając niewielkie grupy, jak np. Oficyna Liberałów — zachowywała i zachowuje się tak, jak gdyby alternatywa, o której mowa nie istniała?

Kisielewski powiada: to dlatego, że dotychczasowa opozycja była robotnicza, że — co więcej — istniejąca klasa robotnicza jest tworem sztucznym, powołanym do życia przez komunistyczną ideologię, wskutek czego jest od tej ideologii zależna. Walcząc z państwem socjalistycznym, zdaje się na jego „opiekuństwo” i domaga się „coraz hojniejszych świadczeń”. „Nadaje się więc ta klasa — pisze Kisielewski — do rozbijania ustroju, ale niezbyt nadaje się do budowania na jego miejsce nowego”.

Na co Kuczyński: 1) że w sierpniowej i tuż posierpniowej fazie ruchu społeczeństwo nie rozumiało powagi sytuacji ekonomicznej, a jego reakcje w zakresie postulatów gospodarczych były czysto emocjonalne; 2) że wątpliwe jest, by politycy na Kremlu zgodzili się na reprivatyzację gospodarki pod presją ruchu rewolucyjnego; 3) że w połowie 1981 roku „ruch rozpoczął walkę o uspołecznienie gospodarki”, który to zwrot był dla losów związku „o wiele bardziej brzemienny od tzw. sprawy bydgoskiej”.

Z przykrością muszę stwierdzić, że odpowiedź Kuczyńskiego jawi mi się jako niezborna; każdy z przytoczonych tu argumentów z innej pochodzi okolicy, a żaden nie dotyczy meritum sprawy. Nadto, ponieważ autor artykułu „Kisiela spojrzenie na opozycję” nie mówi, po której stronie alternatywy skłonny jest się opowiedzieć, nie wiemy przeto, czy zwrot ku „uspołecznieniu gospodarki” uważa za brzemienny tylko z uwagi na to, że spowo-

1. Stefan Kisielewski, „Wstęp do programu opozycji”, *Kultura* nr 1-2, 1984.

2. Waldemar Kuczyński, „Kisiela spojrzenie na opozycję”, *Kultura* nr 3, 1984.

dował określoną reakcję komunistów, czy również dlatego, że był sam przez się słuszny i obiecujący. Jeśli chodziło mu o reakcję komunistów, to może i ma rację, ale jest to taka racja, o którą — pomijając zawodowych historyków — nie warto się spierać. Jeśli natomiast uważa, iż postulat „uspołecznienia gospodarki” jest merytorycznie słuszny, a więc m.in. sensowny, to prosiłbym, by zechciał mi wyjaśnić co to mianowicie znaczy; dobrze by było, gdyby wziął przy tym pod uwagę moją wyjątkową tępotę, jako że od lat ponad 20-tu nikomu nie udało się wyjaśnić mi, co to jest „uspołecznienie gospodarki”, dlaczego miałyby być możliwe i komu — centralnych zarządców nie licząc — miałyby przynosić korzyści.

Odstąpmy na chwilę od tez Kisielewskiego oraz odpowiedzi jego oponenta i zastanówmy się nad tym, kto w Polsce wypowiada się przeciw gospodarce rynkowej i jakich przy tym używa argumentów. Bo wcale nie jest tak, by wszyscy, którzy na gospodarce socjalistycznej psy wieszają, byli zwolennikami gospodarki rynkowej. Nie będziemy przy tym brali pod uwagę komunistów, bo — jak głosi rosyjskie porzekadło — czegoś od nich wymagać.

Otóż sądzę, że z uwagi na motywacje i typ argumentów, postulatowi wprowadzenia gospodarki rynkowej przeciwnych jest w Polsce pięć ilościowo bardzo różnych grup ludności.

Są to więc przede wszystkim rewizjoniści, tj. ci wszyscy, którzy uważają, że można ten system w istotny sposób uczłowieczyć, nie naruszając jego fundamentów, a w szczególności podstawowych założeń socjalistycznej gospodarki. Rewizjoniści są jedynymi przeciwnikami ekonomiki rynkowej, którzy próbują swą animozję uzasadnić teoretycznie i którzy, zdawałoby się, powinni posiadać całościowy program ekonomicznej naprawy, a — dziwnie nad dziwy — jakoś nie mają.

Są to, po drugie, świadomi i nieświadomi egalitaryści. Świat zawsze pełen był nierówności, często urągających elementarnemu poczuciu godności ludzkiej. Ustrój socjalistyczny tym się w owym łańcuchu ludzkich krzywd wyróżnia, że stworzone przez siebie nierówności nazywa sprawiedliwością dziejową i równością, a istnienie kasty dzierżącej władzę równą władzy faraonów nazywa domem wolności. Nie każdego przeto, kogo nierówności, w naszym przypadku socjalistyczne, oburzają i kto z nimi walczy, nazwiemy egalitarystą. Nie łudzmy się jednak, we wszystkich masowych ruchach wyzwoleniczych — a takim ruchem była

i jest „Solidarność” — ludowy „egalitaryzm w dół” odgrywa znaczną rolę. Rzesza egalitarystów niechętnych gospodarce rynkowej jest u nas wcale liczna i w masie swej zachowuje się tak, jak gdyby wyznawała zasadę „skoro nie mam ja — to niechaj inni też nie mają”. A co do reszty problemów, nie zastanawia się nad nimi, bowiem typowy egalitarysta — są oczywiście wyjątki — jest osobnikiem mało refleksyjnym i kierującym się emocjami; chętnie przywdziewa ozdobną szatę bojownika o sprawiedliwość, pod którą przeży się kolczasty wzwód zawiści. Ale mniejsza o psychologię jednostek — jako zbiorowość, egalitaryści, szczególnie ci nieświadomi, tworzą znaczną siłę, to zaś do jakiego stopnia potrafią sobie dany ruch społeczny podporządkować zależy od tak wielu czynników, że nie sposób się tu nad tym zastanawiać.

Na trzecim miejscu wymienilibym tych — a są to setki tysięcy — którzy wprawdzie nie mają cienia wątpliwości co do tego, że gospodarka rynkowa jest lepsza, ale się jej po prostu boją. Bo musieliby pracować miast leserować, podejmować decyzje miast uprawiać spychotechnikę, ryzykować miast drzemać za ostrokołem instrukcji, być odpowiedzialnym miast mówić „oni” itd., itp. W sferze wyobraźni społecznej ich marzeniem jest socjalizm bez „czerwonego”, którego serdecznie nie cierpią; są pod tym względem skrajnymi utopistami. Natomiast osobiste marzenia wielu z nich cechuje zimny realizm: wyjechać raz na kilka lat na „saksy”, przywieźć „zielone” i jakoś tam żyć do następnego wyjazdu.

Po czwarte, przeciwnikami mówienia o gospodarce rynkowej są ci, co rozumują w ten mniej więcej sposób: dobre by to było, ale po pierwsze, Ruskie na to nie pozwolą, po drugie zaś „czerwony” natychmiast oskarży nas o to, że domagamy się Berezy Kartuskiej, ćwiartowania zapalek, pacyfikacji wsi, obejmowania dziedzica pod kolana i wybudowania na Grzegórkach, Krzykach i Wawrzyszewie osiedli kurnych chat. Słowem nie ma o czym marzyć, a tylko człowieka obsmarują.

Po piąte wreszcie, przeciwnikami gospodarki rynkowej są ci, którzy mówią: no dobrze, ale komu oddać hutę „Katowice”?

Ponieważ artykuł mój odnosi się do polemiki Kuczyński — Kisielewski, nie będę tedy dowodził dlaczego „egalitaryzm w dół” jest społecznie szkodliwy, ani dlaczego problem „co zrobić z hutą ‘Katowice’?” jest zadaniem technicznym, a nie merytorycznym, i to zadaniem rozwiązywalnym tylko w warunkach gospodarki rynkowej. Powiem natomiast, iż nie jest tak, by rzesze ludzi, o których pisałem przed chwilą, nie brały udziału w ruchu oporu. Wręcz przeciwnie, w każdej z jego dotychczasowych faz ludzie ci byli uczestnikami, często nader aktywnymi, a w okresie sławnych 500 dni stanowili jeśli nie zdecydowaną, to zawsze

jednak większość. Między innymi dlatego ruch ten był i jest, jak na moje wymagania, nadmiernie socjalistyczny, co też bez owijania w cokolwiek byłem napisałem w „Tekstach cywilnych”.

Z powyższego wynika, że zgadzając się z Kisielewskim w sprawie zasadniczej, nie zgadzam się z jego „klasową” analizą sytuacji w ruchu oporu. Jeśli autor „Wstępu do programu opozycji” zgodzi się z przedstawioną przeze mnie klasyfikacją przeciwników gospodarki rynkowej, to przyzna, że linia podziału „za” i „przeciw” nie przebiega wedle zasady robotnicy — nie, chłopcy — tak, a w sposób bez porównania bardziej skomplikowany. I jeśli Kisielewski zechce zredukować swoją stanowczość do zdroworozsądkowej prognostyki, to ja z kolei gotów jestem przystać na takie ujęcie sprawy: jest dość prawdopodobne, że wśród robotników ilość ludzi niechętnie odnoszących się do postulatu powrotu do gospodarki rynkowej będzie w każdym danym momencie większa od ilości takich ludzi wśród indywidualnych rolników. Ale też i nie ponadto.

Jednak główny błąd Kisielewskiego polega, sędzę, nie na jego „antyrobotniczej” stanowczości, którą po części uważam za chwyt retoryczny. Różni się jednak nie w przedmiocie retoryki, lecz w widzeniu procesów społecznych. W odróżnieniu od niego jestem zdania, iż podstawową klasą stworzoną przez potrzeby tego ustroju, pokornym jego cielęciem jedno wymię ssącym jest klasa administratorów, czy jak kto woli urzędników. Jeśli w fabrykach socjalistyczna likwidacja bezrobocia polega na zatrudnianiu trzech ludzi przy wytwarzaniu (niechlujnym) czegoś co mógłby (dobrze) zrobić jeden człowiek, to w ogromnej większości central, urzędów, biur projektowych, inspektoratów tego lub owego zatrudnia się trzy osoby tam, gdzie nie robi się nic. A jeśli do tego dodać fatalnie zorganizowane, przeciążone administracją usługi, to okaże się, że ilość ludzi w tych działach gospodarki (?) zatrudnionych jest wręcz przerażająca.

— Mogę sobie bez trudu wyobrazić jak mam przekonywać robotników, że z uwagi na korzyści materialne, satysfakcję jaką daje dobrze wykonana praca, możliwość działania autentycznego ruchu zawodowego i dla wielu innych powodów gospodarka rynkowa — wliczając w to jej złe strony — jest dla nich korzystna. Jak miałbym o tym przekonywać dziesiątki tysięcy niczego nie umiejących absolwentów pseudo-wyższych uczelni, przyspieszonych kursów słowiczego śpiewu dla spasionych gołębi, panienek z pralni, które święcie wierzą w to, że „expressowe” upranie koszuli musi trwać trzy dni, salowych przywykłych nie tylko

do horrendalnych kubanów, ale do tego, że są w szpitalu osobami znacznie ważniejszymi niż lekarze, oraz pań z „Orbisu”, które uważają, że klient musi mieć przy sobie kalendarz („nie będę sprawdzała, kiedy jest najbliższy wtorek”) — to przerasta moją imaginację.

Moja niezgoda z Kisielewskim nie jest jednoznaczna z aprobatą kontrargumentacji Kuczyńskiego. W szczególności nie sędzę, by sierpniowe żądania płacowe, politycznie w gruncie rzeczy wygodne dla komunistów, były jedynie rezultatem ekonomicznej dezorientacji społeczeństwa, choć oczywiście odgrywała ona w tym pewną rolę.

Zacznijmy od tego, że była to w jakiejś mierze wina przed-sierpniowej „opozycji”, która w żadnym ze swych wariantów nie miała cienia programu gospodarczego. Toteż wezwanie Kisielewskiego, by przyszła opozycja mniej zajmowała się wolnością a więcej chlebem, rozumiem jako zasadną, choć przekornie sformułowaną reakcję na owoczesny — i dzisiejszy — stan myśli programującej.

Rację też ma, moim zdaniem, Kisielewski gdy pisze — wyłożę to własnymi słowami — iż nie można jednocześnie zwalczać zasady jedynego, wszechpotężnego pracodawcy i wymagać odeń, by zwiększał zakres swej władzy. A przynajmniej, że „Solidarność” często tak właśnie postępowała. Toteż sądząc wyłącznie po jej postulatach, trudno by było powiedzieć, czy nie lubiła jedynego pracodawcy za to, że jest jedynym pracodawcą, czy za to, że nie spełnia swych słownych przyrzeczeń. (Rozumianych literalnie, skądinąd bowiem wiadomo, że w komunistycznej nowo-mowie słowo „dostatek” oznacza biedę).

Można bez trudu zrozumieć, że ludzie całe życie (dosłownie, zważywszy przeciętny wiek członków „S” w pierwszej fazie jej istnienia) karmieni opowieściami o tym, że państwo dopłaca do wszystkiego, od żłobka poczynając, a na miejscu na cmentarzu kończąc, że ludzie ci zażądali, by im raz nareszcie naprawdę zapłacono. A że państwo socjalistyczne nie jest w stanie — nawet gdyby chciało — płacić czymś innym niż drukowanymi przez siebie „rybakami” czy „szopenami” (do czego zapewne też dopłaca), że jesienią 1980 roku z radością zabrało się do przyspieszonego drukowania tychże i po dziś dzień nie przestało — to inna sprawa. Wyjaśnienie tej właśnie sprawy milionom zwykłych ludzi jest niezwykle ważnym zadaniem opozycji.

A skoro już o tym piszę, to chciałbym wyrzucić z siebie coś, z czym noszę się od wspomnianej jesieni 1980. I latem i jesienią

tamtego roku było oczywiste, że żądania płacowe muszą się znajdować wśród rewindykacyjnych postulatów, a zarazem zaś, że nie rozwiązują one niczego, a na czas dłuższy niż kilka miesięcy muszą być dla ludzi pracy, bo nie tylko robotników, niekorzystne. Toteż od pierwszej chwili zadawałem sobie oraz innym pytanie: jak to się stało, że wśród tylu odważnych i rozumnych, którzy dotarli do Gdańska i Szczecina nie znalazł się ani jeden, który by wstał i powiedział na głos: proszę państwa, zastanówcie się, kręcicie bicz inflacyjny, który musi spaść na plecy nas wszystkich.

Ilekcio o to pytałem, słyszałem tę samą odpowiedź: człowiek, który by tak postąpił, zostałby natychmiast wyrzucony z sali.

No, to co — odpowiadałem i odpowiadam.

Kornie przepraszam wszystkich zasłużonych, ukrywających się, więzionych, ale skoro nikt nie zdobył się na to, by zostać wyrzuconym z sali za słowo oczywistej prawdy, to zbiorowo odstąpił od dwóch powołań na raz. Albowiem zadaniem i intelektualisty, i eksperta jest mówienie nieprzyjemnych prawd i ponoszenie za to konsekwencji. Z góry też powiem, iż argument „łatwo tak mówić, gdy się tam nie było” uważam za „wędlinę drugiej świeżości”. Na pytanie zaś, czy zdarzyło mi się kiedyś wystąpić przeciwko całej sali, odpowiem: tak, kilka razy, i co najdziwniejsze nigdy nie zostałem wyrzucony. Co prawda, nikogo też nie przekonałem.

Uff.

Tyle było o racji Kisielewskiego, czas na przyznanie racji Kuczyńskiemu, choć nie dotyczy ona sedna, tj. alternatywy gospodarka rynkowa — gospodarka socjalistyczna.

Rację tedy, wedle mego rozeznania, ma Kuczyński, gdy twierdzi, że Autor „Wstępu do programu opozycji” za wcześniej odsyła robotników do rogu i że byłoby katastrofą narodową, gdyby usłuchali go jako arbitra i poddali się.

To prawda, że ruch oporu słabnie. Ale przecież nie tak, jak by to z tekstu Kisielewskiego wynikało. Myślę, że pogruchotany może on zostać tylko w dwóch przypadkach: albo przez masowy terror, albo wskutek jakiegoś zasadniczego błędu ze strony Episkopatu. W myśleniu teoretycznym możliwe jest i jedno, i drugie. Miejmy nadzieję, że unikniemy obu.

Kisielewski słusznie proponuje opracowanie nowego programu opozycji. Chodzi mu przecież o coś innego, niż autorom analogicznych z pozoru wezwań rozlegających się w okresie stanu wojennego. Ma też rację twierdząc, że powinien to być program unikający błędów i przedsięwzięcia ruchu oporu, i samej „So-

lidarności”. Podobnie jak on uważam, iż program ten winien większą wagę przywiązywać do spraw ekonomicznych, a w szczególności do alternatywy gospodarka rynkowa — gospodarka socjalistyczna. Jeśli wśród tych przyszłych programów znajdą się takie, które opowiadać się będą za jakąś wersją tej drugiej — proszę bardzo. Ale niechaj ich autorzy mówią o tym wprost i niechaj wyłożą na czym lepszość danego wariantu od tego, co znamy, miałyby się zasadzać.

A przy okazji: samorząd robotniczy nie jest i nie może być rozwiązaniem ekonomicznym. Jest to propozycja z zakresu polityki społecznej, która najpewniej pociąga za sobą jakieś skutki gospodarcze, choć — prawdę mówiąc — nie wiadomo jakie. Najzabawniejsze jest przy tym, że samorząd może funkcjonować w warunkach gospodarki rynkowej i prywatnej własności środków produkcji. Nigdy natomiast nie udało się go wprowadzić w życie w państwie socjalistycznym. I chyba się nie uda, choć próbować może warto, głównie dlatego, że „czerwony” bardzo tego nie lubi.

Nie widzę natomiast powodów, dla których program postulujący jako jeden z punktów docelowych wprowadzenie gospodarki rynkowej miałby z góry rezygnować z poparcia robotników, oddając ich — niepytanych!!! — walkowerem „czerwonemu”. Jest to pomysł samobójczy. I cały mój szacunek oraz sympatia dla Stefana Kisielewskiego nie skłonią mnie do zmiany tego określenia.

Kuczyńskiego w tekście Kisielewskiego najbardziej zdumiało i oburzyło nazwanie państwa socjalistycznego „państwem wszechmocnie opiekuńczym”. Może dlatego, że lubi prawdziwe państwa opiekuńcze. Ja nie przepadam; w naszych warunkach jest to i tak coś w rodzaju sporu zwolennika „Wdowy Cliquot” ze zwolennikiem „Jasia Wędrowniczka” (czarna nalepka!). Porozmawiać przyjemnie — pić i tak nie będziemy. Ale fakt faktem, że określenie Kisielewskiego jest mylące, niezależnie od tego, co sądzimy o Szwecji (a pewnie sądzimy podobnie). Jako człowiek łągodny i do kompromisu skłonny proponuję określenie, na które obaj adwersarze mogą chyba przystać bez ujmy dla siebie: zbędkarcone państwo opiekuńcze.

Jeśli Kuczyńskiemu oczy w szept stanęły, gdy natrafił na zwrot o „państwie wszechmocnie opiekuńczym”, to mnie z kolei zdziwienie niepomierne ogarnęło, gdy przeczytałem, że „przykładanie do działań i dążeń naszej opozycji zachodnich wzorów prawno-moralnych i parlamentarno-demokratycznych (w czym celuje mój... przyjaciel Jan Józef Lipski) jest absurdem choćby nawet

bohaterskim, jest ułatwianiem sobie sytuacji duchowej, wynikłym z obawy przed spojrzaniem twarzą w twarz bezwzględnemu złu, które nam grozi. Żadne demokratyczne normy prawa u nas nie obowiązują i żaden Zachód ich dla nas nie wyegzekwuje (...)

Zdanie ostatnie jest oczywiście szczerą prawdą. Ale to, co je poprzedza suponuje, że J. J. Lipski o tym nie wie, że dla duchowej wygody zamyka oczy na stan faktyczny, a oczywisty, i że — dosłownie rzecz traktując — uważał KOR czy „Solidarność” za polski odpowiednik parlamentarnej opozycji w, powiedzmy, Wielkiej Brytanii. Tam u paralusza! Albo Kisielewski ma Lipskiego za hebesa i wówczas nie wiadomo dlaczego się z nim przyjaźni, albo sądzi, że ruch oporu powinien wspierać się na innym systemie wartości niż te, które stanowią moralny i prawny fundament demokracji. W tym drugim przypadku należałoby sobie wyobrazić Kisielewskiego jako ideowego pobratymca Sołżenicyna, który — jak wiadomo — twierdzi, że Rosji potrzebna jest nie demokracja, lecz władza autorytarna, temperowana nakazami prawosławia... Mam nadzieję, że Autor „Wstępu do programu opozycji” wybaczy mi ten barokowy koncept i uzna jego swoistą urodę.

Reprimenda, jakiej Kisielewski udzielił Lipskiemu jest i niepojęta i zabawna. Podejmuję się bowiem dowieść — w oparciu o analizę tekstów obu autorów — że uznają wartości po części zbliżone, a po części wręcz tożsame, i że zarówno ich pisarstwo, jak i postawa osobista są bez tych wartości nie do pomyślenia.

Pobawmy się jeszcze chwilę barokowym konceptem o ideowym pobratymstwie Kisielewskiego i Sołżenicyna. Otóż zachodziłaby między nimi taka, niebłaha, różnica: Sołżenicyn mianowicie postuluje, by przyszłe państwo rosyjskie przestało się wtrącać w sprawy narodów przez Sowiety zniewalanych, by przystało na ich faktyczną niepodległość, a ma na myśli przede wszystkim Estończyków, Łotyszy, Litwinów, Polaków oraz (niechętnie, co prawda) Ukraińców. Kisielewski natomiast twierdzi, że przyspawani jesteśmy do Rosji w sposób trwały i o innym stanie rzeczy marzyć nawet nie wypada.

Tyle żartów. Przepraszam. Zaczniemy poważnie.

Otóż pod adresem przyszłej opozycji wysuwa Autor „Wstępu...” dwa kardynalne postulaty: „b” — musi się ona uwolnić od „tradycji i frazeologii ruchu przede wszystkim ‘robotniczego’ (...),” co łączy się ze sprawą „koniecznych reform społeczno-gospodarczych, które muszą iść w kierunku przeciwnym niż przy-

zwyczajano ludzi u nas w ciągu ostatnich 38 lat” i opierać się muszą „na myśleniu wolnorynkowym”, oraz „a” — opozycja wewnętrzna nie może być utożsamiana z ruchem antyrosyjskim, stawiającym na zmianę sytuacji europejskiej czy światowej, na odwrócenie zależności geopolitycznych. (...) Obowiązkiem odważnego (bo przechodzącego do porządku nad tradycyjnymi odruchami uczuciowymi) myślenia politycznego jest przyjęcie założenia, że zostaniemy pod Rosją i w tej wschodniej sytuacji musimy szukać wyjścia”.

Powiedziałem już, że za kluczowy, zasadniczy, kapitalny uważam postulat oparcia przynajmniej jednego programu opozycji na „myśleniu wolnorynkowym”. Uważam natomiast, że ujęte jako całość, stanowisko Kisielewskiego „cale ma poważne braki”. Ujmując rzecz w jednym zdaniu można powiedzieć tak: ponieważ Kisielewski proponuje przeprowadzenie słusznych reform bez liczenia się z odruchami uczuciowymi społeczeństwa, wbrew jego (złym, to prawda) nawykowi myślowym, z góry rezygnując z oparcia bez mała połowy dorosłej ludności (którą uważa za twór sztuczny) licząc natomiast na aprobatę Moskwy, przeto nieuchronnie stawia tę przyszłą opozycję w sytuacji Wielopolskiego. Fakt, iż sformułowany wprost postulat reform „oddolnych” pojawia się — raz jeden — we „Wstępie do programu...” nie zmienia sytuacji, jest on bowiem sprzeczny z „tonem” całości.

OK, można postulować powtórzenie próby margrabiego. Ostatecznie był to jeden z inteligentniejszych polityków polskich, choć myślę, że w inteligencji tej ziała jakaś luka. Ale... Po pierwsze, trzeba wiedzieć, co się proponuje. Po drugie, trzeba pamiętać, że inaczej niż Wielopolski, mamy do czynienia z imperium ideologicznym. Po trzecie, trzeba sobie uświadamiać, czym się ryzykuje³.

Propozycje programowe Kisielewskiego oparte są na takim oto opisie sytuacji wyjściowej, tj. dnia dzisiejszego:

1. Jesteśmy od prawie 40 lat w rękach sowieckich.

(Czysta, żywa prawda).

2. Marksizm-leninizm jest formą sowieckiego zniewolenia w wielu płaszczyznach.

(Ditto, czyli też czysta, żywa prawda).

3. Dzisiejszy ruch oporu koncentruje swą uwagę na polskich namiestnikach władzy sowieckiej a bardzo niewiele mówi o Rosji,

3. Już po napisaniu tego artykułu przeczytałem wywiad z Kisielewskim (*Kontakt* nr 11, 1983), w którym pada zdanie: „Nikt nie lubi być Wielopolskim”. Odzegnując się tedy, Kisielewski przyznaje, że jest tu „coś na rzeczy”.

przez co podtrzymuje sowiecką mistyfikację, mającą na celu ukrycie faktu, iż rządy miejscowe są rządami z obcego mandatu; zamykając w ten sposób oczy na rzeczywisty stan rzeczy, daje opozycja dowód braku odwagi.

(Tu widziałbym rzecz nieco inaczej. Po pierwsze, ruch oporu miał, ma i będzie miał do czynienia z władzami miejscowymi, a nie z centralą. Po drugie, nacisk na te władze jest jedynym skutecznym sposobem hamowania ich sowietyzujących poczynań i wymuszania swobód. Naciskać na centralę? Proszę bardzo — ale w jaki sposób? Po trzecie, jest dość prawdopodobne, że faktyczny zakres swobody, jakim cieszą się komuniści w kdl-ach jest większy niż oni sami nam to, po cichu, wmawiają. Po czwarte, tak naprawdę, to o „słoniu w menażerii”, tj. o roli i możliwościach Związku Sowieckiego wiedzą u nas nawet najgłupszy krzykacz. Tak twierdząc wystawiam im gorszą notę niż Kisielewski. Nie należy jednak zapominać, że sowieckie zagrożenie, aczkolwiek aż nadto rzeczywiste, służyło i służy za podstawowy argument mający uzasadnić każde kolejne nic-nie-robienie).

Ze „Wstępu do programu opozycji” wyłania się taki obraz sił społecznych w Polsce:

a) Starsze generacje, nieufne i nieżyczliwe względem samej idei oporu, co tłumaczy się faktem, iż brak programu gospodarczego „Solidarności” podważył jej pozycję „w oczach opinii zamim jeszcze doszło do decydującego ataku”.

b) Młodzież, która podobnie jak robotnicy nie zna realiów i historii ustroju. Jest zapalona, nie potrafi jednak poza wolnościowymi ogólnikami sformułować żadnego postulatu ustrojowego, „który mógłby wprawić rządzących w merytoryczne zakłopotanie”.

c) Robotnicy, zbyt silnie związani z myśleniem opiekuńczo-państwowym. Grupa robotnicza utraciła dynamizm psychiczny i maleje ilościowo, ponieważ część przeszła na przedwczesne emerytury, a wielu usiłuje przejść do rzemiosła lub powrócić na wieś. W przypadku ewentualnych reform zmierzających w stronę gospodarki rynkowej, robotnicy jako siła napędowa przestaną się w ogóle liczyć.

d) Chłopi, a ściślej rolnictwo, jedyna jako tako zdrowa forma produkcji. Do rolnictwa Kisielewski zalicza cały przemysł spożywczy oraz gałęzie pracujące na usługi gospodarki rolnej.

Otóż na schemat ten składa się mieszanina oczywistych konstatacji i równie — dla mnie — oczywistych błędów.

Prawdą jest, że ludzie starsi wiekiem są na ogół niechętnie do ruchu oporu nastawieni. Ale nie jest prawdą, iż dzieje się tak dlatego, że „Solidarność” nie miała programu gospodarczego. Po

prostu ludzie starsi „zawsze i wszędzie” nieufnie odnoszą się do propozycji przemian. Na fakt, iż emeryci stanowią główną siłę społeczną wspierającą ustrój sowiecki wskazuje w swych powieściach Zinowiew, a skład OKON-ów, PRON-ów i innych im podobnych twórców potwierdza tę diagnozę.

Analogicznie rzecz ma się z uwagami Kisielewskiego o młodzieży. Analogicznie, tzn. że tak bywa „zawsze i wszędzie”. Specyfiką ustroju socjalistycznego jest jego przyrodzone zwąpnienie, co sprawia, że jest to system z zasady nieprzyjazny wobec prężnych grup ludności, a więc wobec ludzi młodych. Zdarzają się sytuacje, w których komuniści potrafią tę prężność wykorzystać, czego skrajnym przykładem była „rewolucja kulturalna” w Chinach, ale nam to niebezpieczeństwo nie grozi. Specyfiką dzisiejszej polskiej sytuacji jest wyjątkowy brak perspektyw, godzący przede wszystkim w ludzi młodych. Skłania to już wielu do emigracji i tendencja ta będzie raczej narastać niż maleć. Tego prostego faktu nie brali pod uwagę autorzy wszystkich wniesionych apeli na temat emigracji, publikowanych po 13-tym grudnia. Że nie zauważył tego Kisielewski, który do wniesionego bujania w obłokach skłonności nie ma, to mnie, prawdę mówiąc, dziwi.

O samobójczym charakterze „skreślenia” robotników jako jednej z głównych sił ruchu oporu pisałem. Nie będę tego powtarzał, dodam jedynie trzy uwagi. Po pierwsze, Kisielewski zdecydowanie przecenia ilościowy zakres kurczenia się klasy robotniczej. Po drugie, sądzę, że ktoś, kto przeżył poznański czerwiec, grudzień-luty 1970/1971, strajki 1976 roku i wreszcie sławne 500 dni nie powinien pochopnie odmawiać robotnikom zdolności do regeneracji dynamizmu. Można im wytykać popełnianie różnych błędów, bo je popełniali. Ale twierdzenie, że jako siła oporu się skończyli wydaje się być na skromnych oparte podstawach (by się posłużyć czymś, co Anglicy nazywają *understatement*, czyli niedopowiedzenie). Po trzecie wreszcie, upatrując szanse przyszłej opozycji w rolnictwie i związanych z nim gałęziach przemysłu, Kisielewski niejako sam na swoją „antyrobotniczość” nakłada ograniczenia.

Przypominam też, że istotną luką w schemacie Kisielewskiego jest pominięcie ogromnej rzeszy pracowników administracji państwowej, gospodarczej, „spółdzielczej”, sportowej, rekreacyjnej i Bóg wie jakiej jeszcze.

Co się tyczy rolników indywidualnych, jestem jak najbardziej za odrodzeniem autentycznego ruchu ludowego, który niejako spontanicznie nastawiony być musi na gospodarkę rynkową. Skądinąd Kisielewski zdaje się nie zauważać faktu, iż w sferze stosunków społecznych gospodarka ta prowadzi do ujawnienia konfliktów grupowych, co uważam za sytuację zdrowszą od demagogii,

wynoszącej nad wszystko świątynię PAŃSTWA, niezależnie od tego, czy operuje ona słownictwem OZON-u czy PRON-u. (Tu należałoby powiedzieć coś na temat relacji społeczeństwo obywatelskie — państwo, ale to już może innym razem).

Kisielewski, znakomity pisarz polityczny, wie doskonale, że żadna hipoteza robocza, stanowiąca podstawę danego programu nie jest i być nie może jedyną możliwą. Uważa jednak, iż jedynym założeniem, które warto poważnie traktować jest to, że „ogólna sytuacja geopolityczna w Europie przez długi jeszcze czas nie ulegnie zmianie”. Ponieważ określenie „sytuacja geopolityczna” ma sens jedynie jako kryptonim „układów jałtańskich”, przeto w dalszym ciągu będę mówił wprost o tychże.

Sądzę zatem, że aczkolwiek renegocjacje układów jałtańskich są dziś mało prawdopodobne, dla ruchu oporu, dla Polski, dla całej Europy środkowo-wschodniej mogłyby one być niezwykle korzystne. Za pięć lub za dziewięć lat może się zdarzyć, iż dojdzie do takich renegocjacji. Nie dlatego, by Zachód nagle zapałał miłością do Europy środkowo-wschodniej, lecz ponieważ uzna to za możliwe i korzystne dla siebie. Kisielewski może wzruszyć ramionami i powiedzieć: przecież sam pan w to nie wierzy. No, a jeśli jednak? Czy Polacy mają wówczas oświadczyć, że broń Boże, na żadne porzucenie strefy wpływów Moskwy się nie godzą? Historia wprawdzie nie obfituje w niespodzianki dla Polski korzystne i przyjemne, ale czasem, jakby wskutek roztargnienia, zdarza jej się coś takiego popełnić. Mnie zaś nie chodzi o liczenie na cud jako składnik programu politycznego; taki głupi to jednak nie jestem. Rzecz w tym, że postulując rewizję układów jałtańskich — jakkolwiek słaby jest nasz głos — zwiększamy ich prawdopodobieństwo. Milcząc na ten temat, nie zyskujemy nic, prócz opinii ludzi, którzy pogodzili się ze swoim losem.

Uważam też, iż żadnej opozycji nie wolno pomijać milczeniem celu ostatecznego, jakim jest odzyskanie suwerenności. Choćbyśmy dążeń do tego mieli przekazywać przez kilka pokoleń.

I to powiedziawszy, mogę się zgodzić z Kisielewskim, że póki co czeka nas walka o rozszerzenie sfery swobód (albo obrona tych, któreśmy zdobyli!) w ramach ideologicznego imperium sowieckiego. A punktem wyjścia tej walki jest istniejący ruch oporu, pochopnie przez autora „Wstępu” pochowany.

Jakkolwiek brzmi to banalnie i sloganowo — „Solidarność” istnieje. Co więcej, jej legenda jest tak potężna, że wszelki przyszły, masowy zryw oporu będzie „Solidarność” rozkwitem, choć należy czynić wszystko, co w naszej mocy, by nie był powtórzeniem jej błędów. Społeczeństwo, które chciało sobie koniecznie zafundować Zamek Królewski, na pewno zechce mieć „Solidar-

ność”, która naprawdę była i jest pożyteczniejsza oraz ważniejsza od, źle zresztą, odbudowanego mieszkania rodziny Wazów.

Zapewne wbrew zamierzeniom Kisielewskiego — aczkolwiek po części za przyczyną jego retoryki — spór Kuczyńskiego z tezami „Wstępu do programu opozycji” nie dotyczy gospodarczego aspektu przyszłego programu, lecz tego, jakie to przymioty „Solidarności” były rezultatem jej robotniczej substancji. Ani jednak Kisielewski, ani Kuczyński nie dostrzegają pewnej żywiołowej, nieuświadomianej i nigdzie wprost nie wypowiedzianej cechy tego ruchu, wynikającej właśnie z jej autentycznie robotniczego charakteru. Mam na myśli anarchosyndykalizm. O ile wiem, pisał o tym — oprócz niżej podpisanego — jedynie Tadeusz Łepkowski⁴. A problem jest i ważny i ciekawy.

Wśród członków „Solidarności”, ilość ludzi, którzy kiedykolwiek zetknęli się ze słowem „anarchosyndykalizm” jest po dziś dzień znikoma, a żywego robotnika wśród nich chyba nie uświadczymy. Spośród doradców, czy też ekspertów, nie wiem czy pięciu czytało uważnie Sorela, a żadnego z nich anarchosyndykalistą nazwać nie sposób. I niemniej w przedgrudniowej historii „Solidarności” składniki postawy, myślenia, a przede wszystkim emocji typu anarchosyndykalistycznego dają się wyodrębnić.

Sprawa jest skomplikowana, ponieważ w sposobie myślenia i emocjonalnego reagowania na świat członków oraz działaczy „Solidarności” te nieuświadomiane składniki postawy anarchosyndykalistycznej kolidowały z innymi elementami wizji świata, zaś odczytać je można jedynie z zachowań się i pośrednio z niektórych wypowiedzanych postulatów. Jako tedy pogmatwana, sprawa wymaga odrębnego studium. By jednak nie być gołosłownym wskażę dwa takie, wyraźnie anarchosyndykalistyczne składniki:

a) działania w kręgu mitu strajku generalnego (prawdę mówiąc „zmowa powszechna” brzmi o wiele ładniej);

b) programowa niechęć do polityki.

Punkt „a” nie wymaga wyjaśnień, przynajmniej w ramach tego szkicu i biorąc pod uwagę jego prawdopodobnych czytelników. (A swoją drogą, dobrze zrobiona broszura pt. „Co to jest anarchosyndykalizm?” byłaby czymś nader pożytecznym).

Inaczej rzecz ma się z punktem „b”. Zaczniemy od tego, że anarchizm jest m.in. marzeniem o świecie bez polityki. Niezależ-

4. T. Łepkowski, „Myśli o historii Polski i Polaków”, Warszawa, CDN, 1983, *Zeszyty Historyczne* nr 68, 1984.

nie od tego, co sobie myśleli teoretycy anarchizmu — a byli wśród nich ludzie tak różni jak Bakunin i Abramowski — głęboka niechęć do polityki jako takiej jest autentyczną, emocjonalną reakcją tych, którzy zawsze byli polityki przedmiotem, którym jawiła się ona wyłącznie jako oszustwo, zakłamanie, krzywda. Używając zniszczonego przez nowo-mowę zwrotu, można powiedzieć, że głęboka niechęć do polityki jako takiej pojawia się w masach ludowych w sposób naturalny, choć nie zawsze z jednokową siłą.

Otóż w przedgrudniowych działaniach i postawach członków „Solidarności” niechęć do polityki była raczej silna. Przejawiała się ona jako magiczny wręcz lęk przed „manipulacją”, częste podejrzania poszczególnych przywódców o zdradę, ambiwalentny stosunek do doradców. Tendencję tę wzmacniały niektóre posunięcia przywódców, mające na celu ochronę Związku. Większą chyba jednak rolę odegrały niezliczone peany jajogłowych na temat „rewolucji moralnej”, szukające nadziemskich niemal źródeł ruchu, mistycznego Słowackiego nie wyłączając. Zaiste nazbyt często przychodził na myśl czterowiersz:

*Mają volapüeck swój chimery
I swój rachunek dziwny wielce,
U ludzi dwa i dwa jest cztery,
U chimery o czterdzieści więcej.*

Jestem, jak sądzę, człowiekiem doceniającym znaczenie etycznych, emocjonalnych i utopijnych motywacji ludzkich działań. Myślę też, że bez obrażonego poczucia godności, szlachetnych uczuć oraz kilku składników utopijnych, „Solidarność” nie mogłaby ani powstać, ani działać po dziś dzień. Ale natrętne wmańwanie ruchowi wyzwolenczemu, mającemu tak groźnego i wszelkich skrupułów pozbawionego przeciwnika jak komunizm, że jest wyłącznie ruchem odnowy moralnej, niemal czystą dążnością do przeanielenia, było i niemądre i nieodpowiedzialne.

Tyle historii. A skoro głównym tematem jest przyszłość, to jedna sugestia. Działacze ruchu oporu, a w szczególności jego przywódcy, winni wiedzieć, że prawdopodobieństwo ujawnienia składników postawy anarchosyndykalistycznej jest znaczne i w pewnym sensie, gdy chodzi o robotników, naturalne. Nie ma tedy potrzeby ani załamывania rąk, ani wydawania z siebie okrzyków grozy, bo to nie opera. Trzeba wiedzieć, że tak było, i że może się w tej lub innej wersji powtórzyć. I jeśli jest się przywódcą z prawdziwego zdarzenia, to trzeba umieć wytłumaczyć ludziom — nie obrażając ich! — dlaczego w tej czy innej sprawie nie mają racji. Trzeba też umieć, tam gdzie to możliwe, emocje

te, bo są to przede wszystkim emocje, właściwie i z pożytkiem wykorzystać. Powtórzę tu coś, co napisałem gdzie indziej: w obecnej fazie ruchu spokrewniona z anarchosyndykalizmem zdolność do odtwarzania stosunkowo niewielkich kolektywów, do działań w znacznej mierze samodzielnych jest siłą a nie słabością. Trudno mnie podejrzewać o sympatie dla anarchosyndykalizmu. Myślę, że w okresie przedgrudniowym składniki tej postawy odegrały w sumie rolę negatywną. Ale muszę przyznać, że to w znacznej mierze dzięki nim Związek przetrwał operację 13 grudnia i w pewnym stopniu dzięki nim istnieje do dziś.

Mogłoby się wydawać, że rozważania na temat gospodarki rynkowej czy elementów postawy anarchosyndykalistycznej w ruchu oporu są albo całkowicie oderwane od rzeczywistości, albo mało ważne. Nie sądzę. Wręcz przeciwnie, uważam, że sednem wszelkiego myślenia o przyszłości jest alternatywa gospodarka rynkowa — gospodarka socjalistyczna. Sądzę też, że czas najwyższy zacząć poważnie rozmawiać o „Solidarności”. Przyznam, że mam powyżej uszu biadoleń, samozadowolenia, zdumienia z powodu tego, że komuniści zachowują się jak komuniści, stawiania na wojsko i rozważań o tym czy i do jakiego miejsca jest nam po drodze z zachodnimi pacyfami. Mam dość rozważań tak dokumentnie wypranych z wszelkiej refleksji ekonomicznej, że aż wstydy.

Chciałbym zakończyć te uwagi cytatem, który bardzo mi przypadł do gustu.

„Kiedy zrozumienie w jak rzeczywście ciężkich warunkach politycznych i ogólnoswiatowych będzie musiała działać każda polska opozycja stanie się myślową własnością wszystkich Polaków (poprzestałbym na znacznej części — nie jestem wymagający — L-ta) przywróci nam ono godność (bo nie posiada godności ten co się łudzi i okłamuje, choćby pięknie i wzniośle), przywróci nam męskość i realizm, zaś przeciwnikom wytrąci z rąk szantażowy argument, że dążenie do oddolnych reform i do uzyskania narodowej tożsamości w dziedzinie ustrojowej jest samobójczym, a więc antynarodowym szaleństwem”.

Autorem tych słów jest pisarz polityczny, którego zawsze czytam z przyjemnością, cenię i poważam, choć nie we wszystkim się z nim zgadzam.

LEOPOLITA

Lwówek, kwiecień 1984

Wolna trybuna

Nie tylko podziemie

„Niezależne inicjatywy łączą dziś w codziennej pracy trudną do oceny, ale wielką liczbę ludzi...”

(„Święto i dzień powszedni...”, *Kultura*, listopad 1983).

...a jeśli rozejrzeć się po znajomych, to okaże się pewno, że zaangażowani są prawie wszyscy. Należy jednak zachować ostrożność przy wyciąganiu stąd wniosku o masowości podziemia. Poruszając się śladem różnych inicjatyw niezależnych trafilibyśmy rychło na te osoby, od których wyszliśmy. Polskie podziemie jest zjawiskiem na dużą skalę, lecz jakkolwiek spektakularna zda się jego obecność w zakładach pracy i na ulicach, to w rzeczywistości obejmuje ono wąską warstwę ludności. Ruch opozycyjny ma to do siebie, że tworząc środowisko ludzi wolnych, zakreśla jednocześnie własne granice także kryteriami ekonomicznymi. Polakom zagląda w oczy nędza, ten specyficzny owoc socjalistycznych stosunków produkcji, gdzie zapobiec ubóstwu żaden racjonalny wysiłek nie jest w stanie. Gdyby walka o demokrację dawała chleb, tak jak daje wartości duchowe, cała Polska siedziałaby pod ziemią. „Solidarność” wymaga od swoich aktywnych zwolenników, by ryzykowali całkowitą katastrofą osobistą, nie dając przy tym możliwości zaspokojenia elementarnych potrzeb materialnych rodziny. Ludzie z opozycji często stwierdzają po pewnym czasie, że „bez zmiany systemu nic się nie da zrobić” — i zniechęcają się. Nasuwa się zatem wniosek, że logika systemu prowadzi do wyjąłowania niezależnych inicjatyw na podobieństwo całej reszty stosunków społecznych. Szereg faktów obserwowanych w trzecim roku wojny stanowiąc może podstawę dla podobnych sądów. Ilość płacących składki spadała w zakładach do paru procent pracowników. Operacyjne grupy zakładowe to najczęściej kilka zaharowanych osób. Bardzo powoli rozwijają się struktury międzyzakładowe. Działacze „S”

wyższego szczebla, przyzwyczajeni do tego, że „rządzili masami”, z trudem dostosowują się do realiów zdecentralizowanych ruchów niezależnych. Co mianowicie powiedzieć ludziom? Konstruktywizm odziedziczony po okresie potęgi Związku czyni ich dziś bezradnymi. Ponieważ nie można po prostu zadekretować zmiany systemu, więc produkuje się programy o charakterze dalekosiężnych życzeń, a na dziś z gazetek wieje pustką. Biuletyny w sążnistych artykułach wykładają, dlaczego nie lubimy czerwonego, ale nie uczą, jak przy tym czerwonym po prostu wyżyć. „Taką gazetkę, to ja mogę przeczytać, ale co z tego mam?” — pytał nas robotnik, przekonany zwolennik „S”. Pytanie dość brutalne, stawiane przecież niejednokrotnie ujawnia tę prawdę, że po okresie symbolicznego spoiwa, łączącego ludzi w oporze samym faktem istnienia, obecnie „S”, a zwłaszcza jej oręż — pisma — pełnić muszą rolę także użytkową, praktycznie wskazując jak głoszone zasady stosować w warunkach pogłębiającej się nędzy. Chodzi więc o formy społecznej zaradności. Przeciwwstawiać się destrukcji gospodarczej i społecznej można w podziemiu, a niektóre jego funkcje są wręcz niezastąpione. Aby jednak wysiłek ten był skuteczny, musi on mieć miejsce przede wszystkim w życiu codziennym, najzupełniej „na powierzchni”. Przeglądowi różnych form jawnie działających inicjatyw i struktur służyć ma niniejszy artykuł.

Samorządy pracownicze

Katastrofalny stan gospodarki nie oznacza, że jedyną rozsądną reakcją jest opuszczenie rąk. Pozostawienie odpowiedzialności wyłącznie w rękach nomenklatury — czyli totalny bojkot, w tym wypadku samorządów — może tylko przyspieszyć procesy rozkładu.

Ustawodawstwo „stanu przejściowego” znacznie ogranicza samodzielność przedsiębiorstwa, zwłaszcza w rozciągłym sektorze „o szczególnym znaczeniu dla gospodarki narodowej”. Obok wojskowości wyłączono tym sposobem z reformy przedsiębiorstwa komunalne, komunikację, kopalnie, wiele przedsiębiorstw budowlanych itp. Pozostałe znajdują się pod szantażem dystrybucyjnym ministra. W drenażowym systemie podatków i opłat istnienie przedsiębiorstwa zreformowanego zależeć może od dostępu do ulg finansowych i przydziału surowców. Jeśli przedsiębiorstwa nie podporządkują produkcji wymogom centralnym, mogą nie przeżyć; formalnie jednak mają prawo decydować o swojej polityce finansowej, inwestycyjnej i kadrowej.

Kryzys, który z jednej strony ogranicza samodzielność przedsiębiorstwa w dziedzinie zaopatrzenia, z drugiej ułatwia zbyt produkcji i pozwala maksymalizować zyski. Te warunki w systemie podatku progresywnego ulegają głębokiemu drenażowi, ale zakład ma pewne możliwości wyboru pomiędzy zyskiem a profilem produkcji. Ogólnie można stwierdzić, że margines swobo-

dy w zarządzaniu przedsiębiorstwem wzrósł w stosunku do stanu prawnego przed ustawami o przedsiębiorstwie i samorządach. Te ostatnie odegrać mogą pewną rolę mimo, że wpływ samorządu na dyrekcję zmniejszył się wskutek ograniczenia jego prawa do powoływania dyrektora, a nadto stale wiszą nad nim groźba zawieszenia rady pracowniczej.

Prawne oraz pozaprawne (polityczne, niekiedy nawet policyjne) ograniczenie roli samorządu, niewiara w możliwości wpływu na procesy gospodarcze bez zmiany systemu, podejrzliwy stosunek do intencji władz, którym wyraźnie zależało na powoływaniu samorządów były i są nadal przyczyną nieufności w wielu środowiskach pracowniczych. Podtrzymywanie jednak dziś bojkotu jest raczej przejawem słabości środowiska niż dowodem posiadania racjonalnej alternatywy. Coraz częściej dostrzega się, że samorząd jest po prostu szansą zorganizowania załogi i że jego skuteczność jest w niektórych przypadkach prostym następstwem włożonej pracy.

Ewolucję zachodzącą w szeregu ośrodków przemysłowych prześledzimy na przykładzie zakładów Cegielskiego w Poznaniu. *Obserwator Wielkopolski* w numerze noworocznym pisał:

„W październiku 83 odbyły się w HCP wybory do samorządów (tzn. Rady Pracowniczej i Delegatów na ogólne zebranie delegatów). Istniejące obecnie warunki (ograniczenie kompetencji samorządu z jednej strony — z drugiej obawa, że dyrekcja może potrzebować istnienia samorządu, aby za niepowodzenia produkcyjne obciążyć załogę) spowodowały, że do ostatniej niemal chwili większość pracowników miała zasadnicze wątpliwości, czy wybieranie samorządu ma w ogóle sens. W tych fabrykach, w których samorząd wybrano, zdecydowała chęć wpływania na decyzje dyrekcji oraz ukrócenia zakusów rządowych związków i PZPR do wyłącznego reprezentowania załogi. W większości okręgów wyborczych utworzono komisje wyborcze z ludzi uczciwych, oddanych sprawie „S”, co uniemożliwiało jakiegokolwiek manipulacje wynikami wyborów. Wątpliwości zasadnicze, o których mowa powyżej, spowodowały, że w I turze wybrano samorząd tylko w połowie okręgów wyborczych, natomiast w czterech (W3, W5, W6 w Poznaniu i DT w Śremie) nie wybrano w ogóle. Tam, gdzie samorząd wybrano, weszli w jego skład (wysoką przewagą głosów) ludzie bezpartyjni i szanowani. Niezadowolone dyrekcji i „czynników” z wyniku wyborów przejawiało się m.in. w tym, że miały miejsce próby wywierania nacisków na komisje wyborcze, by uznały również wybory w tych okręgach, gdzie z braku frekwencji samorządu nie wybrano — co się nie udało. Natomiast wybrani do samorządu w W4 byli działacze „S” zostali już nazajutrz przesłuchani przez SB i „pouczeni”, jak ma wyglądać ich działanie na rzecz załogi. Fakt ten obnaża intencje władz wobec samorządu”.

Końcowy fragment cytowanego tekstu wskazuje na emocjonalną naturę obaw przed przejmowaniem samorządów. Nietrud-

no przecież przewidzieć, że dyrekcja będzie obciążać załogę za niepowodzenia produkcyjne. Intencje władz wobec samorządu nie pokrywają się z projektami „S” i interwencje SB nie ujawniły tu niczego szczególnego, czego byśmy nie wiedzieli. Tworzenie samorządów jest elementem gry politycznej, w której obie strony — władza i załogi pracownicze — dysponują własnymi argumentami. Trudności wynikające z rozbieżnych intencji dla pragmatyków stanowią zespół warunków wyjściowych wyznaczających pracę, jaką należy wykonać. Dla maksymalistów złożoność sytuacji upraszcza się poprzez zastosowanie formuły odpowiednio jasnej: a więc bojkot. Koncepcja ta nie ma jednak nic wspólnego z polityczną kalkulacją, wobec bowiem braku racjonalnej alternatywy twarda linia bojkotu wytworzyła pustkę, w wielkiej ilości zakładów wypełnioną przez struktury całkowicie podporządkowane dyrekcyjom.

W Hucie Lenina, największym zakładzie w kraju, gdzie prace samorządowe odegrały poważną rolę w skali całego ruchu w okresie przedgrudniowym, kategorię bojkotu głosiły lokalne pisma *Hutnik* i *Obserwator Wojenny*. MKS Nowa Huta nie zajmował stanowiska, MKS Kraków zalecał przejmowanie samorządów, sympatyzując z ideą od pierwszej połowy 1982 roku. Zalecenia te były jednak formułowane niewyraźnie, jak gdyby w obawie przed zwolennikami „twardej” linii, stąd brak zdecydowania w działaniach koordynacyjnych, co wytknął MKS-owi akademicki *Dzień* już wiosną 1983, a w 40 numerze *Kroniki Małopolskiej* czytamy: „Spotkaliśmy się z głosami, że nie dość mocno poparliśmy ideę opanowywania samorządów”. W marcu 1984 zjednoczone przedstawicielstwo zakładów Małopolski — Regionalny Komitet Solidarności — bardzo wyraźnie opowiedziało się już za tworzeniem samorządów.

Sytuacja w tym zakresie jest zróżnicowana, raczej nienajlepsza. W zakładach tarnowskich np. przeważa opinia o bezcelowości takich akcji. W Krakowie samorząd działa np. w WSK, w początkowym okresie zajmował się sprawami socjalnymi jak: weryfikacja pożyczek mieszkaniowych, rozdział niektórych dóbr — przy czym działania te mają charakter interwencyjny, przeciwdziałający mafijnym ustaleniom. W Krakowskiej Fabryce Kabli na podstawie uchwały Rady Pracowniczej dokonano wyboru Komisji Socjalnej, która zajmie się rozdziałem świadczeń. Komisję wybrano spośród wszystkich pracowników zakładu. Nowe związki oświadczyły, że utrzymają własną Komisję Socjalną dla swoich członków. W MERA-KFAP rozwinął się wyczerpujący konflikt. Jesienią 1982 załoga zbojkotowała wybory do Rady Pracowniczej, która w tej sytuacji powołana została przez dyrekcję. W 1983 roku pracownicy postanowili jednak walczyć o samorząd i wybory delegatów udało się przeprowadzić zgodnie z zasadami demokracji. Powstała zatem sytuacja demokratycznego parlamentu — zebranie delegatów — i niechcianego rządu — Rady. Załoga usiłowała zatem usunąć Radę w drodze votum nieufności, a dyrekcja — przeforsować korzystny dla siebie statut celem

usankcjonowania „swojej” Rady. „Zakład został zwolniony przez władze nadrzędne z obowiązku osiągnięcia wyników ekonomicznych, jako zadanie nadrzędne uznano 'zrobienie porządków'” — pisała *Kronika Małopolska* nr 44. W atmosferze napięcia udało się doprowadzić do głosowania powszechnego nad wnioskiem o votum nieufności i dnia 17.01.1984 dyrektorska Rada Pracownicza padła. W ELBUDZIE „w wyborach samorządowych, wbrew kierownictwu i wroniarzom, załoga wybrała swoich kandydatów” — pisze „S” Podgórze, Łęgu, Skawiny, Wieliczki nr 5, ale w numerze 8 donosi, że wybory na inspektora pracy zostały zbojkotowane. W Elektrociepłowni Łęg „8.12.1983 pojawiła się lista kandydatów do samorządu niewiadomego pochodzenia. Większość pracowników wybory zbojkotowała. Z powodu małej frekwencji dyr. nac. Kisiel i dyr. techn. Nowak wpadli w panikę i zaczęli wywierać presję na wyższą kadrę techniczną, która zastraszona i nie posiadająca własnego zdania na żaden temat potulnie spełniła obowiązek (...)” — pisze „S” Podgórze, Łęgu, Wieliczki, Skawiny w nr. 8. Oznacza to jednak, że zakładowa SOLIDARNOŚĆ nie przygotowała innego przeciwdziałania, jak bojkot i potępienie moralne.

Kiepsko jest w zakładach Górnego Śląska. „Samorządy w śląskich kopalniach zajmują się głównie rozdziałem samochodów wśród załóg i łagodzeniem powstających na tym tle konfliktów w łonie aktywu” — pisze *Mała Polska* w nr. 4/42 z 23.1.84.

Dla zilustrowania sytuacji w rejonie Trójmiasta przytoczmy za gdańskim *Serwisem Informacyjnym* nr 8 fragment pisma poufnego Urzędu Gospodarki Morskiej z 21.6.83: „(...) Na ogólną liczbę 65 przedsiębiorstw zobowiązanych do utworzenia samorządu, w 48 już działają, w 11 powstać mają do końca roku. (...) W niektórych samorządach wystąpiły ujemne zjawiska, polegające na podejmowaniu działalności wykraczającej poza kompetencje, jak również np. ingerowanie w zasady działalności organizacji społecznych i politycznych, w sprawy socjalno-bytowe, wchodzące w zakres kompetencji związków zawodowych, ograniczanie dyrektora w polityce kadrowej, nie zapraszanie dyrektora na posiedzenia Rady Pracowniczej, wnioskowanie o podwyższenie wynagrodzeń, organizowanie referendum na temat celowości funkcjonowania samorządu, wnioskowanie do Sejmu o darowanie winy lub cofnięcie wyroku w odniesieniu nawet do osób nie będących pracownikami przedsiębiorstwa, zawieszanie Rady Pracowniczej jako forma protestu, wykorzystywanie radiowęzła w celach mogących wzniesić niepokój w przedsiębiorstwach”. Sytuacja nie wygląda bynajmniej różowo. Gdański *Portowiec* z dnia 28.03.84 informuje o konkursach na stanowisko dyrektora w kilku przedsiębiorstwach i ubolewa jednocześnie, że dyrektorom portów w Gdyni i w Gdańsku nic nie mogą zrobić „(...) wybrane przez nich osobiście 'samorządy’”. Nasuwa się pytanie, czemu duża załoga o samorządy nie walczyła?

W Toruniu dużą niezależność wykazuje samorząd w „ELANIE”. *Tygodnik Mazowsze* w numerze 70 pisze:

„(...) zebranie delegatów samorządu pracowniczego i Rada Pracownicza dnia 7.09.83 zażądały od dyrekcji przywrócenia do pracy zwolnionych za działalność po grudniu 81. Wobec braku reakcji Rada Pracownicza 5.10.83 ponowiła to żądanie i ostrzegła dyrekcję, że jeśli nie podejmie współpracy z samorządem, to zastosowane będą wszelkie przewidziane prawem środki: odwołanie do Komisji Sejmowej d/s samorządów, ministra, zrzeczenia i prasy. Dyrektor przyszedł na zebranie Rady i nawet podpisał wspólny komunikat, ale jednocześnie wysłał do ministerstwa wnioski o zawieszenie samorządu”. Widać jednak byt samorządu zależy głównie od postawy załogi, bo nie słychać o represjach, a z końcem marca 1984 *Toruński Informator Solidarności* donosi:

„Samorząd ELANY zagroził dyrektorowi Hartwichowi votum nieufności. Główny zarzut to odmowa współpracy z organami samorządu i ignorowanie przyjętych uchwał. Sprawę badała specjalna komisja. Wyniki jej pracy przedstawione zostały walnemu zebraniu delegatów, które odbyło się 15.03.1984. Rada Pracownicza zdała sprawozdanie ze swojej działalności. W podjętej uchwale zebrani ocenili działalność dyr. Hartwicha jako naganą. Zwrócono się również do dyrekcji z żądaniem usunięcia z formularzy okresowych ocen pracowników punktu dotyczącego działalności społeczno-politycznej”.

W grudniu 1983 zakończono wybory do samorządu w Hucie Warszawy. Frekwencja wyborcza sięgała 70%. Wybrano głównie kandydatów „S”; w stukilkudziesięcioosobowym gremium znajduje się tylko kilku partyjnych. Szef siatki informacji *Tygodnika Mazowsze* powiedział na ten temat m.in.: „Dobrze zorganizowane Rady Pracownicze starają się mieć własną prasę, audycję przez radiowęzeł. Ludzie pracujący w samorządzie wiele się uczą. Zdobywają informacje o tym, jak działa przedsiębiorstwo, w jaki sposób podejmowane są decyzje. (...) Rady z urzędu zajmują się polityką kadrową, więc jeśli są porządne, trudniej zwolnić działaczy „S” i ludzie mniej boją się represji. (...) W Hucie Warszawa (po podwyżkach) wszyscy przewidują, że co prawda nie będzie można podnosić płac, ale za to wzrosną dodatki. (...)” (*TM* nr 71). Wkrótce potem w podziemnej prasie warszawskiej pojawiła się replika autora powyższego wywiadu na napastliwą korespondencję. W replice tej wyjaśniano, że numer 71 *Tygodnika Mazowsze* z inkryminowanym wywiadem... bynajmniej nie jest ubecką fałszywką.

Samorząd wybrano także w FSO Żerań, ale już w URSUSIE samorządu nie ma. W zakładzie POLKOLOR nie doszło do wyborów, ponieważ 11 spośród 20 okręgów wyborczych, w tym najważniejsze wydziały: produkcyjny, narzędziownia, utrzymanie ruchu — nie zgłosiło kandydatów. SOLIDARNOŚĆ we wszystkich tych czterech warszawskich zakładach uchodzi za silną, a jednak problem samorządu traktowany jest różnie. Wydaje się jednak, że kampania przeciw samorządom W OGÓLE, prowadzona przez niektóre biuletyny, jest przejawem inercji środowiska i słabego rozeznania redaktorów. Tym sposobem rozwija

się wprowadzie proces społecznej edukacji i można być pewnym, że reaktywowana w krytycznej atmosferze idea samorządów ma większą szansę na zachowanie autentyczności, ale proces ten nadal często nosi znamiona rozważań pryncypialnych raczej niż rzeczowych: przy takim zachwianiu równowagi między nimi do głosu dochodzą emocje. Wielu ośrodkom „S” zarzucić można, że zaniedbały analizę faktycznych uwarunkowań samorządu, poprzestając na odwołaniach ideologicznych: czerwony dąży do samorządu, więc sprawa jest trefna. Trzeba się zająć obaleniem czerwonego.

Kontrowersje przedmiotowe wokół samorządów są oczywiście rozliczne. Już w początkowym okresie „S” pojawiały się głosy, że zarządzanie winno być efektywne raczej niż demokratyczne. W stanie wojennym ograniczenia prawne, ideologiczne i kryzysowe poważnie zmniejszyły znaczenie samorządu w kwestiach czysto gospodarczych, nie niwelując go przecież do zera. Natomiast potrzeba społecznej organizacji, struktury przedstawicielskiej nie narażonej na brutalne represje czyni ideę samorządu niezastąpioną. Często jednak zdarza się, że po wygranych wyborach zainteresowanie samorządem wyraźnie spada, jak gdyby chodziło o wygranie jednej bitwy. Poważnym błędem wydaje się tu brak orientacji biuletynów „S” na sprawy pracownicze. Dotyczy to w poważnym stopniu także gazet zakładowych, w których magma programowa przetykana bywa co najwyżej informacjami o represjach — i na tym koniec. Niezwykle rzadko spotkać można informacje o bieżących poczynaniach samorządów. Przytoczymy przykłady takich informacji z Torunia i Krakowa. Agencja Informacyjna „S” doniosła, że samorząd toruńskiego Torelu odrzucił projekt planu opracowanego przez dyrekcję. Plan ten zakładał na 1984 rok wzrost produkcji o 12% przy jednoczesnym zamrożeniu płac. Do końca lutego 1984 dyrekcja miała przedstawić bardziej rzeczowe propozycje. Dodajmy tu na marginesie, że samorząd w Torelu wybrany został w atmosferze podziałów wśród załogi wywołanych apelem Tajnej Komisji Zakładowej „S” nawołującym do bojkotu.

Również w lutym 1984 małopolski RKS zwrócił uwagę TKZ-tom i samorządom na sprawę zbiorowych układów pracy, w ślad za oświadczeniem TKK. RKS pisał: „Zorganizowanie należytej oceny projektu układu przez załogę jest ważnym obowiązkiem związkowym i samorządowym” — po czym temat zniknął na parę miesięcy z łamów prasy. Żadnych analiz czy informacji o przykładowych poczynaniach czy trudnościach. Ogłoszony wkrótce potem komunikat prezydium RKS daje do zrozumienia, że przyjęto w tej sprawie kamuflaż informacyjny: „Prezydium ustaliło kalendarz prac wynikający z oświadczeń RKS w sprawie (...) działalności samorządowej. Szczegóły postanowiono przekazać kanałami organizacyjnymi”. Nie wydaje się jednak, by w ogólnym rachunku podejmowanie tematyki samorządowej na łamach prasy szkodziło pracownikom. Przeczy to zresztą samej zasadzie demokratycznych inicjatyw, a przy tym znacznie ograni-

cza ich zasięg. Zauważmy przy tym, że opierająca się na przeciekach wolna informacja dotyczy chyba wszystkich już instytucji na terenie PRL, w tym Sejmu i KC.

Jakiegokolwiek byłyby przyczyny milczenia prasy niezależnej, brak lub sporadyczność tematyki samorządowej na jej łamach nie służy rozwojowi sytuacji społecznej, a może i gospodarczej w kraju.

Autonomia w instytucjach naukowych

W walce o samorządność środowisk pracowniczych rolę szczególną odgrywają szkoły wyższe. W stanie wojennym usunięto wprowadzie kilkudziesięciu rektorów i dziekanów, zwolniono szereg osób, a aresztowania dotknęły kilkuset pracowników i licniejszą grupę studentów — ale nie sposób było cofnąć głębokich procesów samorządowych, w wyniku których niemal we wszystkich uczelniach istniały demokratycznie wybrane Senaty i Rady Wydziałów. Nowa ustawa o szkolnictwie wyższym z 4 maja 1982, mimo szeregu różnic w stosunku do projektu społecznego „S”, zachowuje zręby autonomii uczelni. Ustawodawstwo nadzwyczajne nie narusza jej również w zasadzie, wprowadza natomiast kontrolę ideologiczną oraz szerokie możliwości interwencji w przypadku, gdyby uczelnia ze swej autonomii chciała korzystać. Za dawnych czasów w PRL wystarczało to w zupełności. Dziś głębokie zmiany w świadomości oraz istnienie demokratycznych struktur powodują, że na uczelniach groźby „zawieszenia, skreślenia, odwołania” skutkują w ograniczonym zakresie. Jest to lekcja, jak w państwie realnego socjalizmu wybić się na środowiskową niezależność i bronić struktur przedstawicielskich przed popadnięciem w fasadowość. Szczególnym przykładem jest Uniwersytet Warszawski, gdzie Senat i Rady Wydziałów zajmowały stanowisko w sprawach dużej wagi (np. uchwały w sprawie statusu dla więźniów politycznych, sprzeciw wobec ustawodawstwa z września 1983 roku, odrzucenie rektorskiego projektu wzięcia udziału w pochodzie 1 maja, ostra uchwała w sprawie zabójstwa Grzegorza Przemyska itd.). Warto podkreślić, że z UW przez całą wojnę nie usunięto nikogo, natomiast przyjęto z powrotem po uwolnieniu wszystkich aresztowanych i skazanych.

W stosunku do środowisk pracowniczych innych resortów specyfika uczelni polega na tym, że brak na ogół brutalnych interwencji w trakcie wyborów, natomiast minister po prostu nie zatwierdza, kogo nie lubi. Również prace przygotowawcze nad statutami, jakkolwiek przebiegały często w gorącej atmosferze, nie były zakłócane politycznymi interwencjami. Zasadnicze konflikty związane są ze szczególnymi uprawnieniami ministra, który na mocy ustawy „O szczególnej regulacji prawnej...” władny jest obalić każdą prawnomocną decyzję środowiska akademickiego. W okresie opracowywania statutów w 1982 i 1983, kiedy to

na wszystkich niemal uczelniach polityczna lecz praworządna próba sił zakończyła się uchwaleniem demokratycznych i samorządnych wersji, rektorzy starali się łagodzić źródła napięć bez prowokowania resortu. W niektórych środowiskach dawano także wyraz przekonaniu, że pewna ustępliwość rektorów wynikała niekiedy z ich taktyki przedwyborczej; wszak ponownie wybranego rektora zatwierdzał będzie minister. Tak czy inaczej statuty wędrowały po kilkakroć do centrali, skąd wracały z poprawkami, czasem kwestionowanymi przez Senaty. Najdłużej chyba bez statutu pozostawała krakowska AGH (do kwietnia 1984), ponieważ minister nie podzielał zdania, że szkoła ma prawo zajmować stanowisko w sprawach publicznych dużej wagi. Walka o statuty była w wielu przypadkach ważną dla autonomii próbą sił, chociaż płacono za nią niekiedy cenę pasywności Senatu w innych sprawach, tłumaczonej zasadą „najważniejszy jest statut, potem reszta spraw”. Przyszłość pokaże, czy nie zadziałała tu magia czystej formuły i czy Senaty, wypaliwszy się na sporach statutowych, ogarnie marazm, co sygnalizują z niektórych uczelni zwłaszcza młodszy członkowie Senatów (studenci, adiunkci, pracownicy techniczni). Byłoby to zjawisko podobne do opadnięcia nastrojów w wielu zakładach pracy po wygranych wyborach do samorządu.

Znaczący konflikt rozwija się w związku z dymisjami lub nieuznawaniem rektorów. We wrześniu 1983 minister odwołał ze stanowiska prorektora AM prof. Otmara Gedliczkę, zarzucając mu „brak nadzoru nad studentami odbywającymi praktyki wakacyjne” (w grupie studentów, która podlegała na praktyce rektorowi znajdowało się kilku studentów NZS) i powołał na to stanowisko prof. Jerzego Jedlińskiego. Była to już druga tego typu interwencja w Akademii po odwołaniu w maju 83 prorektora prof. Szczeklika, którego oskarżono o udział... w pierwszomajowej manifestacji, tej zapewne, która szła niesłusznymi ulicami. Rektor, prof. Gryglewski, odwołania nie przyjął, poparły go Senat i Rady Wydziałów. Powszechnie uważano, że wynik konfliktu będzie miał decydujące znaczenie dla przyszłości rektora Gryglewskiego i może całej autonomii Akademii Medycznej w Krakowie.

Dnia 28.09.1983 Senat Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie zgodnie z przepisami wybrał rektora. Z 35 głosów uprawnionych 30 padło na prof. Gierowskiego. Minister wyboru nie uznał i nie stosując się nawet do litery własnego prawa mianował rektorem prof. Artymowskiego. Pracownicy ASP wysłali list protestacyjny.

Nasuwało się wówczas pytanie, czy tym sposobem uda się ministerstwu sparaliżować w uczelniach ducha niezależności na tej zasadzie, by lęk przed interwencjami funkcjonował jako skuteczny suplement do normy prawnej, według której uczelnie są autonomiczne. Wybory, jakie odbyły się w większości szkół wyższych na wiosnę 1984 nie dają zdaje się podstaw do potwierdze-

nia tych obaw. W szeregu wypadków wybierano z całkowitym pominięciem jakichkolwiek względów taktycznych. I tak na Uniwersytecie Warszawskim wybory przyniosły zdecydowany sukces profesorowi Szaniawskiemu, który przed grudniem 1981 był przewodniczącym Komitetu Porozumiewawczego Środowisk Twórczych i Naukowych. Na Uniwersytecie Jagiellońskim ponownie wybrano byłego przewodniczącego Kolegium Rektorów prof. Gierowskiego. Na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza w Poznaniu wybory wygrał zdecydowanie były przewodniczący Komisji Interwencyjnej KZ NSZZ „S” prof. Fedorowicz. Przykłady można by mnożyć — podobnie jak mnożyć się zaczęły ministerialne odmowy. Nie uznano wyborów na uniwersytetach w Warszawie i Poznaniu. Na Uniwersytecie Warszawskim minister nie uznał także Senatu, do którego wybrano byłego rzecznika „S” Onyszkiewicza.

Legalna walka o samorządność trwa. Z drugiej strony pojawiły się w ubiegłym roku postępujące objawy znużenia w środowisku, przejawiające się m.in. niechęcią do zajmowania stanowisk obsadzanych w drodze wyboru. Głośna była sprawa w Polskiej Akademii Nauk, gdzie nie wyraził chęci ponownego kandydowania na stanowisko prezesa prof. Gieysztor. Stało się to powodem kryzysu w strukturze władzy PAN, bo jedyny, zresztą rządowy kandydat, prof. Sosnowski nie uzyskał niezbędnej ilości głosów i w następnych miesiącach PAN kierowany był przez wiceprezesów i znanego z dyspozycyjności sekretarza generalnego PAN prof. Kaczmarka. Profesor Kaczmarek nie zawiadł władz, ogłaszając 16 stycznia wygaśnięcie kadencji dotychczasowych Rad Naukowych instytutów panowskich z dniem 29 lutego 1984. Rady zostały wybrane w okresie „S” w wyborach demokratycznych. Rozporządzenie styczniowe formułuje „zasady powoływania Rad Naukowych w placówkach PAN”, w myśl których członkowie Rad pochodzą z nominacji. Niesłychanym zupełnie wynalazkiem sekretarza generalnego PAN jest umieszczenie w „Zasadach” możliwości powoływania do Rad przedstawicieli Ministerstwa Obrony Narodowej i „innych resortów zainteresowanych pracą placówek”.

Nowe związki zawodowe

W przeglądzie struktur społecznych w Polsce 84 nie można pominąć oficjalnych związków. Ich dyspozycyjność wobec władz i okoliczności powstania dyskwalifikują je wobec członków „S” i ich bojkot uznaje się za największy sukces Związku. Liczebność nowych związków sięga kilku, najwyżej kilkunastu procent załóg, choć znane są przypadki dużych zakładów, gdzie stanowią one jedną trzecią (np. Huta Ostrowiec czy rzeszowski ZELMER). Trzeba tu nadmienić, że jeśli za kryterium uznać płacenie składek, to ilość członków „S” wcale nie odbiega od ilości nowozwiązkowców. Po obu stronach jest po kilka do kilkunastu pro-

cent i stan ten powinien się utrzymać przez rok-dwa. Władze byłyby zresztą w kłopotcie, gdyby ich starania odniosły skutek i ich związki nabrały charakteru masowego. Mogłyby się wymknąć spod kontroli. Ich masowość to założenie czysto hipotetyczne. Tym bardziej, że ludzie wiedzą, iż utrzymanie bojkotu do 1985 roku da prawną podstawę do żądań pluralizmu związkowego. Mając to zapewne na uwadze, niektórzy działacze „S” rozważają przejście w przyszłości nowych związków. W ankiecie *Kroniki Małopolskiej* przeprowadzonej w drugiej połowie 1983 kanałami kolportażowymi pisma z tysiąca kilkuset respondentów 86 % poparło decyzję bojkotu oficjalnych związków, a jednocześnie 30 % stwierdziło, że „w przyszłości, biorąc pod uwagę sprawy socjalne, warto opanować nowe związki zawodowe, utrzymując jednak podziemne, niezależne struktury związkowe”. Niemal identyczne wyniki dała ankieta przeprowadzona wśród członków „S” we wrocławskiej ELWRO pod koniec 1983 roku: 30 % respondentów uznało za celowe wnikanie do nowych związków, a 85 % widzi konieczność kontynuowania działalności niezależnej. Według ankietowanych najważniejszymi dziedzinami działalności Tajnych Komisji Zakładowych powinny być: informacja 76 %, propaganda 57 %, pomoc prawna 38 %, pomoc finansowa 33,8 %, wpływ na decyzje dyrekcji 24 %.

Kasy Zapomogowo-Pożyczkowe

Istnieją w zakładach od lat, dawniej poddane były kuratelii związków zawodowych, w okresie zaś ich zawieszenia działały pod nadzorem i poręczeniem własnego przedsiębiorstwa. Zarządzenie Ministerstwa Pracy, Płac i Spraw Socjalnych z 15.06.1983 nakłada na Kasy obowiązek „uaktualnienia w ciągu 6 miesięcy swego regulaminu stosownie do obowiązujących ustaw”, to znaczy — podporządkowania się nowym związkom. Kilka pism „S” sformułowało w związku z tym zasady działania. Należy sprawdzić przede wszystkim, czy nowy związek liczył 50 osób przez okres trzech miesięcy. W przeciwnym wypadku z litery prawa nie spełniał wymogów rejestracji. Władze szycują jednak nowelizację ustawy. Odpowiedni wniosek wpłynął do Rady Państwa, jak bowiem doniosła prasa państwowa w styczniu 84, co najmniej 4.300 związków nie mogło się doliczyć obowiązującej ilości członków. Nowelizacja, jeśli wejdzie w życie, znacznie ułatwi związanie Kas ze związkami. Gdyby naciski administracyjne stały się nazbyt dokuczliwe, „S” radzi wycofać wkłady i zatroszczyć się o inne formy pomocy pracowniczej. Kasy przy Stowarzyszeniach czy spółki w oparciu o Kodeks Cywilny. Spółki takie mogą prowadzić działalność finansową po przyjęciu nadzoru nad nimi np. przez parafie.

Sugestię likwidacji Kasy w przypadku dokuczliwej kuratelii rządowych związków traktować należy chyba jako straszak na dyrekcję raczej, niż realną groźbę. Niedobrze byłoby samoorganizowanie zaczynać od likwidacji.

Tymczasem w krakowskiej CeBeA 8 grudnia 1983 — a więc na krótko przed upływem terminu określonego w zarządzeniu — odbyły się dobrze przygotowane wybory do Zarządu Kasy Zapomogowo-Pożyczkowej. Wybrano kandydatów załogi, potępiono podwyżki cen, zobowiązano Zarząd do przedstawienia walnemu zebraniu załogi nowego regulaminu Kasy w ciągu trzech miesięcy — bez wspominania o związkach, które przecież w CeBeA istnieją. Jeden z ich przedstawicieli został nawet zgłoszony na przewodniczącego zebrania, wszelako nie otrzymał ani jednego głosu.

Z kolei w styczniu 1984 w Lokomotywni Kraków-Płaszów na zebraniu delegatów załogi wybrano nowy Zarząd Kasy. Zwrócił się on do dyrekcji o przekazanie majątku „S” na rachunek Kasy. Spotkało się to z ustną odmową, ale Zarząd nie zamierzał się tym zadowolić.

Polskie Towarzystwo Reformy Mieszkaniowej

Instytucja taka istniała przed drugą wojną światową. Pod koniec roku 1983 grupa publicystów i architektów działających w oparciu o SARP podjęła inicjatywę reaktywowania Towarzystwa. Jego celem byłaby działalność na rzecz masowego ruchu budowlanego w społeczeństwie, w którym ponad dwa miliony rodzin czeka na mieszkanie, a terminy sięgają dwudziestu lat. Na zebranie założycielskie zaproszono 252 osoby, wybitnych specjalistów, ludzi o różnych poglądach politycznych, m.in. Ryszarda Bugaja, Adolfa Ciborowskiego, Stanisława Jankowskiego, Jana Strzeleckiego, ks. Józefa Tischnera, Andrzeja Wielowieyskiego.

Decyzją szefa Urzędu Spraw Wewnętrznych Warszawa-Śródmieście zebranie zostało zakazane, a prezes SARP wezwany do KC, gdzie uświadomiono mu niebezpieczeństwa grożące SARP-owi, jeśli nie wycofa się z tej jawnie opozycyjnej inicjatywy.

Polski Klub Ekologiczny

Stowarzyszenie bardzo aktywne w okresie „S”, doprowadziło m.in. do zamknięcia najbardziej niebezpiecznych ekologicznie nitek produkcyjnych Huty Skawina. 29 i 30. 10. 1983 odbył się w auli AGH Walny Zjazd PKE. Biuletyn „S” szkół wyższych Krakowa tak pisał na ten temat:

„Przeważały na nim sprawy formalne, rzeczowych i konstruktywnych wniosków było bardzo mało. Przyjęto nowy program działania i deklarację ideową, która wydaje się kompromisowa. Wybrano nowe władze z prof. Juchniewiczem jako prezesem. Nie kandydowało prawie całe uprzednie kierownictwo (członkowie-założyciele), którzy złożyli rezygnację. Odpadła w wyborach grupa krakowska (...) Niezależność Klubu rysuje się czarno”.

Z początkiem roku 1984 dwójka nowych wiceprezesów PKE, prof. Maria Gumińska z Akademii Medycznej i prof. Andrzej Mańcki z AGH, w imieniu Klubu mieli podpisać zgodę na budowę nowych pasm dla ruchu drogowego w krakowskiej Alei Trzech Wieszczów, co odbyć by się musiało kosztem poprowadzonych śródkiem Alei zieleńców.

Klub Kultury Chłopskiej

Gazeta *Niecodzienna* nr 2/7 pisała:

„Ten ustrój nie znosi niczego, co autentyczne. Od powstałego niedawno Klubu Kultury Chłopskiej, zrzeszającego inteligencję twórczą pochodzenia wiejskiego władze ZSL zażądały: usunięcia części Zarządu, wprowadzenia na to miejsce innych (wskazanych przez ZSL) osób, odbywania zebrań wyłącznie w obecności przedstawiciela NK ZSL. W związku z tymi żądaniami podał się do dymisji prezes Klubu, znany pisarz Marian Pilot”.

Czy SARP oczekiwał, że reżim z radością powita inicjatywę obywatelską? Czy rezygnacja kierownictwa PK Ekologicznego służyła celom, dla których poświęcili tyle wysiłku? Co osiągnął prezes Klubu Kultury Chłopskiej poprzez swoją dymisję? Retoryczne to pytania, nie stawia się ich dla uzyskania racjonalnej odpowiedzi. Chodzi o problem podstawowy, jakim jest rezygnacja w obliczu pierwszych poważnych trudności. Wszelka inicjatywa nie podlegająca całkowitej kontroli nomenklatury musi być przez nią gwałtownie zwalczana i ustąpienie pola natychmiast po początkowym zwarciu nie stwarza żadnej nowej sytuacji. W dynamicznym procesie odzyskiwania praw podmiotowych jedne inicjatywy padają na początku, inne trwają i to te ostatnie zmieniają realia systemu. Bowiemy system umacnia się tam, gdzie wchłania czy unicestwia więzi społeczne, natomiast słabnie tam, gdzie więzi te powstają — i trwają.

Prawo i obywatel

W dniach 1-2.10.1983 odbył się w Warszawie I Krajowy Zjazd Adwokatury, który ustawowo pełni funkcję naczelnego organu samorządu adwokackiego. Przyjęte uchwały budzą szacunek od wagą żądań humanizacji prawa karnego oraz obrony praw i wolności obywatelskich. Przebieg Zjazdu nie był rzeczą przypadku. W stosunku do okresu przedsierniowego środowisko adwokackie przeszło głęboką metamorfozę. W licznych procesach politycznych okresu wojny adwokaci niemal bez wyjątku bronili odważnie i ofiarnie, byli doskonale przygotowani do procesów i nie ulegali naciskom administracyjnym, politycznym czy wręcz szantażom karnym. Obronę polityczną uważa się w środowisku za zaszczyt.

Także w innych środowiskach zawodowych prawników odnotowano liczne przykłady niespotykanej dawniej niezależności. Tytułem przykładu podajmy sprawę rozpatrywaną przez Sąd Rejonowy w Kamieniu Pomorskim, który 28.12.1983 uniewinnił działacza „S” Rolników Indywidualnych Ryszarda Nachomeniuka, uwalniając go od zarzutów prowadzenia pojazdu w stanie nietrzeźwym i usiłowania przekupienia milicjanta. Bardzo drobiazgowo i obiektywnie postępowanie wykazało prowokacyjny charakter oskarżenia. Dodajmy, że ten przypadek oczywistej niezależności sądu nie jest bynajmniej wyjątkowy.

Drugą stroną tego samego medalu, jakim jest system prawny w Polsce i jego przemiany w ostatnim okresie, stanowi stosunek obywateli do prawa. Represje i ograniczenia stanu wojennego dotknęły tak wielką liczbę ludzi, że sprawa kultury prawnej, znajomości prawa i umiejętności korzystania zeń dla własnej obrony czy dla pełnienia społecznych funkcji nabiera wielkiego znaczenia. Każdy obywatel po bezprawnym zatrzymaniu winien natychmiast złożyć pozew do sądu o naruszenie dóbr osobistych oraz do prokuratora o bezprawne pozbawienie wolności. Albo gdy w zakładzie pracy wypłata nie odpowiada zaszerogowaniu czy ilości przepracowanych godzin, to po bezskutecznej interwencji można zaskarżyć zakład do Komisji Terenowej d/s Pracy.

Praktyczne wskazówki jak korzystać z prawa dla obrony przed represjami — ale także np. dla zakładania stowarzyszeń — spotkaliśmy w *Biuletynie Małopolskim*, ponadto w KOS-ie i małopolskich *Aktualnościach*.

Ruchy niestatutowe

Dokonałiśmy powyżej przeglądu niektórych jawnie działających inicjatyw i struktur. Ich cechą charakterystyczną jest, że funkcjonują (lub chciałyby funkcjonować) jako instytucje. W kraju mnożą się jednak także ruchy zupełnie nie sformalizowane.

„Każdemu bez wyjątku czegoś dziś potrzeba i każdy może komuś coś dać” — pisze jeden z inicjatorów. „Ktoś ma np. na zbyciu zapas mąki czy ryżu, a ktoś inny wolny czas. Ktoś umie szyć, przerabiać stare ubrania, a ktoś inny może bodaj cudzym dzieciom opowiadać bajeczkę, albo pomóc w lekcjach. Działamy w oparciu o parafie, które z natury rzeczy są miejscem, gdzie ludzie obcy spotykają się i powinni stawać się sobie braćmi. W parafiach tworzymy kilkuosobowe zespoły rodzin i osób samotnych, niezależnie od miejsca pracy, zawodu itp.” (cytat za pismem oświaty niezależnej *TU TERAZ* nr 23/24, styczeń-luty 1984).

Nie wszyscy w Polsce mogą ani chcą zejść do podziemia. Tymczasem na wierzchu dzieją się rzeczy ciekawe, ważne dla przy-

szości, a korzystne już dziś. Rozwój inicjatyw legalnych jest jednak zbyt powolny. Brak systematycznej informacji, a niekiedy sprzyjającej atmosfery. Ludzie nie garną się do roboty lub rezygnują przy pierwszych trudnościach. Można sformułować wniosek, że w pierwszych latach PRL, w okresie ekspansji systemu, wyzbyto się więcej wolności, niż było to konieczne. Można było obronić więcej. Dziś, w schyłkowym okresie systemu, kiedy pozostała zeń głównie represja, wydaje się, że rewindykacje społeczne w dziedzinach przed tą represją stosunkowo dobrze zabezpieczonych odbywają się wolniej, niż to jest możliwe. Można zdobyć więcej...

Wspominaliśmy o tym, że ważną przyczyną hamującą rozwój niezależnych inicjatyw legalnych jest to, iż pisma „S” nie poświęcają im należytej uwagi. Obok niekończących się rozważań o charakterze programowym łamy pism zapełniała przez ostatnie miesiące sprawa wyborów. Wydaje się, iż jest w tej chwili stosowna pora, by tematyka o której mowa zagościła na stałe w biuletynach, zwłaszcza zakładowych.

Robert KACZMAREK

KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU
123, boulevard Saint-Germain, 75006 Paris
Tel. 326-0442 — Telex 250302

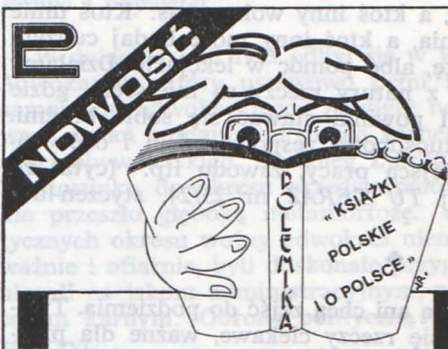
Rok założenia 1833

Sprzedajemy i wysyłamy

KSIĄŻKI POLSKIE
wydania zachodnie i krajowe
POLONICA FRANCUSKIE
w wielkim wyborze

KSIĄŻKI ANTYKWARYCZNE I OKAZYJNE
ARTYSTYCZNE PLAKATY POLSKIE

Katalogi wysyłamy bezpłatnie



**KSIĘGARNIA
POLEMICA**

WYDAWNICTWA POLSKIE
I OBCOJĘZYCZNE NA TEMAT
POLSKI I EUROPY
WSCHODNIEJ

ANTYKWARIAT
49, RUE GAY LUSAC
75005 PARIS
TÉLÉPHONE : 354.25.48

MÉTRO : LUXEMBOURG
AUTOBUS : 21-27 : FEUILLANTINES

Książki

"Emigranckiej opowieści" ciąg dalszy

Australia, mimo że kilkunastu polskich autorów, zamieszkanych na jej wielkim obszarze, wzbogaciło dorobek emigracyjnych wydawnictw, mało jest nadal znana w rejestrach literackich naszej diaspory. Wyjątek stanowi Andrzej Chciuk, autor szeregu książek wydanych w Paryżu, Melbourne, Londynie a ostatnio (już po jego śmierci) w Toronto — pod tytułem „Trzysta miesięcy”*, stanowiącej ciąg dalszy „Emigranckiej opowieści” wydanej w 1975 roku.

Andrzej Chciuk (zmarły w Melbourne w 1978 roku) był bardzo kolorową i kontrowersyjną postacią wśród australijskiej Polonii. Kpił z bufonady i patetycznej postawy niektórych notabli polonijnych i rąbał prosto z mostu co myślał o osobach czy sprawach, narażając się niejednokrotnie na głosy oburzenia i potępienia. Wiele osób ceni jednak nadal jego śmiałość i szczerość wypowiedzi, na przekór utartym zwyczajom nieczepiania się „świętych krów” i spraw. Fenomenalna wprost pamięć Chciuka odtwarza nam w jędrnym i barwnym języku, z dużym zmysłem humoru, odchodzący już świat dawniejszej emigracji, który w wielu wypadkach znajduje odpowiedniki na innych kontynentach naszej diaspory emigracyjnej, z wyjątkiem tła polsko-żydowskiego środowiska, unikalnego raczej w emigracyjnej twórczości literackiej, a z którym w istocie Chciuk bardzo się związał i stał się jego orędownikiem i przyjacielem.

Andrzej Chciuk, urodzony w 1920 roku w Drohobyczu, na obszarze — jak mówił — „Wielkiego Księstwa Bałaku”, uczeń Brunona Schulza, już w czasach szkolnych był redaktorem młodzieżowego pisma *Włóczęgi*. We wrześniu 1939 przedostał się do Francji, gdzie jako dwudziestoletni ochotnik wziął udział w wal-

* Andrzej Chciuk, „Trzysta miesięcy”, Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 1983, str. 320.

kach z Niemcami w odtworzonej przez gen. Sikorskiego armii polskiej. Po zakończonych działaniach wojennych na terenie Francji, włącza się tam w walkę podziemną przeciwko niemieckiemu okupantowi. Po wojnie kontynuuje studia w Paryżu, kończąc w 1947 roku wydział dziennikarski w Ecole des Hautes Etudes Sociales. Przez pewien okres pracował w polskiej sekcji radia „Diffusion” oraz w paryskiej YMCA, gdzie redagował polskie pismo *Razem*. W roku 1951 emigruje do Australii i mimo trudnych na początku warunków życiowych, prawie że od przybycia pisze do miejscowej polonijnej prasy a także do paryskiej *Kultury* i londyńskich *Wiadomości*.

Rozpoczyna się także na większą skalę jego twórczość literacka. W roku 1957 Instytut Literacki w Paryżu wydaje „Smutny uśmiech”. Jest to pierwsza książka polskiego emigranta w Australii, a waga tego wydarzenia została podkreślona nagrodą paryskiej *Kultury*. W roku 1960 ukazuje się druga z kolei książka Chciuka — „Rejs do Smithton”, również nakładem Instytutu Literackiego.

W 1961 roku Andrzej Chciuk wydaje w Melbourne, w ramach subskrypcji, swój „Pamiętnik poetycki”, zbiór wierszy i poematów.

W zamieszczonych recenzjach o książkach Chciuka pierwsze miejsce otrzymuje „Atlantyda”, wydana w 1969 roku przez Polską Fundację w Londynie. Pełna tęsknoty za utraconą Polską i barwnych opisów przeżytych tam lat, książka ta zostaje nagrodzona przez londyńskie *Wiadomości* i uznana za najlepszą książkę roku. Marian Hemar pisze w swej recenzji: „Cóż to za piękna książka!”. W roku następnym Polska Fundacja Kulturalna wydaje dalszą pozycję — „Towarzysze z Bezpieczeństwa” — o terrorze bezpieki w okresie stalinowskim.

Po podróży do Izraela Chciuk, wielki przyjaciel Żydów, pisze książkę-reportaż „Wizyta w Izraelu”, wydaną w 1972 roku przez paryski Instytut Literacki. Swoje powiązania ze społecznością żydowską podkreśla przez opracowanie broszury po angielsku „Saving Jews in war-torn Poland”, w której pragnie ukazać doniosłą rolę Polaków w akcji ratowania Żydów w okresie ostatniej wojny.

Tematycznym przedłużeniem najlepszej książki Chciuka „Atlantyda” jest „Ziemia księżycowa”, wydana przez londyńską Polską Fundację Kulturalną.

„Emigrancka opowieść”, wydana w 1975 roku, również przez Fundację, jest ostatnią książką, jaka ukazała się jeszcze za jego życia. Książka ta spowodowała wiele kontrowersji, gdyż w opisie życia melbourneńskiej Polonii znalazło się wiele nazwisk (w większości nieco zmienionych) osób, które przesunęły się w żywym i barwnym korowodzie na tle różnych wydarzeń, splotów i konfliktów życiowych, afer i zrywanych kartek z kalendarza codzienności. Książka przedstawia panoramę życia polskiej emigracji, odchodzącego już pokolenia, w ramach specyficznych australijskich warunków. Książka o codzienności emigracyjnej, peł-

na jednak wielkiego przywiązania do polskości i kraju macierzystego.

„Trzysta miesięcy” — to właściwie drugi tom „Opowieści emigranckiej”. O myślach i odczuciach tego emigracyjnego środowiska, jakie znalazło się wśród eukaliptusów, pod Krzyżem Południa, autor tak m.in. pisze:

... „Cholera, pokochaliśmy tę Australię, więcej niż się do tego przyznajemy — rozważa — ale coś tu jest nieprawidłowo: powinniśmy wszyscy kochać tylko Polskę i poza nią czuć się źle, tęsknić, wracać we wspomnieniach, celebrować tę świętą tęsknotę, a jak jest naprawdę? Stajemy się jacyś wielopłaszczyznowi, coraz więcej kochamy Polskę, ale tę idealną, która powinna była być, a której nie ma i chyba nie było. Bo ta co była, była troszkę prowincjonalna i biedna po zaborach i z wielu przyczyn osobliwa. A to co jest teraz, to nieporozumienie i granda. W każdym spotkaniu z ludźmi z Polski to wszystko ożywa, łapie nas, wciąga, a za chwilę wiesz, że narósł jakiś mur pomiędzy nami, dystans i inna perspektywa. Inność, czy pretensja, że ta Polska Ludowa jest taka jaka jest, a nie jest taka jaka powinna być. Demokracja na niby, wybory na niby, prawa na niby, wzrost potencjału gospodarczego na niby, związki zawodowe na niby, a wszystko to dymanie Narodu, tylko że to już nie na niby, a naprawdę...”.

Jerzy GROT-KWAŚNIEWSKI

Adam Ciołkosz jako publicysta

Mało jest publicystów ryzykujących ogłaszanie swych artykułów w wydaniach książkowych. Nic dziwnego: czas leci, sytuacje w danym państwie lub na większym obszarze się zmieniają, ludzkie przewidywania czasem się sprawdzają, ale częścię są pobożnymi westchnieniami, a ich autorzy wołają aby o nich zapomniano. Historia, rzekomo *magistra vitae*, prawie nigdy się nie powtarza w całej groźbie minionych dramatów.

W Polsce tylko Stanisław Stroński ogłosił pt. *Pierwsze lat dziesięć 1918-1928* wybór swych artykułów z *Rzeczypospolitej, Warszawianki* i *Kuriera Warszawskiego*, ale ten zbiór — choć przykład dobrej polszczyzny i talentu polemicznego — nie jest podręcznikiem historii. We Francji tylko Auguste Gauvain, b. dyplomata i komentator polityki zagranicznej na łamach *Journal des Débats*, ogłosił swoje kroniki, w których wyjaśniał, co się stało i dlaczego, tłumaczył, co się aktualnie na świecie dzieje, ale prociotw unikał.

Do nielicznego grona politycznych publicystów, których pisma przetrwają żywot papieru gazetowego trzeba wpisać nazwisko

Adama Ciołkosza. Ten wybitny Polak i polityczny działacz socjalistyczny był także wysokiej klasy komentatorem wypadków historycznych, których był uczestnikiem lub świadkiem. Jako taki nie powinien być zapomniany przez polskie pokolenia zrodzone po drugiej wojnie światowej. Pod tytułem *Walka o prawdę** ukazał się właśnie w Londynie imponujący tom zawierający notę biograficzną autora oraz jego 23 artykuły polityczne, 22 szkice historyczne i 28 recenzji, jakie w ciągu niemal czterech dekad ukazały się na łamach *Wiadomości*, *Tygodnia Polskiego*, *Zeszytów Historycznych* i innych emigracyjnych periodyków. Dobra polska proza, znajomość poruszanych tematów, brak zajadłości w ocenach *dramatis personae*, a przede wszystkim wydawanie sądów ze stanowiska polskiego patrioty — oto główne cechy pisarstwa Ciołkosza. Streszczenie jego pośmiertnej książki jest niemożliwe, więc niżej podpisany, który poznał autora *Walki o prawdę* po usadowieniu się rządu polskiego w Londynie, wyselekcjonował szereg jego ocen wypadków jakie zaszły w najnowszych dziejach Polski.

Pierwsza wojna światowa rozpoczęła się jako walka imperializmów, ale w ciągu czterech z górą lat stała się — wbrew zamysłom rządów wielkich mocarstw — wojną wyzwoleniczą, „wojną ludów”, o jaką modlił się Mickiewicz. W wyniku tej wojny rozpadły się trzy imperia, a siedem narodów uzyskało lub odzyskało polityczną niepodległość i terytorialne zjednoczenie; poza tym dwa narody już niepodległe zrealizowały swe zjednoczeniowe marzenia.

Pisząc na ten temat w listopadzie 1974 roku, Ciołkosz stwierdził, że „niepodległość Polski urzeczywistniała się w 1918 roku w specyficznych warunkach historycznych, na które złożyło się sześć elementów” (str. 381 i nast.), a mianowicie: (1) wojna europejska była wojną między państwami rozbiorczymi Polski; (2) wojska mocarstw centralnych zadały klęskę wojskom carskiej Rosji, odrzucając je na wschód od przedrozbiorowych granic Polski; (3) pogrążona w rewolucji carska Rosja z wojny się wycofała; (4) wojska zachodniej koalicji rozbiły wojska niemieckie i austro-węgierskie na trzech frontach; (5) rewolucja w Niemczech oraz rozpad monarchii habsburskiej zmusiły te dwa państwa do kapitulacji; (6) przede wszystkim jednak na szali dziejowej zaważyła niepodległościowa wola narodu polskiego¹.

* Adam Ciołkosz, *Walka o prawdę. Wybór artykułów 1940-1978*. Londyn, Polonia Book Fund. Przedmowa Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Stron XVI + 459.

1. Taką kolejność wydarzeń przepowiedział Józef Piłsudski w odczycie wygłoszonym 21 lutego 1914 roku w Paryżu, w sali *Société de Géographie*. Byłem wówczas na pierwszym roku studiów w *École des Sciences Politiques*, a na odczyt zaprowadził mnie mój przyjaciel Tadeusz Tański, członek paryskiej sekcji „Strzelca”. Zanotowałem proroctwo Piłsudskiego na łamach *Bulletin Polonais*, organu Stowarzyszenia Byłych Uczniów Szkoły Batignolskiej redagowanego przez Wacława Gasztowtta. Zacytowałem je w książce *Joseph Piłsudski* (Paris 1929) oraz w biografii poświęconej Marszałkowi w 15-tym wydaniu *Encyclopaedia Britannica* (tom 14, str. 464-465).

Naturalnie, podkreśla Ciołkosz, polscy historycy piszący pod kontrolą moskiewskich cenzorów na taką kolejność wydarzeń godzić się nie mogą. Więc np. Henryk Zieliński jest zdania, że carską Rosję obalili w listopadzie 1917 roku bolszewicy, „usuwając zasadniczą przeszkodę na drodze do niepodległej Polski” (*Historia Polski*, tom IV, część I, Warszawa 1969). Potępiający tę „kuglarską sztuczkę”, Ciołkosz wykazuje, z dokumentami sowieckimi w rękę, że prawdziwej rewolucji rosyjskiej — tej z marca 1917 roku — Lenin nie przewidział; że w najmniejszym stopniu do proklamowania niepodległości Polski się nie przyczynił. Piotrogrodzka Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich istotnie uchwaliła 27 marca 1917 roku, że „Polska ma prawo do całkowitej niepodległości”, ale komuniści nie mają prawa na tę uchwałę się powoływać. Zarówno Zieliński jak i Henryk Jabłoński (*Polityka Polskiej Partii Socjalistycznej w czasie wojny 1914-1918*, Warszawa 1958) przemilczeli, że w marcu Rada Delegatów R. i Ż. składała się w ogromnej większości z mienszewików i socjal-rewolucjonistów, a bolszewicy stanowili najwyżej jej czwartą część; że przewodniczącym Rady był wówczas gruziński socjalista Mikołaj Czcheidze, a autorem uchwały — Henryk Erlich, adwokat z Warszawy, czołowy działacz żydowskiego Bundu.

Minęły zaledwie trzy miesiące od proklamacji 11 listopada 1918 roku niepodległości Polski, gdy czerwone pułki zbliżały się do linii Grodno-Brześć-Kowel. Piłsudski, głowa państwa i wódz naczelny armii, stanął przed koniecznością aby „możliwie daleko od miejsc gdzie się nowe życie wykluwało i wykuwało obalić wszelkie próby i zakusy narzucenia raz jeszcze życia obcego” (*Rok 1920*, Warszawa 1924, str. 203-204). Tak się rozpoczęła wojna polsko-sowiecka, którą młoda polska armia wygrała. W jej szeregach — co z naciskiem podkreśla Ciołkosz — walczyli robotnicy i chłopci, a na tyłach nie było żadnego poparcia dla antyniepodległościowej agitacji KPP. Było to w dużej mierze zasługą PPS i za to ją Jabłoński potępia. „Gdyby nie PPS i jej polityka — pisze Ciołkosz (str. 304) — za którą poszła w swej ogromnej większości polska klasa robotnicza, Polska w roku 1918 stałaby się częścią składową sowieckiego państwa rosyjskiego”.

Jak Ciołkosz ocenia miejsce Piłsudskiego w historii Polski? Sformułował swój sąd w roku 1967 w dyskusji zorganizowanej przez Radio Wolna Europa z okazji setnej rocznicy urodzin Marszałka (str. 191-193). Jako zwolennik walki czynnej o niepodległość mógł znaleźć miejsce jedynie w ruchu socjalistycznym. Jego rola w latach 1914-1918 była olbrzymia; nie mógł jej odegrać ani Józef Haller, ani Bolesław Roja, ani nikt inny. Okres w którym Piłsudski był bezspornie na właściwym szlaku zamyka się w roku 1919. „To co było potem jest albo sporne, albo zdecydowanie ujemne”.

Jako jeden z członków „Centrolewu” oraz jeden z więźniów brzeskich Ciołkosz potępił ten ponury epizod polskiego dwudziestolecia na łamach *Zeszytów Historycznych* (Nr 9, 1966) odpowiadając na obronę brzeskiej afery przez Witolda Grabowskiego.

A co Ciołkosz myśli o Romanie Dmowskim? O tym dowiadujemy się z recenzji poświęconych książkom Andrzeja Micewskiego (*Roman Dmowski*, Warszawa 1971) oraz Wojciecha Wasiułyńskiego (*Zródła niepodległości*, Londyn 1977). Ciołkosz oświadcza, że żadne inne stronnictwo polskie od stu lat nie było tak silnie zróżnione i utożsamione ze swym przywódcą jak Narodowa Demokracja, a „jego preponderancja wynikała stąd, że to on stworzył logiczną i do końca przemyślaną koncepcję polityczną, która pozwoliła stronnictwu objąć trzy zabory i stać się stronnictwem masowym”. Zdając sobie sprawę, że sformułowany przezeń aksjomat można kwestionować, Ciołkosz podziela zdanie Micewskiego wykazującego nierówność rachub na to, by po zwycięstwie francusko-angielsko-rosyjskim wszystkie ziemie polskie zostały zjednoczone pod berłem rosyjskiego monarchy, który obdarzyłby Polskę autonomią. Ale po klęskach wojennych Rosji i bez nadziejnych dyskusjach z carskimi ministrami Dmowski opuścił Petersburg i udał się na zachód, gdzie się okazał potrzebny i pożyteczny. Wziął udział w paryskich rokowaniach dotyczących oderwania ziem polskich od Niemiec i położył swój podpis pod Traktatem Wersalskim, ale — dodaje Ciołkosz — „zagubił się zupełnie w życiu politycznym Drugiej Rzeczypospolitej”.

Ciołkosz odrzuca tezę Wasiułyńskiego, jakoby Dmowski „stworzył najsilniejsze stronnictwo polskie, wskazał właściwą drogę do odbudowania państwa, nadał mu kształt geograficzny i umieścił w systemie europejskim”. Ta ocena „nie wytrzymuje egzaminu historyków” — ciągnie Ciołkosz. — To nie Dmowski wprowadził Polskę z powrotem na arenę międzynarodową, ale cesarze Niemiec i Austro-Węgier 5 listopada 1916 roku. Ich pobudki były obłudne i podyktowane strachem przed klęską militarną.

Ciołkosz nie kwestionuje dwóch przesłanek polityki polskiej uważanych przez Wasiułyńskiego za fundamentalne: pierwsza — to obecne granice; druga — to stopień zależności od Rosji; Wasiułyński nie przewiduje ani wojny, ani rewolucji, ale nie rezygnuje z usamodzielnienia się Polski.

Walka o władzę w Polsce jest więc nieunikniona. Jak ją widzi Ciołkosz? W grudniu 1975 roku Stefan Kisielewski wygłosił w Londynie odczyt pod tytułem „Jak widzę przyszłość Polski”. Przedstawił w nim trzy możliwości: (1) będzie to co jest; (2) będzie to co jest ale zliberalizowane; (3) finlandyzacja. W dyskusji wziął udział Ciołkosz. Odrzucając wszystkie możliwości, nieaktualność tej trzeciej tłumaczył tak: „Finlandia zachowała względnie swobodę w życiu wewnętrznym, gdyż skapitulowała na czas w roku 1944 i przyjęła wszystkie podyktowane jej przez Związek Sowiecki warunki”², po czym dodał (str. 95): — „Walka o Polskę rozegra się i rozstrzygnie w Polsce. Inaczej być nie może. Obec-

2. Moim zdaniem Stalin zgodził się na specjalny status dla Finlandii ze względów strategicznych. Mógł Finlandię skomunizować, ale wiedział, że w takim wypadku neutralna Szwecja przystąpiłaby do Sojuszu Atlantyckiego — K.S.

nego systemu rządu nie da się w jego istocie poprawić. Cały ten system jest chory, nie da się go uleczyć, trzeba go w całości usunąć i zniszczyć jego polityczną nadbudowę. Nie uczynią tego chłopci, klasa społeczna, której (przynajmniej od roku 1956) reżym nie chce drażnić. Nie uczyni tego warstwa inteligencji zawodowej, urzędniczej; przeciętny polski inteligent boi się partii i rządu. Mogą to uczynić tylko robotnicy — ale nie dlatego, że są ludźmi ulepionymi z lepszej gliny, lecz dlatego, że warunki bytu zmuszają ich do solidarności i walki”.

Kazimierz SMOGORZEWSKI

Spis wydawnictw podziemnych w PRL (5)

Rząd PRL spodziewał się, że z chwilą zniesienia stanu wojennego znacznie automatycznie znikną w społeczeństwie polskim ruch oporu. Tymczasem uchwalone przez sejm prerogatywy dla bezpieczeństwa dały jej jeszcze więcej możliwości terroryzowania społeczeństwa niż w okresie stanu wojennego. Nic więc dziwnego, że ruch oporu nadal istnieje i objawia się m.in. w znacznym zwiększeniu liczby wydawnictw konspiracyjnych, zwłaszcza książkowych. Nie będzie przesadą stwierdzenie, że w dużych miastach znajdują się w każdym patriotycznym domu jakieś wydawnictwa podziemne — jeśli nie gazetki czy książki, to przynajmniej kalendarze i obrazki sygnowane przez Solidarność. Obrazki religijne z modlitwami z okresu niemieckiej okupacji, np. do św. Barbary Patronki Podziemia są obecnie przedrukowywane, gdyż znowu stały się aktualne! Ta nagminność występowania publikacji konspiracyjnych w polskich domach sprawiła, że wobec posiadaczy pojedynczych egzemplarzy bezpieczeństwa nie stosuje żadnych sankcji poza konfiskatą. Natomiast w mniejszych miastach, nawet wojewódzkich, zdarzały się wypadki aresztowań za posiadanie, a nawet za samo czytanie gazetek konspiracyjnych.

Przy okazji „przeszukiwań” mieszkania (milicja nie lubi słowa „rewizja”) konfiskuje się wszelkie wydawnictwa konspiracyjne, emigracyjne oraz wydawane bez cenzury w latach 1976-1981. Obecnie bezpieczeństwo nie potrzebuje już nakazu prokuratora czy sędziego dla przeprowadzenia rewizji w mieszkaniu lub u osoby zatrzymanej na ulicy. Wprawdzie wolno jeszcze złożyć skargę do prokuratora z powodu rewizji bez nakazu, ale w przypadku żądania zwrotu skonfiskowanych książek decyduje o tym bezpieczeństwo, a nie prokurator. Zdarzało się, że właściciel otrzymywał

z powrotem swoje książki czy czasopisma, ale tylko pochodzące sprzed 13 grudnia 1981 roku.

Pierwszą reakcją na zniesienie stanu wojennego było pojawienie się nowych tytułów gazetek, ale w sumie liczba ich nieco zmalała w stosunku do liczby nowopowstałych w poprzednich okresach. Natomiast przeszło dwukrotnie powiększyła się liczba tytułów książek wydawanych konspiracyjnie oraz wielokartkowych, bogato ilustrowanych, ściennych kalendarzy, np. dla uczczenia Józefa Piłsudskiego czy George'a Orwella.

Solidarność podziemna sprawiła w ubiegłym roku dużo radości filatelistom przez wypuszczenie w świat zarówno pojedynczych, jak i całych serii znaczków poczty podziemnej. Po raz pierwszy ukazała się wiosną 1982 roku dwuznaczkowa seria „Poczty Wolnej CDN”, a następnie latem seria „Poczty Solidarność” z podobizną Ojca Świętego Jana Pawła II z okazji jego drugiej pielgrzymki do Polski (składa się z 6 znaczków po 50 zł). W 1983 roku ukazało się znacznie więcej znaczków, przede wszystkim dla uczczenia rocznic narodowych. Są to serie „Poczty Solidarność” składające się z kolorowych znaczków po 25 zł, wydane dla przypomnienia rocznic: wojny polsko-bolszewickiej 1920 roku; zawarcia 23 sierpnia 1939 roku paktu Ribbentrop-Mołotow; powstania warszawskiego 1944 roku oraz 3-ej rocznicy sierpnia 1980 roku. „Niezależna Poczta Pomorza” wydała serię sześciu znaczków po 30 zł o tematyce solidarnościowej, a RKS Dolny Śląsk wydał dwa znaczki po 5 zł z podobiznami L. Wałęsy i W. Frasyniuka. Ponadto „Poczta Solidarność” uczciła Wałęsę jako laureata nagrody Nobla serią 6 znaczków po 50 zł oraz osobno jednym znaczkiem z jego podobizną. Rocznicę sierpnia 1980 roku przypomniano 4-ma znaczkami po 50 zł, a drugą rocznicę wprowadzenia stanu wojennego — znaczkiem za 75 zł.

Nie zapomniano również o numizmatykach, dla których wybito kilka medali, ostatni dla uczczenia przyznania Lechowi Wałęsie nagrody Nobla. Ponadto wydrukowano w kolorach „banknoty” w odcinkach 50 i 100 zł z podobizną Wałęsy i karykaturą Jaruzelskiego, imitacje banknotów studolarowych itp. Na oryginalnych banknotach PRL po 10 i 20 zł dano nadruki różnych haseł w rodzaju: Wrona nas nie pokona! Gazem do socjalizmu! itd. Nawet filumeniści doczekali się etykiet zapatczanych z hasłami Solidarności naklejonymi na oryginalne pudełka z zapłatkami. Szczególnie aktywni stali się graficy w zakresie wykonywania karykatur obecnych prominentów.

1. SPIS NOWYCH CZASOPISM PODZIEMNYCH, WYDANYCH OD SIERPNIA 1983 DO STYCZNIA 1984 R. (WRAZ Z UZUPEŁNIENIAMI ZA OKRES WCZEŚNIEJSZY)

1. „A źródło, a źródło wciąż bije”. Pismo Ruchu Społecznego Solidarności + *Ściągawka*. Pismo Ruchu Społecznego „Solidarność” — przedruki. [Warszawa] 1982-1983. (Dodatek pt. *Ściągawka*).

2. *Almanach Bydgoski*. Niezależne pismo społeczne. Miesięcznik. Bydgoszcz 1983-1984.
3. *Aut.* Biuletyn informacyjny Solidarności zakładów CNPAE [Centrum Naukowo-Produkcyjne Automatyki Energetycznej], Centrum IASE [Instytut Automatyki Systemów Energetycznych], ZDAE [Zakład Doświadczalny Automatyki Energetycznej], ZPUA [Zakład Produkcji Urządzeń Automatyki]. Wrocław 1983.
4. *Baza*. Niezależny miesięcznik społeczno-polityczny Klubu Myśli Robotniczej. (Wydaje Terenowy Komitet Oporu „Solidarność”). [Warszawa] 1983 nr 1 z maja.
5. *Biblioteka Akademickiego Ruchu Oporu*. Pismo Akademickiego Ruchu Oporu we Wrocławiu. Wydaje Agencja Informacyjna Solidarności Walczącej. Wrocław 1983.
6. *Biuletyn Informacyjny*. Biuletyn Informacyjny Polskiej Socjalistycznej Partii Pracy. Szczecin 1983.
7. *Biuletyn Informacyjny AM* [Akademii Medycznej] i PSK w Krakowie. Wydanie specjalne 1983.
8. *Biuletyn Informacyjny MPK* [Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne] Solidarność. [Kraków] 1983.
9. *Biuletyn Informacyjny NSZZ Solidarność Zakładu Elektroniki im. Kazimierza Michalczyka*. [Wrocław] 1983.
10. *Biuletyn Informacyjny TKZ NSZZ „Solidarność” Stoczni im. Komuny Paryskiej*. Gdańsk 1983 nr 1 z 30 III.
11. *Biuletyn Informacyjny TKZ Solidarność Stoczni Nauta w Gdyni*. Gdynia 1982-1983.
12. *Biuletyn Informacyjny TKZ „Solidarność” WŁS Bimet w Gdańsku*. Gdańsk 1982-1983.
13. *Biuletyn Informacyjny TKZ Zakładów Azotowych Puławy*. Puławy 1983.
14. *Biuletyn Informacyjny Tymczasowej Komisji Regionalnej NSZZ „Solidarność” Częstochowa*, 1983.
15. *Biuletyn Międzywydawniczy BMW*. Warszawa 1983.
16. *Biuletyn Strajkowy Regionalnego Komitetu Strajkowego Regionu Środkowo-Wschodniego — Solidarność WSK „PZL”* [Państwowe Zakłady Lotnicze] — Świdnik. Świdnik 1981 nr 1 z 13. XII.
17. *Biuletyn TKZ „Solidarność”*. Warszawa 1983.
18. *Być albo nie być*. Pismo Oświaty Niezależnej. Solidarność Nauczycielska. [Miesięcznik]. Poznań 1982 (nr 1 z X) — 1983.
19. *c.d. Solidarność Małopolska*. KOS małych zakładów pracy. [Kraków] 1983.
20. *CDN*. Szczecin 1983.
21. *CDN Gazeta Wolnych Ludzi*. Kielce 1983.
22. *Chleba i Wolności*. Warszawa 1983.
23. *Co wiemy o... Prześladowanych*. [Wyd.] „Solidarność”. Poznań 1982 nr 1 do IV.
24. *Dodatek Polityczny Porozumienia Prasowego „Solidarność Zwycięży” przy MKS Nowa Huta*. Nowa Huta 1983 nr 1 z XI.
25. *[Druga] 2 Linia*. Bydgoszcz 1983.
26. *Forum Solidarność*. Warszawa 1983 nr 1 z I.
27. *Fundamentalista*. Piła 1983 nr 1 z 10 VII.
28. *Gazeta Dźwiękowa* pod red. Stefana Bratkowskiego. [Warszawa] 1983.
29. *Gazeta Niecodzienna*. [Dwutygodnik]. Zespół do Spraw Kultury NSZZ „Solidarność”. Warszawa 1983 nr 1 z 20. X.
30. *Głos Medyka*. Pismo redagowane przez pracowników warszawskiej służby zdrowia. Warszawa 1983 nr 1 z III.
31. *Głosy*. Miesięcznik studencki. Poznań 1982-1983.

32. *Godność*. Pismo funkcjonariuszy milicji. B.m.w.* 1983.
33. *Gospodarka*. Pismo OKORR — Ogólnopolski Komitet Oporu Rolników i Robotników — Region Dolny Śląsk. [Wrocław 1983].
34. *Grot*. Pismo NSZZ Solidarność Stoczniovców. [Wydaje Stocznia im. A. Warskiego]. Szczecin 1983.
35. *Homek*. Pismo Ruchu Alternatywnego. Gdańsk. R. 1: 1983.
36. *Informacje z Kroniki Małopolskiej*. Kraków 1982 nr 1 z II.
37. *Informator Solidarność*. [Wyd.] Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność” Gdańskiej Stoczni Remontowej im. J. Piłsudskiego. Gdańsk 1982-1983.
38. *Informator Wałbrzyski*. Wałbrzych 1983.
39. *Informator WFD* [Wytwórni Filmów Dokumentalnych]. Warszawa 1983.
40. *Janosik*. [Wyd.] „Solidarność”. Nowy Targ 1983.
41. *Jednością silni*. Międzyzakładowy Biuletyn Informacyjny NSZZ „Solidarność” PTHW-WROZAMET-ZPUT [Przedsiębiorstwo Transportu Handlu Wewnętrznego — Wrocławskie Zakłady Metalowe — Zakład Produkcji Uszczelnień Technicznych]. Wrocław 1983.
42. *Jeż*. Pismo szeregowych członków NSZZ „Solidarność”. Wrocław 1983.
43. *Jutrzenka Solidarność Pafawag*. Pismo TKZ NSZZ „Solidarność”. [Wrocław] 1983.
44. *Komentarz*. Pismo sympatyków NSZZ „Solidarność”. Wrocław 1983-1984.
45. *Komunikaty Tymczasowego Komitetu Zakładowego NSZZ „Solidarność”*. Wyd. MERA-KFAP [Krakowska Fabryka Aparatury Pomiarowej]. Kraków 1983.
46. *Korespondencja*. Kraków 1983.
47. *Krawędź*. Gryfino 1983.
48. *Kurs*. Niezależny miesięcznik literacki. [Warszawa] 1983 nr 1 z VIII/IX.
49. *Latarnia*. Pismo podziemne Studentów Wyższej Szkoły Morskiej w Gdyni. Gdynia 1982-1983.
50. *Mała Polska*. Pismo niezależne. Wyd.: PAP — Polowe Archiwum Prasowe. Kraków, Małopolska 1983.
51. *Megazet*. Międzyzakładowa gazeta NSZZ „Solidarność”. Gdańsk 1983 nr 1 z X.
52. *MG Gliwickiej Delegatury RKW NSZZ „Solidarność” Region Śląsko-Dąbrowski*. B.m.w. 1982-1983.
53. *Miesięcznik Małopolski*. Pismo społeczno-polityczne. Kraków 1983 nr 1 z IV.
54. *Międzyzakładowy Biuletyn Informacyjny NSZZ Solidarność „Kolejarz”*. Gliwice 1983.
55. *Młodzież*. Pismo Polskiej Niezależnej Organizacji Młodzieżowej. Wolność — Równość — Niepodległość. [Wrocław 1983].
56. *MORS d[awniej] Przegląd Prasy Podziemnej*. Wydaje „Mors” (Międzuczelniany Opozycyjny Ruch Studencki). Dwutygodnik. Warszawa 1983.
57. *Nadodrze*. Dwutygodnik. Police, Pomorze Zachodnie 1983.
58. *Nadzieja*. Pismo członków Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”. Region Częstochowa. Częstochowa 1983.
59. *Nasz Głos*. Poniatowa-Opole Lubelskie 1983.
60. *Nasza Solidarność*. Kalisz-Konin-Sieradz 1983.
61. *Nieregularnik* Bydgoskiej Niezależnej Oficyny Wydawniczej UKOS II. Bydgoszcz 1984.

* Brak miejsca wydania.

62. *Obecność*. Niezależne pismo literackie. [Wyd.] (Inicjatywa Wydawnicza Aspekt). Wrocław 1983.
63. *Ogniw*. Niezależny miesięcznik społeczno-kulturalny. Wrocław 1983 nr 1 z X.
64. *Okno*. Szczecin 1983.
65. *Opoka*. Łódź 1983 nr 1 z XI.
66. *PBK/PRK Solidarność Podziemna*. B.m.w. 1983-1984.
67. *Pismo Polkolor*. Terenowy Komitet Oporu „Solidarność”. [Piaseczno] 1983 nr 1 z VIII.
68. *Poczta Polowa*. Komitet Robotniczy UPT [Urzędu Poczto-Telekomunikacyjnego] Kraków. Kraków 1983 nr 1 z 13 IX.
69. *Podziemny Informator Katowicki*. Katowice 1983.
70. *Polityka Polska*. B.m.w. 1982 [druk.: 1983] nr 1 — jesień.
71. *Portowiec*. Gdańsk 1983.
72. *Prawda*. Warszawa 1983.
73. *Przedruk*. (Miesięczne pismo literackie stanu wojennego. Warszawa-Kraków-Gdańsk. Warszawa 1982, Niezależna Oficyna Wydawnicza).
74. *Przełęcz*. Warszawa 1983 nr 1 z XI na temat: Aktorzy.
75. *Przełęcz Myśli Niezależnej*, wydaje Ruch Społeczny Solidarność — Sekcja Organizacyjna. Wrocław 1983 nr 1 z VI.
76. *Przyszłość Polski*. „...żeby Polska była polska”. Niezależne pismo polityczno-historyczne. Warszawa 1983.
77. *Reduta Solidarność*. [Kraków] 1983.
78. *Roztocze*. Tomaszów Lubelski 1983.
79. *Samarytanka*. NSZZ „Solidarność” Służby Zdrowia. Wrocław 1983-1984.
80. *Serwis Informacyjny Niezależnego Zrzeszenia Studentów Politechniki Gdańskiej*. Gdańsk 1981 nr 1 z 16. XII.
81. *Serwis Informacyjny Więziennej Agencji Solidarności Aresztu Śledczego w Gdańsku*. Gdańsk 1982-1983. Ukazały się 24 numery ręcznie pisane od 4 do 6 stron w nakładzie 30 egz.
82. *Solidarni*. Pismo międzysrodowiskowe członków NSZZ „Solidarność”. Wrocław 1983.
83. *Solidarność*. Pismo FAT NSZZ „Solidarność”. [Dolny Śląsk]. 1983 nr 1 z IX.
84. *Solidarność*. Region Płocki. Płock 1982.
85. *Solidarność*. Zeszyty Związkowe. [Wyd.] Niezależna Biblioteka Krakowska. Kraków 1983 zeszyt 1 z I.
86. *Solidarność AM* [Akademii Medycznej]. Wrocław 1983.
87. *Solidarność i Niepodległość*. Pismo związkowe i polityczne. Warszawa 1983 (nr 1 z 16. XI) — 1984.
88. *Solidarność KOS*. Wydawnictwo Regionu Pomorza Zachodniego NSZZ „Solidarność”. Szczecin 1982-1983.
89. *Solidarność Małopolska KOS* Małych Zakładów Pracy. [Kraków] 1983.
90. *Solidarność '82*. Gdańsk 1982.
91. *Solidarność Walcząca*. Pismo Organizacji Solidarność Walcząca Oddział Poznań. Poznań 1983 nr 1 z 12. IX.
92. *Solidarność Walcząca*. Ulotka nr ... Dolny Śląsk. [Wrocław] 1983-1984 nr 1 z IX 83 r.
93. *Solidarność Walcząca o Wolność, Równość i Demokrację*. Tygodnik. Wiedeń. Edycja krajowa. B.m.w. 1983.
94. *Solidarność Wiejska*. Warszawa 1983.
95. *Solidarny Podlasiak*. Pismo zjednoczonych sił robotników, chłopów i inteligencji podlaskiego podziemia. B.m.w. 1983.
96. *Solidarny Robotnik*. Poznań 1983 nr 1 z 22. IX.

97. *Struktura*. Pismo Międzyzakładowej Struktury „Solidarność”. B.m.w. 1983 nr 1 z 7. XI.
98. *Szept (ASP)*. Wrocław 1983.
99. *Szerzeń*. Pismo Polskiej Socjalistycznej Partii Pracy. Szczecin 1983.
100. *Szklane Domy*. Biuletyn Informacyjny Niezależnej Organizacji Młodzieżowej. Warszawa 1983 nr 1 z 21. X.
101. *Tygodnik Wojenny*. Edycja Świętokrzyska. [Warszawa?] 1983.
102. *Uczeń Polski*. Niezależne pismo młodzieży szkolnej. [Kontynuacja Szkoły Polskiej od nr 10/33] z 5. VI. 1983]. B.m.w. 1983.
103. *Unia*. [Warszawa] 1983.
104. *Verbum*. Pismo Mazowieckiej Konfederacji „Solidarność” (MK „S”). Redaktor Juliusz Ostrowski. Warszawa 1983.
105. *Victoria*. Pismo Międzyzakładowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ Solidarność Grabiszyniek. Wrocław 1983 nr 1 z 31. VIII.
106. *Wiadomości Wojenne Solidarność*. Łódź 1982-1983.
107. *Więś Solidarna*. Pismo NSZZ Rolników Indywidualnych — Solidarność Region Środkowo-Wschodni. [Lublin] 1983.
108. *WIS. Wolni i Solidarni*. Miesięcznik Organizacji „Solidarność Walcząca — Oddział Katowice”. [Katowice] 1983.
109. *Wolna Droga*. Wrocław 1983.
110. *Wolny Energetyk*. Biuletyn informacyjny. Kraków 1983.
111. *Wolny Robotnik*. Pismo NSZZ „Solidarność” Ziemia Radomska. Radom 1983.
112. *Wraz*. [Poznań 1982] nr 1 z 20. VII.
113. *Z prasy podziemnej*. Serwis informacyjny. Kraków 1982-1983.
114. *Zarysy MJO*. (Wydawca: Młodzieżowe Jednostki Oporu). Młodzieżowy miesięcznik społeczno-kulturalny. Wrocław 1983 nr 1 z X.
- 114 a. *Źródło*. Pismo Ruchu Społecznego Solidarność zob. *A źródło, a źródło wciąż bije*.
115. *Zar*. Pismo NSZZ Solidarność. Żyrardów 1983 nr 1 z 28. VIII.
116. *Żywią i Bronią*. Pismo Centralnego Ogólnopolskiego Komitetu Oporu Rolników. [Warszawa] 1983 nr 1 z VIII.

UZUPEŁNIENIA

117. *Czas Przyszły*. Pismo (Niezależnego Zrzeszenia) Studentów i Młodej Inteligencji. [Warszawa] 1983 nr 1 z XII.
118. *Podziemie*. Pismo Mazowieckiej Konfederacji „Solidarność”. [Warszawa] 1984 nr 1 z 27. I.
119. *Spomasz*. Pismo TKZ „S”. Bydgoszcz 1984.

2. WYKAZ KONSPIRACYJNYCH KSIĄŻEK, BROSZUR I KASET MAGNETOFONOWYCH

1. *A mury runę, runę, runę...* Pamiętniki internowanych. Opracowanie i wybór M. Zymowicz. Warszawa 1983, Wydawnictwo CDN, str. nłb. 3, 49, nłb. 1, fotooffset. (Cena 100 zł).
2. Abramski Jan, Żywiecki Ryszard: *Katyń*. Warszawa [1983], Unia Nowoczesnego Humanizmu, str. nłb. 2, 22, fotooffset z maszynopisu.
3. Abramski Jan, Żywiecki Ryszard: *Katyń. I. Tło zbrodni. II. Droga do zbrodni. III. Zbrodnia. IV. Reperkusje zbrodni*. Wrocław 1983, Niezależna Oficyna Wydawnicza im. Bohaterów 31 sierpnia 1982 r., KSS Komitet Samoobrony Studenckiej „Zwycięzimy”, str. 15, nłb. 1, powiel.

4. Albert Andrzej [pseud.]: *Najnowsza historia Polski. Część I. 1918-1939*. [Wyd. 2]. Warszawa 1983, Wydawnictwo Krąg, str. nłb. 4, 248, fotooffset z maszynopisu. (Cena 440 zł).
5. Albert Andrzej [pseud.]: *Najnowsza historia Polski. Część II. 1939-1945*. Warszawa 1983, Wydawnictwo Krąg, str. nłb. 2, 146, fotooffset. (Cena 260 zł).
6. Anders Władysław: *Bez ostatniego rozdziału. Wspomnienia z lat 1939-1946* [Warszawa 1983], str. nłb. 2, 99, nłb. 3, fotooffset z wydania 4 (Belgia 1973).
7. Barańczak Stanisław: *Przywracanie porządku*. Niezależne Wydawnictwo im. Gnebna Puczymordy. Zakłady Graficzne Wrocław 1983, str. nłb. 2, 17, nłb. 1, fotooffset. [Cena 30 zł]. — Wiersze.
8. Bartoszewski Władysław: *Rozważania o Powstaniu Warszawskim*. Warszawa 1983, Wydawnictwo „Głos”, str. nłb. 2, 16, nłb. 2, powiel.
9. Berger Peter L., Besançon Alain: *Mit socjalistyczny ***. — Sowiecka teraźniejszość i rosyjska przeszłość*. Lublin 1983 Wydawnictwo AUT '82, str. 48, powiel.
10. Besançon Alain: *Karpiński Wojciech rozmawia z Alainem Besançon*. Ek 1983, Wyd. Lotnia, str. 20, nłb. 2, powiel. (Cena 60 zł).
11. *Biała księga ZLP* [Związku Literatów Polskich]. Odwołanie Prezydium Zarządu Głównego zawieszonego Związku Literatów Polskich od decyzji o rozwiązaniu ZLP i inne dokumenty. Warszawa 1983, Centrum Dokumentacji i Analiz (NSZZ „Solidarność”), str. 21, fotooffset. (Zeszyt CD i A nr 2). (Cena 70 zł).
12. *Białoleka '82*. Reportaż z obozu internowania. [Warszawa 1982] — teka zawierająca 21 zdjęć fotograficznych formatu 7,5 × 10,7 wraz ze spisem dwustronicowym.
13. Bienkowski Władysław: *13 grudnia 1981*. [Warszawa] (1983), Niezależna Oficyna Wydawnicza N[owa] 1 Bis, str. nłb. 1, 25, nłb. 2, fotooffset. (Cena 30 zł).
14. Bińkowski Krzysztof Antoni: *Tylko jeden rok*. Pamiętnik z więzienia 14. XII. 1981 - 14. XII. 1982. Radom 1983 k. 40, jednostronnie przebitkowych.
15. Błachnicki [właśc.: Błachnicki] Franciszek ks.: *Nowe światło nadziei*. [Wrocław 1983] (Wydawca: R.K.S. Region Dolny Śląsk NSZZ „Solidarność”), str. 8, tyt. nagł., fotooffset z maszynopisu. (Cena 20 zł. Nakład 15.000).
Wydanie specjalne Serwisu Informacyjnego NSZZ „Solidarność”.
16. Błachnicki Franciszek: *Trzy przemówienia księdza Franciszka Błachnickiego*. B.m.w. 1982 Księgarnia św. Stanisława, str. 8, tyt. nagł. fotooffset. (Cena za 1 egz. 25 zł + 5 zł na Fundusz Wydawniczy).
17. Boruta Jędrzej: *Lekcja Aleksandra Sołżenicyna*. Kraków VII. 1983, Wydawnictwo Myśli Nieinternowanej WMN, str. 21, nłb. 1, fotooffset z maszynopisu (cena 50 zł).
18. Boryczka Adam („Brona”): *Wojna wileńska*. Warszawa 1983, str. 14, nłb. 2, fotooffset. (Cena zł 25) 4.
Jedna z relacji ze zbioru pt.: *Drogi cichociemnych*, Londyn 1954.
19. Brandys Marian: *Małpeczka*. (Warszawa, sierpień [19]83) Wydawnictwo Słowo, str. 19, nłb. 1, il., powiel. (Cena 40 zł).
Druk bez wiedzy i zgody autora.
20. Bratkowski Stefan: *Wstępna ocena sytuacji na dzień 20 grudnia 1981 roku wraz z elementami prognozy krótkookresowej*. Warszawa 1982 [Wydawnictwo Społeczne].
21. Bregman Aleksander: *Najlepszy sojusznik Hitlera. Studium o współpracy niemiecko-sowieckiej 1939-1941*. Londyn Orbis * Księgarnia

- Polska [właśc.: Warszawa 1983, inicjatywa prywatna], str. nlb. 4, 7-160, nlb. 3, fotooffset.
22. Bregman Aleksander: *Najlepszy sojusznik Hitlera. Studium o współpracy niemiecko-radzieckiej 1939-1941. Streszczenie.* (W czterdziestą czwartą rocznicę września). Wrocław 1983, str. 32, fotooffset. (Cena zł 80 + 10).
23. Bryll Ernest: *Boże, uchroni nas od nienawiści.* Warszawa 1983, Wydawnictwo CDN, str. 35, nlb. 1, powiel. (Cena 70) [pieczętką przestemplowano na: 40 zł. Okładka niebieska]. Druk bez wiedzy i zgody autora.
24. Bryll Ernest: *Boże uchroni nas od nienawiści, wiersze wojenne.* [Wyd. 2]. Warszawa 1983, Wydawnictwo CDN, str. 35, nlb. 1, powiel. (Cena 70) [pieczętką przestemplowano na: 80 zł. Okładka brązowa]. Zawiera 29 wierszy.
25. Brzeziński Zbigniew: *Jedność, czy konflikty? Węgry 1956.* Warszawa 1983, Wydawnictwo * In Corpore *, str. nlb. 2, 22, nlb. 4, fotooffset (cena 45). TKN 2 (Towarzystwo Kursów Naukowych) zeszyt 1.
26. Bugajski Ryszard: *Przestuchanie.* Pomysł powstał przy udziale Janusza Dymka. Zespół Filmowy „X”. (Warszawa) 1983, Niezależna Oficyna Wydawnicza „NOWA”, str. nlb. 4, 58, tabl. 16, fotooffset. (Cena 200 zł).
27. Bukowiński Władysław: *Wspomnienia z Kazachstanu.* Warszawa [1983], Unia Nowoczesnego Humanizmu, str. 79, il., fotooffset. — Wolni z Wolnymi — Równi z Równymi. Przedruk z wydania IV. Wydawnictwo „Krzyża Nowohuckiego”.
28. Bukowski Władimir: *Dusza ludzka w komunizmie.* [Warszawa] 1983, Biblioteka Przyjaciół Moskali (BPM), str. nlb. 2, 27, nlb. 3, fotooffset. (Cena 50 zł).
29. Bukowski Włodzimierz: *Dusza ludzka w komunizmie.* Warszawa 1983, str. nlb. 2, 20, fotooffset. (Przedruk za: Biblioteką Przyjaciół Moskali. Warszawa 1983).
30. Bukowski Włodzimierz: *Dusza ludzka w komunizmie.* Warszawa 1983, Oficyna Liberałów, str. 19, nlb. 1, fotooffset.
31. Bukowski Władimir: *Pacyfiści kontra pokój.* (Tłumaczył z j[ęzyka] rosyjskiego Andrzej Mietkowski). Przedruk (Paris 1983, Spotkania. Kraków 1983, Biblioteka Wolnej Myśli), str. 50, nlb. 4, fotooffset, il. na przedniej i tylnej okładce (cena 110 zł).
32. Bunin Jan: *Przeklęte dni.* Warszawa 1983, Oficyna Liberałów, str. 35, nlb. 1, fotooffset. (Cena 30 zł) — Biblioteczka Laureatów Nobla [Tomik] 30.
33. Carrère d'Encausse Hélène: *Stalin, państwo terroru.* Warszawa 1983, Wydawnictwo Krag, str. nlb. 2, 155, nlb. 1, fotooffset z maszynopisu.
34. *Ceny* [Warszawa 1983], Wydawnictwo Społeczne KOS, str. nlb. 2, 17, nlb. 1, powiel. — Mały Zeszyt Edukacji Narodowej. Dodatek Oświatowy KOS-a.
35. Charaszkiewicz Edmund: *Przebudowa Wschodu Europy.* Warszawa 1983, Wydawnictwo * In Corpore *, str. nlb. 2, 34, nlb. 1, fotooffset z maszynopisu. (Cena 40 zł).
36. Churchill Winston L. S.: *Cwierz żartem...* Warszawa 1983, Oficyna Liberałów, str. 29, nlb. 3, fotooffset. (Cena 30 zł). — Biblioteczka Laureatów Nobla [Tomik] 26.
37. Corder T. M.: *Łowca jeleni.* („The Deer Hunter”), z angielskiego przełożyła Magdalena Piotrowska. Warszawa 1983, Wydawnictwo Libertas, str. 168, fotooffset z maszynopisu. (Cena 260 zł).
38. Czery Krzysztof: *Wiersze.* B.m.w., 1. XI. 1982, str. 26, nlb. 2, powiel. (Cena 25 zł).

39. Dmowski Roman: *Świat powojenny i Polska.* [Wyd. 3]. Zeszyt 2. Warszawa 1983, BON Biblioteka Oświaty Narodowej, str. 45, nlb. 1, fotooffset. Przedruk z wydania II. Warszawa 1931.
40. Dmowski Roman: *Świat powojenny i Polska.* [Wyd. 3]. Zeszyt 3. Warszawa 1983, BON Biblioteka Oświaty Narodowej, str. nlb. 32, fotooffset.
41. *Do czytania w czas adwentowy.* [Warszawa 1983], str. nlb. 2, 25, powiel. (Cena 70 zł). Wybór wierszy powstałych po 13. XII. 1981 r.
42. Doboszyński Adam: *Gospodarka narodowa.* [Warszawa 1983, Unia Nowoczesnego Humanizmu].
43. *Dokumenty: Proces Frasińskiego.* Warszawa 1983 (Wydawnictwo Szansa) str. nlb. 1, 101, nlb. 2, fotooffset.
44. *Dokumenty... Stepie [!] z pierdla.* Kielce 1983, Staraniem Wydawnictwa Wolne Słowo Solidarności, str. nlb. 18. [Cena 50 zł]. Odbitki stempli powstałych w obozie Kielce-Piaski od stycznia do lipca 1982 roku. Wykonał je tam Jerzy Węglarski.
45. *Drukarz doskonały.* Warszawa sierpień 1982, Wydawnictwo Społeczne.
46. Dymarski Lech: *Notatki z lektur.* [Warszawa 1983], Niezależna Oficyna Wydawnicza N[owa], str. 29, nlb. 3, fotooffset z maszynopisu. [Cena 50 zł].
47. *Epilog wileńskiej Armii Krajowej.* Warszawa [1983], Unia Nowoczesnego Humanizmu, str. nlb. 2, 59, fotooffset z maszynopisu. (Cena 200 zł). — *Zeszyty Historyczne* Nr 5.
48. Fallaci Oriana: *Dwa wywiady.* [Kraków] 1982, Samodzielna Oficyna Literacka, str. nlb. 1, 47, powiel., okł. il. (Cena 50 zł). Zawiera: 1. Wywiad Oriany Fallaci z Lechem Wałęsą na łamach „Corriere della Sera”. 2. Gdybyśmy nie wprowadzili stanu wojennego — popłynęłyby rzeki krwi... «specjalny na zasadach wyłączności wywiad Oriany Fallaci z v-premierem Rakowskim wg londyńskiego „Timesa” z dnia 22 lutego 1982 r.».
49. Friedman Milton: *Wolny handel.* Warszawa 1983, Oficyna Liberałów, str. 31, nlb. 1, fotooffset. — Biblioteczka Laureatów Nobla [Tomik] 17.
50. Gidwitz Betsy: *Wystąpienia robotnicze w ZSRR.* Warszawa [19]83 [Wydawnictwo] O(świata) N(iezależna). [Druk] Oficyna Copyright, str. 34, nlb. 2, fotooffset (cena 70 zł). — *Zeszyty Edukacji Narodowej.* Raport z obozu.
51. (Głowacki Andrzej): *Szczecin [19]70.* [Warszawa 1983], Biblioteka „Tygodnika Wojennego”, str. 7, nlb. 1, tyt. nagł., fotooffset. Skróty artykułu A. Głowackiego pt.: *Wydarzenia grudnia 1970 roku — stycznia 1971 roku w Szczecinie.* „Zapiski Historyczne” 1981, zesz. 4.
52. Głowacki J.: *Moc truchleje.* Kraków 1983, Wydawnictwo Rota, str. 23. (Cena 65 zł).
53. Grabski Stanisław: *Rewolucja. Studium społeczno-psychologiczne.* Nakładem księgarni i składu nut Perzyński, Niklewicz i S-ka w Warszawie, Nowy Świat 21, 1921. [Przedruk:] Warszawa [1983], Unia Nowoczesnego Humanizmu, str. nlb. 3, 6-166, nlb. 2, fotooffset.
54. Gross Jan T[omasz]: *W zaborze sowieckim.* [Warszawa 1983], Wydawnictwo „Słowo”, str. 63, nlb. 1, powiel., tyt., okł. (Cena 100 zł). Przedruk części I z: „Aneks” nr 22/1979. Przedruk części II z: „Aneks” nr 28/1982.
55. Hayek Fryderyk August von: *Porzucony szlak.* Warszawa 1983, Oficyna Liberałów, str. 27, nlb. 1, fotooffset. [Cena 30 zł]. Biblioteczka Laureatów Nobla [Tomik] 4.

56. Hayek Fryderyk August von: *Utopia kolektywizmu*. Warszawa 1983, Oficyna Liberałów, str. 43, nlb. 1, fotooffset. [Cena 30 zł]. — Biblioteczka Laureatów Nobla [Tomik] 5.
57. Herling-Grudziński Gustaw: *Dziennik pisany nocą 1971-1972*. Paryż 1973, Instytut Literacki. [Przedruk: Kraków (?) 1983], str. 189, nlb. 2, fotooffset.
58. Herling-Grudziński Gustaw: *Dziennik pisany nocą 1973-1979*. Część I. (Warszawa 1983), Niezależna Oficyna Wydawnicza N[owa], str. 197, nlb. 3, fotooffset. (Cena 200 zł).
Przedruk za zgodą Instytutu Literackiego. Paryż 1980.
59. Herling-Grudziński Gustaw: *Pamiętnik pisany nocą 13. XII. 1981 - 5. III. 1982*. Lublin 1983, [Wydawnictwo] AUT '82, str. 68.
Przedruk z: „Kultura” nr 3 i 4 z 1982 r.
60. (Hlond August, kardynał): *O chrześcijańskie zasady życia państwowego*. List pasterski J.Em. Kardynała Prymasa Polski. Katowice Nakładem Chrześc. Uniwersytetu Robotniczego w Katowicach. (Przedruk AKL n. 100 do użytku wewnętrznego) [1983], str. 16, tyt. okł. (Cena 60 zł).
61. Holzer Jerzy: „Solidarność” 1980-1981. *Geneza i historia*. Warszawa 1983, Wydawnictwo Krag, str. nlb. 2, 244, nlb. 1, fotooffset z maszynopisu. (Cena 440 zł). — Biblioteka kwartalnika politycznego „Krytyka”. [Nakład 1.500 egz.].
62. Jan Paweł II: *Jan Paweł II swojemu narodowi*. B.m.w., [1983], str. nlb. 2, 48, fotooffset. [Cena] (100 + 50 zł).
63. Jan Paweł II: *Veni, vidi, dixi, populus vincet! Przybyłem, ujrzałem, rzekłem, lud zwycięży. (Jan Paweł II w Polsce)*. [Kraków 1983, Wydawnictwo] (Libertas z zalecenia Rady Wydawniczej NSZZ „Solidarność” Małopolski), str. nlb. 2, 16, nlb. 2, il., fotooffset z maszynopisu.
64. Jarota Maria: *Rozpad*. [Warszawa 1983], Oficyna Wydawnicza „Numer Drugi”, str. 92, fotooffset z maszynopisu. (Cena 165 zł).
65. Jastrun Tomasz: *Zapiski z błędnego koła*. [Warszawa] 1983, Wydawnictwo Przedświt, str. 46, fotooffset. (Cena 115 zł).
(Druk bez wiedzy i zgody autora).
66. Jerofiejew Wenedikt [Erofeev Venedikt]: *Moskwa — Pietuski*. Poemat. Tłumaczyli z rosyjskiego Nina Karsov i Szymon Szechter. Słowo wstępne napisał i przypisy opracował Nikita Stavisky. B.m.w. 1983, Wydawnictwo Nieobecných, str. nlb. 12, 17-137.
Przedruk z: „Kontra”, Londyn 1976.
67. Jerzy (lat 21): *Wiersze swobodne*. Warszawa 1983, [Wydawnictwo] „Wytrwałość”, str. 16 nlb., powiel. (Cena symboliczna 16,50 zł).
68. Jeske-Choiński Teodor: *Po czerwonym zwycięstwie*. (Wydanie VI). Warszawa 1983, Oficyna Liberałów, str. 56, fotooffset.
[Wstęp:] Janusz Korwin-Mikke: *Po 75 latach*.
69. Józef Piłsudski w poezji. [Wyd. 2]. Warszawa 1983, Biblioteka Pamięci Józefa Piłsudskiego, str. 46, nlb. 1, fotooffset. (Cena 120 zł).
70. K.A.J.: *Polska: sierpień 1980 - grudzień 1982*. ('Swoiste cechy i dynamizm polskiego społeczeństwa'). — Bratkowski Stefan: *(Polska): Życie na zakneblowanym wulkanie (?)*. — Kisielewski Stefan: *Bezsilność publicystyki*. [Kraków 1983, Wydawnictwo] Alternatywy, str. nlb. 7, 46-49, nlb. 2; 112-136, fotooffset. (Cena 50 zł).
(Przedruk „Kultura” — styczeń-luty 1983, Instytut Literacki — Paryż, w niniejszej publikacji zachowano numerację stron wydania paryskiego).
71. Kaczmarski Jacek: *Zbroja*. Utwory napisane na emigracji, wydane bez wiedzy i zgody autora. [Wyd. 2. Warszawa 1983, Słowo Podziemne], str. 15, fotooffset. — Biblioteka „Słowa Podziemnego”.
72. Kamiński Aleksander („J. Górecki”): *Wielka gra*. Wydanie III. Warszawa 1981 [właśc.: 1983], Niezależne Wydawnictwo Harcerskie, str. nlb. 2, II-III, nlb. 2, 118, nlb. 3, fotooffset z maszynopisu. (Cena 200 zł).
Przedruk wydania konspiracyjnego z 1942 roku.
73. *Karykatura czasu wojny*. Wybór. Warszawa 1983, Wydawnictwo Wega, str. il. 32, fotooffset. [Cena 60 zł].
74. *Kawał polski*. Wybór i opracowanie M. Radecka. Warszawa 1983, Wydawnictwo CDN, str. nlb. 2, 33, fotooffset.
Wybór satyrycznych wierszy i kawałów pisanych prozą.
75. Kersten Krystyna: *Historia polityczna P[olskiej] R[zeczpospolitej] L[udowej] 1944-1956*. Lublin 1983, AUT '82, str. 202, powiel.
Przedruk za wydawnictwem Krag.
76. Kędzior Aleksander (K.) płk.: *Wojna w 1920 roku — przyczyny katastrofy wrześniowej*. Warszawa [1983], Unia Nowoczesnego Humanizmu, str. nlb. 2, 65, fotooffset. (Cena 220 zł). — „Zeszyty Historyczne” Nr 1.
Zawiera także: Giertych Jędrzej: *Przedmowa*, str. 1-17; Kędzior A. K.: *Imperializm — rewolucja — masoneria*, str. 57-65.
77. Kołakowski Leszek: *Czy diabeł może być zbawiony i 27 innych kazań*. (Kraków) 1983, Wszechnica Społeczno-Polityczna, str. 333, nlb. 5, fotooffset.
78. Kołakowski Leszek: *Kłopoty z Polską*. B.m.w. [1982] Oficyna Wydawnicza „Numer Drugi”, str. 43.
Fragment zbioru esejów „Czy diabeł może być zbawiony”, wyd. „Aneks”, Londyn 1981.
79. Kołakowski Leszek: *Kłopoty z Polską*. „Czy diabeł może być zbawiony i 27 innych kazań”. [Warszawa 1983, Wydawnictwo] (KSR), str. nlb. 3, 286-325, nlb. 5, fotooffset. (Cena 80 zł). — (Zeszyty) [Wola].
80. Kołakowski Leszek: *Kłopoty z socjalizmem*. [Część 1]. *(Jak być konserwatywno-liberalnym socjalistą? Samozatrucie otwartego społeczeństwa)*. Kraków [19]83, [Wydawnictwo] Rota.
81. Kołakowski Leszek: *Kłopoty z socjalizmem*. [Część 2]: *(O duchu rewolucyjnym. Rewolucja jako piękna choroba)*. Kraków [19]83, [Wydawnictwo] Rota.
82. Kołakowski Leszek: *Kłopoty z socjalizmem*. [Część 3]: *(Marksiowskie korzenie socjalizmu)*. Kraków [19]83, [Wydawnictwo] Rota, str. nlb. 2, 23, nlb. 3, powiel. — (Seria Byk) 4.
83. Korboński Stefan: *Podziemie wczoraj i dziś*. Przedruk z „Kultury”. Warszawa 1983, str. nlb. 1, 7, powiel. (Cena 20 zł).
84. Korboński Stefan: *Polskie państwo podziemne*. Część 1. Gdańsk 1983, „Solidarność Wybrzeża”, str. 91, fotooffset.
Przedruk z: Instytut Literacki w Paryżu.
85. Korczak Małgorzata: *Krople* (rysunki: Felicja Mar). [Wiersze. Warszawa] (1983 r.), str. nlb. 2, 36, nlb. 1, fotooffset. (Cegiełka na reprezentowanych 100 zł).
86. (Korwin-Mikke Janusz): *Do p. Lecha Wałęsy list otwarty*. (Warszawa 31, sierpień 1983 r.) Oficyna [Liberałów], str. nlb. 4, fotooffset.
87. Korwin-Mikke Janusz: *Historia i zmiana*. (Warszawa 1982, nakładem Oficyny Liberałów), str. nlb. 2, 118, fotooffset. (Na prawach rękopisu). [Cena 300 zł].
88. Kotulczyk Benedykt: *Wojsko w październiku 1956*. Warszawa 1983, Wydawnictwo Głos, str. 8, fotooffset z maszynopisu.

- Niniejszy tekst publikowany był wcześniej w miesięczniku „Głos” nr 5/40 z IX/X 1982 r.
89. Kowalski Wiktor: *Dziennik z obozu dla internowanych pisany od 28. XII. 1981 r. do 24. VII. 1982 r.* Areszt śledczy — Wrocław Zakład Karny — Wrocław ul. Kleczkowska — Zakład Karny — Nysa, Zakład Karny — Strzelce Opolskie, Zakład Karny — Nowy Łupków, Areszt Śledczy — Załęże k/Rzeszowa, Wojewódzki Areszt Śledczy — Kielce-Piaski. Wrocław 1983, Inicjatywa Wydawnicza Aspekt, str. 50.
 90. Krauze Andrzej: *Rysunki '82.* Warszawa 1983, Wydawnictwo CDN, str. nlb. 40, fotooffset. (Cena 80 zł). Zawiera 38 satyrycznych rysunków.
 91. Krynicki Ryszard: *Jeżeli w jakimś kraju. Wiersze i apele.* (Warszawa) 1983, Warszawska Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy [na okł.:] (Wydawnictwo Przedświt), str. 16, 2, il., powiel. (Cena 35 zł). Rysunki wykonał Andrzej Kraska.
 92. *Książeczka harcerska.* [Warszawa 1983, Niezależne Wydawnictwo Harcerskie], str. 30, nlb. 2, druk.
 93. Kuczyński Waldemar: *Solidarni i niepokonani.* Przedruk z „Aneksu” nr 29/30 1983 r. [Warszawa 1983], str. nlb. 2, 14, powiel. (Cena 30 zł).
 94. Kuśmierek Józef: *List otwarty do M[ieczysława] F. Rakowskiego.* Warszawa 1983, Niezależna Oficyna Wydawnicza S o ż, str. nlb. 2, 24, powiel.
 95. Kuśmierek Józef: *Polska a Zachód czyli czekanie pomocy.* [Warszawa] 1983, Wydawnictwo Przedświt, str. 91, nlb. 1, fotooffset (cena 230 zł).
 96. *Kwiecień miesiącem pamięci narodowej.* [Kraków (?) 1983, Wydawnictwo] Liberté, str. 6, powiel.
 97. Lamentowicz Wojciech: *Legitymizacja władzy politycznej w powojennej Polsce.* Warszawa 1983, Niezależna Oficyna Wydawnicza Transet, str. nlb. 2, 30, powiel. Przedruk z: „Krytyka” [nr] 13-14.
 98. Lida Z., Wilno A. [pseud.]: *Katyni 1940.* [Warszawa 1983], str. nlb. 2, 131, fotooffset, il., 2 plany. (Cena 300 zł). Przedruk z wydania 1981 r.
 99. Lwowiec Jacek: *Polski Lwów.* Warszawa [1983], Unia Nowoczesnego Humanizmu, str. nlb. 2, 63, fotooffset z maszynopisu. — „Zeszyty Historyczne” Nr 4.
 100. Łepkowski Tadeusz: *Myśli o historii Polski i Polaków.* Warszawa 1983, Wydawnictwo CDN, str. 70, fotooffset. (Cena 140 zł).
 101. Łepkowski Tadeusz: *Rewolucje polskie 1944-1982.* Warszawa 1983, str. 47, nlb. 1, powiel. (Cena 50 zł). Druk bez wiedzy i zgody autora. Jest to trzecia część książki pt.: *Myśli o historii Polski i Polaków.* Warszawa 1983, CDN.
 102. Łubieński Tomasz: *Pisane przedwczoraj.* [Kraków] 1983, Oficyna Literacka, str. 44, nlb. 1, fotooffset zmniejszony z maszynopisu. [Cena 60 zł].
 103. *Mały konspirator.* [Wyd. 2]. Warszawa 1983, Wydawnictwo CDN, str. nlb. 2, 29, nlb. 1, fotooffset z maszynopisu. (Cena 60 + 40 na Fundusz rozwoju podziemia).
 104. *Mały konspirator, poradnik dla dorosłych i młodzieży.* Lublin 1983, str. 24, tyt. okł., fotooffset. [Cena 50 zł]. — Biblioteka Informatora Regionu Środkowo-Wschodniego NSZZ Solidarność. Przedruk z wyd[ania] CDN.
 105. Marek Krystyna: *Jalta po latach.* (Przedruk z miesięcznika „Kultura”, Paryż 1982). [Warszawa 1983] (Wydawnictwo Głos), str. nlb. 2, 15, nlb. 3, fotooffset. (Cena zł 50).

106. *Marzec* [19]68. Sesja na Uniwersytecie Warszawskim 1981. [Warszawa 1983, Wyd.:] Nowa N (Niezależna Oficyna Wydawnicza) ON [= Oświata Narodowa], str. 66, nlb. 2, tyt. okł., fotooffset z maszynopisu. — Zeszyty Edukacji Narodowej — Dokumenty. Przedruk z publikacji wydanej w Warszawie przez Studencką Oficynę Wydawniczą w 1981 r. w nakładzie 1.000 egz.
107. Mecenias [pseud.]: *Prawo dla każdego.* [Lublin 1983] nakładem Wydawnictwa „Solidarność Narodu”, str. nlb. 12, 12, nlb. 2, powiel. (Cena 25 zł + 5).
108. Micewski Andrzej: *Kardynał Wyszyński prymas i mąż stanu.* Paris 1982, Société d'Éditions Internationales Éditions du Dialogue. [Przedruk: Polska 1982], str. 465, nlb. 6, fotooffset. [Cena 1.500 zł].
109. Micewski Andrzej: *Kardynał Wyszyński prymas i mąż stanu.* Tom I-II. Paris 1982, Société d'Éditions Internationales Éditions du Dialogue. [Przedruk: Warszawa 1983], str. 208 + 235, fotooffset.
110. (Michałczyk W.) [pseud.]: *Tezy o [Karolu] Marksie.* Skrypt dla szkół średnich i wyższych. (Wrocław, wrzesień 1982), str. nlb. 2, 11, fotooffset. [Cena 25 zł].
111. Michnik Adam: *List do gen. (Czesława) Kiszcza.* Warszawa 1983, Wydawnictwo CDN, str. 9, nlb. 2, powiel. Cena 20 zł.
112. Michnik Adam: *Listy z Białoteki.* (Warszawa 1983) [Wydawnictwo] Nowa Stara, str. nlb. 2, 65, fotooffset z maszynopisu. Przedruk z Wydawnictwa „Głos”.
113. Michnik Adam: *Rozmowa w Cytadeli.* Warszawa 1983 ***, str. 63, powiel. [Cena] (90 zł). Przedruk z kwartalnika „Krytyka” [Nr] 13-14, Warszawa 1983.
114. Mieszkowski Konrad: *[Trzeci] 3 Maja 1982 w Warszawie.* [Warszawa] 1982, [Wydawnictwo] CDN. Teka zdjęć.
115. Mieroszewski Juliusz: *Materiały do refleksji i zadumy.* Paryż 1976, Instytut Literacki. [Przedruk: Kraków], Krakowskie Towarzystwo Wydawnicze 1983, str. 255, nlb. 1, fotooffset.
116. Mieroszewski Juliusz: *Materiały do refleksji i zadumy.* Wybór. B.m.w. [1983], str. 87, nlb. 1, fotooffset. (Cena 100 zł).
117. Mikołajczyk Władysław: *Gwałt na Polsce.* (Tłumaczenie z angielskiego — praca zbiorowa przyjaciół Autora). Warszawa 1983, Wydawnictwo CDN, str. nlb. 6, 269, nlb. 1, fotooffset. (Cena 500 zł). Przedruk z: Wydawnictwo „Wici”, Chicago, Illinois 1981. Tyt. oryg.: *The Rape of Poland.*
118. Miłosz Czesław: *Prywatne obowiązki.* [Warszawa 1983], str. 62, tyt. okł., fotooffset z druku. (Cena 500 zł).
119. Miłosz Czesław: *O podboju.* — Lipski J[an] J[ózef]: *Etos Komitetu Obrony Robotników.* — Grudzińska-Gross Irena: *Manipulacje pod płaszczykiem.* Warszawa 1984, Wydawnictwo „Unia”, str. 31, nlb. 1, fotooffset. (Cena 50 zł). Przedruku dokonano bez zgody Wydawnictwa „Aneks”.
120. Młynář Zdeněk: *Perspektywy i konsekwencje „normalizacji” w Polsce.* Tłum. Tomasz Robiński. [Warszawa 1982 Wydawnictwo] CDN, str. nlb. 2, 19, fotooffset.
121. Młynář Zdeněk: *„Praska Wiosna” w świetle rządzących.* Łódź, sierpień 1982, nakładem oficyny „Szaniec”, str. 64, powiel.
122. Mósšég Ignati: *Moskwa dawna i dzisiejsza a narody podbite północno-wschodniej Europy.* Warszawa 1931, Wydawnictwo Instytutu Wschodniego. [Przedruk:] (Warszawa) [1983] (Unia Nowoczesnego Humanizmu), str. VII, nlb. 1, 172, nlb. 3, fotooffset. (Cena 600 zł).

123. Musiał Grzegorz: *Listy do brata*. [Warszawa] 1983, Warszawska Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy. (Wydawnictwo Przedświt), str. 15, nlb. 1, il., fotooffset z maszynopisu. Broszura zawiera 15 wierszy.
124. Nabokov Vladimir: *Unicestwienie tyranów*. (Poznań [1983?], Oficyna Literacka), str. 30, nlb. 2, portr., fotooffset. [Cena 50 zł].
125. Nadbystrzycki Jakub: *Listy ze strajku*. [Warszawa] 1983, Warszawska Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy. (Wydawnictwo Przedświt), str. 15, nlb. 1, il., fotooffset. Broszura zawiera 12 wierszy.
126. *Nie jedziemy do Moskwy* (opracował P. Rodel). Przedruk. B.m.w. [1982], str. nlb. 1, 54, nlb. 1, powiel. (Cena 100 zł).
127. Nowak Jan (Zdzisław Jeziorański): *Polska pozostała sobą*. Warszawa 1983, Wydawnictwo CDN, str. nlb. 8, 13-150, fotooffset. (Cena 300 zł). Przedruk z: Nowak Jan: *Polska pozostała sobą*. Londyn 1980, Polonia Book Fund. Ltd.
128. Nowak Jan: *Zamach na papieża*. [Warszawa 1983] (Wydawnictwo Głos), str. nlb. 1, 13, nlb. 2, fotooffset. (Cena 30 zł). Przedruk z miesięcznika „Kultura” nr 5/1983.
129. Nowak Leszek: *Antyrakowski czyli o tym co wygwizdali wicepremierowi robotnicy*. (Wyd. I, Wrocław 1983, Inicjatywa Wydawnicza Aspekt, str. 39, nlb. 1, fotooffset. Cena 50 zł).
130. Nowak Leszek: *Anty Rakowski czyli o tym co wygwizdali wicepremierowi robotnicy*. (Wydanie II. Warszawa 1983) Wydawnictwo (MPS) „Unia”, str. 40, fotooffset. (Cena 50 zł).
131. Nowakowski Marek: *Raport o stanie wojennym*. [Część] II. [Warszawa] 1983, Oficyna Pokątnych Edytorów Niezależnych, str. 7-92, fotooffset. Przedruk z wydania: Paryż 1983, Instytut Literacki.
132. Nowakowski Marek: *Zapiski na gorąco*. [Warszawa] (1983, Wydawnictwo Czarciwego Licha. Zakłady Graficzne X), str. 22, nlb. 2, fotooffset. [Cena] (zł 60). Przedruk z „Kultury”.
133. Nowakowski Tadeusz: *W bagażniku Jego Świątobliwości*. Londyn 1981, Polska Fundacja Kulturalna. [Przedruk: Warszawa 1982], str. nlb. 2, 7-132.
134. Orłowski Kazimierz: *Pustynia Gobi*. [Warszawa] Niezależna Oficyna Wydawnicza N[OWA] (1983), str. 167, nlb. 1, fotooffset z maszynopisu. (Cena 160 zł). Zawiera 16 opowiadań.
135. Orwell George [pseud.]: *Eseje*. Poznań 1983 [Wydawnictwo] (Głosy), str. 30, nlb. 2, fotooffset. — (Biblioteczka miesięcznika studenckiego „Głosy” [Nr] 2. (Cena zł 50).
136. Orwell George: *3 Eseje*. [Warszawa 1983] (Oficyna WE) [Wydawnictwo Enklawa], str. 48, fotooffset z druku. (Cena 105 zł). Zawiera 3 eseje tłumaczone przez Teresę Jeleńską: *Środki zapobiegawcze w literaturze; Lew i nosorożec; Raffles i panna Blandish*.
137. Orwell George: *(Rok) 1984*. Tłumaczył z angielskiego Juliusz Miroszewski. Instytut Literacki. Paryż 1953. [Przedruk: Warszawa 1983], str. 253, nlb. 3, fotooffset.
138. „Ostoja” [pseud.]: *Burza wotyńska. Wspomnienia cichociemnych*. 3. Warszawa 1983, str. 15, nlb. 1, fotooffset. (Cena zł 25).
139. *Oświata niezależna*. [Warszawa 1983] (Wydawnictwo Społeczne KOS) ON [Oświata Niezależna], str. nlb. 1, 11, fotooffset. (Cena 20 zł). Zawiera: Wywiad z Wiktorem Kulerskim: *Formy oświaty niezależnej*.

140. Pański Wacław (Jerzy Hoczer): *Z dziejów PPS 1944-1948*. B.m.w. [1948] Wolność Sprawiedliwość Niepodległość, str. 37, fotooffset. (Cena 50 zł). — Biblioteka W-S-N. Przedruk z „Krytyki” nr 4/1980 bez wiedzy i zgody autora i redakcji.
141. Perkal Jakub A.: *Życie polityczne w Polsce 1944-1948*. Warszawa 1983, Niezależna Oficyna Wydawnicza Nowa, str. nlb. 4, 7-31, nlb. 2, powiel. (Cena 50 zł).
142. Perl Janusz: *Od Stalina do Albina 1952-1983*. (Warszawa 1983, Unia), str. nlb. 2, 20, nlb. 2, powiel. (Cena 40 zł). Przedruk za: Oficyna Wydawnicza — „Piaś”, Łódź 1983.
143. Perl Janusz: „*Od Stalina do Albina*” 1952-1983 + *Satyra* + *Liryka* + *Teksty piosenek*. (Łódź 1983, Oficyna Wydawnicza — „Piaś”. Druk: Wrocław — Niezależna Agencja Informacyjna), str. nlb. 2, 17, nlb. 1, powiel. (Cena 90 zł).
144. Piłka Stanisław: *Dlaczego i jak wywołać wojnę?* Warszawa 1983, Oficyna Wydawnicza „Pokolenie”, str. 15, powiel., tyt. okł. (Cena 25 zł).
145. Piłka Stanisław: *Dlaczego i jak wywołać wojnę*. [Warszawa] (1982-1983, Biblioteka WSN), str. nlb. 2, 37, nlb. 5, powiel. (Cena 50 zł).
146. Piłka Stanisław: *Dlaczego i jak wywołać wojnę?* [Warszawa 1983], str. 8, tyt. nagł., fotooffset.
147. *Piosenki stanu wojennego*. Zeszyt Nr. 1. [Warszawa 1982, Wydawnictwo] (Unia), str. 22, powiel., tyt. okł. (Cena 50 zł).
148. Pius XI: *Encyklika Ojca Świętego Piusa XI Divini Redemptoris... Część I i II. O bezbożnym komunizmie*. [Warszawa 1983], Wydawnictwo Niezależność, str. 22, nlb. 2. (Cena zł 50). Przedruk z wyd.: Chełm Lubelski 1938.
149. *Polacy znad Wilii, Niemna, Narwi i Bugu w łagrach radzieckich w latach 1944-1947*. Relacje uczestników z Białegostoku. Warszawa [1983], Unia Nowoczesnego Humanizmu, str. nlb. 2, 37, fotooffset. — „Zeszyty Historyczne” Nr 67.
150. *Polska wobec stanu wojennego*. Warszawa 1982, Druk: „Ściana” WL44, str. 34, powiel. — Zespół Redakcji Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”. Raport 4.
151. Popper K[arl], Kisieliwski S[tefan]: *Czy teoria jest niewinna?* K. Popper, S. Kisieliwski o Marksie. B.m.w. 1983 (Wydawnictwo Arka) A, str. 22, nlb. 2, fotooffset z maszynopisu. (Cena 55 zł). Zawiera: Popper K.: Marks: *Teoria moralna historycyzmu*, str. 3-14. (Tłum. A. Waksman); Kisieliwski S.: *Czy teoria jest niewinna?* Przedruk tekstu K. Poppera z: „Społeczeństwo otwarte i jego urownień, rozdział 22; przedruk tekstu S. Kisieliwskiego z: „Aneks” nr 29/30 z 1983.
152. Powój [pseud.]: *Igraszki z Wroną*. (W drugą rocznicę wyklucia się WRON). Kraków 1983, Biblioteka „Obserwatora Wojennego”, str. nlb. 46, il. Broszura zawiera same karykatury z podpisami.
153. *Prezydium Zarządu Głównego zawieszono Związku Literatów Polskich*. Obywatel Gen. Czesław Kiszczak Minister Spraw Wewnętrznych za pośrednictwem Prezydenta M.st. Warszawy. *Odwwołanie*. [Lublin 1983], str. 20, tyt., nagł., powiel. jednostr.
154. *Prezydium Zarządu Głównego zawieszono Związku Literatów Polskich*. Obywatel Gen. Czesław Kiszczak Minister Spraw Wewnętrznych za pośrednictwem Prezydenta M.st. Warszawy. *Odwwołanie*. (Warszawa 1983, Druk: Niezależna Oficyna Wydawnicza „Nowa”), str. 16, tyt. nagł., fotooffset. [Cena 30 zł].
155. *Proces radia Solidarność* (24 stycznia - 17 lutego 83). [Warszawa]

- 1983 Niezależna Oficyna Wydawnicza, str. nlb. 4, 83, nlb. 3, powiel. [Cena] (160 zł).
Jest to 191-sza pozycja wydawnicza „Nowej”.
156. *Program Liberalów*. Wydanie II. Warszawa 1983, Oficyna Liberalów, str. 29, nlb. 3, fotooffset. — Wolność, równość, sprawiedliwość.
157. *Program NSZZ Solidarność uchwalony przez Krajowy Zjazd Delegatów*. Lublin 1983, str. nlb. 3, 34, fotooffset. (Cena 50 zł). — Biblioteka Informatora Regionu Środkowo-Wschodniego NSZZ Solidarność.
158. *Przeziennik częstotliwości. Zrób to sam. Z R[adiem] W[olna] E[uropa] na co dzień*. (Warszawa 1984) Wydawnictwo „Słowo”, str. nlb. 2, 8, nlb. 2, il., powiel. (Cena 20 zł).
159. Przemysław Grzegorz: *Syn a może sen*. [Wiersze]. Warszawa 1983, Wydawnictwo „Głos”, str. 46, nlb. 6, fotooffset.
160. *Reformy gospodarcze w europejskich krajach socjalistycznych*. [Warszawa 1983] (Wydawnictwo Społeczne KOS) ON [= Oświata Niezależna], str. nlb. 2, 31, nlb. 3, fotooffset z maszynopisu. (Cena 75 zł). — Zeszyty Edukacji Narodowej. Ekonomia.
161. *Reytan. Zarys historii VI liceum ogólnokształcącego imienia Tadeusza Reytana w Warszawie (lata 1956-1983)*. Z aneksem. [Opracowali:] B.E., K.N., L.N., N.R. Wydanie III. Warszawa 1984, Wydawnictwo Głos, str. nlb. 2, 28, nlb. 2, fotooffset. (Cena 80 zł).
162. Rood Artur: *Na strunach refleksji*. [Warszawa 1983, Wydawnictwo] (Unia), str. 19, powiel., tyt. okł. — Zeszyt Poezji Robotniczej Nr 1.
163. Rostworowski Tomasz Ojciec: *Zaraz po wojnie. Wspomnienia duszpasterza akademickiego z lat 1945-1950*. [Lublin-Kraków-Warszawa] 1982 (Wydawnictwo „Spotkania”), str. IV, 20, nlb. 36, powiel. [Cena 120 zł]. — Biblioteka Spotkań.
164. Rymkiewicz Jarosław Marek: *Ulica Mandelsztama i inne wiersze z lat 1979-1983*. Kraków 1983, str. 23, nlb. 1, fotooffset z maszynopisu.
165. Rzepecki Jan: *1945. Dokumenty. Wspomnienia*. Warszawa 1983, Wydawnictwo * In Corpore *, str. 27, fotooffset z maszynopisu.
166. *Siedem dni wolności*. (Warszawa 1983, Społeczne Wydawnictwo Niezależne), str. 50, nlb. 2, powiel., tyt. okł. [Cena 120 zł].
Druga wizyta Jana Pawła II w Polsce.
167. Sipowicz Kamil: *Tajemnicze dzieje pierwiastków czyli poemat kopalno-roślinno-zwierzęcy*. [Warszawa] 1983, Warszawska Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy (Wydawnictwo Przedświt), str. 22, nlb. 1, il., fotooffset. [Cena 60 zł].
168. Skałuba Tadeusz: *IV — rozbiór Polski*. Warszawa [1983], Unia Nowoczesnego Humanizmu, str. nlb. 2, 74, mapy, fotooffset. [Cena 300 zł]. — Wolni z Wolnymi — Równi z Równymi.
169. (Sokołowski Jerzy mjr. pseud. „Mira”, Pilch Adolf por. pseud. „Góra”): *Sprzymierzeńcy. Wspomnienia cichociemnych*. 2. Warszawa 1983, str. 20, powiel. (Cena zł 40).
Fragment książki: *Drogi Cichociemnych*. Londyn 1954.
170. *Solidarność w stanie wojennym, wybór dokumentów*. Warszawa 1983, Centrum Dokumentacji i Analiz Tymczasowa Komisja Koordynacyjna Lech Wałęsa, str. nlb. 32, fotooffset. (Cena 70 zł). — (Zeszyt CD i A nr 1. Solidarność).
171. Sowiński Ludwik: *Tolerancja a odpowiedzialność*. [Warszawa 1983] ON [Oświata Niezależna] (Wydawnictwo Społeczne KOS), str. nlb. 1, 34, nlb. 1, fotooffset. (Cena 75 zł). — Zeszyty Edukacji Narodowej. Filozofia.
172. *Spojrzenie z drugiej strony*. Przedruk z Wydawnictwa Głos. Warszawa-Gdańsk (1983 Biblioteka Reduty), str. nlb. 2, 37, powiel. [Cena 70 zł].

173. Stanisław Andrzej [pseud.]: *Monologi*. Wyd[anie] I. Warszawa 1983, Oficyna Liberalów, str. 34, nlb. 2, fotooffset. [Cena 60 zł].
174. Steinsbergowa Aniela: *Proces KSS KOR — refleksje i analogie*. Warszawa 1983, Wydawnictwo CDN, str. 53, nlb. 2, powiel. (Cena 100).
Druk bez wiedzy i zgody autorki.
175. Surdykowski Jerzy: *Notatki gdańskie*. Warszawa 1983, Wydawnictwo Krąg, str. nlb. 2, 185, nlb. 2, fotooffset.
Przedruku dokonano za zgodą wydawnictwa „Aneks”.
176. Swianiewicz Stanisław: *Lenin jako ekonomista*. Poznań 1983, Wyd. „Głos”, str. 15, nlb. 1, fotooffset. [Cena 30 zł] — [Biblioteczka miesięcznika studenckiego „Głosy” Nr] 3.
177. Swianiewicz Stanisław: *W cieniu Katynia*. Warszawa 1983, Wydawnictwo Krąg, str. nlb. 4, 7-359, nlb. 1, fotooffset.
Przedruk z: Instytut Literacki. Paryż 1976; Wydanie krajowe: Niezależna Oficyna Wydawnicza, 1981.
178. *Sytuacja związków zawodowych w PRL*. Polska [Warszawa] maj 1983 (Wydawnictwo Społeczne) KOS, str. nlb. 2, 26, fotooffset. — Komitet Helsiński w Polsce. Zeszyt Nr 1.
179. Szałamow Warłam: *Opowiadania kołymskie*. Tłum. Natalia Niemeńska i Michał Liniewski. Warszawa 1983 ***, str. 91, nlb. 1, powiel. [Cena] (130).
Wstęp: Michał Heller. Opowiadania zaczerpnięto z „Pulsu” nr 11/12.
180. Szewc Piotr: *Swiadectwo* [Warszawa 1983], Warszawska Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy (Wydawnictwo Przedświt), str. 12, fotooffset. [Cena] (25 zł).
Druk bez wiedzy i zgody autora. Wiersze.
181. Szpotański Janusz: *Szmaciak w mundurze*. Cz[ęść]1: *Wojna pcimska*. [Warszawa] 1983, Niezależna Oficyna Wydawnicza N[owa], str. 44, il., fotooffset. [Cena 150 zł].
182. Szymanek Antoni *pseud.]: *Kłeski wojenne*. [Warszawa] 1983, Warszawska Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy (Wydawnictwo Przedświt), str. 16, il.
Opracowanie graficzne — J. Pulwa.
183. *Śpiewnik z wojny polsko-jaruzelskiej, cz[ęść] II*. [Lublin 1982], str. nlb. 1, 19, powiel.
184. *Śpiewnik z wojny polsko-jaruzelskiej cz[ęść] II*. [Lublin: Wydawnictwo] Solidarność. (Drukarnia polowa: KOS 44 WL — 13 kwietnia 1983 r.), str. 12, il.
185. Taylor M.: *Orwell: nowomowa — prawda i poezja*. B.m.w. [1983], str. 20, tyt. nagł., powiel. jednostr.
186. Terlecki Marian: *Poszukiwany*. [Warszawa 1983], Wydawnictwo Przedświt, str. 79, fotooffset. [Cena 190 zł].
187. *Testament Polski Walczącej*. (Rada Jedności Narodowej do Narodu Polskiego i do Narodów Zjednoczonych). [Warszawa 1983], str. 16, fotooffset z maszynopisu. (Cena 30 zł + 15 zł kolp.).
Przedruk odezwy z 1 lipca 1945 r. wydanej konspiracyjnie w PRL.
188. Tischner Józef ks.: *W kręgu filozofii pracy*. Kraków (1983), str. 91, fotooffset. — Biblioteczka Służby Liturgicznej Nr 19.
Projekt okładki Grzegorz Regulski. Do użytku wewnętrznego.
189. Tomaszewski B[olestaw], Węgierski J[erzy]: *Zarys historii lwowskiego obszaru ZWZ-AK*. (Warszawa 1983, Wydawnictwo) Przedświt, str. 74, fotooffset.
Na okł. tytuł.: Lwowska AKa.
190. Unger Leopold: *Mój anty-raport o stanie wojennym*. Warszawa 1983, str. 14, nlb. 2, fotooffset. (Cena 25 zł).
Przedruk z: „Kultura” nr 6/1983, Paryż.

191. Unger L[eon]: *Mój anty-raport o stanie wojennym*. [Warszawa 1983, Wydawnictwo] Pershing, str. nlb. 1, 13, nlb. 2, fotooffset. (Cena 35 zł).
Przedruk z: „Kultura” nr 6/1983, Paryż.
192. Wańkiewicz Melchior: *Ostatnie chwile grupy gen. [Władysława] Andersa*, fragment książki: *Wrzesień zagwiący*. [Warszawa] (1983) Wydawnictwo „V” [Victoria], str. 31, nlb. 1, fotooffset. (Cena 40 zł).
193. Wasilewski Antoni: *Zarys dziejów Wileńskiej Chorągwi Harcerzy*. Wydanie I. Warszawa 1983, Niezależne Wydawnictwo Harcerskie we współpracy z wydawnictwem „Unia”, str. 112, fotooffset z maszynopisu.
194. Wierzbicki Piotr: *Z nadzieją albo i bez*. (Warszawa 1983, Wydawnictwo „Głos”), str. 20, fotooffset. (Cena zł 70).
195. Wierzyński Kazimierz: *Czarny polonez*. [Warszawa 1983], Wydawnictwo „Słowo”.
196. *Wolna poczta internowanych*. Warszawa 1983. Teka o wymiarach 12,3 × 22,6 cm zawierająca 25 reprodukcji kolorowych kart o rozmiarach 10,8 × 15,2, które były wydane w obozach internowanych: Białoleka, Uherce, Nysa i Grodków.
197. Wolska Kalina: *Jednak żyje*. [Warszawa 1982, Wydawnictwo] (Unia), str. nlb. 2, 11, nlb. 2, powiel. (Cena zł 30). — Zeszyt Poezji Robotniczej Nr 2. Zawiera 18 wierszy.
198. Wolski Witold: *KOR. Ludzie, działania, idee*. Warszawa 1983, Niezależna Oficyna Wydawnicza, str. nlb. 4, 90, fotooffset, tabl. 8. (Cena 90 zł).
Tekst ten przygotowany został przez Wydawnictwo Norma.
199. Woroszyński Wiktor: *Dziennik internowania grudzień 1981 - luty 1982, Białoleka - Jaworze*. Warszawa 1983, [Wydawnictwo] Zbroja, str. 18, powiel. Wiersze.
200. Wrońska Anna, Wroński Tytus: *Głos ulicy*. Warszawa 1982, Wydawnictwo „Głos”, str. nlb. 6, tabl. fotograficznych 55.
Album zdjęć z okresu stanu wojennego.
201. *Wszystkiego najlepszego w nowym roku życzą: uron, pron i „nowe związki”*. Warszawa [styczeń] 1983 *WN*, str. 34, nlb. 1.
Album karykatur.
202. *Wyrok na Sierpień* [1980] Dokumentacja przebiegu procesu Władysława Frasyniuka przed sądem wojewódzkim we Wrocławiu w dniach 15-24 listopada [19]82. Opracował Andrzej Łaszcz. [Warszawa] 1983, Inicjatywa Wydawnicza Aspekt, str. nlb. 2, 232, fotooffset z maszynopisu. (Cena 320).
Na okł. tytuł: *Wyrok na Sierpień. Pełny zapis procesu Wł. Frasyniuka*.
203. XYZ: *Mniejsze zło*. [Wiersze] XII. 1981 - VI. 1982. Solidarnym... Warszawa 1982, str. 44, fotooffset z maszynopisu.
204. *Zapraszamy do ZOOMo*. Warszawa 1983 (Młodzieżowa Spółdzielnia Wydawnicza), str. nlb. 32, il., fotooffset.
Broszura zawiera same karykatury.
205. Zaremba Paweł: *Historia dwudziestolecia (1918-1939)*. Tom I. Warszawa 1983, Wydawnictwo Przyszłość WRN. (Do druku przygotował Aleksander Lefana), str. 248, fotooffset z maszynopisu. [Cena] (zł 250).
Przedruk z wydania Biblioteki „Kultury”, tom 333, Instytut Literacki, Paryż 1981.
206. Zaremba Paweł: *Rok 1920*. Warszawa 1983, str. 39, nlb. 1, fotooffset z druku. (Cena 70 zł). [Tomik] 5.

- Fragment z książki P. Zaremby: *Historia dwudziestolecia 1918-1939*. Instytut Literacki, Paryż 1981.
207. ... *Zerwij kajdany połam bat*. Wrocław 1983, Oficyna Myśli Niezależnej, str. 15, nlb. 1, fotooffset z maszynopisu. (Cena 30.— + 5.— na fundusz wydawnictwa).
Zawiera 11 pieśni patriotycznych, m.in. Hymn „Solidarności” i Rota „Solidarności”.
208. *Zestrzelenie samolotu (południowokoreańskiego)*. [Warszawa 1983], Wydawnictwo „Słowo”, str. nlb. 2, 22, nlb. 4, mapy, il., powiel.
209. *Zeszyt poezji robotniczej No 3*. [Warszawa 1983] (Unia), str. nlb. 2, 26, nlb. 2, fotooffset z maszynopisu.
Broszura zawiera 38 wierszy.
210. *Zeszyt poezji robotniczej No 4*. Piotr Szary [: Wiersze. Warszawa 1983] (Unia), str. nlb. 2, 11, nlb. 3, powiel. (Cena 25 zł).
Broszura zawiera 11 wierszy.
211. *Zeszyty Literackie 3*. Paryż, lato 1983. [Przedruk: Warszawa 1983] (Oficyna Wydawnicza No 2), str. 118, fotooffset. [Cena zł] (340).
212. *Zeszyty Literackie 4*. Paryż, jesień 1983. [Przedruk: Warszawa 1983] (Oficyna Wydawnicza No 2), str. 167, nlb. 1, fotooffset. [Cena zł] (340).
213. *Zeszyty Literackie 4*. Paryż jesień 1983. [Przedruk: Warszawa 1983], str. 167, nlb. 1, fotooffset.
Format zmniejszony.
214. Zinowiew Aleksander: *My i Zachód*. Kraków 1983, Biblioteka Promienistych, str. 46, nlb. 2, fotooffset. (Cena 50 zł).
Tyt. oryg.: *My i zapad*. Lausanne 1981. Tłum. sporządzone dla „Biblioteki Obserwatora Wojennego”, od której pochodzi notatka o autorze.
Rozdział pt.: *Opozycja w społeczeństwie komunistycznym* przedrukowany z: „Kultura” nr 6/1979, Paryż.
215. Zinowiew Aleksander: *Postępy sowytyzacji*. Wybór z tomu *My i Zachód*. Warszawa 1983, str. nlb. 2, 25, nlb. 1, fotooffset. (Cena 50 zł).
216. Zencykowski Tadeusz: *Geneza WiN [Wolność i Niepodległość]*. Warszawa 1983, [Wydawnictwo] 7, str. 22, nlb. 2, fotooffset.
Przedruk z: Wydawnictwo „Głos”, 1981. Fragment książki *Dramatyczny rok 1945*.
217. Żeromski Stefan: *Na probostwie w Wyszowie*. Warszawa 1983, (Wydawnictwo IKZD), str. nlb. 2, 12, nlb. 2, fotooffset. (Cena 30).

KASETY MAGNETOFONOWE

218. Audycja Jana Galla — *Bojkot*. [Warszawa] 1983, Niezależna Oficyna Wydawnicza. Nowa kasetka 004, cena 700 zł.
219. Bratkowski Stefan: *Gazetka dźwiękowa Bratkowskiego Stefana*. Cz. II. [Warszawa 1983], cena 600 zł.
220. Bratkowski Stefan: *Gazetka dźwiękowa Bratkowskiego Stefana*. Cz. II. [Warszawa 1983], cena 600 zł.
221. Gall Jan: *Ekstrema*. Warszawa 1983, Wydawnictwo CDN 04.
222. Gintrowski Przemek: *Pamiętki*. [Warszawa] 1983, Niezależna Oficyna Wydawnicza Nowa, kasetka nk 008, cena 700 zł.
223. Gintrowski Przemysław: *Pamiętki 1863-1983*. Warszawa 1983, Wytrwałość. Cena 600 zł, przegranie 100 zł.
Zawiera teksty: Z. Herberta, J. Kaczmarskiego, M. Tercza. Muzyka: P. Gintrowski, Z. Łapiński.
224. *Idą pancry*. [Warszawa] 1983, Niezależna Oficyna Wydawnicza Nowa, kasetka 005, cena 700 zł.

225. Kaczmarek Jacek: '82. Warszawa 1982, Wydawnictwo CDN.
226. Kelus Jan Krzysztof: *Piosenki ze starej kasety [1968-1977]*. Warszawa 1982, Wydawnictwo CDN. Cena umowna 500 zł.
227. Kelus Jan Krzysztof: *Z nieskończoną wciąż piosenką*. Warszawa 1982, Wydawnictwo CDN.
228. Kleyff Jacek: *Dokąd to, obywatelu?* Warszawa 1983, Wydawnictwo CDN. Zawiera 17 piosenek.
229. Nowakowski [Marek] & Kelus [Jan Krzysztof]: *Raport o stanie wojennym*. [Warszawa] 1983. Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA, [kaseta] nk 003, cena 600 zł + 50 zł.
230. *Obóz Gołdap*. [Warszawa 1983], cena 600 zł.
231. *Pielgrzym trudnych chwil [Jan Paweł II]. Odzyskać godność...* [Warszawa] 1983, Niezależna Oficyna Wydawnicza Nowa, kaseta 009, cena 700 zł.
232. *Pielgrzym trudnych chwil*. Reportaż Jana Galla, cz. II: *Odzyskać nadzieję*. [Warszawa] 1983, Niezależna Oficyna Wydawnicza Nowa, kaseta 010, cena 700 zł. 16-23. VI. 1983. II Pielgrzymka Jana Pawła II do Ojczyzny.
233. *Piłsudski*. [Warszawa] 1983, Niezależna Oficyna Wydawnicza Nowa, kaseta 012, cena 700 zł. Zawiera: 1. Kazimierz Wierzyński: *Manewry strzeleckie*. 2. Stanisław Baliński: *Rozmowa (fragment)*. 3. Jan Lechoń: *Piłsudski (fragment)*. 4. Kazimierz Wierzyński: *Rozmowa z Baryką*. 5. Kazimierz Wierzyński: *Victoria (fragment)*. 6. Julian Tuwim: *Piłsudski*. 7. Kazimiera Hłakowiczówna: *O wiernym żołnierzu*. 8. Kazimierz Wierzyński: *Wawel*.
234. *Piosenki wojenne 07 zgłoś się...* Wszystkie teksty bez wiedzy i zgody autorów.
235. *Polski sierpień*. [Warszawa] 1983, Niezależna Oficyna Wydawnicza Nowa, kaseta 006, cena 700 zł.
236. *Pomiędzy przeszłością a przyszłością...* [Śpiewa] Piotr Szczepanik. Warszawa 1983, „Wyrwałość”, cena 600 zł, przegranie 100 zł.
237. *Przywracanie porządku*. Audycja Wydawnictwa „Wyrwałość”, cena 600 zł.
238. *Strzebielinę*. Piosenki internowanych, nagranie z obozu. Warszawa 1983, Wydawnictwo CDN.
239. „... Za pieniądze”.
240. *Zielona wrona*. Obozowe piosenki z Łupkowa i Gołdapi. [Warszawa] 1982, Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA, kaseta nk 001.
241. *Kabaret? Płonica Pod Baranami*. [Warszawa 1983] Wydawnictwo „Wyrwałość”, KW 005, cena 600 zł.

UZUPEŁNIENIA

242. Anonim: *Sceny z Grotgerem i inne wiersze*. Rysunki Macieja Cichockiego. [Warszawa] 1984, Warszawska Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy. (Wydawnictwo Przedświt), str. 36, il., fotooffset. (Cena 90 zł).
243. Bartnicki Zdzisław: *Kryzys gospodarczy w PRL*. B.m.w. [1983], Księgarnia Nasza, str. nlb. 2, 39, nlb. 3, fotooffset. (Cena 90 zł). Przedruk z: „Kultura” nr 11/1983.
244. *Jan Paweł II w Warszawie 16 i 17 czerwca 1983 r.* 20 zdjęć [w obwolucie] cm 18,3 × 13, cena zł 500.
245. Korund Gustaw: *Noc grudniowa. Opowieść wigilijna w pięciu aktach z prologiem, introdukcją i zakończeniem*. Rzecz napisana w drugiej

- połowie grudnia 1981 roku i w styczniu 1982 roku. Warszawa 1983 (Niezależna Oficyna Wydawnicza Nowa), str. 57, nlb. 1, fotooffset. (Cena zł 130).
246. Mayer Marek: *Kilkanaście wierszy*. Rysunki: Junosza. [Warszawa] 1984, Warszawska Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy. (Wydawnictwo Przedświt), str. 20, fotooffset.
247. *Obserwator Wielkopolski. Aneks 2/83. Poznań [19]’83* Wydawnictwo O.W. [Obserwator Wielkopolski], str. nlb. 2, 33, powiel. Zawiera: *Od redakcji*; Mieroszewski Juliusz: *Wariant sytuacyjny drugi*; Kisielewski Stefan: *Czy geopolityka straciła znaczenie?*; Timur: *Niemcy*; PPN: *Niemcy a Polska*.
248. Oryszyn Zyta: *Madam Frankensztajn*. [Warszawa] 1984 (Wydawnictwo Przedświt), str. 52, il., fotooffset. (Cena 130 zł). Druk bez wiedzy i zgody autorki.
249. Pawlak Antoni: *Zmierzch i grypsy*. [Warszawa] 1984, Warszawska Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy. (Wydawnictwo Przedświt), str. 19, nlb. 1, il., fotooffset. (Cena 50 zł). Tom został przygotowany i zilustrowany przez redakcję „Wydma”. Druk bez wiedzy i zgody autora.
250. Popiel Karol: *Generał Sikorski w mojej pamięci*. Warszawa 1983, Ośrodek Dokumentacji i Studiów Społecznych. [Przedruk: Warszawa, styczeń 1984, inicjatywa prywatna], str. 174, nlb. 2, tabl. 8, fotooffset.
251. *Stan zawieszony czyli „chwijna stabilizacja nad samym dnem”*. (Szczecin, styczeń 1984, Ośrodek Badań i Prognoz. Drukarnia im. J. Palacha. Printed in Underground), str. nlb. 2, 20, nlb. 2, fotooffset. (Cena 60 zł).
252. Villemarest de, P.F.: *Dostawcy gułagów*. (Warszawa [19]’83, Oficyna Niezależnych), str. nlb. 2, 222, fotooffset. (Cena 550 zł).
253. Waniek Henryk: *Dziady berlińskie*. [Warszawa] 1984, Warszawska Oficyna Poetów i Malarzy. (Wydawnictwo Przedświt), str. 105, nlb. 3, il. [autora], fotooffset. [Cena] (270 zł).

Nadesłane nowości wydawnicze

- Tola Korian, artystka słowa i pieśni. *Wspomnienia*. Str. 167 i 1 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1984).
- MIĄZEK (Bonifacy). *Wiersze*. Str. 42 i 2 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1984).
- TYSZKA (Leon). *Sukcesy i klęski jednego życia*. Str. 118 i 2 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1984).
- BROŻ (Adam). *Rzym — Watykan. Przewodnik*. Str. 287 i 1 nlb. (Wyd. Edizioni Plurigraf, Rzym 1982).
- PAPORISZ (Romuald). *Szarą godziną. Wesole i melancholijne opowiadania*. Str. 190 i 2 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1984).
- SUSKI (Julian). *W służbie publicznej na dwóch kontynentach*. Str. 264 i 6 nlb. (Wyd. Century Publishing Company, Toronto 1982).
- RITTERMAN-ABIR (Henryk, dr). *Nie od razu Kraków zapomniano*. Str. 192. (Wyd. Tirosh Ltd., Israel 1984).
- PAWLICA (Jarosław). *Ab i inne wiersze*. Str. 59. (Wyd. nakładem Autora, Paryż 1984).
- Wiadomości P.O.S.K.* nr 32, kwiecień 1984. Str. 70. (Wyd. POSK, Londyn 1984).

- Związek Narodowy Polski. *Zarys historyczny 1930-1983*. Opr. M. Brodzka. Str. 238 i 2 nlb. Historia ZNP w Kanadzie. (Wyd. ZNP w Kanadzie, Toronto - Ontario 1984).
- Starý Testament. *Historia Zbawienia*. Str. 478 i 2 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1983).
- POTOCKA (Maria Małgorzata). *Z moich wspomnień*. Pamiętnik. Str. 510 i 2 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1983).
- LEMIEŚZ WAWRZYŃKIEWICZ (Józef). *Trzy pokolenia*. Str. 160. (Wyd. w Melbourne, 1984).
- BARTOSZEWSKI (Władysław). *Dni walczącej stolicy. Kronika Powstania Warszawskiego*. Str. 377 i 5 nlb. (Wyd. „Aneks”, Londyn 1984 / „Krag”, Warszawa 1984, cena £ 7,00).
- Krytyka nr 13-14. Str. 303 i 1 nlb. (Wyd. „Aneks”, Londyn 1984, przedruk podziemnego wydania krajowego, cena £ 4,00).
- PAWLUCZUK (Andrzej W.). *Rozbiory (eseje o literaturze)*. Str. 183 i 1 nlb. (Wyd. Więź, Kraków 1983, cena zł 300).
- W obliczu wojny. *Z prasy polskiej 1939 roku*. Wybór i opr. redakcji miesięcznika „Znak”. Str. 337 i 3 nlb. (Wyd. „Znak”, Kraków 1984, cena zł 260).
- HELLER (Michał). *Usprawiedliwienie wszechświata*. Str. 107 i 5 nlb. (Wyd. „Znak”, Kraków 1984, cena zł 100).
- WOLF POWĘSKA (Anna). *Polityczne i filozoficzne nurty konserwatyzmu w Republice Federalnej Niemiec*. Str. 243 i 1 nlb. (Wyd. Instytut Zachodni, Poznań 1984, cena zł 150).
- KORZENIEWSKI (Bohdan). *Wizyta u Craiga*. (Nadbitka z „Pamiętnika teatralnego”, zes. 2/126, 1983, str. 155-166, wyd. PAN-Osolineum, Warszawa 1983).
- BACZKO (Bronisław). *Les imaginaires sociaux. Mémoires et espoirs collectifs*. Str. 242 i 10 nlb. (Wyd. Payot, Paryż 1984, cena Frs 100).
- KAPLAN (Karel). *Persécution politique en Tchécoslovaquie entre 1948-1972*. Str. 56. Zeszyt 3 serii „Les crises des systèmes de type soviétique”, wyd. INDEX, Kolonia 1983).
- SOMHOR (Lubomir). *Contribution à l'analyse des traits conservateurs de l'idéologie du „socialisme réel”*. Str. 45 i 3 nlb. (Zeszyt 4 serii „Les crises des systèmes de type soviétique”, wyd. INDEX, Kolonia 1983).
- Cultures and Writers. A Cultural Dialogue of Ethnic Writers*. Opr. Yvonne Grabowski. Str. 51 i 3 nlb. (Wyd. Multiheritage Community Alliance of Toronto, 1983).
- NORWID (Cyprian Kamil). *The Stigma*. Przeł. na angielski Gerard T. Kapolka. (Nadbitka z *The Polish Review* nr 4/vol. XXVIII/1983, str. 45-66, wyd. Polish Institute of Arts and Sciences of America).
- KAPOLKA (Gerard T.). *The Three Major Transformations of Wyspiński's „Wesele”*. (Nadbitka z *The Polish Review*, j.w.).
- ŚWIĘTOCHOWSKI (Tadeusz). *National Consciousness and Political Orientations in Azerbaijan, 1905-1920*. W: *Transcaucasia. Nationalism and Social Change. Essays in the History of Armenia, Azerbaijan, and Georgia*. Str. 209-232. (Wyd. University of Michigan, East European Series nr 2, Ann Arbor 1983).
- Human Rights Internet Reporter*, vol. 9, nr 3, December 1983 - February 1984. Str. 508. (Wyd. Human Rights Internet, Waszyngton 1984).
- LEWYTYZKYJ (Borys). *Politics and Society in Soviet Ukraine 1953-1980*. Str. 219 i 3 nlb. (Wyd. Canadian Institute of Ukrainian Studies, University of Alberta, Edmonton 1984).
- Poetica slavica. Studies in Honour of Zbigniew Folejewski*. Opr. J. D. Clayton i G. Schaarschmidt. Str. 226 i 2 nlb. (Wyd. University of Ottawa Press, Ottawa 1981).

- FOLEJEWSKI (Zbigniew). *Futurism and its Place in the Development of Modern Poetry. A Comparative Study and Anthology*. Str. 288 i 4 nlb. (Wyd. University of Ottawa Press, Ottawa 1980).
- POMIAN-SRZEDNICKI (Maciej). *Religious Change in Contemporary Poland: Secularization and Politics*. Str. 226 + 2 nlb. + 14 i 2 nlb. (Wyd. Routledge and Kegan Paul, Londyn-Boston-Melbourne i Henley, 1982).
- Ignacy Jan Paderewski. 1860-1941. *A Biographical Sketch and a Selective List of Reading Materials*. Opr. Janina W. Hoskins. Str. 32. (Wyd. Library of Congress, Waszyngton 1984).
- Que le vent tourne! / Wende den Wind!* Francusko-niemiecki zbiór wierszy współczesnych poetów polskich. Tłum. Lucienne Rey. Str. 115 i 1 nlb. (Wyd. Maurice Moureaux, Hamburg 1984).
- STROBEL (Georg W.). *Die deutsche Polenfreundschaft 1830-1834: Vorläuferin des organisierten polnischen Liberalismus und Wetterzeichen des Vormärz*. (Nadbitka z *Die deutsch-polnischen Beziehungen 1831-1848: Vormärz und Völkerfrühling*. Str. 126-147).
- DRABIK (Grażyna), FERNANDES (Rubem César). *Polonia: o partido, a igreja, o Solidariedade*. Str. 347 i 1 nlb. (Wyd. Editora Marco Zero, Rio de Janeiro, Brazylia 1984).
- HUMENNA (Dokija). *Mynule płwe w Pryjdesznje. Rozpowid' pro Trypilla*. Str. 384. (Wyd. Ukraińska Wolna Akademia Nauk, Nowy Jork 1978).
- HUMENNA (Dokija). *Dity czumaćkoho szlachu*. Tomy 1-4. Powieść. Tom 1-2 — str. 196 i 4 nlb., tom 3-4 — str. 247 i 3 nlb. (Wyd. Naukowo-dosлідne towarzystwo ukraińskiej terminologii, Nowy Jork 1983).
- HUMENNA (Dokija). *Niebesnyj zmij*. Str. 262 i 10 nlb. (Wyd. Naukowo-dosлідne Towarzystwo Ukraińskiej Terminologii, Nowy Jork 1982).
- KRAMAR (Ewhen). *Doslidzennia z istorii Ukrainy*. Str. 187 i 1 nlb. (Wyd. „Smołskyp”, Toronto-Baltimore 1984).
- KOSTIUK (Hryhorij). *Na magistralach doby. Stati na suspilno-polityczni temy*. Str. 292 i 4 nlb. (Wyd. „Smołskyp”, Toronto - Baltimore 1983).

KOMUNIKAT

Mgr praw Władysław Michniewicz, zamieszkały w Buenos Aires 1062 calle Juncal 655, wypłaci 300 dolarów USA na grody temu, kto PIERWSZY i w TERMINIE do 15 października bież. roku dostarczy do rąk Redakcji *Kultury* dowodów, kto jest naprawdę autorem wydanego po angielsku, pod pseudonimem Geoffrey Bailey, dzieła pt. „The Conspirators”. Dzieło to było drukowane dwukrotnie: po raz pierwszy w roku 1960 w Nowym Jorku w wyd. Harper and Brothers, a po raz drugi — w roku 1961 w Londynie w wyd. Victor Gollancz Ltd.

KRAJ — BLOK WSCHODNI

26-4-84

Wrocławska „Solidarność walcząca” wydała ulotkę w języku rosyjskim i ukraińskim, nawołującą do zorganizowania ruchu robotniczego w Europie Wschodniej. Ulotka została przerzucona w dużych ilościach do Związku Sowieckiego. ■ „Solidarność pracowników wydawnictw” przyznała doroczną nagrodę literacką Adamowi Michnikowi za książkę pt. „Ugoda, praca organiczna, myśl zaprzeczna”, wydaną przez NOWĄ w 1983 roku. Nagroda wynosi zł 25.000.

4-5-84

Wileński *Czerwony Sztandar* zamieścił wypowiedź Wojciecha Żukrowskiego przewodniczącego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Podajemy ważniejsze fragmenty: „Zawsze pociąga mnie Związek Radziecki. Od waszych ludzi, od waszego kraju jakby wdychasz uczucie siły. A jest to nam teraz szczególnie potrzebne. Znajdujemy się pod stałym 'obstrzałem' z Zachodu i potrzebne jest nam ramię przyjaciela. Gdy jesteśmy razem, stanowimy siłę... Bez waszej pomocy niemożliwych byłoby 40 lat pokoju. Jest to fundament, na którym budujemy swoją przyszłość... Grupa literatów polskich, do której należałem, wzięła udział w podróży do miast: Moskwy — Wilnius — Mińska — Kijowa i znowu wróciła do Moskwy. Trasę tę można obrazowo mówiąc nazwać złotą obrączką, którą wkłada się w dniu wesela na rękę. Ale ta obrączka ujmując serca symbolizuje coś większego i donioślejszego... Wyjeżdżam z pragnieniem opowiedzenia o wszystkim, co widziałem, przyjaciółom w kraju, wszystkim Polakom... Pragnę aby słowo wdzięczności pisarzy wydawało się moim rodakom tysiącem bratnich rąk wyciągających się w naszą stronę...”

7-5-84

Zmarł w Warszawie w wieku 79 lat Kazimierz Rusinek, był on ministrem Pracy i Opieki Społecznej, wiceministrem Kultury i Sztuki oraz wiceprezesem ZBOWiD-u. ■ W czasie tegorocznych wakacji letnich 45 tys. dzieci i młodzieży polskiej spędzi dwa tygodnie na koloniach w Czechosłowacji.

9-5-84

OŚWIADCZENIE ŻONY ADAMA MICHNIKA

Podczas widzenia z mężem dn. 9. V zostałam upoważniona do złożenia następującego oświadczenia:

Adam Michnik odmawia udziału w toczących się w Areszcie Śledczym rozmowach w sprawie warunków zwolnienia 11-tu więźniów politycznych. Stoi na stanowisku, że więzień nie może negocjować. Po dwu i pół letnim okresie bezzasadnego więzienia domaga się albo bezwarunkowego zwolnienia albo procesu sądowego. Jednocześnie informuje, że w związku z toczącymi się rozmowami był pozbawiony widzeń z obrońcami, rodziną i paczek, a za odmowę spotkania się z przedstawicielami ONZ-u został ukarany przez władze więzienne 14 dniami kabaryny.

Barbara SZWEDOWSKA

18-5-84

W Warszawie odbyło się doroczne seminarium dla księży i siostr zakonnych wyjeżdżających do pracy wśród Polonii i na misje zagraniczne. Seminarium ma na celu zapoznanie duchownych z problematyką krajów ich przyszłej działalności, jak również pogłębienie aktualnych zagadnień PRL. O ile nam

wiadomo analogiczne seminaria nie są organizowane przez hierarchię kościelną.

25-5-84

Zmarł w łagrze w Permie wybitny działacz ukraiński Ołeksa Tichyj w wieku 77 lat. Był aresztowany w 1977 roku i skazany na 10 lat łagru „za propagandę i działalność antysowiecką”. Stworzył on w 1976 roku ukraińską grupę helsińską.

30-5-84

W Instytucie Literatury i Kultury Polskiej Uniwersytetu Śląskiego w Sosnowcu odbyła się konferencja naukowa na temat „Poezja polska lat 60-tych i 70-tych”. M.in. mgr E. Jaskała wygłosił referat: „Motywy romantyczne w *Rzeczy sumienia* i w *Dwu poematach* — czyli o wolności rozważań Stanisława Balińskiego”; mgr J. Olejniczak: „Trzy wiersze (Czesław Miłosz, Zbigniew Herbert, Ryszard Krynicki)”; mgr A. Nawarecki: „Śmiertelna przekora Jarosława Marka Rymkiewicza”.

1-6-84

Ilustracja polityki gospodarczej gen. Jaruzelskiego: połowa samochodów PRL stoi z braku benzyny; cena kartki na benzynę jest tak wysoka, że taksówkarze wolą sprzedawać te kartki niż jeździć; nie wychodząc z domu i sprzedając kartki zarabiają bowiem więcej niż pracując.

13-6-84

W Warszawie zmarł w wieku 61 lat Karol Małcużyński, dziennikarz, publicysta, prezes ZAIKSU, poseł na Sejm PRL. Zdobył dużą popularność i uznanie, specjalnie w okresie „Solidarności” i stanu wojennego, za swoje wystąpienia sejmowe. Jednocześnie wydatnie pomagał represjonowanym dziennikarzom i literatom.

ZACHÓD — EMIGRACJA

31-3-84

Zmarł w Nowym Jorku Aleksander Pfau, filmowiec i reżyser. Ostatnio pracował w ABC jako edytor dźwięku. Kilka swych świetnych opowiadań zamieścił w *Kulturze* w końcu lat 60-tych.

1-5-84

Walijska Rada Sztuki (*The Welsh Arts Council*) przyznała międzynarodową nagrodę pisarską na rok 1984 Zbigniewowi Herbertowi. Antologia jego wierszy, w przekładzie na język walijski, ukaże się w najbliższym czasie nakładem University of Wales Press, Cardiff.

15-5-84

Fundusz Kazimierza S. Vincenza z siedzibą w Szwajcarii ogłosił wyniki konkursu na temat: „Konfrontacja Armii Krajowej z wkraczającą Armią Czerwoną w latach 1944-1945”. I nagrodę w wysokości Frs 500,00 przyznano Józefowi Modrzejewskiemu z Nowej Zelandii; II nagrodę — Frs 400,00 — otrzymał p. Józefa Grzesiak z Kraju; nagrody — po Frs 300,00 — otrzymali: prof. Jerzy Krzyżanowski z USA, śp. Zbyszek Kamiński z Kraju, Bolesław Ałapin z Londynu, oraz autor z Kraju, który prosił o nieujawnianie jego nazwiska (praca była opatrzona godłem „Sław”).

17-5-84

Zmarł w Londynie w wieku 81 lat prof. dr Paweł Skwarczyński.

18-5-84

Z okazji 40-lecia bitwy o Monte Cassino na cmentarzu odprawili mszę św. kardynał Rubin, a homilię wygłosił Prymas Polski, kardynał Glemp. Zwróciło uwagę uczestników (ponad 4 tys. osób), że w swej homilii Prymas nie wymienił ani razu generała Andersa.

22-5-84

Zmarł w Londynie w wieku 87 lat płk dypl. Kazimierz Iranek-Osmecki. ■ Odbyły się wybory do władz Północnoamerykańskiego Studium Spraw Polskich. Prezesem został prof. Andrzej S. Ehrenkreutz, wiceprezesami: prof. Juliusz Łukasiewicz i mgr Elżbieta Wasutyńska, sekretarzem — Stanisław Jaworski, członkami zarządu: dyr. Jan Nowak, dr Jan Morelewski i mgr Hanna Bienias.

1-6-84

Na Walnym Zebraniu Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, które odbyło się w Londynie, ogłoszono nagrody pisarskie przyznane przez jury Związku. Za całokształt twórczości nagrodzony został Sławomir Mrożek, za najlepszą książkę ubiegłego roku, wydaną poza krajem, uznana została *Chusteczka Imperatora* Wojciecha Karpińskiego. Obydwaj laureaci mieszkają w Paryżu. Prezesem Związku został ponownie dr Józef Garliński, wiceprezesem ks. Jerzy Mirewicz. Związek liczy 108 członków w kilkunastu krajach zachodniego świata. Nadal ukazuje się *Pamiętnik Literacki*, obecnie co 8 miesięcy. Zawiera on najważniejsze informacje o literaturze polskiej poza krajem. ■ Francuski *Paris-Match* zamieścił wywiad z Jean-Baptiste Doumeng, wybitnym przemysłowcem związanym ze Związkiem Sowieckim i komunistą, który w dużym stopniu finansuje francuską partię komunistyczną. Poniżej podajemy fragment tego wywiadu:

„— Kierownictwo Związku Sowieckiego nie zależy od jednego człowieka. To jest kolektyw. To nie ma nic wspólnego z naszym reżymem prezydenckim. Członkowie sowieckiego biura politycznego są potęgą. Znam spośród nich Gorbaczewa i Alijewa, którzy nie ukończyli jeszcze 60-u lat, a posiadają ogromną władzę. A poza tym wiek nie jest najważniejszym problemem. Może być elementem ciągłości, stabilizacji międzynarodowych stosunków. Związek Sowiecki jest jak Kościół: są kardynałowie. Papieżem obiera się najstarszego i najbardziej zaufanego.

— Ale tak nie jest w przypadku Jana Pawła II, który ponadto jest jeszcze Polakiem?

— Ten Papież jest fałszywym kardynałem używanym przez Amerykanów do tego, żeby odgrywać w kościele rolę antysowiecką.

— Naprawdę!? Pan przesadza.

— Dobrze, to niech mi pan wytłumaczy, jak to się dzieje, że sam kardynał Glemp mu zaprzecza i usiłuje układać się z władzami polskimi w kraju. Czy pan nie widzi, że coś się dzieje z tym papieżem?

— Nie posunie się pan do tego, żeby powiedzieć, że papież jest opłany przez CIA.

— Nie, ale: komu on służy?”

3-6-84

Z okazji wizyty Papieża w Szwajcarii Muzeum Polskie w Rapperswilu urządziło wieczór informacyjny. Przemawiali: Tadeusz Nowakowski o podróżach Papieża, oraz Władysław Bartoszewski o Kościele i społeczeństwie w Polsce.

KRONIKA FRANCUSKA

Prof. Andrzej Tarkowski z Uniwersytetu Warszawskiego, światowej sławy embriolog został członkiem Francuskiej Akademii Nauk Scisłych. ■ Françoise Bałuka, po ponad dwu latach starań, otrzymała wreszcie zezwolenie na widzenie się z uwięzionym mężem, Edmundem. Wizę dostała jedynie na 48-godzinny pobyt w Polsce, spotkanie z mężem — w więzieniu w Barczewie — trwało 2 godz. 20 minut. ■ Przedstawiciele paryskiego Komitetu Koordynacyjnego NSZZ „Solidarność” wzięli udział w kilku kongresach i mityngach francuskich związków. W tradycyjnym, zwoływanym co dwa lata, kongresie CGC w Wersalu (związek kadr) uczestniczyli: Sławomir Czarlewski i Piotr Chruszczyński. W kongresie CFDT — metalowców brał udział Piotr Chruszczyński, z kolei Danuta Nowakowska uczestniczyła w cyklu spotkań na południu Francji, poświęconych problematyce oporu *non violence*. ■ Agencja PAP informuje o obradach II Walnego Zgromadzenia Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Francuskiej w Warszawie w dniach 19-20 maja. Kilka cytatów: „... Wewnętrzne, suwerenne decyzje rządu polskiego spowodowały nieoczekiwane ostrą reakcję oficjalnej Francji, która zawiesiła dialog polityczny z Polską, ograniczyła do minimum kooperację przemysłową i wymianę handlową, a francuskie środki masowego przekazu rozpoczęły agresywną kampanię propagandową przeciwko władzom polskim”. ... Delegaci mówili o potrzebie rozszerzenia informacji dotyczącej spraw polskich, a adresowanej do społeczeństwa francuskiego. „Istnieje konieczność zaprzestania dezinformacji o naszym kraju, prowadzonej przez francuskie środki masowego przekazu. Należy dążyć do ożywienia współpracy między miastami, regionami i środowiskami, aby nie dopuścić do zmarnowania zainwestowanego 'kapitału przyjaźni...”. Prezesem Zarządu Głównego TPPF jest Halina Skibniewska. Francuskim odpowiednikiem tego Towarzystwa jest Stowarzyszenie France-Pologne, którego przedstawiciele, na czele z prezesem Williamem Caruchet, uczestniczyli w warszawskich obradach. Organizacja francuska (której nie należy mylić z istniejącym jeszcze przed wojną i w pierwszym okresie powojennym stowarzyszeniem o podobnej nazwie) jest całkowicie sterowana przez warszawski reżim. W Zarządzie dominują komuniści ale znaleźć można w nim również i przedstawicieli innych orientacji politycznych. ■ Przedstawiciele Banku Handlowego PRL przeprowadzili rozmowy we francuskim ministerstwie Finansów na temat wnioskowanego przez Warszawę odłożenia spłaty długów PRL. Rząd PRL zabiegał o odłożenie spłaty 2,2 mld dolarów z roku 1982 oraz 2,9 mld dolarów z roku 1983. W tym samym czasie odbyło się również w Paryżu spotkanie przedstawicieli 16 zachodnich wierzycieli PRL. Rozmowy nie przyniosły rezultatów. Jak podaje korespondent Reutera, ponowne podjęcie dialogu z Warszawą na ten temat jest mało prawdopodobne w ciągu najbliższych miesięcy. Podstawowe przeszkody w ponownym nawiązaniu rozmów są raczej natury politycznej, a nie ekonomicznej. ■ W sali Centre du Dialogue w Paryżu odbył się wieczór autorski Sławomira Mrożka. ■ W Bibliotece Polskiej miało miejsce spotkanie z redaktorem naczelnym *Narodowca* — Michałem Kwiatkowskim. ■ Lech Wałęsa przyłączył się do petycji skierowanej do prezydenta Francji F. Mitterranda i rządu francuskiego w sprawie obrony Andrzeja Sacharowa i jego żony Heleny Boner. Petycję podpisało 35 laureatów Nagrody Nobla, a jej inicjatorem jej Międzynarodowy Instytut Sacharowa, którego przewodniczącym jest urodzony w Polsce pisarz — Marek Halter. ■ W manifestacji na rzecz państwa Sacharowów przed ambasadą ZSSR w Paryżu obok Rosjan, Francuzów i przedstawicieli innych narodów wzięła udział liczna grupa Polaków. Wśród przemawiających znalazła się reprezentantka

paryskiego Komitetu Koordynacyjnego „Solidarności” — Danuta Nowakowska. ■ Laurent Mossu zamieścił w dzienniku *Le Figaro* artykuł, z którego dowiadujemy się, iż cała korespondencja Międzynarodowej Organizacji Pracy do Lecha Wałęsy zawierająca dokumenty, sprawozdania i rozmaite studia jest sytematycznie odsyłana do Genewy z adnotacją „adresat nieznany”. Sekretariat MOP skrzętnie zbiera tę korespondencję (władze PRL zerwały stosunki z MOP w ubiegłym roku po powołaniu w Genewie międzynarodowej komisji śledczej do zbadania sytuacji związków zawodowych w Polsce). ■ Według sondażu przeprowadzonego przez francuski tygodnik *Le Nouvel Observateur* najbardziej ulubionymi przez Francuzów krajami są Szwajcaria i Polska. Z kolei najbardziej ulubionymi politykami zagranicznymi są I. Gandhi (!) i R. Reagan, jedno z ostatnich miejsc w tej konkurencji zajmuje K. Czernienko, za nim jest już tylko Kadaffi i Chomeini. ■ W obchodach z okazji czterdziestej rocznicy bitwy o Normandię (szósty czerwiec) wzięła udział kilkunastoosobowa grupa byłych żołnierzy Pierwszej Dywizji Pancerniej gen. Stanisława Maczka, z Anglii, Belgii, Francji i Holandii. Polscy kombatanci zostali zaproszeni przez stronę francuską, niestety sam generał Maczek ze względu na podeszły wiek nie był w stanie uczestniczyć w tej ceremonii. Przyjechał natomiast — zaproszony przez Anglików — ostatni dowódca Pierwszej Dywizji Pancerniej — gen. Klemens Rudnicki. W uroczystościach uczestniczyła również trzyosobowa grupa z PRL. Przewodniczył jej gen. Mieczysław Grudzień, szef Urzędu d/s Kombatantów w randze ministra. ■ 22-letni obywatel francuski, Olivier Roux, po dwóch miesiącach pobytu w szcześcińskim areszcie został zwolniony i deportowany do Szwecji (patrz „Kronika” *Kultura* nr 5/440). Natomiast więziony od 22 marca inny obywatel francuski, Jacky Challot, przebywa nadal w szcześcińskim więzieniu. Według informacji oficjalnych jego proces odbędzie się w lipcu. W połowie maja władze prokuratorskie PRL zawiadomiły rodzinę Jacky Challot, że skłonne są go zwolnić za kaucję w wysokości 500 tysięcy złotych. Dzień później podwyższono tę kwotę do wysokości 1 mln złotych (ekwiwalent ok. 76 tysięcy FF). Mimo natychmiastowego wpłacenia tej sumy Challot nie został uwolniony a w kilka dni później rzecznik rządu PRL, J. Urban nazwał całą sprawę z kaucją zwykłym nieporozumieniem. Sprawa ta wywołuje duże poruszenie francuskiej opinii publicznej. Przebywający z wizytą w Warszawie były arcybiskup Paryża, Kardynał François Marty wystosował apel do władz PRL. Tymczasem Ambasada PRL w Paryżu odmówiła wizy wjazdowej do Polski mecenasowi Kiejmanowi, który zamierzał bronić Challot, podobnie brat Jacky’ego, jak dotąd, nie otrzymał wizy do Polski. ■ Z inicjatywy Centre du Dialogue Ksiądz Arcybiskup Henryk Gulbinowicz, Metropolita Wrocławski wygłosił w Paryżu odczyt na temat „Polska młodzież w obecnej rzeczywistości”.

Wojciech SIKORA

KRONIKA KANADYJSKA

The Royal Society of Canada wespół z ottawskim oddziałem Stowarzyszenia Polskich Inżynierów w Kanadzie zorganizował sympozjum dla upamiętnienia 50-tej rocznicy śmierci Marii Curie-Skłodowskiej. Sympozjum odbyło się 5 maja w audytorium Biblioteki Narodowej. Na program złożyły się trzy referaty: prof. Ewy Skrzypczak z Uniwersytetu Warszawskiego, prof. François Davoine z Paryża i prof. Leona Yaffe z McGill University, Montreal. W przerwie odbył się koncert w wykonaniu pianisty Piotra Jancewicza. ■ W dniach 4-5 maja odbyła się w Ottawie konferencja poświęcona problemom języka, kultury i literackiej tożsamości w Kanadzie z udziałem pisarzy, krytyków literackich oraz naukowców zainteresowanych litera-

turą w kontekście wielokulturowego społeczeństwa. W konferencji uczestniczyli m.in. znany poeta i profesor McGill University pochodzenia polskiego Louis Dudek, Andrzej Busza, Florian Śmieja i Waclaw Iwaniuk. Busza, który jest profesorem literatury angielskiej na uniwersytecie British Columbia w Vancouver, wygłosił referat pt. „Problem kulturalnej dyslokacji i jego efekty w poezji”. W dyskusji uczestniczyli pp. Dudek i Śmieja, również poeta, tłumacz i profesor literatury hiszpańskiej w Western Ontario University w London. Waclaw Iwaniuk czytał swoje wiersze w języku angielskim na specjalnej sesji poświęconej twórczości pisarzy grup etnicznych. ■ Dnia 12 czerwca odbyła się obrona tezy doktorskiej Richarda Sokoloskiego na wydziale slawistycznym University of Toronto. Jest to druga z kolei promocja studentów prof. Louisa Iribarne. Sokoloski napisał pracę doktorską na temat poezji Sępa-Szarzyńskiego. Prezentuje w niej m.in. przekłady niektórych wierszy. W komitecie organizacyjnym obok profesorów wydziału slawistycznego uczestniczył Stanisław Barańczak z Harvard University. ■ Towarzystwo Teatralne w Ottawie zapowiedziało prezentację „Ambasadora” Sławomira Mrożka, która odbędzie się 19 czerwca na scenie teatralnej University of Ottawa. ■ Jerzy Koczewski, znany aktor krakowski, główny „Bułeczka”, bawi na występach w Kanadzie. W programie monodramy: „Konopielka” na podstawie E. Redlińskiego, „Colas Breugnon” R. Rollanda, „Dworzec w Monachium” S. Dygata. ■ Dnia 22 maja przystąpili do głodówki przed budynkiem konsulatu PRL w Toronto: Grażyna Trzęsicka, lat 34, matka dwojga dzieci, Zygmunt Augustyniak, lat 32, dwoje dzieci, Władysław Śliwa, lat 29, jedno dziecko, domagając się udzielenia paszportów mężowi, żonom i dzieciom. W liście ogłoszonym w prasie polonijnej wyżej wymienieni twierdzą, że oświadczenie złożone w tej sprawie przez konsula jest fałszywe i wyjaśniają, iż żony pp. Augustyniaka i Śliwy otrzymały zawiadomienie, że ich wnioski paszportowe zostały ostatecznie odrzucone. Pani Trzęsicka stwierdziła, iż po zakończeniu zajęć w Nowym Jorku, dokąd została skierowana na rok, przekazała wszystkemu swojemu następcy i zgłosiła formalną rezygnację. Wszyscy troje zapowiedzieli, iż będą głodować aż do urzędowego zawiadomienia, iż najbliżsi otrzymają paszporty. ■ Staraniem Polskiego Instytutu Naukowego w Montrealu odbył się 26 maja na McGill University odczyt Anny Cieniały, profesora historii na uniwersytecie w Kansas (USA) pt. „Kiedy zostały przesądzone losy Polski w drugiej wojnie światowej”. ■ Na terenie University of Alberta w Edmontonie, dokładnie w Rutherford Library, postawiono pomnik Czesława Miłozza. Odsłonięcia dokonali kanclerz uniwersytetu Peter Savaryn i rektor Myer Horowitz. Popiersie wyrzeźbił Danek Możdżeński, artysta edmontoński. Na cokole widnieje napis: Czesław Miłosz „Poet-Nobel Prize Literature 1980”, a pod nim z lewej strony nazwisko artysty a z prawej: „Gift of the Polish Culture Society of Edmonton to commemorate the poet's visit to the University of Alberta” (Dar Towarzystwa Kultury Polskiej w Edmontonie dla upamiętnienia wizyty poety w Uniwersytecie Alberta).

B. H.

4 czerwca 1984

DYSKUSJA O JACIE

Dziękuję z Państwa za podanie mi adresu i imienia. Oport być organizatorem (branda) konferencji poświęconej Jacji, która miała miejsce w Warszawie w dniach 14 i 15 maja br. Wśród licznych uczestników konferencji — wybitny historyk, badacz i dyplomata — profesor Kasperkiewicz, profesor nauk historycznych i filozoficznych na Uniwersytecie Warszawskim, Jan Nowak-Jezewski, profesor nauk historycznych i filozoficznych na Uniwersytecie Warszawskim, dyrektor Instytutu Historii PAN, prof. RWE oraz Aleksander Smoląg, profesor...

AKCJA PRZECIWKO LOJALNYM SŁUGOM WRON

Jedna z agent podziemia „S” przeprowadziła pod koniec grudnia ub. roku kunsztownie przygotowaną akcję przeciwko lojalnym sługom WRON. Wybito medale będące wierną kopią odznaczenia „za poskromienie polskiego buntu 1863-64” wręczanego przez cara zasłużonym w tłumieniu powstania styczniowego Polakom. Na pięknym czerpanym papierze wydrukowano w języku polskim i rosyjskim świadectwa imitujące XIX-wieczny dokument. Datowane 13. XII. 1863 stwierdzają, iż odznaczenie zostało odnowione „w 120 rocznicę rzeźzonego buntu wobec wybuchu nowego”. W miejscu, gdzie przed laty był podpis Namiestnika Państwa Polskiego, widnieje podpis gen. Jaruzelskiego. W miejscu carskiego dwugłowego orła — współczesny wariant pieczęci: jedna głowa wronia, druga świńska, insygnia władzy — pałka i szubienica, na piersiach osła tarcza z sierpem i młotem, a pod ogonem gwiazda pięcioramienna. Wszystkim odznaczonym (m.in. H. Auderska, gen. M. Dębicki, J. Dobraczyński, W. Górnicki, J. Grzymkowski, K. Koźniewski, I. Krasicki, M. Machejek, W. Nawrocki, J. Przymanowski, A. Sandauer, A. Schaff, W. Siemion, A. Wasilewski, A. Wysocki, S. Zawadzki, W. Żukrowski) medale wraz ze świadectwami dostarczono do domów.

(Nasza Solidarność Nr 10 z 31 marca 1984 roku, Kalisz - Konin - Sieradz — za TM nr 80/81 — 22. III. 1984).

CZARNA LISTA

W szpitalu więziennym na Kleczkowskiej we Wrocławiu przebywa Stanisław Zabielski, skazany na 6 i pół lat więzienia wraz z innymi osobami z Lublina, Głogowa, Legnicy i Polkowic za „przygotowywanie i dokonywanie zamachów bombowych”. Był on systematycznie katowany w śledztwie. Doznał licznych urazów głowy i kręgosłupa — grozi mu paraliż. Torturowaniem zajmował się kapitan Klinger, ppor. Prośniak, sierżant Jędrzejewski oraz Maksymczuk. W podobny sposób byli katowani Lech Dukawski, Jan Kołodziej, Wiesław Skiba, Tadeusz Knap i Zygmunt Burchard.

(Fragmenty relacji St. Zabielskiego na podstawie *Wolnej Trybuny*, Nr 18).

Mjr Piotr Kościuczuk, naczelnik Zakładu Karnego w Braniewie. Jego niehumanitarne i brutalne postępowanie z więźniami politycznymi spowodowało ogłoszenie głodówki. (*Kontra*, nr 65 z 31 stycznia 1984).

Humor krajowy

— Co by było, gdyby moskiewskie „pluskwy” świeciły jak robaczki świętojańskie?

— Moskwa wygadałaby jak Las Vegas...



Na poczcie interesant reklamuje, że znaczki nie chcą się przyklejać. Pokazuje panience z okienka kilka znaczków z podobizną Lenina.

— Ależ znaczki przyklejają się doskonale — wyjaśnia młoda urzędniczka — tylko pan pluje nie na stronę z klejem...



— Kiedy Jaruzelski zdejmie czarne okulary?

— Kiedy skończy przyspawanie Polski do Związku Sowieckiego...



Związkowi Sowieckiemu przybyły dwa stany: Afganistan i stan wojenny w Polsce.



— Czym zaczyna się dzień na Kremlu?

— Reanimacja...



Patrol ZOMO zatrzymuje samochód meblowy. Każe otworzyć, a widząc w środku broń — krzyczy: To mają być meble?

— Jaki pokój, takie meble — odpowiada spokojnie kierowca.



Hasło Wałęsy:

Proletariusze wszystkich krajów łączcie się! Dopóki nie jest za późno!



Odpowiedź Marksa (zza grobu):

Proletariusze wszystkich krajów, ja was bardzo serdecznie przepraszam...

Zebrała Zofia HERTZ

DYSKUSJA O JAŁCIE

Działająca z Paryża od ponad roku Międzynarodówka Oporu była organizatorem dwudniowej konferencji poświęconej Jałcie, która miała miejsce w paryskim gmachu Senatu w dniach 14 i 15 maja br. Wśród licznych zaproszonych specjalistów — sowietologów, historyków dziennikarzy i dyplomatów — znaleźli się również Polacy: Krystyna Marek, profesor prawa międzynarodowego na uniwersytetach szwajcarskich, Jan Nowak-Jeziorański, „kurier z Warszawy”, wieloletni dyrektor Rozgłośni Polskiej RWE oraz Aleksander Smolar, socjolog.

W pierwszym dniu konferencji dyskusję prowadził Jean Laloy (w czasie drugiej wojny światowej tłumacz gen. De Gaulle podczas jego moskiewskich rozmów ze Stalinem). Dotyczyła ona aspektów historycznych jałtańskiej konferencji Wielkiej Trójki w lutym 1945 roku. W dyskusji tej uczestniczyli: Krystyna Marek, Alfred Grosser (francusko-niemiecki historyk i politolog), oraz historycy: węgierski — François Fejtő i rosyjski — Aleksander Niekricz. W dużej mierze dotyczyła ona Polski. Wszyscy uczestnicy zgodzili się, że Polska była kluczowym zagadnieniem rozmów jałtańskich. Niekricz wysunął tezę, że udział Roosevelta i Churchilla w konferencji sprowadzał się do uzyskania „papierka”, który w oczach opinii publicznej ich krajów sankcjonowałby obecność wojsk sowieckich na terenach dzisiejszego „bloku sowieckiego”. Krystyna Marek podkreśliła sprzeczność postanowień jałtańskich z prawem międzynarodowym. Stwierdziła, że Polska, która w latach okupacji hitlerowskiej była sojusznikiem trzech uczestniczących w konferencji jałtańskiej mocarstw i która w wyniku wojny poniosła niewiarygodne straty, w sumie została w Jałcie podzielona jak wrogie terytorium. Krystyna Marek dodała, że zdanie Polaków mniej się liczyło w Jałcie niż zdanie Niemców na konferencji w Wersalu po pierwszej wojnie światowej. Powiedziała też, że to, co zaczęło się w Jałcie, zakończyło się w Helsinkach, gdzie na I Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, Zachód uznał sowieckie podboje w Europie Środkowej i Wschodniej.

François Fejtő podkreślił, iż zarówno Roosevelt jak Churchill nie zgadzali się ze Stalinem pod wieloma względami, ale obaj wierzyli, że Sowiety wyjdą z tej wojny jako miłująca pokój demokracja.

Jan Nowak-Jeziorański wyraził przekonanie, że obaj zachodni politycy musieli w Jałcie wiedzieć co podpisują i zdawać sobie sprawę, że Stalin nigdy nie zgodzi się na żadne wolności czy próby budowania demokracji u swoich sąsiadów i dodał, że jeżeli Churchill i Roosevelt zdawali sobie sprawę, iż opinia w ich krajach nigdy nie pogodzi się z podziałem świata, to podpisali wspólny komunikat ze Stalinem, w rzeczywistości nie mający wiele wspólnego z postanowieniami tej konferencji. Następnie Jan Nowak zwrócił uwagę na powrót do problemu Jałty w ostatnich latach.

W dalszym ciągu dyskusji występowali inni znawcy problemu: Robert Conquest, Alain Besançon, Hélène Carrère d'Encausse, Jean-François Revel, Aleksander Smolar.

Całość materiałów tej konferencji ma zostać niedługo opublikowana przez Międzynarodówkę Oporu.

Andrzej MIETKOWSKI

Listy do Redakcji

Le Directeur Général
des Relations Internationales
de la Ville de Paris

Paryż, 4 czerwca 1984.

Monsieur Jerzy GIEDROYC
Redacteur en Chef de la Revue „Kultura”
91 avenue de Poissy
Le Mesnil-le-Roy
78600 MAISONS-LAFFITTE

Szanowny Panie Redaktorze,

Niezwłocznie po zaznajomieniu się z artykułem, który Pani Romanowiczowa poświęciła pamięci Niny Iwańskiej, w numerze 5/440 *Kultury*, muszę uzupełnić informacje Pańskich czytelników dotyczącą ruchu solidarności, który powstał w połowie grudnia 1981 roku, aby rzucić apel „Gwiazdka dla Polski”.

W przeciwieństwie do informacji zawartej we fragmencie wyżej wymienionego artykułu zdającego sprawę z tego gestu, nie chodzi o Boże Narodzenie 1980, ale o to które nastąpiło po wprowadzeniu stanu wojennego. Z inicjatywy Burmistrza Paryża i z pomocą Radia Europe n° 1 została zorganizowana zbiórka we wszystkich Ratuszach dzielnicowych stolicy, jak również w Hôtel de Ville (Ratusz główny Paryża); a w odgłosie masowych środków przekazu zbiórka rozszerzyła się na całą Francję. Nie było naszym zamiarem współzawodniczyć z różnymi pomocami, które były przeznaczone dla narodu polskiego, z innych inicjatyw.

W nocy z 12 na 13 grudnia kiedy kończyliśmy zbórkę w stolicy, dowiedzieliśmy się o wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce. Musieliśmy czekać do 23 grudnia aby otrzymać pozwolenie na lądowanie dwóch samolotów transportowych „Air France”, które osobiście konwojowałem. W ten sposób została dostarczona zasadnicza część zebranych darów, którą przekazano, w mojej obecności, Jego Eminencji Józefowi Kardynałowi Glompowi, Prymasowi Polski. Wyjaśniam że dwa transportowce nie były wynajęte za „cenę złota”, ale wypożyczone, za darmo, przez Linie „Air France”. Zrozumienie i wspiałość Francuskich Linii Lotniczych „Air France” były w tej sprawie specjalnie cenne.

W nadziei że te krótkie wyjaśnienia pozwolą zaradzić nieporozumieniu dotyczącemu humanitarnej ofiarności, w duchu której odbyła się ta akcja, proszę uprzejmie Szanownego Pana Redaktora, zgodnie z prawem, o łaskę w udostępnienie tych wyjaśnień czytelnikom *Kultury*.

Pozostaję z poważaniem

Bernard BILLAUD

New York, 23 maja 1984.

Szanowny Panie Redaktorze,

Jestem pod wrażeniem listu p. Zdzisława Najdera (Radio Free Europe/Radio Liberty) zamieszczonego w majowym numerze *Kultury*. Wynika z niego, że p. Najder zaproponował Panu, aby *Kultura* zamknęła swe łamy dla krytyki programów RWE, uważa bowiem publiczne podawanie do wiadomości takiej krytyki za szkodliwe. Sugeruje natomiast, aby „takie sprawy” były przedmiotem konsultacji między nim a Panem, jako dowódcami dwóch różnych odcinków frontu.

Trudno o bardziej niefortunne posunięcie. Kierownictwo RWE może, a moim zdaniem powinno, w ramach swojej amerykańskiej struktury, korzystać z rad, opinii i nawet współpracy organów polskiej niezależnej opinii publicznej w planowaniu programów rozgłośni, ale propozycja aby takie konsultacje, eufemistycznie porównywane do „konferencji sztabowych”, miały zastąpić i wyeliminować drukowanie krytyki tych programów, jest nie tylko nie do przyjęcia, ale wskazuje na niepokojące nieporozumienie co do tego o co właściwie chodzi. Użyte przez p. Najdera porównanie sytuacji politycznej na odcinku polskim do wojny jest efektowne, ale w istocie stanowi zbyt daleko prowadzące uproszczenie. Niemniej skoro p. Najder określa sprawę — słusznie — jako zasadniczą, powinien wziąć pod uwagę, że problem nie jest nowy ani odosobniony. Demokracje zawsze były i będą skrzepowane w walce z systemami totalistycznymi niemożnością ograniczenia wolności prasy i krytyki. Jeżeli więc używa się porównania z wojną, trzeba pamiętać, o co ta wojna się toczy. RWE nie może skutecznie walczyć o wolność prasy i krytyki w Polsce, skoro kierownik tej rozgłośni publicznie atakuje redaktora *Kultury* za odmowę zrezygnowania w odniesieniu do RWE z roli *Kultury* jako niezależnego organu polskiej myśli politycznej. Odgłosy z kraju na programy RWE są najważniejszym jeśli nie jedynym sprawdzianem wartości tych audycji i powinny być przez kierownictwo RWE skwapliwie notowane i analizowane. Próba zamknięcia tym odgłosom dostępu do czytelników *Kultury* jest niezrozumiała i wręcz szkodliwa dla działalności RWE.

Łączę wyrazy szacunku

Ludwik SEIDENMAN

Kenton, Middx., 18 maja 1984.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pozwoli mi Pan że się podzielę z Panem przykrymi wrażeniami jakich doznałem po przeczytaniu listu do redakcji *Kultury* od kierownika Rozgłośni Wolna Europa, Dr. Z. Najdera (*Kultura* Nr 5/1984), dla którego pracy naukowej i publicystycznej żywię głęboki szacunek.

Osobiście nie wydaje mi się, by którykolwiek z artykułów czy też listów do redakcji, krytykujących pracę rozgłośni, był świadomą próbą podważania prestiżu RWE. Kredyt zaufania RWE w społeczeństwie polskim jest z pewnością już tak duży, iż żadna fala listów krytycznych nie jest w stanie go podważyć. Lecz nie o to mi tutaj chodzi. To, czy ten i ów zarzut jest absurdalny czy też nie — uważam za mniej istotne w porównaniu z tym, co poruszyło mnie w liście kierownika RWE, a mianowicie przejrzysta i trudna do usprawiedliwienia próba ingerencji w sprawy redakcyjne zespołu *Kultury*.

Jest rzeczywistość wojna. Trwa wojna o świat, między systemem wartości demokratycznych z jednej, a totalitarnych z drugiej strony. Bardzo ważna

rola w tej wojnie przypada w udziale środkom masowego przekazu, publicystyce. Wolność prasy i słowa jaką cieszymy się w krajach Zachodu jest naszym wielkim atutem, lecz równocześnie i pewną słabością. Słabością dlatego, iż nie wszyscy piszący i nie wszystkie redakcje wywiązują się z zadania rzetelnego dociekania i dążenia do prawdy. W związku z tym dużo się dziś dyskutuje nad tym, czy aby nie wprowadzić — w rzekomej obronie swobód demokratycznych — pewnego rodzaju kontroli działalności zespołów redakcyjnych. Nieprzyjemny trend w tym kierunku można dziś zauważyć, między innymi, i w Anglii. A więc czy mamy się zgodzić na przydział „stróżów prawdy” dla redaktorów, lecz w imieniu kogo i czego? Odpowiedzią powinno być stanowcze nie. Nie ma takiej „świętości” czy też „sprawy nadrzędnej”, na ołtarzu której można by poświęcić etykę wolności decyzyjnej redaktorskiej. Byłby to początek końca systemu otwartego społeczeństwa.

Przykra analogia nasuwa się tu w związku z listem kierownika RWE. Jest rzeczą zrozumiałą, iż nie wszystko co *Kultura* drukuje musi się spotkać z powszechną aprobatą społeczeństwa na emigracji czy też w kraju. Jestem jednak przekonany (a na pewno nie odosobniony w swym poglądzie), iż własna niezależność redakcyjna i niepodatność na presję są jednymi z decydujących czynników w powszechnym uznaniu jakim cieszy się *Kultura*. Nie mam najmniejszych wątpliwości że tak będzie i dalej, pomimo presji, skądkolwiek by one pochodziły.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Janusz MONDRY

Cooma, 18 maja 1984.

Drogi Panie Redaktorze!

W swojej „Autobiografii część druga”, w majowym numerze *Kultury*, Jacek Bierezin pisze, że musiał ograniczyć się do gór polskich, „ponieważ paszport obywatela polskiego jest własnością Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”.

Bez wnikania w intencję cytowanej uwagi może warto by było podać że mój paszport opatrzony jest następującą drukowaną adnotacją: „*This passport remains the property of the Australian Government*”.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Adam NASIELSKI

Wellington, Nowa Zelandia, 5 maja 1984.

Szanowny Panie Redaktorze,

Artykuł mieszkającego w Australii Jerzego Grot-Kwaśniewskiego, w styczniowo-lutowym numerze *Kultury* pt. „Polacy w Nowej Zelandii”, domaga się korekty i uzupełnienia przez Polaka w Nowej Zelandii.

W ustępie „Najlepiej Zorganizowana Polonia”, autor wymieniając działające w Nowej Zelandii organizacje polskie, pominął Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, które powstało mniej więcej w tym samym czasie co Stowarzyszenie Polaków w Nowej Zelandii.

Pisząc o „Najlepiej zorganizowanej Polonii”, autor skwitował aktywność

Stow. Pol. w N.Z. twierdzeniem, że „działa sprawnie poprzez swoje sekcje”. Że działa sprawnie, na to zgoda. Sekcje natomiast to samodzielne, autonomiczne organizacje, połączone ze Stow. Pol. jedynie wspólnym statutem.

Jeden z ustępów zdobi nagłówek: „Dzieci dały początek”. Nie jest to ścisłe. Dzieci przybyły z ówczesnej Persji do N.Z. gdy dojrzały i weszły w życie kraju, zakładały rodziny itd. stały się z czasem kośćcem zorganizowanego już życia społecznego naszej Polonii. Początek natomiast organizacjom polskim dali byli żołnierze P.S.Z. na Zachodzie, przybywający po zakończonej wojnie do N.Z., w ramach akcji łączenia rodzin.

Autor artykułu pisze, że dzieci te przybyły do N.Z. na zaproszenie rządu. To prawda. Ale zaproszenie to, — o czym się często zapomina — było rezultatem inicjatywy, starań i pracy pani Marii Wodzickiej, żony ówczesnego Konsula Generalnego R.P. w N.Z., dr. Kazimierza Wodzickiego, dzisiaj już ponad 80-letniego, a jeszcze aktywnego społecznie i naukowo starszego pana, który o zasługach swoich i jego niezżyjącej już małżonki, niechętnie mówi.

Spośród dziesiątków krajów, które podczas wojny przyjęły polskich uchodźców, Nowa Zelandia jest jedyna, która przyjęła tak dużo polskich dzieci — w większości sierot — w zwartej grupie. Był to niezwykły eksperyment i wspaniały uczynek miłosierdzia, który doszedł do skutku dzięki inspiracji i pracy p. Marii Wodzickiej.

Łączę serdeczne wyrazy szacunku i poważania

B. F. BOGACKI

LIST DO REDAKCJI KULTURY

Paryż, 23 maja 1984.

Nie wiem czy zechce Pan opublikować mój list, podobnie jak poprzednie artykuły i informacje, które, mimo odczuwalnie życzliwego stosunku Pana do mnie, nie zyskały Pańskiego uznania.

Niezrażony tym, a poruszony artykułem Władysława Bieńkowskiego (*Kultura* nr 5/1984), kreślę kilka uwag.

Po pierwsze zgadzam się całkowicie z reakcją Redakcji na słowa p. Bieńkowskiego: „Do narodowych dramatów zaliczyć trzeba także tragizm naszej tak licznie rozszanej po świecie emigracji, której każda powojenna fala zajmuje wobec kraju postawę totalnej negacji, nieobecności posuwanej aż do absurdu, traktowania prac nad rozwojem kraju jako zdrady interesów narodu”.

Powiedzmy sobie raz wreszcie jasno i otwarcie, że Sierpień '80, „Solidarność” i obecna opozycja powstały i istnieją także dzięki aktywności starej, średniej, nowej i jakiejś kto chce emigracji. I skończmy wreszcie z wytykaniem emigracji takiej czy innej zdrady. Tylko bliżej mi nieznanym margines Polaków odciął się od swych korzeni i nie chce mieć ze swoją Ojczyzną nic wspólnego. Znam takich, ale podkreślam, są to przykłady jednostkowe. Natomiast ani tu na obczyźnie, ani tam w kraju nikt (*lub prawie nikt*) nie kocha komunistycznej władzy i nie chce z nią współpracować. I o to mam nadzieję chodziło panu Bieńkowskiemu.

Trudno namówić kogokolwiek do współpracy z reżimem, który miast uczciwym partnerem handlowym czy politycznym okazał się zwykłym gangsterem nie przestrzegającym nawet własnych praw. Sprawa jest zresztą nadto oczywista, by się nad nią dłużej rozwodzić.

Chciałoby się wręcz w tym miejscu przypomnieć ostatnie wystąpienie pośła Edmunda Osmańczyka, który powiedział:

„Jedna czwarta, a być może jedna trzecia narodu żyje poza Polską. Na Wschodzie, i Zachodzie, na Północy i Południu. Jak ich rozpoznamy? Oczywiście nie po paszportach, ale po tym, że związani są z kulturą polską i starają się, każdy na miarę swych możliwości, upowszechniać ją wśród obcych, bez względu na swoje światopoglądy, wyznanie czy przyjęte od obcych obyczaje. Są to zatem nasi naturalni sojusznicy i stało się bardzo niedobrze że, odwrotnie od innych narodów, pogmatwane losy naszej Ojczyzny w latach rozbiorów, między wojnami, w czasie wojny i przez ostatnie 40 lat zburzyły większość pomostów, między innymi ekonomiczne a nawet i kulturalne (...). Zdarzyły się już odgłosy lansowanej przez ponad 30 laty tezy, że tym co żyją „patriotycznie” w kraju niepotrzebne są żadne pomosty do zdeprawowanych życiem na Zachodzie rodaków. Rozległ się nawet w poważnym piśmie głos, aby ci rodacy po prostu wynarodowili się, i to — cytuję: 'im szybciej, tym lepiej'.

Wszystko to jest żałosne i powiedzmy szczerze bardzo niemądre”.

Pozwalam sobie te uwagi pośła Osmańczyka skierować także pod adresem autora omawianego artykułu. Pan Bieńkowski ma skłonności do niczym nieusprawiedliwionego generalizowania. Oto na przykład — i to jest temat podstawowy mego listu — stwierdza, że „robotnicy w swej masie stoją w opozycji nie do ustroju, ani do socjalizmu, ale do władzy, uważającej się za wyrazicielkę ich interesów”. Wystarczyłoby zatem zmienić władzę i wszystko będzie dobrze. Niestety — co sam autor po wielokroć stwierdza — władza zmieniała się już kilka razy, a jest jak było albo znacznie gorzej.

Trudno mi zgodzić się z twierdzeniem autora, że większość robotników w Polsce popiera ustrój socjalistyczny. Kto i kiedy pozwolił polskim robotnikom w sposób wolny i nieskrępowany wypowiedzieć się za czym są czy przeciwko czemu? Póki co godzą się z istniejącą rzeczywistością, bo muszą, bo takie jest nasze polskie położenie, bo często gęsto nie wyobrażają sobie innego rozwiązania, nasiąknąwszy niektórymi „zdobycami socjalizmu”. Ale to wszystko nie oznacza poparcia. Zresztą dla wzmocnienia mojej tezy posłużę się cytatem właśnie z artykułu p. Bieńkowskiego:

„Druga refleksja dotyczy 'realnego socjalizmu'. Pojęcie socjalizmu stało się kłopotliwe z powodu jego wieloznaczności — prawie każdy człowiek ma nieco inne w związku z tym skojarzenia i trochę inaczej go sobie wyobraża, a ludzie na pytanie, czy są za socjalizmem, przeważnie odpowiadają — tak, ale z poprawkami. Aby uniknąć zbyt szczegółowych i kłopotliwych wyjaśnień i nieporozumień, skorzystano z pomysłu autora pierwszej polskiej encyklopedii sprzed 250 lat (patrz: Benedykt Chmielowski „Nowe Ateny” itd.) i jego sławnej definicji: 'Każdy jakiego jest każdy widzi'. Otóż właśnie — socjalizm jakiego jest każdy widzi — (podkr. moje — K.T.) czyli 'realny socjalizm'. Definicja ta ma jedną ważną zaletę — jest przekonywująca. Każdemu kto by miał zastrzeżenia do 'realnego socjalizmu', pozostaje tylko 'socjalizm nierealny' a taki wielu zwolenników zapewne nie znajdzie”.

Należałoby w tym miejscu zapytać, czy socjalizm jako ustrój do którego od lat dążą miliony ludzi, w ogóle jest sprawdzalny w praktyce panowania?

Strasznie przepraszam zwolenników socjalizmu z PPS i z emigracji stosunkowo nie tak odległej, ale ja innego socjalizmu *nie znam* i nigdzie

innego socjalizmu do praktyki nie wprowadzono, a stosowane próby, np. ostatnio we Francji, jakoś dziwnie pasują mi do znanych wzorów.

Moi francuscy przyjaciele, którzy byli z humanitarnym konwojem w Polsce, a sami należą do lewicy, byli zbulwersowani, że nie spotkali tam zwolenników socjalizmu. P. Bienkowski m.in. pisze:

„Co w Polsce było zagrożone? Kontrrewolucja ze swej natury dąży do obalenia ustroju — na rzecz jakiego? Według przyjętej klasyfikacji możliwość była tylko jedna — kapitalistycznego. Nie trzeba głębokich sondaży, aby stwierdzić, że w tym kraju zwolenników oddania upaństwowionych środków kapitalistom i obszarnikom nie ma (może poza paroma maniakami), że nie pragnie tego klasa robotnicza, ta z byłej 'Solidarności'”.

Po pierwsze nie z „byłej”, a po drugie nie byłbym taki pewien. Owych maniaków mogłoby się znaleźć nieco więcej, gdyby pogadać z ludźmi nie tylko na Nowym Świecie, ale np. pod ziemią w kopalni, gdyby poczytać programy nowych grup opozycyjnych.

Wydaje mi się jednak, że schematyczny podział zaczerpnięty od dziadzia Marksa na zły kapitalizm i dobry socjalizm prowadzi do takich właśnie niebezpiecznych uogólnień jak powyżej. Weźmy np. sprawę wspomnianych „obszarników”. Zgódźmy się wstępnie, że jestem przeciw, ale zarówno ja jak i „władza ludowa” jesteśmy (przynajmniej w teorii) za wielkotowarową gospodarką chłopską, czyli tymi dzielnymi kułakami (tak się to pozmieniało)! Jest ona — ta władza — za dużymi, wydajnymi gospodarstwami prywatnymi, które siłą rzeczy muszą zatrudniać pracowników. No więc jak to jest?

Wydaje mi się, że na początek trzeba rozdzielić politykę od ekonomii i potem dojdziemy do demokratycznej czyli większościowej zgody, że w praktyce (czy jak kto woli w systemie rządzenia) winna obowiązywać demokracja parlamentarna, a w ekonomii taki system, żeby był zysk dla gospodarujących i zatrudnionych. Natomiast kolor otoczki do tego wszystkiego pozostawmy do wyboru narodowi, jeśli kiedyś taka sposobność wolnych wyborów się nadarzy.

Krzysztof TUROŃSKI

Massy, 17 czerwca 1984.

Szanowny Panie Redaktorze,

Cieszy mnie fakt, że moje felietony na łamach *Kultury* wywołują żywe, emocjonalne reakcje. Wynika z tego, że są potrzebne i użyteczne. Ostatnio — oprócz wyrazów uznania — dano mi, jak mawia się w Polsce, tak zwany „odpór”. W kraju zrobili tymi ministrem Jerzy Urban, pod pseudonimem Jan Rem, na łamach „Tu i teraz”, za granicą docent Ludwik Stomma — syn pośła Stommy, zawodowy stypendysta zachodnich uniwersytetów, Directeur d'Etudes associé à l'Ecole Pratique des Hautes Etudes itd., itp. — na łamach *Kultury*, w dziale listów do redakcji.

Ataki te zbiegły się w czasie. Ministrem Urbanem nie będę się zajmował. Napisałem o nim już i tak o wiele więcej niż na to zasługuje. Bardziej interesujący w tej chwili wydaje mi się przypadek docenta Stommy. Rozumiem, że po wszystkim co napisałem o peerelowskich docentach pan Stomma nie może mnie lubić. Docent Stomma — że zacytuje siebie — jest prawdziwym naukowcem i nie zajmuje się rzeczywistością. Jest modelowym przykładem większości docentów w Polsce, więc nie może rozu-

mieć co to jest poetyka, prawo gatunku, groteska, metafora, alegoria i tak dalej.

Docent Stomma cytuję fragment mojego felietonu, w którym napisałem, że są na Zachodzie ludzie, którzy uważają, iż w Nikaragui dzieje się dużo gorzej niż w Polsce. Zapomniał tylko zacytować zakończenia tego zdania, gdzie stoi napisane, że to wszystko „dzięki brzydkim Amerykanom”.

Cieszy mnie fakt, iż docent Stomma uważa, że sandiniści są gorsi od generała Jaruzelskiego. Wiem o tym. Polski konsul w Paryżu, na prywatnym przyjęciu, powiedziałby zapewne to samo. Wybitni pisarze niemieccy, jak na przykład Günter Grass, wołają również zajmować się Nikaraguą, ponieważ „problem polski” jest bardzo niewygodny w kraju, w którym miarą postępowości intelektualistów jest lewicowość i podpisywanie protestów przeciwko umieszczeniu raket Pershing w RFN. Zachód powinien się rozbroić, a wtedy Konstanty Czernienko albo następny sklerotyk pozwoli na zjednoczenie się Niemiec.

Niezrozumiały jest jednak fakt dlaczego docent Stomma broni polityki generała Jaruzelskiego. Przez samo porównanie — choćby było ono na korzyść reżimu polskiego — naraża się rządowi Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Zapisuję to na jego korzyść. Mógłby całą sprawę przemilczeć. Przecież docent Stomma jest prawie od zawsze w Paryżu, żyje w tak zwanym „wolnym świecie”, czytuje *Kulturę* i *Kontakt*, w którym ostatnio Adriana Guillen, była działaczka sandinistowska, wypowiada następujące zdanie: „(...) polityka Reagana jest słuszną. Jedynie zdecydowana i trwała presja może osłabić Juntę i dać Nikaraguańczykom szansę wywalczenia utraconej wolności. Szczerze mówiąc, bardzo wątpię, czy da się osiągnąć cokolwiek pożytecznego przez negocjacje”.

Proponuję zamienić słowo „Nikaraguańczykom” na słowo „Polakom”, a słowo „utraconej” na słowo „trochę”.

Docent Stomma uważa, że „w Nikaragui dzieje się nieporównywalnie gorzej niż w Polsce już choćby z tego względu, że zarówno śmierć głodowa, jak i śmierć od kul jest tam chlebem codziennym”.

Znam rodziny w Polsce, które przymierają głodem. Znam również rodziny tych, których zastrzelono. Oczywiście nie są to rodziny ze środowiska docenta Stommy i ministra Urbana.

Docent Stomma, etnograf i historyk, zapomina, że cierpienia narodów mierzy się również w czasie. Do 1979 roku — cokolwiek by się nie powiedziało o okrucieństwie reżimu Somozy — Nikaragua była niepodległą republiką. Oczywiście, dzisiaj, na ulicach Nikaragui dzieją się rzeczy nieporównywalnie straszniejsze niż w Polsce. Docent Stomma udaje, że ja o tym nie wiem. Teoretycznie byłoby to możliwe. Nie byłam tak kosmopolitycznie wychowywana i nie miałam takich możliwości poznawania świata jak docent Stomma, który był hołubiony przez kolejne ekipy rządzące i przez wszystkie uniwersytety w kraju.

W ostatnich zdaniach swojego listu do redakcji docent Stomma martwi się o moją potencję twórczą i pozatwórczą. Muszę go rozczarować. Zmniejszenie się mojej potencji zwiększyłoby zapewne jego szanse. Niestety, nie tego nie zapowiada.

Jeśli mój list do redakcji *Kultury* nie satysfakcjonuje docenta Stommy, lub go obraża, zna on mój adres i numer telefonu. Bez zaglądania do „Herbarza polskiego” zakładam, że ma on zdolności honorowe.

Wybór broni i miejsca spotkania pozostawiam docentowi Stommie. Ponieważ trenował on kiedyś boks, mogą być rękawice bokerskie. Ponieważ lubi Lasek Buloński, może być Lasek Buloński. Oczekuję propozycji.

Serdecznie pozdrawiam Pana Redaktora, łączę wyrazy szacunku

Jacek BIEREZIN

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec natężenia pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

B.P.G., Kanada; J.K., RFN; M.M., Szwecja; K.O., USA; B.B., RFN; A.S., Szwecja; W.S., Brazylia; K.G., Austria; H., Algier; K.B., Szwajcaria; R.L., USA; A.T., Francja; S.J.K., USA. — Z wierszy nie skorzystamy.

W.G., RFN. — Być może Pana list do przyjaciela w Kraju jest szczery, ale jak trywialny i banalny! Tyle tylko z tego wszystkiego zostało? „Pieprzone ideały”?

Z.P. w Kraju. — Pana „opowieść” jest tylko notatką do czegoś zamierzonego i nienapisanego.

P.N., USA. — Pana tekst nie nadaje się do druku. Nawet „migawka” musi mieć jakiś sens i układ, nie może być tylko strzępem rozmów telefonicznych.

A.F., RFN. — Zamiast pisać w liście o tych dwóch gotowych powieściach, nie lepiej byłoby przysłać je do oceny?

M.G., Szwecja. — Trudno nam cokolwiek zrozumieć z Pana polemiki z „konceptualizmem” w sztuce.

S.M., Algier. — Ocena wybranych fragmentów Pana przekładu jest o tyle bezprzedmiotowa, że wydanie dramatu u nas nie wchodzi w ogóle w grę. Takich możliwości wydawniczych nie mamy...

R.S., RFN. — Pana aforyzmy nie wydają nam się zbyt oryginalne, nie mówiąc o tym, że nie istnieje w Kulturze „kącik aforystów”.

Z.C., USA. — Wątpliwe, czy ten ponury obraz obozu w Traiskirchen ma jakieś szanse druku. Nie chodzi nawet o wulgarność opisu, ale o to że używa Pan jednego tylko koloru, wywołując w końcu uczucie i niesmaku i nudy.

Krystyna Görlich, RFN. — Listu nie zamieścimy. Ma zbyt nieprzyjemny posmak.

Prof. L. K. Lewański, Bolonia. — Listu nie zamieścimy, gdyż sprawę oceny odczytu rektora Gierowskiego uważamy za zamkniętą.

Danuta F., Warszawa. — Nie zamieścimy.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 3^e trimestre 1984.

Imprimé en France
N° d'imprimeur 6491.

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Prenumerata		
	Egz. poj.	1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1984			
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
ARGENTYNA: «Liberia Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel. 29 1248	\$ A. 5,50	\$ A. 30,00	\$ A. 56,00
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, 1011 Wien, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14. Tel. 52-60-175	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
BELGIA: Maria Rondomanska, 132, Avenue Coghen, 1180 Bruxelles. Tel.: (2) 345 08 25. Konto 310.0334324.51 w Banque de Bruxelles	F.B. 300,00	F.B. 1300,00	F.B. 2600,00
BRAZYLIA: prosimy o przesyłanie czeków do administracji «Kultury»	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B 4 Vlissingen. Tel. (01 184) 14073, Postgiro 1379176	Fl h 15,00	Fl h 80,00	Fl h 145,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel. 621311	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel. (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2. Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; «Polish Voice Publishing» Co., 1089 Queen St W Toronto 145 Ont Polish Alliance Press, Ltd. («Zwiastowiec»), 1638 Bloor St. W., Toronto, Ont. M6P 1A7	\$ Can. 6,00 DM 13,00 F. 36,00	\$ Can. 35,00 DM 70,00 F. 200,00	\$ Can. 60,00 DM 130,00 F. 380,00
NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431	F.S. 10,00	F.S. 60,00	F.S. 110,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34-6	K.S. 36,00	K.S. 200,00	K.S. 380,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel. 475-8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34-th St., San Diego, Cal. 92104. Tel. 284-6271; Krystyna Leser, 1725 - 17th St., N.W. Washington D.C. 20009; H. Kosciuch, 41963 Utica Rd., Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel. (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street Detroit, Mich 48211; Szwede Slavic Books 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel. (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 21, West 38-th Street, New York, N.Y., 10018. Tel (212) 354-0492	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5 ORD Tel (01) 370 2210	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel. 75-67-241	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 380; półroczna — F. 200.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 4,50.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:

INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 390 — GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

DZIENNIK PISANY NOCĄ

TOM III

1980-1983

Str. 345.

Cena F. 95,00.



TOM 391 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SZEŚĆDZIESIĄTY ÓSMY

Zawiera m.in. opracowania: R. Sikorskiego — *Człowiek z zewnątrz (rozmowa z Normanem Daviesem)*; N. Daviesa — *Granice Polski w czasach najnowszych*; P. Morgi — *KOR — szkoła wolności*; T. Łepkowskiego — *Myśli o historii Polski i Polaków*; O. Remigiusza Kranca — *Byłem skazany na 10 lat Syberii (dok.)*; *Aresztowani i skazani (relacje z Polski)*; K. Lenkiewicz — *Wspomnienia belwederskie* oraz bogate działy: RECENZJE i OKRUCHY HISTORII.

Str. 240.

Cena F. 60,00.



TOM 392 — JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

ROZMOWY POLSKIE LATEM 1983

(fragmenty powieści)

Tom prozy wybitnego poety i eseisty z Kraju. Autor opowiada o wakacjach spędzonych latem 1983 nad jeziorami w okolicy Suwałk. Bliskość Litwy, jej stare legendy i mity, przeszłość historyczna Rzeczypospolitej i polska teraźniejszość, problemy moralne i wyznania Autora przeplatają się w tej prozie z wakacyjnymi dialogami i scenami, nieraz pełnymi gorzkiego humoru.

Opowieść bardzo polska i bardzo współczesna.

Str. 160.

Cena F. 60,00.